

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXVI.

ROK IX

TOM IV.—ZESZYT II.

Listopad.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1884.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 31 Października 1884 r.

PAMIETNIKI KSIĘCIA METTERNICHA.

Mémoires, documents et écrits divers laissés par le Prince de Metternich chance lier de Cour et d'Etat, publiés par son fils le prince Richard de Metternich, classés et réunis par M. A. de Klimkowstroem.—Troisième partie: La période de repos. (1848—59), —Tome huitième.—Paris, 1884.

W obecnie wydanym, ósmym całego zbioru, tomie tak zwanych *Pamiętników* księcia Metternicha, kończą nareszcie wydawcy publikacyą, którą przed czterema rozpoczęli laty. Obejmuje on jedenastolecie od roku 1848 do 1859, epokę niedobrowolnéj emigracyi, ciągłéj prawie wędrówki, cichego wreszcie powrotu do Wiednia, ustronnego na „*Rennwegu*“ pobytu, epokę, któréj wydawcy *Pamiętników* księcia nadali eufemiczne miano „*periodu wypoczynku.*“

Peryod ten łączy się swą treścią i zewnętrznym przebiegiem w harmonijną, niekiedy niewolną od złośliwych sztuk historycznéj Nemezys, całość z dotychczasowemi kolejami życia austryackiego kanclerza. Jeżeli psuć ją się zdają zewnętrzne przygody księcia, jeżeli wszechwładny minister cesarza Franciszka, jeżeli doradca św. przymierza, którego cesarz Mikołaj nazwał „filarem porządku europejskiego,“ jest bardzo mało podobny do starca, który dla osobistego bezpieczeństwa pod przybraném nazwiskiem pędzi wraz z rodziną przez Niemcy, by szukać schronienia w Anglii, następnie przez ironią losu w Belgii, téj samej Belgii, na której rewolucyjny początek spoglądał ze zgrozą właściwą patryarsze konserwatyzmu,—wiąże w harmonijną całość ową epokę wypoczynku ze świetną przeszłością Metternicha, jak nić czerwona, oryginalna jego wiara we własną nieomylność. Istotnie, pozostanie owa wiara dziwnym psychologiczno-politycznym fenomenem dowodzącym przecież, jeżeli czego, to chyba tylko „małości“ swego wyznawcy.

Właściwością prawdziwie wielkich ludzi i wzniosłych ludzi dotkniętych niełaską fortuny, jest rozpatrywać się okiem badawczém po własnéj przeszłości, przyznawać się do swych błędów, wydobywać z nich sens moralny dla następców. Jakże budujący tego przykład pozostawia Napoleon w swym „*Memoriale*“ z wyspy św. Heleny, w owych poufnych zwierzeniach wobec Montholona i O'Merry. Szczęśliwy Metternich, czy to uciekając przed świstem ulicy z Wiednia do Feldsberga, czy naglony o szybki wyjazd z Drezna przez dyrektora miejscowéj policyi, czy korzystając z angielskiéj gościnności w Brighton, czy ze schronienia, jakiego mu udzielił król Leopold w Brukselli, czy spoglądając przez ostatnich kilkanaście dni długiego żywota na początek końca dzieła swego we Włoszech,— uważa się bezprzestannie za nieomylnego, za moralnego zwycięzcę, który ma słuszność przeciw całemu otaczającemu światu, a który niewinien naturalnie temu, że sam pozostał przy zdrowych zmysłach, kiedy cały świat, jak długi i szeroki, oszalał. Nie jest-to czasem może spokój filozofa, który z podobną rezygnacyą stawa na uboczu, by, jak Karol V w klasztornéin zaciszu przyznać, że sobie nie mógł poradzić z niesfornymi ludźmi, ale nie na żart wzgardliwe wzdryganie ramion niezrozumianéj przez ciemny tłum wyższości. Szczególne, podziwienia istotnie godne zaślepienie człowieka, zkądinąd istotnie wyższego, pełnego wiedzy i ukształcenia, znakomitego pióra, człowieka, którego szkoła długiego doświadczenia powinna była i mogła lepszych nauczyć rzeczy. Ostatni ten tom *Pamiętników Metternicha* jest dosłownéni tylko stwierdzeniem tego, czego nas nauczyły przekonywająco poprzednie. Metternich jest doktrynerem zasady zachowawczéj, drugorzędnym dyplomatą, znakomitym publicystą owego politycznego kierunku, ale nigdy mężem stanu. Nie chce pojąć, że świat i ludzkość znajdują się w stanie ciągłego ruchu, który się składa na historyą; nie pojmuje, że ruch ten wywołuje ciągle nowe idee i nowe potrzeby, które praktyczny polityk wyzyskując i uwzględniając na przemian może utrzymać na powierzchni siebie, ocalić, utrwalić, podnieść byt organizmów kierownictwu owemu powierzonych. Tymczasem Metternich wierzy do ostatniego dnia życia, że *można* społeczeństwo ludzkie i organizm państwowy zbudować raz na zawsze na podstawach wiecznych i niezmiennych, że *on* właśnie podobny kamień filozoficzny wynalazł; że jest nieszczęściem i winą szaleństwa ludzkości europejskiéj, jeżeli się na wartości jego wynalazku nie poznała.

Nie pessymizm zaś jakiś nasz albo przywidzenie dyktują nam podobny sąd o człowieku, który istotnie przez ćwierć przeszło wieku wywierał tyle przeważny wpływ na losy Europy. Kosztowałoby nas

istotnie bardzo nie wiele trudu, choć zajęłoby w naszém sprawozdaniu bardzo wiele miejsca, gdybyśmy je chcieli obarczać cytatami licznemi, spotykającemi się niemal na każdéj stronicy niniejszego tomu, w których autor oddaje, bez ceremonialnie i bez ogródek jakiejbądź fałszywéj pokory, cześć własnéj nieomylności. Obfitują mianowicie, rzecz dziwna, w podobne pomniki czci własnéj ostatnie dni życia Metternicha, owe chwile, w których mu dano patrzéć na początek walki między Francyą a Austryą we Włoszech. Czy to listy do lady Westmoreland, czy do doktora Twiss tchną tym samym duchem, są zaś tém ciekawsze, iż stanowią jakoby ostatnie echo tego, co znajdujemy w każdym niemal liście, w każdym politycznym memoriale Metternicha z jedenastu lat poprzednich. Zauważmy zaś do tego jeszcze, że tak argumenta, jak słowa niemal te same powtarzają się wiernie w każdym z takich listów starca. „Walka," mówi Metternich w liście z miesiąca maja 1859 do angielskiego doktora Twissa, „i to walka na śmierć i życie zawrzała dzisiaj między *prawdą a kłamstwem*, między prawem a jego negacyą, między warunkami, w niedostatku których pokój moralny i pokój materyalny ze swemi naturalnemi następstwami, porządkiem i wolnością (prawdziwą a nie fałszowaną), stają się niepodobieństwem. Położenie rzeczy obecne nie jest nowe, jest następstwem rewolucyi, która dziś liczy siedmdziesiąt lat istnienia, odkąd mi się ukazała. Przez cały ciąg tego czasu (stosunkowo długi i krótki) Austrya zaczepiona przez nią w podwalinach swego bytu, utrzymywała walkę z nieprzyjacielem, Umiała cierpiéć nie tracąc odwagi a po dwudziestu latach wojny,— pominąwszy złe, jakie jéj długa walka wyrządziła, stała się w roku 1813 zdolną wyjść na punkt zborny dla zniszczonéj Europy. Europa odniosła zwycięztwo nad rewolucyą wcieloną w jednę osobistość. Po obaleniu téj osobistości, cieszyła się Europa najdłuższym pokojem, jaki annale dziejowe zapisują. Mądrość i umiarkowanie zwycięźców, równie bezprzykładne w historyi, odbudowały najniezbędniejsze podstawy ku wzniesieniu nowego społecznego gmachu, jakich wymagał szacunek dla niepodległości organizmów politycznych i życia międzynarodowego. Czego na nieszczęście nie można było uniknąć, to *trwania* nieuniknionych następstw moralnéj burzy, jakie rewolucya wywołała, wstrząśnienia, które ze stanu *gorączki* przeszło w *stan chroniczny*. Błąd ten nie spada na rachunek Austryi. Jéj rząd nie stał się winnym tego występku. Nie powstrzymał on się przed przykremi, ale nieuniknionemi następstwami głosu sumienia. Cesarstwo stanęło na *podstawie prawdy*, których zasady tłómaczą się przez formuły. Austrya znalazła się wskazaną na ponoszenie konsekwencyi swego położenia, na czele których sterczało jéj odosob-

nienie polityczne i poddała im się. Jakże się rzeczy ułożyły dzisiaj?" Przytoczyliśmy umyślnie list ten w dosłownėm brzmieniu, bo kto zna jeden, zna wszystkie. Świat cały zachorował na chroniczną chorobę rewolucyi; Austrya jedna pozostała, choć odosobniona, zdrową; zdrowym naturalnie i ten, który jéj nawy sternikiem był przez pół wieku blisko. Cóż temu *zdrowiu* szkodzić może, że *chorzy* odnieśli zwycięztwo, że Austrya straciła Włochy, że ją wyrzucono z Niemiec, że na wewnątrz jéj *chorzy* stali się panami sytuacyi, że zmienili doszczętnie cały organizm państwa, że dla *zdrowych* pozostał wybór między ucieczką albo zapomnieniem.

Oryginalna istotnie w swoim rodzaju, śmieszna na przemian i litość wzbudzająca zabawka, jaką sobie doktryner konserwatyzmu europejskiego w stanie wypoczynku ku własnéj pociesze wyprawia, gdy wzniesiona przezeń budowa łamie się i gruchota na wszystkie strony! A trzeba było od podobnéj, *zasadniczéj* charakterystyki autora i dzieła rozpocząć nasze sprawozdanie z ostatniego, jaki mamy przed sobą, tomu „*Pamiętników*" Metternicha, bo pominąwszy ciekawe, faktyczne szczegóły, w *monomanii* podobnéj tkwi cała *zasadnicza* ich treść i wartość. Co pozostanie rzeczą zastanowienia godną, że ta *chorobliwa* strona stanowiska i zapatrywań sędziwego kanclerza w ostatnich jego życia latach, uszła najzupełniéj uwagi wydawców jego literacko-politycznego spadku. Syn kanclerza, książę Ryszard Metternich nie jest może wielkim mężem stanu, ale jest, cokolwiekbądź, wytrawnym i rutynowanym dyplomatą. Współpracownik jego, archiwista cesarski Klinkowström jest niewątpliwie człowiekiem inteligencyi i nauki. Czy zbytek czci dla pamięci kanclerza, czy jaki inny wzgląd sprawił, że z zamkniętemi oczami, bez żadnéj własnéj uwagi i zastrzeżenia, ogłaszają wszystkie te objawy politycznéj nieomylności księcia,—nie wiemy; ale, *że* tak jest, przekonywa nas cała książka od swéj pierwszéj do ostatniéj stronnicy.

Charakterystycznym pod tym względem jest, datowany z wilii roku 1883 z zamku Plass w Czechach, epilog, w którym się książę Ryszard Metternich z czytelnikami żegna a dokonane przez się wydawnictwo uwadze ich i życzliwości poleca. „Oceniając", mówi książę Ryszard, „przymioty polityczne księcia według dokumentów zamieszczonych w niniejszém dziele, wezmą sumienni historycy pod rozwagę zasady, które kierowały jego polityką, tą polityką, co to otrzymała swój kierunek wśród burz pierwszéj Rzeczypospolitéj, jak uszanują niewzruszoną stałość, z którą postępował na drodze, jaką sobie zakreślił. Monarchia prawowita, oparta na społeczeństwie takiém, jakiém je historya stworzyła a przejęta duchem chrześciańskim;—otóż co było jego ideałem politycznym, a uważał za naj-

szczytniejsze zadanie swego życia połączyć wszystkich monarchów na téj podstawie. Wszyscy znają powodzenie, jakiém usiłowania jego byly wieńczone przez długi przeciąg czasu. Czyż inaczéj możnaby sobie wytłómaczyć stanowisko, jakie zajmował wobec największych monarchów, stanowisko zyskane wysokiém zaufaniem, jakie w nich wzbudzał, które go wprowadzało w ciągły związek z głowami koronowanemi, a które mu pozwalało wykonywać wpływ stanowczy, wpływ, który mu zyskiwał często ze strony ministrów jego epoki przydomek *ministra europejskiego*? Nie jest rzeczą jego syna, tego, który, począwszy od pierwszych lat młodości mógł podziwiać zblíska, przez trzydzieści lat wysoką inteligencyą, szlachetność duszy kanclerza państwa i ofiarność dla wielkiego jego zadania, nie jest rzeczą, mówię, bezpośredniego świadka niezmordowanéj czynności, niestrudzonéj gorliwości około czci i dobra ojczyzny,—podwyższać szczególnym jeszcze jakimś blaskiem sławę, która przemawia dość głośno sama przez się, mięszać głos własny z wielkiem głosem swego ojca. Winien poprzestać na odesłaniu czytelnika do dzieła samego gdzie w dokumentach autentycznych znajdzie, coby serce syna tak szczęśliwe było wypowiedziéć. Niechaj mi będzie dozwolona tylko krótka uwaga. Odkąd tylko historya, a to już od dość dawnego czasu, skreślać poczęła wielkiemi rysami czyny ludzi, którzy odgrywali znakomitą rolę, pozostanie historyk zawsze ciekawym jeszcze szczegółów, które ożywiają obrazy charakterów. Pod tym względem, liczne poufne zapiski, które się spotykają w dziele, dostarczają obfitego materyału dla tych, którym zależy na poznaniu tego, co kanclerz państwa miał zwyczaj nazywać „kierunkiem swego umysłu;“ podobnie jak i dla tych, którzyby pragnęli odnaleść człowieka prywatnego w szczupłem kole jego przyjaciół i rodziny. Niechaj ci, co wezmą do ręki tę książkę, nie zaniadbają zajrzéć w poufne życie księcia, gdzie wśród ciągłych przemian radości i bólu, objawia się jego niezachwiana wiara w Boga. Niechaj nie omieszkają towarzyszyć mu w jego wygnaniu dobrowolném, oddalonemu od życia publicznego, jemu, którego potężny głos rozlegał się niegdyś tak daleko. Nie usłyszą tam żadnéj skargi nad doznanemi niesprawiedliwościami, żadnego żalu przeciw dawniejszym nieprzyjaciołom. Ujrzą ze wzruszeniem starca schronionego na ziemię obcą, interesującego się zawsze z tą samą namiętnością losami ojczyzny, poznają się z dobroczynnym wpływem spokoju silnéj duszy, z pogodą pełną wyrozumienia duszy czułéj pośród strasznych okoliczności, w chwilach bolesnych, jaką była między innemi ta, kiedy myśląc o swoim ogrodzie, który był zmuszony opuścić, pisał do swéj córki: Pozdrów odemnie bzy, jeżeli kwitną. A teraz składam pióro z zadowolnie-

niem, jakie daje spełniony obowiązek. Pełen ufności w wyrok historyi, który będzie tém sprawiedliwszy, im więcéj rozszerzy się światła nad życiem wielkiego męża stanu, a ożywiony synowskiém życzeniem, aby Austrya spłaciła swój dług wdzięczności temu, który kierował tak długo a wśród czasów tak trudnych losami tego państwa, w sprawach jego zagranicznych, kończę dzieło niniejsze, podobnie jak je rozpocząłem, słowami. Oddając dzieło to publiczności, oddaję cześć pamięci mego ojca.“

Umiejąc cenić należycie wartość i zasługę uczucia, jakiém jest uczucie czci i miłości dzieci dla rodziców, nie będziemy *uczuciu* temu, ani słowom przez nie natchnionym wytaczali zbyt surowego procesu krytycznego. Zdanie nasze wypowiedzieliśmy już kilkakrotnie wyżéj a czytelnik wie prawdopodobnie co sądzić o „owém kierownictwie losów Austryi,“ o owéj miłości chrześciańskiéj, która się nie umiała stwierdzić ani wobec skazańców Spielberga i Kufsteina, ani nawet wobec osoby Napoleona, o owéj czułości, która wzdychając do bzu rozkwitającego we własnym ogrodzie, nie wytrzymywała równéj próby wobec ofiar galicyjskiéj rzezi. Również wiemy co sądzić, gdy książę Ryszard w uniesieniu synowskiéj miłości mówi o wielkości duszy ojca wśród „strasznych przepraw i okoliczności.“ Prócz upokorzenia ambicyi i miłości własnéj, dotykalnego rezultatu własnych błędów po części, po części okoliczności, trudno nam się w całém życiu kanclerza dopatrzeć „strasznych przepraw i kolei.“ Jakżeby w takim razie nazwać „przeprawy i koleje“ współczesnych mu Ludwika XVI, Maryi Antoniny, Napoleona! Bezsporne porzucenie placu boju dnia 13 marca 1848 wobec lichéj zawieruchy wiedeńskiéj, tragikomiczna może, ale wcale nie niebezpieczna podróż przez Niemcy, wygodny pobyt w Londynie, niemniéj wygodny i spokojny w Brukselli,—wszystko to razem nie chce nam się jakoś złożyć na mozajkę „strasznych przepraw i okoliczności,“ wśród których było można i warto zaświecić jakiemi bądź dowodami „wielkości duszy.“

Rozpatrzmy się teraz, jak to w dotychczasowych sprawozdaniach *Pamiętników* Metternicha czyniliśmy, w *materyale* i *dokładności* niniejszego tomu. Co się tyczy pierwszego, stanowi tu aż do roku 1854, jakoby nić przewodnią i przedstawia pewną organiczną całość *dziennik księżnéj Melanii*, mozajka najrozmaitszych, ciekawych i nieciekawych, ale widocznie prawdziwych i wiarogodnych szczegółów. Drogocenny przewodnik ten opuszcza jednakże czytelnika od roku 1854, czyli ze śmiercią małżonki kanclerza, a odtąd zastępują go bardzo niedostatecznie, chaotycznie i jednostajnie zarazem listy księcia do różnych znakomitych w kraju i za granicą osobistości,

memoryały i noty dyplomatyczne. Niekiedy zastępują tu osobę i pióro kanclerza listy, noty i depesze rozmaitych dygnitarzy austryackich. Mianowicie będziemy mieli jeszcze sposobność wspomnieć niżéj o korespondencyi barona Aleksandra Hübnera, świadka ostatnich chwil kanclerza. Co się tyczy *dokładności* wydawnictwa w obecnym tomie, powiedzielibyśmy o niéj, ze stokroć większém jeszcze tylko prawem to, co powiedzieliśmy o poprzednich: wydawcy byli widocznie nader ostrożni w publikacyi dokumentów i papierów ze spadku kanclerskiego. Ogłosili rzeczy właściwie nieciekawe, nie jedno wprawdzie, co przedstawia i odsłania *zasadniczą* stronę polityki i charakteru swego bohatera, ale natomiast strzegli się najwyraźniéj przedstawić go w jego rzeczywistéj akcyi politycznéj, ogłosić cokolwiebądź, co by mogło najodleglej zadrasnąć stan rzeczy dzisiejszy i jego politycznych reprezentantów. Jeżeli spostrzeżenie to jest prawdziwém co do poprzedzających tomów, jest nierównie prawdziwszém co do obecnego. Książe-kanclerz niemiecki może bezpiecznie czytać całe dzieło od początku do końca, nie spotykając się nigdzie z żadną uwagą, z żadnym wyrazem nawet, któryby mógł obrazić jego drażliwość. Podobnież umie obecne wydawnictwo, w ostatnim mianowicie tomie, pomijać wszystko, co by mogło wywoływać jakiebądź drażliwości petersburskie. Najwięcéj jeszcze swobody pozwalają sobie „*Pamiętniki*“ księcia Metternicha w obec *Włoch*; mianowicie uważa ex-kanclerz za istny grzech i występek przeciw własnéj godności mocarstw europejskich, jeżeli małego krzykacza piemonckiego dopuszczają na kongresie europejskim w roku 1856 do wspólki i do równouprawnionego z sobą głosu. To téż jedyny przecież, jakkolwiek jeszcze śmiały i szczery objaw, z jakim się w ostatnim tomie tych *Pamiętników* spotykamy.

Czyż mamy wierzyć na prawdę, czyż mamy przypuszczać, że polityczny spadek po byłym kanclerzu ogranicza się istotnie tylko na tém, co wydawcy obecnie ogłaszają, że ręka ich *nie* pousuwała zeń właśnie wszystkiego prawie, co było najciekawszém? Odpowiedź na to pytanie bardzo łatwa, dyktują zaś ją nie mniéj powszechnie znane fakta, jak natura rzeczy. Wiadomą dobrze rzeczą, co zresztą do pewnego stopnia i z obecnego wydawnictwa, mimo jego okaleczenia widać, że rola polityczna Metternicha w Austryi nie skończyła się bynajmniéj z jego formalném ustąpieniem; że gabinet wiedeński zasięgał jego rady na wygnaniu nawet w Londynie i Brukselli, późniéj, podczas wojny wschodniéj, za powrotem do Wiednia; że kanclerz, słowem, na swém uboczu nie przestał być Egerią, czy-to księcia Feliksa Schwarcenberga, czy jego następców. *Trzy* wielkie kwestye wyrosły Austryi, po zwalczeniu rewolucyi roku 1848,

między rokiem 1856 a 1859; kwestye, z których każda z osobna wychodziła na zagadnienie własnego jéj bytu. *Pierwszą* była sprawa niemiecka z roku 1850, sprawa, jak wiadomo, dochodząca do takiéj ostateczności, że wojska pruskie i austryackie stały już zbrojno naprzeciw siebie w Hessyi, że nastąpiło starcie obu wojsk pod Brouzell, sprawa wreszcie zakończona po interwencyi cesarza Mikołaja stanowczém upokorzeniem Prus w Ołomuńcu. *Drugą* taką sprawą była wojna wschodnia z roku 1853, wśród któréj, po początkowém odgrywaniu roli przyjaciółki Rosyi, Austrya przerzuciła się nagle na stronę mocarstw zachodnich, zawarła z niemi pod dniem 2 grudnia 1854 warunkowy alians i zmusiła tém samém Rosyą do opuszczenia zajętych następnie przez wojska austryackie księstw naddunajskich. Wiadomo nam, mówiąc nawiasowo, bardzo dobrze, że podczas *téj* wojny i w *téj* sprawie zasiągano ze strony gabinetu wiedeńskiego rady Metternicha, a że były kanclerz udzielił jéj w sensie bardzo nawet energicznym, w kierunku tak głęboko i daleko sięgającym, że jéj się same mocarstwa zachodnie wystraszyły. *Trzecią* wreszcie taką kwestyą była wywołana przez Napoleona III w r. 1859 wojna włoska. Czyż, można-by zapytać, wszystkie te *trzy*, żywotnéj wagi dla Austryi sprawy, nie były-by miały pozostawić w politycznym spadku Metternicha, *żadnego* po sobie piśmiennego śladu? Biada tymczasem historykowi téj epoki i tych trzech kwestyj, który-by był skazany w swéj pracy ograniczyć się na materyał, jaki mu tyle troskliwi o dokładność i prawdę dziejową wydawcy *Pamiętników*, w dziele tém dostarczają. Daremnie-by tu szukać jakichś objaśnień, jakichś źródeł do dziejów tych trzech kwestyj. W tém co znajdujemy, raczéj ich zaciemnienie aniżeli wyjaśnienie, a *ich* właśnie *oryginalne* traktowanie w ostatnim tomie *Pamiętników*, jest nam najlepszym dowodem, jak niełaskawie wydawcy obeszli się z gotowym materyałem po księciu, w jak nielitościwie i niezrozumiale okaleczonéj postaci zakomunikowali go publiczności i dziejowemu użytkowi.

Po tych wszystkich objaśnieniach i zastosowaniach, przystąpmy do sprawozdania, według porządku chronologicznego.

Przypomną sobie czytelnicy nasi, jak zaniewierucha w dniu 13 marca 1848 r. zmusiła Metternicha rzucić nie tylko ster rządów, ale jak go zmusiła opuścić potajemnie sam Wiedeń i szukać schronienia w Morawii na zamku księcia Lichtensteina, Feldsbergu. Wi[illegible]cznie wierny i prawdziwy, pod świeżemi wrażeniami skreślony dziennik księżnéj Melanii, daje wyobrażenie o położeniu ówczesném byłego kanclerza Austryi, „filara porządku rzeczy europejskiego“. Zewsząd dochodziły wiadomości o wzrastającym buncie rewolucyjnym, zewsząd doniesienia o wzburzeniu przeciw osobie księcia. Zburzono pa-

łac generała Nobili w Wiedniu, przypuszczając, że się w nim upadły kanclerz kryje; w Tryeście zniszczono hotel, noszący nazwę „Księcia Metternicha“; Czechy pokryły się czerwono - białemi kokardami, z Mediolanu i Wenecyi dochodziły coraz to więcéj alarmujące wieści. Pobyt w Feldsbergu przestawał być bezpiecznym.

„Liczyliśmy“, mówi księżna w swym dzienniku, „módz tu przepędzić kilka dni, ale burmistrz Feldsberski przyszedł nam oświadczyć, że rada municypalna miasta żąda, aby mąż mój wyjechał w przeciągu dwudziestu czterech godzin, ponieważ jego obecność sprawia zbyt wiele zaburzenia“. W skutek tego postanowiono nasamprzód ze strony rodziny książęcéj udać się do Ołomuńca, następnie może do Plass w Czechach, lub Johannisbergu nad Renem; pierwsze wychylenie głowy jednakże za schronienie Feldsberskie dowiodło, jak mało widoków bezpieczeństwa przedstawiał pobyt w całéj Austryi i Niemczech, jak reprezentant, wierzącéj ciągle jeszcze w siebie, nieomylności politycznéj nie miał istotnie gdzie chwilowo głowy złożyć pośród rozkiełznania „mylących się i szalejących“. „Jechaliśmy“, opowiada księżna, „bez przeszkody aż do Ołomuńca... W Ołomuńcu wsiadł do naszego wagonu Hügel, aby nam oświadczyć, że komendant miasta i arcybiskup nie chcą brać na siebie odpowiedzialności przyjmując nas, a że mamy jechać daléj i to w wagonie nie rezerwowanym“. Takie same przykrości, trudności, wypieranie się wszelkiéj współki i przyjaźni z Metternichem na całéj drodze. „Dnia 23 (marca), około godziny piątéj po południu, opuściliśmy pociąg na ostatniéj stacyi przed Pragą. Przebiegliśmy wieś, kryjąc się jak złodzieje, nareszcie po niesłychanych trudnościach, a dzięki opiece kapitana Vernica, udało nam się dostać koni. Nie chcieliśmy zatrzymywać się w Pradze, lecz przejechać tylko przez miasto. Naczelnik poczty upoważnił nas tylko do tego za potrójną opłatą; trzeba nam się było na to zgodzić. Służący Rechberga, który nas miał dogonić w Ołomuńcu i przywieźć nam pieniądze, nie dopisał nam, czemu się nie można było dziwić. Byliśmy więc bez pieniędzy, bez listów kredytowych, z perspektywą długiéj i uciążliwéj podróży przed sobą! Postanowiliśmy udać się do Anglii, gdzie Klemens postanowił nareszcie się schronić, przekonawszy się, że tutaj nie może już na nikogo liczyć. Po tysiąc razy w ciągu dnia przypominałam sobie owo opuszczenie, w jakim się znalazł boski zbawiciel, tysiąc razy pana zaprzanego przez Piotra, co według mnie jest czynem najstraszniejszym—całéj historyi passyjnéj“. Nie kładąc zbytniéj wagi na drastyczność podobnéj nam reminiscencyi i podobnego porównania, przyznajemy przecież, w imię prawdy dziejowéj i psychologicznéj, że upadki jakichbądź wielkości są niekoniecznie zaszczyt przynoszącym naturze ludzkiéj kamieniem probierczym.

Dalszy ciąg podróży kanclerskiéj przez Niemcy przedstawia wiernie te same znamiona. „W Dreźnie“, pisze znów księżna Melania, „wywołała obecność nasza pewne poruszenie. Gospodarz nasz był widocznie wystraszony, gdy usłyszał nasze nazwiska. Zawiadomił policyą o naszém przybyciu, czego skutkiem było, że przyszedł komisarz, aby nam dać zapewnienie swéj opieki. Zauważyliśmy, że *odkąd opuściliśmy Austryą, władze zagraniczne uważały za rzecz honoru osobistego opiekować się nad nami*“. Wyznanie smutne i charakterystyczne razem, ale jakże dowodzące równocześnie przecie „nieomylności polityki“ upadłego księcia-kanclerza. Cóż nadto za niezrównany obraz jaskrawości i nadzwyczajności chwili, co za mięszanina tragiki ze śmiesznością, co za istnie elizejskie pobratanie najrozmaitszych osobistości! „Dnia 28 marca“, mówi dziennik księżny, „o godzinie 9-téj z rana, opuściliśmy Minden. Klemens nie chciał przepędzić nocy w Osnabrücku. Obiadowaliśmy tam tylko, a o godzinie 10-téj wieczorem przybyliśmy do Fürstenau. Klemens był bardzo znużony tym długim dniem podróży i cierpiał mocno na nerwowe kurcze. Zaprowadzono nas do szkaradnéj ciupki, aby dać czas ludziom do ogrzania nędznego pokoju, byliśmy zmuszeni udać się do kawiarni, gdzieśmy znaleźli dwóch panów, rozmawiających żywo o nowinach, zamieszczonych w dziennikach. Byli zdjęci rozpaczą z powodu wszystkiego, co się wydarzyło. Dowiedzieliśmy się od nich o ucieczce księcia pruskiego do Anglii (dzisiejszego cesarza niemieckiego), równie jak o straszliwych wiadomościach z naszych Włoch. Mediolan zdaje się straconym. Po wypiciu herbaty, Klemens słuchał z zadowolnieniem opowiadań naszéj gospodyni, równie gadatliwéj, ile ładnéj, która nas częstowała masłem z pumperniklem. Śmiał się również mocno ze swego kamerdynera (Józefa Michel), który nie mógł odgadnąć, dokąd się udajemy. Tenże rzekł do mnie: jakże się to nareszcie skończy? Jedziemy ciągle daléj, a nasze noclegi stają się coraz gorszemi; myślałem, że się udajemy do Johannisberga. Gdyby książe był pojechał do Königswart, a dał swym ludziom połowę tylko tego, co podróż kosztuje, byłby w najzupełniejszém bezpieczeństwie. A przecież dowiedzieliśmy się tegoż samego dnia, że dom generała Nobili uległ napaści, ponieważ przypuszczano, że się w nim znajdujemy; że w Tryeście zdarto godła z „*Hotelu Metternicha*“, a że w Czechach wieśniacy biorą się do broni. Dnia 29 marca dowiedzieliśmy się od naszéj służby, że odkryto koronę książęcą na naszéj bieliźnie i że się dziwiono nad delikatnością koszul i chustek. Mówiono naszéj służbie: „Z pewnością to znów król jaki, który zmuszony uciekać. Szczegół, który maluje dostatecznie epokę i hotel“.

Tak szła daléj podróż upadłego księcia, aż na terytoryum holenderskie do Annheim, a następnie do Rotterdamu, gdzie książe zamówił statek do Londynu. Tutaj to, powiedzielibyśmy, stwierdza się w dotychczasowéj rewolucyi, spostrzeżenie nasze o bliskiém sąsiedztwie tragiki ze śmiesznością. „Gdyby ruch chartistowski“, pisze Metternich sam w Hadze, pod dniem 9 kwietnia, „nie był mi przeszkodził wsiąść wczoraj na okręt w Rotterdamie, byłbym przyjechał dzisiaj do Londynu rano, w towarzystwie hrabiny Landsfeld (Loli Montez). Udała się tamże tym samym parowcem, którym i ja chciałem jechać. Dziękuje niebu, że mnie ustrzegł od podobnego spotkania“. Dawny filar porządku europejskiego rzucony bałwanami jednéj i téj saméj burzy na gościnny brzeg Albionu, wraz z awanturnicą nasamprzód teatrów, potém dworów europejskich, było-by to istotnie w swoim rodzaju widowiskiem nie ostatniéj, wielce jaskrawéj ciekawości.

Mimo to nie zbywało przecież na jaskrawości pobytowi księcia w Londynie, dokąd zawinął nareszcie szczęśliwie w dniu 20 kwietnia. Zaczynając od spraw najosobistszych i najbezpośredniejszych, powiadamy, że finansowe położenie księcia za przybyciem do stolicy angielskiéj nie było najświetniejsze. Dobra jego w Austryi i Niemczech obłożono sekwestrem, dochody nie były wcale wielkie, a księżna skarży się często w swym dzienniku, do jakiego stopnia niedostatek pieniężny zmusza ją do ostrożności w wyborze mieszkania i w utrzymywaniu domu. Pominąwszy jednakże tę chwilową przykrość, nie ma upadły kanclerz powodu skarżyć się na swój pobyt w Londynie. Gdy świat europejski się pali, gdy Ludwik-Filip pociesza się w swym upadku widokiem olbrzymiego pogrzebu, jaki mu rewolucya na całym kontynencie wyprawia, gdy wre walka we Włoszech, Paryż wyprawia straszną tragedyą dni czerwcowych, gdy coraz to nowe wstrząśnienia w Austryi zmuszają biednego cesarza Ferdynanda szukać schronienia na uboczu Tyrolskiém w Innsbrucku, dostaje się Metternichowi w Londynie istnie pierwszolożowe, wygodne, bezpieczne miejsce, z wyborną perspektywą na współczesne widowisko rzeczywistości. A z pewnością jeżeli widowisko interesujące, nie można powiedzieć aby grono współspektatorów nie miało być równie zajmującém, aby się nie rekrutowało ciągle z coraz to jaskrawszych żywiołów, aby wreszcie były kanclerz ku pociesze własnéj, pośród niego nie był miał wypełniać stanowiska bardzo wybitnego, zadowolniającego wszelkie, choć-by najwięcéj wygórowane pretensye. Co za jaskrawa, przypominająca chyba drugi świat, mięszanina najrozmaitszych żywiołów! Ludwik - Filip i Guizot książe pruski i Metternich, Duchatel i Lola Montez, wkrótce Blanc i Ledru

Rollin, nie wymieniając licznego zastępu innych, drugorzędnych osobistości. *Otium cum dignitate* towarzyszy zaś na każdym kroku księciu. Żyje naówczas jeszcze lord Wellington, daje kanclerzowi austryackiemu dowody najżywszéj przyjaźni, zaprasza go do siebie na wieś, jest u niego codziennym prawie gościem. Lord Londonderry, Palmerston, Minto, podżegacze według Metternicha kontynentalnego zaburzenia, są równie stałymi gośćmi jego salonów, nie mówiąc już o tym nieprzeliczonym tłumie książąt i książątek, dyplomatów, artystów, politycznych ochotników, z rangą urzędową. lub kwalifikacyą towarzyską, którzy się o osobę i salon byłego kanclerza austryackiego ocierają. Mieszkanie jego na Eaton-Square, późniéj w Brighton jest nieledwie takiém samém miejscem spotkania znakomitości europejskich, jak dotychczasowe salony pałacu na wiedeńskim Rennwegu.

Ciekawą zaś rzeczą widziéć, jakie to czasem osobistości do tych drzwi pukają, jakim się otwierają, jakim zamykają. Nie do wiary np. istotnie, że między innymi, pragnął i republikanin francuzki Ludwik Blanc, nieubłagany prześladowca Ludwika-Filipa, czciciel Robespieerr'a w swéj *Historyi rewolucyi francuzkiéj*, ostry krytyk samego Metternicha w swojéj *Historyi lat dziesięciu*,—dostać się do towarzystwa ex - kanclerza. „Ludwik Blanc", pisze Metternich, „przybył do uzupełnienia kalejdoskopu, a ponieważ nie mogę nigdy uniknąć szaleńców, kazał mi zapowiedziéć swe odwiedziny. Tłómaczył ten krok swój zamiarem zrobienia mojéj znajomości i wyłożenia mi swéj doktryny. Odmówiłem jednakże zaszczytu poznania człowieka i jego teoryi. Jestem za stary, aby się pozwolić nawracać na jakibądź nowy system, a nawracający, do jakiéjbądź szkoły należą, nie mogą mi nic powiedziéć takiego, czego-bym już nie wiedział. Co przedstawiali jako rzecz nową, znałem oddawna, a odrzucałem jako lichotę".

Zresztą, jakkolwiek książe ustąpił oficyalnie od steru rządów, nie przestaje gabinet wiedeński, a lepiéj powiedziawszy, dworska kamarylla, mimo zmiany systemu, zasiągać jego rady, bądź to przez ambasadę austryacką w Londynie, bądź przez osobno doń wyprawianych agentów. Między innemi dowodem tego misya do Londynu niejakiego Hendelera, którego rząd wiedeński wyprawił do Francyi i Anglii z poleceniem, aby zachodnie gabinety skłonił do pośredniczenia w sprawie włoskiéj, na podstawie podziału Lombardyi i Wenecyańskiego między Austryą a Piemont i przyjęcia części długu państwa. Hendeler zniósł się z Metternichem, który radził negocyacyi w tym kierunku nie podejmować, a wypadki dały mu słuszność, ponieważ późniejsze zwycięztwa marszałka Radeckiego odzy-

skały włoskie posiadłości Austryi, bez żadnego uszczuplenia. Prócz tego pozostaje książe w związku z angielską prasą i wpływa naturalnie na nią w kierunku Austryi przychylnym. Pociechą dlań i dla jego rodziny są naturalnie częstsze na widowni europejskiéj niepowodzenia ruchu rewolucyjnego. Łatwo pojąć, co za uczucie tryumfu wywołują z jego strony doniesienia o klęskach armii piemonckiéj w Lombardyi; z jakiemi objawami zadowolnienia patryarcha konserwatyzmu spogląda na nadaremne krwawienie się młodéj Rzeczypospolitéj francuzkiéj, na czcze gadaniny niemieckiego narodowego zgromadzenia we Frankfurcie. My Polacy odgrywamy również smutną rolę w życzliwości księcia. Podobnie jak cała ówczesna reakcya europejska widzi wszędzie i na każdym kroku jako inicyatorów i podżegacza rewolucyi *Polaków.* O balu danym w Londynie, jak zwykle wtedy, na rzecz Polaków, odzywa się w ten sposób: „Przed kilku dniami dawano jak zwykle w Londynie bal na korzyść Polaków, lecz zrobił *fiasko.* Cel tych balów jest rzeczywiście tylko czyn dobroczynności, ponieważ dochód obraca się tylko na ograniczoną liczbę Polaków, którzy podobnie jak inni cudzoziemcy spadają na karb miłosierdzia publicznego. Podpisałbym, jak inni, gdyby barwa dzieła nie była podejrzaną, a za dni naszych, odgrywają przecież barwy wielką rolę w świecie".

Najobronniejszą może ręką w tym pessymizmie ultra - zachowawczym księcia, wychodzą Węgry, do tego stopnia, że księżna Melania gniewa się o barbarzyńskie egzekucye, spełnione w Aradzie i Peszcie, a sam książe przyznaje, „że w Węgrzech popełniono wiele błędów". Przyczyna tego bardzo naturalna. Księżna Melania, Zichy-Ferraris z domu, zachowuje mimo wszelkiéj wierności dla panującego domu austryackiego, pewne uczucia dla narodowych prac węgierskich i dla swych ziomków. Ztąd naturalne niezadowolnienie z postępowania rządu wiedeńskiego, tuż po stłumieniu węgierskiego powstania. Zresztą i po za tém, wytryskuje owa nienawiść księcia do rewolucyi kontynentalnéj, przy każdéj, choć-by najdrobiazgowszéj sposobności. „Przed kilku dniami", pisze, np. między innemi, Metternich pod dniem 17 grudnia 1848 r., „miałem wizytę lorda Palmerstona. Mówiliśmy o wydarzeniach dnia, a po omówieniu mnóstwa innych kwestyj, nie zbywa zaś na nich dzisiaj niestety, zapytał mnie Palmerston, któż to jest ten Jellacicz? Nigdy go nie widziałem, odpowiedziałem, w czém nic dziwnego, ponieważ ten łotr nigdy się do mnie nie zbliżył, a ja nie miałem nigdy ochoty szukać go. Wszystko, co wiém o téj osobistości, jest, że to był literat i Żyd. *Palmerston* (gotów spaść z krzesła): Jak to, Jellacicz jest Żydem! *Ja!* Tak, Żydem, ale przecież nie za to został rozstrzelanym. Widząc

mego gościa popadającego w coraz większe zadziwienie, zapytałem go: Ale w rzeczywistości o kim mówisz? *Palmerston*: Ależ o *Jellaciczu*. *Ja*: A więc przepraszam tysiąckrotnie, ja myślałem, że chodzi o *Jellinka*, a jeżeli się dziwiłeś z moich odpowiedzi, ja byłem nie mniéj zadziwiony ważnością, jaką przypisywać się zdawałeś temu wisielcowi Żydowi“. Zabawna to w swoim rodzaju anegdotka, gdyby równocześnie przez nią nie przebijała nieszlachetna nienawiść do rozstrzelanego wówczas przez księcia Windischgraetza semickiego dziennikarza, którego całą zbrodnią było, że podczas dni październikowych r. 1848 w Wiedniu, deklamował trochę głośniéj od innych stu sobie podobnych.

Zresztą poczyna upadły kanclerz lubować się w pobycie angielskim, którego ekonomiczna strona jedynie mu tylko ciąży. Absolutysta i konserwatysta przez całe życie, poczyna przyznawać wartość instytucyom i parlamentaryzmowi Anglii, utrzymuje stosunki bliskie przedewszystkiem z księciem Wellingtonem i księżną Cambridge, wyjeżdża do pierwszego na wieś, do Strathfieldsaye, wreszcie, co rzeczą nie najmniéj ciekawą, wchodzi w stosunki z dziennikarstwem angielskiém, naturalnie w interesie austryackim. „Życie“, mówi, „które prowadzą w tutejszym kraju przedstawia charakter wielce szczególny. Jest to mięszanina tego, co jest moją własnością i tego, co mi narzucają okoliczności. Jest w usposobieniu umysłowém Anglików jeden rys zasadniczy, to jest jego uczciwa praktyczność. W żadnym kraju Europy nie sprzyja rezultat reformom roku 1848. Zbywa im na racyonalnéj podstawie,—na to zgadzają się wszyscy. Liczę pomiędzy najznakomitszymi ludźmi Anglii wielką liczbę dawnych przyjaciół, a przebieg reform na lądzie stałym, zjednywa mi więcéj nowych przyjaciół, aniżeli ich przyjmować mogą bez popełnienia nietaktu. Położenie to daje mi rolę *pierwszego walecznika racyonalności* (nie znajduję innego wyrazu, któryby odpowiadał rzeczy); wynika ztąd fakt, jak sądzę, bez przykładu dotąd w żurnalach angielskich. Pierwszorzędne czynniki tego, co się nazywa opinią publiczną i tego, co na nią wpływa, wielkie codzienne pisma i wydawnictwa peryodyczne oddały mi się do dyspozycyi. Dość czytać je, aby stwierdzić w *Timesie*, nadewszystko zaś w *Morning Chronicle* zupełny zwrot w zapatrywaniu się na najważniejsze kwestye. Posyłam ci zeszyt *Quarterly Review*, najpoważniejszy kwartalnik, który zasługuje na miejsce we wszystkich bibliotekach. Znajdziesz tam dwa artykuły, jeden *Austria and Germany*, był pisany pod moim dyktatem; drugi, mówiący o sprawach włoskich, był pisany pod mojém natchnieniem. Będziesz się mógł przekonać, czytając te rzeczy, że prawda zaczyna tutaj robić postępy. *Spectateur* był próbą, którą

podjąłem w obec publiczności, lecz która nie miała przeznaczenia trwać dłużéj niż puszczona petarda, ponieważ dziennik, pisany w języku francuzkim, jest zbyt drogim“.

Ostatni ten argument odgrywa rolę w pobycie i w postanowieniach księcia, podczas jego pobytu angielskiego i wpływa na zmianę miejsca zamieszkania. Od dnia 17 września (1848) przenosi się z drogiego Londynu na wieś do Brighton, co zresztą pozostaje całkiem bez wpływu, tak na jego dotychczasowy sposób życia, jak na jego stosunki towarzyskie. Podobnie jak dotąd, utrzymuje Metternich związki swe z księciem Wellingtonem, z calą arystokracyą rodową i urzędową, z prasą angielską, z reprezentantami dyplomacyi europejskiéj, przedewszystkiém naturalnie austryackiéj; podobnie jak dotąd jest ze swego wygodnego, bezpiecznego „obserwatorium“ angielskiego spokojnym, choć uważnym widzem tragedyi europejskiéj, a jeżeli-by z owego czasu w zapiskach jego zasługiwało co na pewne zastanowienie, to chyba tylko dziwna nieobecność współczesnéj wojny węgierskiéj i włoskiéj, obok nieustannych gromów na Rzeczpospolitą francuzką i początki prezydentury Ludwika - Napoleona. Ciekawym i oryginalnym, do pewnego stopnia humorystycznym pojawem w annalach ówczesnéj odyssei Metternicha, pozostanie równoległa zależność jego własnych i osobistych poruszeń od rewolucyi i losów wielkiego rewolucyjnego ruchu europejskiego. Podobnie jak rewolucya przepędziła go aż za morze, jak go mimo wszelkiéj własnéj nieomylności politycznéj zmusiła do poszukania schronienia na gościnnéj ziemi angielskiéj, tak znów stają się pogrom i klęska rewolucyi dlań hasłem powolnego zbliżania się ku widowni dawnéj świetności, a na teraz przynajmniéj do powrotu na ląd stały europejski. Trzeba było stłumienia powstania węgierskiego, trzeba było kapitulacyi Wenecyi, trzeba było zgniecenia ruchu w Badeńskiém i w Palatynacie bawarskim, aby skłonić byłego kanclerza do powrotu na pobliski brzeg kontynentu. Jest nim Belgia, a w październiku 1849 r. widzimy Metternicha w Brukselli, pod opieką osobistą samego króla Leopolda.

Wielkiéj różnicy między londyńskim a brukselskim jego pobytem, pod względem towarzyskim, nie ma. Co tylko „ekonomicznego“ księcia cieszy, to, że w Brukselli „życie o połowę tańsze aniżeli w Londynie“. Zresztą nie zbywa księciu w stolicy Belgii na dostojnych wizytach, a między innemi spotykamy się tu często z osobą Thiersa. W traktowaniu *jego* osoby, panuje pewna różnica między księciem Metternichem a jego małżonką. Dla *niéj* nie pozostaje być Thiers wścibskim w wysokie towarzystwo *„roturierem“*, rewolucyjnym ministrem rewolucyjnego Ludwika-Filipa, kiedy *on* poczyna się

powoli godzić z talentem i zręcznością męża rewolucyi lipcowéj. Thiers nie przestaje wprawdzie i w *jego* oczach być parweniuszem, którego *ad usum delphini* jego *Historyi cesarstwa* można darzyć różnéj wartości informacyami. Nie najgorszą pomiędzy niemi jest dobrodusznie przez lokajstwo Thiersa przyjęta bajka, że dopiero wyniosłe zachowanie się Napoleona w obec Metternicha w Dreźnie miało spowodować przystęp Austryi do koalicyi, kiedy sam Metternich śmieje się w inném miejscu z łatwowierności francuzkiego pisarza i przyznaje, że już na kilka tygodni przedtém, akces Austryi do koalicyi był rzeczą zdecydowaną. Mimo to przecież, widzimy w niniejszym tomie ogromną różnicę usposobień księcia Metternicha na korzyść Thiersa, a teraz wypadało-by nam chyba tylko przypatrzéć się szczegółom *niezgody* obu małżonków w traktowaniu osoby p. Thiersa. Nie od rzeczy posłuchać, z jak arystokratyczną wyższością księżna ocenia niezręczności parweniuszowskie autora *Historyi Konsulatu i Cesarstwa.* „Mąż mój", pisze, „przepędził cały poranek 1 sierpnia (1850) z p. Thiersem, który zasięgał jego rady, choć późno nieco, w przedmiocie swéj *Historyi Konsulatu i Cesarstwa.* Książka ta zawiera już tyle błędów, że wszelkie rady zdają mi się zbyteczne. P. Thiers doznał na dworze nader uprzejmego przyjęcia. Dawano na jego cześć w Laeken wielki obiad, na który przyszedł za późno, a w ubiorze nie odpowiadającym wymaganéj formie. Miał krawatę czarną i szare pantaliony. Wszyscy byli zgorszeni tém wykroczeniem przeciw etykiecie. Mimo to przyjęła królowa jego ramię; traktowano z wyszukaną grzecznością, ponieważ jest stronnikiem księżnéj Orleańskiéj i hr. Paryża, gorliwie podtrzymywanych przez dwór belgijski. P. Thiers przyszedł do nas, na szczęście w towarzystwie p. Deschamps. Rozmowa była interesująca. Mój mąż mówił wiele o swych wspomnieniach z czasów Napoleona".

Kiedy w zapiskach i spostrzeżeniach księżnéj co do osoby Thiersa przebija tak niedwuznacznie niechęć i arystokratyczny niesmak z zetknięcia się z parweniuszem, spotykamy się przeciwnie ze strony księcia z sympatyczniejszemi nierównie ocenieniami tak pisarza, jak polityka i człowieka. Książe odzywa się w jednym ze swych listów w sposób następny o XV-tym tomie *Historyi Konsulatu i Cesarstwa*: „Ty, który niewątpliwie zwracasz uwagę na pracę pana Thiersa, oddasz jéj tę sprawiedliwość, że jest dziełem poważném, które (pominąwszy *gallikanizm*, nieodłączny naturalnie od narodowości autora, miarkowany przecież przezeń mocno) trzyma się *prawdy*, tego pierwszego warunku każdego historyka. Tom ten rozpoczyna się z rokiem 1813, a kończy się opisem bitwy pod Budyszynem. Obejmuje tedy epokę najważniejszą mego

życia publicznego, tę, w której się znalazłem obarczony podwójną odpowiedzialnością niezmiernéj wagi,—odpowiedzialnością ocalenia monarchii, któréj losy były mi powierzone w najbliższéj przyszłości, odpowiedzialnością daléj usłużenia równocześnie sprawie całéj Europy. Z niesłychaną trudnością podobnego zadania łączyła się inna trudność — rozporządzania tylko szczątkami potęgi austryackiéj, doprowadzonéj do najniższego stanu swoich zasobów przez dwadzieścia lat wojen źle prowadzonych, czego pokój z roku 1809 wykazał ostatnie konsekwencye. Kłopotem niemniéj wielkim dla gabinetu był nacisk, jaki się wykonywał z dwóch stron, ze strony zwyciężonego Napoleona i ze strony zwycięzkich mocarstw, na postanowienia Austryi, rozbrojonéj, a znajdującéj się tylko w stanie uzbrajania się, powołanéj przecież samą naturą rzeczy, bądź to ze względu na własny interes, bądź ze względu na położenie swe geograficzne, wstąpić w szranki, w otwierającéj się wkrótce kampanii rozpoczętego roku. Dodać należy do tych trudności kierownictwo całkiem rewolucyjne, jakiemu się poddał duch niemiecki narodowy, który pozostał nie zupełnie obcy naszym krajom, oddającym się przedewszystkiém uczuciu głębokiego znaczenia. Dodajmy jeszcze do tego zawikłanego położenia świeży mój wstęp do ministeryum, stosunkową młodość mego wieku w rządzie, którego nawykłości były stare, a łatwo pojąć, że tylko pomoc sumienia i uczucie obowiązku mogły mnie podtrzymywać. A zresztą, na cóż byłyby mi się mogły przydać wszelkie pierwiastki natury moralnéj, gdybym nie był posiadał zupełnéj i osobistéj ufności mojego monarchy? Obznajmiwszy cię w ten sposób z położeniem rzeczy najtrudniejszém, jakie którabądź faza historyi mogła zgotować czynności naczelnika gabinetu, powracam do tego, co uważam za rzecz ciekawą w dziele p. Thiersa. Nie w dziele to francuzkiém zaiste byłbym się spodziewał znaleść zgodne z prawdą sprawozdanie z biegu polityki austryackiéj w latach 1812 i 1813, a mniéj jeszcze pod piórem p. Thiersa, którego widziałem dwa razy tylko w bardzo krótkich spotkaniach, a którego stanowczym przeciwnikiem byłem w ciągu różnych jego ministerstw. W ostatnich latach zwracali się często poważni ludzie do mnie z zapytaniem: Czyż nie piszesz? Jednostajna odpowiedź moja była: „Wszystko, cobym mógł pisać, jest zebrane w archiwach, a rzeczą przyszłych historyków będzie w nich czerpać. Dzisiaj, mogę odesłać do XV tomu p. Thiersa tych, którzy-by się chcieli poinformować. Pozostaje mi teraz poczekać, co przyniesie XVI, który jest zapowiedziany na przyszły miesiąc czerwiec, a posiadam przecież dość cierpliwości“. Z pewnością sąd tak korzystny, jak równego autor nie doczekał się ze strony żadnego z licznych swych krytyków. Niepoprzestając zaś na nim, roz-

pisuje się Metternich nie tylko częstokroć w podobny, pełen uznania sposób, o dalszych tomach *Historyi Konsulatu i Cesarstwa*, ale powoli wychodzi u niego i osoba autora na powagę, a co więcéj może nadto, na „*sympatyą*“.

Nie chcąc w naszém sprawozdaniu przedłużać do zbytku tematu o Thiersie, pozwolimy sobie jeszcze tylko zamieścić w niém przytoczony przez Metternicha sąd jego o Ludwiku-Napoleonie: „Sąd, jaki p. Deschamps (mówca konserwatywny belgijski) wydaje o Ludwiku-Napoleonie, jest w zupełnéj zgodzie z wyobrażeniem, jakie sobie o nim sam utworzyłem, i jakie streszcza wybornie słowo pana Thiersa, które znajdziesz w liście p. Deschamps (słowo, którego nie znałem): Ludwik-Napoleon jest szaleńcem flegmatycznym, z wszystkiemi pozorami zdrowego rozsądku. „Dodając“, mówi Metternich daléj, „do tego rysu charakterystycznego, wyrażonego tak trafnie przez p. Thiersa, dane, które zawiera list p. Deschamps, co do wpływów działających w obecnéj chwili na *Napoleona dnia dzisiejszego*, dane, które uważam za całkiem zgodne z prawdą sytuacyi, nie pozostaje mi, jak się zdaje, nic do nauczenia się, prócz tego ku ocenieniu położenia rzeczy“. Ustęp ten Metternichowego zapisku, niechaj będzie równoczesną miarą jego usposobień dla Napoleona III. Cesarz francuzki nowego autoramentu jest dla Metternicha z najwstrętniejszych pojawów. Polityka jego zagraniczna, czy-to w obec Rosyi, czy w sprawie włoskiéj, jest mu podejrzaną, pełną niebezpieczeństw dla Europy i dla sprawy porządku tak, jak *on* ją pojmuje. Nie mniejszemi i nie innemi podejrzeniami przejmuje go polityka wewnętrzna Napoleona III; nawet cyfra III-a, przyjęta do jego imienia, gorszy byłego kanclerza Austryi i daje mu powód do długich argumentacyj nad bezsensownością podobnéj nazwy, w jaką się ku odegraniu cesarskiéj roli przybrał.

Tymczasem odgrywa się w Niemczech ostatni akt rewolucyi, przez zupełny pogrom wszelkich unitarnych aspiracyj, przez kapitulacyą Prus w obec Austryi w Ołomuńcu, przez restauracyą duńskich rządów w Holsztynie i Szlezwigu, niemieckiego „*Bundestagu*“ we Frankfurcie. Podobne objawy postępów reakcyi oddziaływają znów na osobiste stosunki, na brukselskie tusculum księcia-kanclerza, który w skutek tego nabiera odwagi stawiania dalszych kroków na kontynencie europejskim. W lecie roku 1851 opuszcza Bruksellę i przenosi się nareszcie do uroczego Johannisberga, z którego podobnie, jak i z innych dóbr kanclerskich, zdjęty nareszcie ciążący na nich sekwestr. Odtąd to rozpoczyna się w kolejach upadłego kanclerza ten sam prawie tryb życia, jakiemu mieliśmy już sposobność przypatrzéć się za dawniejszych lat jego, pod względem, rozumie

się *towarzyskim*. A więc nie zbywa sędziwemu księciu w jego zamku Johannisberskim na rojach znakomitych odwiedzin. Zawadza o Johannisberg, w wycieczce swéj nadreńskiéj, król pruski; znajdują się tu powoli najrozmaitsze znakomitości arystokracyi i dyplomacyi europejskiéj, czy-to księżna Cambridge, czy król hanowerski, czy minister bawarski von der Pfordten, czy minister austryacki Kübeck, czy wreszcie, by świat arystokratyczny i polityczny uzupełnić niezbędnym mu w dzisiejszym porządku rzeczy żywiołem wysoko-finansowym, bankier Anzelm Rothschild z Frankfurtu nad Menem. Naturalnie, co rzecz najważniejsza, nie dzierży już były kanclerz, jak dawniéj, *władzy*; po wypoczynku Johannisberskim nie czeka go już w Wiedniu ciężar, ale i zaszczyt bawienia się w rolę kierownika spraw europejskich. Rządy w Wiedniu pozostają naówczas w ręku księcia Feliksa Schwarcenberga, nie bez pewnéj dobrowolnéj rezygnacyi Metternicha. Metternich, pessymista coraz większy, w miarę postępującego wieku, nie jest przecież niezadowolniony ze swego następcy, a pessymizm jego nie sięga również dwóch jeszcze osobistości: ministra bawarskiego Pfordtena i reprezentanta Austryi przy *bundestagu* frankfurckim Kübecka. Zresztą niezadowolniony sędziwy ex-kanclerz z całego świata, ze wszystkich ludzi i ze wszystkich wypadków. Niekiedy poprawią mu humor rzeczy, jak konkordat między dworem Rzymskim a Austryą z r. 1855, jak mowa konserwatysty Donoso Cortes o kortezach hiszpańskich. Nie omieszkuje w takich razach sędziwy kanclerz wyrażać swego zadowolnienia w listach, bądź to do kardynała Rauschera, bądź do barona Hübnera.

Jakże rzadko jednakże wydarzają się mu sposobności podobnego zadowolnienia, jakże często przeciwnie powody do uczuć i usposobień przeciwnego rodzaju! Jego niezmienną *bête noire*, jakby Francuz powiedział, jest Napoleon III, ale czyż inni lepiéj wiele wychodzą? Niezadowolniony kanclerz z króla pruskiego i aspiracyj pruskich; nie tai nienawiści, połączonéj ze wzgardą dla Piemontu; niezadowolniony, mimo osobistych sympatyj, z postępowania cesarza Mikołaja w sprawie wschodniéj; niezadowolniony z Austryi, ani wtenczas, kiedy w przededniu mającéj wybuchnąć wojny, staje ona w roli sekundanta Rosyi przeciw Turcyi, ani wtedy, kiedy zmieniwszy w półtora roku późniéj charakter swéj polityki, pod naciskiem akcyi mocarstw zachodnich, zawiera z niemi pod dniem 2 grudnia 1854 r. tajny traktat przymierza i wkracza do księstw naddunajskich. W długim rzędzie żywiołów, dotkniętych podobnym pessymizmem księcia, czyż dziwić się do zbytku, jeżeli dotknięci, między innymi i Polacy, Galicya i Kraków? Wycieczki w jego zapiskach przeciw Polakom pojawiają się już poprzednio, podczas srożącéj się burzy lat 1848

i 1849. Pojawia się kilkakrotnie w Dzienniku księżnéj Melanii, mianowicie w postaci istnie Bankowego ducha, niejaki Burian, mający niby-to być Polakiem, nam osoba i wielkość najzupełniéj nieznana. Przytoczyliśmy wyżéj pessymistyczną wycieczkę kanclerza przeciw polskiemu balowi w Londynie, posłuchajmy teraz, w jaki sposób odzywa się, o nieokreślonym bliżéj przez się *„pamflecie polskim"*, w którym zaś *my* domyślamy się po prostu spóźnionych nieco żalów przeciw znanemu *Listowi do księcia Metternicha* margrabiego Wielopolskiego. „Poséłam Ci tutaj", pisze Metternich, pod dniem 16 kwietnia 1852 r., z Wiednia, „w załączeniu pamflet, który mi przysłano wczora, z Lipska pod opaską, pocztą. Rzecz cała nie ma innéj wartości, jak niedorzecznéj manifestacyi dawnego, a panoszącego się polonizmu. Rzuciłbym rzecz tę do kosza, gdybym nie miał do uczynienia kilku uwag nad formą, w jakiéj kwestya jest traktowana. X... był, jest i będzie, dopóki mu życia, zaprzysiężonym wrogiem Austryi. Nie wątpię więc o jego winie. Czego nie jestem pewnym, to zręczności, z jaką się odbywała procedura przeciw niemu, procedura, któréj biegu nie znam, lecz która już trwa od kilku miesięcy, kiedy publiczność nic więcéj nie wié, prócz faktu uwięzienia osobistości wiadoméj. Trzeba, aby procesy polityczne były prowadzone z jak największą, o ile możności, jawnością, bo w razie przeciwnym sprawiają rządom kłopot i obracają się na korzyść obwinionych. Teoryą tę podtrzymywałem nadaremno już od czasu pierwszych procesów włoskich w roku 1820. Okoliczność, że jéj *nie* zastosowano, wystawiała zawsze rząd cesarski, nadzwyczaj *dobry i łagodny*, na najnienawistniejsze potwarze, a przedstawiała krajowi zdrajców, jako godne współczucia ofiary tyranii. Przypuszczam, że mniemany list do cesarza: doszedł innych rąk, aniżeli moich. Co jest uderzającego w tym pamflecie, to miejsce jego ogłoszenia; autor nie wybrał go sobie zapewnie bez zamiaru". Widocznie, przypisuje tu Metternich autorstwo wiadomego listu uwięzionemu wówczas na zamku krakowskim Adamowi hr. Potockiemu. Co się zaś tyczy predykatów „dobroci i łagodności" udzielanych rządowi cesarskiemu przez kanclerza, z tak pewną czystego sumienia skwapliwością, niechaj mu odpowiadają Kufsteiny i Spilebergi, idealnéj prawdziwości świadectwo Silwia Pellica, *Pamiętniki Andryane'a*, kajdany Confalonierego, słynna amputacya Maroncellego, rzeź galicyjska.

Równocześnie niemal z tą wycieczką przeciw „pamfletowi polskiemu", znajdujemy w zapiskach kanclerskich, zupełnie w myśl tego, co dawniéj już napisał pod świeżém wrażeniem wypadków roku 1846, następne uwagi o Galicyi i Krakowie: „Co się tyczy w szczególności propozycyi, dotyczących rozmiarów i podziału krajów koro-

ny, mogę się ograniczyć na dwie krótkie uwagi. Wyznaję, że słysząc ją po raz pierwszy, nie mogłem sobie wytłómaczyć nazwy *Wielkiego Księstwa*, zastosowanego do małego obszaru krakowskiego, a jeszcze i dzisiaj znajduję się w tém samém położeniu. Galicya może być tylko podzieloną na Galicyą wschodnią i Galicyą zachodnią. Kraków może tylko tworzyć niezależny okrąg lub znaleść swe miejsce w Galicyi zachodniej, stanowisko, z którém się niezgadza nazwa „wielkiego księstwa“. Skoro ta nazwa będzie raz nadana, nie będzie mogła być cofniona. Jedyna rzecz możliwa będzie, aby na nią nie zważać. Moje zdanie co do podziału Galicyi—na dwa okręgi, jest dostatecznie uzasadnione w aktach roku 1846, a mam tém mniejszą potrzebę powracać do ówczesnych mych argumentów, że zamiary rządu zdają się być zgodne z mojemi pojęciami“.

W roku 1852 wraca nareszcie Metternich po czteroletniéj nieobecności, nie bez wzruszenia do Wiednia i osiada znów w pałacu swym na Rennwegu. Pobyt ten nie odznacza się żadną nadzwyczajnością; płynie spokojnie, wśród wygody, świetności towarzyskich stosunków, niekiedy konferencyj politycznych, a jedyną, bolesną tego spokoju przerwą jest zgon księżnéj Melanii w marcu 1854 roku. Odtąd, jeżeli-by co zapisać jeszcze z toczącego się powoli ku swemu kresowi żywota kanclerza, to stosunek jego do *trzech* owych, wspomnianych wyżéj, najważniejszych, współczesnych kwestyj, niemieckiéj, wschodniéj i włoskiéj. Siliiśmy się istotnie równie szczerze, ile gorliwie, aby w zapiskach, memoryałach, zwierzeniach czy listach byłego kanclerza z owéj epoki znaleść cokolwiekbądź, coby ocalało honor jego jasnowidzenia politycznego, coby naprowadzało na myśl, że umiał odgadnąć w jakiéjbądź postaci niedaleką przyszłość Niemiec. Daremna praca. Wśród powtarzającego się stereotypowo na każdéj stronicy frazesu *de la lutte engagée entre le mensonge et la vérité*, w której to walce *kłamstwo* reprezentują wszelkie jakiebądź nowe idee, kiedy *prawdę* przedstawia idea *jego* konserwatyzmu, szukamy nadaremno jasnowidzącego poglądu na przyszłość Niemiec, choć, jak zaraz zobaczymy niżéj, bardzo wiele o niéj mówi. W jednym ze swych memoryałów mówi nawet bezogródkowo „*de la chimère de l'unité allemande*“.

Jedno przecież co mu w kwestyi niemieckiéj jasném, to czynnik ambicyi pruskiéj, wyzyskującéj myśl unitaryzmu na własną korzyść. „Dzisiaj“, pisze Metternich roku 1849 w liście do Kübecka, „Prusy stawiają *państwo federacyjne* przeciw *federacyi państw*. Były-by uczciwszemi, gdyby powiedziały bez ogródki: Związek niemiecki przeżył się; składa się z dwóch wielkich państw i z nieskończoności małych państw. Między dwoma pierwszemi nie ma równości. Austrya

jest ciałem politycznem, usadowionem silnie w swych posiadłościach. Prusy są geograficznie źle sformowane; aby im było dobrze, trzeba, aby ich kraje nabrały zaokrąglenia. Ruch jest rezultatem potrzeby żywotnéj, która nie jest zadowolniona, kiedy spoczynek jest wynikiem powodzenia. Środek pogodzenia wszystkiego znajduje się w organizmie państwa sfederowanego, organizmie, który pozwala małym państwom znaleść pomoc i opiekę pod zasłoną wielkiego państwa, bez wyraźnego zaboru przezeń. Austrya nie może odegrać téj roli protektorki, przeszkadza jéj do tego natura rzeczy. Posiada podstawę dość szeroką, aby się utrzymać sama. Prusy nie mają téj podstawy; trzeba aby ją sobie zdobyły. Jeżeli mnie pozory nie mylą, myślę, że w Berlinie będą postępowali konsekwentnie naprzód w szkaradnym systemie, w jaki się król uwięził. Inni królowie, czy będą chcieli i czy będą mogli wytrwać w oporze, jaki im przepisuje uczucie osobistéj zachowawczości? Aby być urzeczywistnionym w całéj swéj rozciągłości, wymaga plan pruski zupełnego zapomnienia prawa i sumienia, a nawet niebezpieczeństw, które wypływają z tego przedsięwzięcia dla saméjże korony pruskiéj. Plan ten ma za przedmiot (to jest rzeczą widoczną) zaczepkę sił podrzędniejszych przeciw swobodzie postanowień sił możniejszych. Polega na jedności gabinetu pruskiego z naczelnikami stronnictw rewolucyjnych, stanowi więc monstrualność polityczną i moralną, pewne *vabanque* graczy, którzy nie porozumieli się co do celu, jakiego chcą osiągnąć, lecz którzy są zgodni co do środków, jakich użyć należy. W takiém położeniu rzeczy, zostaje mało miejsca do obrachunku. Wygrana i przegrana są rzeczą rzutu kości. Czyż rozumieją to w Berlinie? Pozwalam sobie o tém wątpić. Król (znam go zanadto dobrze, aby mieć pod tym względem najmniejszą wątpliwość) stworzył sobie legalną widownią idealną, widownią, którą faktycznie opuścił: egoizm właściwy krajowi, egoizm, który się posuwa aż do zaślepienia, nie uważa zupełnie na niebezpieczeństwa, jakie przedstawia dla Prus samych wprowadzenie w życie tego, co się nazywa systemem zaokrąglenia. Jest więc tutaj walka między czynnikami kierującemi, między czynnikami moralnemi i faktycznemi. Otóż, walki tego rodzaju wybuchają zawsze w przyszłości mniéj lub więcéj bliskiéj, chociażby nawet nie były dostrzegalnemi w pierwszych fazach przedsięwzięcia. Czyż król posunie się aż do użycia wyraźnéj siły przeciw królom, którzy mu będą stawiali opór? Nie przypuszczam, aby tego chciał kiedykolwiek. Czyż będzie mógł stawić czoło wpływowi, jaki szatańskie potęgi wywierają zawsze, skoro się je raz wywoła? Nie jestem kompetentnym, aby ten problem rozwiązać, a wyznaję, że nie znam takich, którzy-by się mogli jego

rozwiązania podjąć. W składzie Niemiec wszystkie żywioły, dobre, złe (a trudno mi odszukać zupełnie dobrych), są pomieszane w zupełnym chaosie, a wobec podobnéj sytuacyi rachunek przestaje być możliwym.

„Nie można pojąć Niemiec bez Austryi. Myśl absolutnéj jedności nie może być zastosowaną do Niemiec a jedynie myśl połączenia plemion składających Niemcy jest jedynie możliwą do przeprowadzenia w tym kraju. Skoro czynniki moralne mogą się przybrać w ciało tylko pod warunkiem, że będą posiłkowanemi przez czynniki materyalne, nie może być mowy o drogach prowadzących do rezultatów urojonych pośród jakiegoś ideału między położeniami nie dopuszczającemi kapitulacyi. Niechaj więc Austrya nie wyrzeka się swéj zasady *konfederacyjnéj* a jeżeli to rzeczą nieuniknioną, niechaj czeka na stanowisku swobodném, jaki będzie los chimerycznego państwa związkowego! Jakkolwiek niebezpieczną może być taka sytuacya, będzie silną, ponieważ jest prawą, a będzie wskutek tego tworzyła równowagę błędom, które spadną na rachunek bezkrólewia roku 1848.“

Szczęśliwe, ale nie świadczące o jasnowidzeniu politycznem byłego kanclerza uludy z roku 1849. Każe *czekać* Austryi, jak gdyby dobrowolne wypuszczenie z rąk *inicyatywy* w odpowiedniéj chwili, nie opłacało się zawsze tym, którzy się tego błędu dopuścili, polityczną klęską! Nie mniéj charakterystyczną dla ocenienia stosunków niemieckich jest rozmowa, jaką Metternich miał w Brukselli z królem bawarskim Maksymilianem w lipcu r. 1850. Rzuca ona zbyt charakterystyczne światło na usposobienia i stosunki, które, bądźmy przekonani, nie straciły i dzisiaj jeszcze swego znaczenia, abyśmy z niéj nie mieli przytoczyć co ważniejszych ustępów. Na zapytanie króla bawarskiego. „Co myślisz o położeniu Niemiec?“—odpowiada Metternich. „Po dokładném zbadaniu rzeczy, Niemcy są dzisiaj uwikłane w tę samę walkę, jaka je rozdziera od wieków. Ferment, który się nazywał dawniéj reformą, nazywa się dzisiaj rewolucyą. Położenie się poprawiło, ponieważ się wyjaśniło. Z reformy wyszły dwojakie Niemcy. Dawne pozostały pod opieką Austryi; na czele drugich stanęła potęga, która się zrodziła z reformy. Potęga ta nazywa się Prusami i nie wypiera się swego początku. Zrodzone z reformy, usiłują uzupełnić swą siłę w walkach obecnego czasu, postępując drogami rewolucyi. Austrya wierna warunkom swego bytu, broni związku państw, Prusy chcą państwa związkowego. Austrya zajmuje stanowisko, na którém prawa i obowiązki pozostają w równowadze a na tém stanowisku nie poszukuje dla siebie niczego, czegoby nie przyznawała drugim, w granicach prawa. Prusy chcą sobie

zdobyć, czego uzyskać nie mogą, kosztem innych. Od myśli państwa związkowego przeszły do pomysłu *zjednoczenia*, co pozornie jest rzeczą umiarkowańszą. Lecz nazwy nie zmieniają nic w gruncie rzeczy. Walka między rządami niemieckiemi toczy się: między obrońcami konfederacyi utworzonéj według zasad prawa narodów między monarchami panującymi i wolnemi miastami a ciałem obcém, jakie w ową konfederacyą chcą wprowadzić, za pomocą zaś którego niezależni członkowie związkowego ciała, wyszedłszy na członków *unii*, zajęliby stanowisko wassalów pruskich, coby naturalnie, z wyjątkiem Austryi, oddało wszystkie kraje niemieckie pod panowanie Prus, lub przynajmniéj złamało jednośč polityczną Niemiec.—Król oświadczył, iż się znajduje ze mną w zupełnéj zgodzie a następnie dodał. To téż nie widziałeś mnie wahającym się ani chwili co do drogi, jaką mam obrać. Sprzymierzyłem się z Austryą, zwycięźę z nią lub ulegnę. Lecz to zapewnienie nadaremne. Jakiż będzie koniec walki? Koniec walki, odparłem, jest, jakim koniec wszelkich walk; zapisany w księdze przeznaczenia. Czytać w téj księdze jestto zadawać sobie nadaremną pracę i paraliżować w ten sposób własne siły. Królowie, podobnie jak inni ludzie, mogą w walkach nieuniknionych, zająć tylko stanowisko silnéj podstawy. *Prawo* jedno tylko jest zdolném dostarczyć takiéj podstawy; obrońcy konfederacyi nie zajmują innego. Powiedz zresztą, N. Panie, że walka się toczy pozornie tylko między *konfederacyą* a *unią*; w rzeczywistości toczy się ona między *rewolucyą* a *zasadami zachowawczemi*. Jeżeliby trzeba dowodu téj prawdy, znalazłoby go się w fakcie, że z wyjątkiem stronnictwa czerwonego trzymającego się obecnie w ukryciu, umysły oddane rewolucyi oświadczają się za pomysłami pruskiemi, to jest za planami, które bez wątpienia z niewiadomością króla, wstrząsnęłyby mocno prawami jego korony, a których powodzenie miałoby w ostatecznym rezultacie pochłonięcie Prus przez Rzeczpospolitą niemiecką. Co się tyczy pomysłu jedności niemieckiéj pod naczelnikiem, którýby nosił nazwę Cesarza, utworzono już sobie o tém zdanie przez wyznania poczynione w kościele św. Pawła. Król Fryderyk Wilhelm nie popadł w sidła, jakie nań nastawiła konwencya niemiecka. Ale jest inny, który ich nie umiał uniknąć.

Król oświadczył, iż zupełnie podziela moje zdanie, ale zapytał mnie, jaki jest środek, aby się utrzymać na stanowisku, które uznaje jedynie za prawe.—Znam tylko odpowiedziałem na to, jeden sposób postępowania; stosuje się on równie do życia zwyczajnego, jak do życia politycznego; jest nim oparcie się na prawie i trzymanie się kierunku, jaki wskazuje. W obecnym przypadku nazywa się prawo *konfederacyą* (Deutscher Bund) a kierunek drogi jest wskazany przez

prawo związkowe. Prusy wyszły z kolei prawa a mają pretensyą nie działać mimo to przeciw idei, która przewodniczy konfederacyi. Jest rzeczą Prus dowieść, że mają racyą; nie jest rzeczą konfederacyi dowodzić, że się znajduje na stanowisku prawném.

Następnie zapytał mnie król, jak rozumiem reformy mające być wprowadzone, w organizacyą związkową. W *zasadzie* organizacyi związkowéj,—odpowiedziałem, nie może być mowy o reformie. Konfederacya może być tylko pojętą jako spoczywająca na zasadzie prawa monarchicznego jéj członków, równości ich praw i obowiązków wzajemnych. Wszelkie zaprzeczenie tych podstaw, zniszczyłoby konfederacyą. Idea jedności niemieckiéj może być tylko uważana jako warunkowa. Pod postacią ciała politycznego, jedność ta objawia się głośno wobec zagranicy; ze stanowiska organizacyi wewnętrznéj, odzyskują swe prawa kwestye kompetencyi części, z których się owa jedność polityczna składa. Co się tyczy tych kwestyj, pozwalam sobie prosić w. k. mość o pewne objaśnienie. Cóż rząd bawarski rozumie przez reprezentacyą ludową w ognisku centralném władzy związkowéj? Jeżeli się chce ustanowienia narodowego parlamentu niemieckiego, trzeba koniecznie, aby różne państwa niemieckie były gotowe do zrzeczenia się swych praw monarszych a przyznania tylko zgromadzeniom państw pojedyńczych praw należnych reprezentacyom prowincyonalnym, ponieważ parlamenty wychodzące z równéj władzy i przybrane w te same kompetencye nie mogą być wyższemi instancyami jedne dla drugich. Myśl reprezentacyi narodu niemieckiego, rzekł król przerywając mi, jest rzeczą pana von der Pfordten, nie pochodzi odemnie. Wiesz, jak jest trudném stanowisko niemieckich ministrów. Rozumieją, iż nie mogą spotykać się wrogo z pewnemi ideami, będącemi wynikiem ducha czasu. Widzę że myśl ta nie jest do urzeczywistnienia a spodziewam się, że moje poczucie osobiste będzie usprawiedliwione przez niemożność urzeczywistnienia podobnych pomysłów. W. k. mość słyszałaś, że wymówiłem słowo o „kwestyi kompetencyi.“ Idea kompetencyi stanowi klucz organizacyi związkowéj.

Uważam jako rzecz niemożliwą utworzenie reprezentacyi narodu niemieckiego w ognisku centralném samegoż związku. Przekonanie to utrwaliło się silnie w moim umyśle. Jeżeli jest łatwiéj pojąć w takiém ognisku reprezentacyą deputowanych ciał składających konfederacyą, jest rzeczą nie mniéj prawdziwą, że urzeczywistnienie téj myśli spotkałoby się z wielkiemi trudnościami, a stałoby się tylko możliwém pod warunkiem ścisłego odgraniczenia kompetencyi. Rozmowa ta z królem, któréj główne punkta wskazałem, pozostawiła mi wrażenie, że pan ten nie robi sobie iluzyi co do położenia rzeczy. Król widzi zupełnie jasno grę Prus, która podaje rękę partyom rewo-

ucyjnym. Zdaje mi się, że ma silną wolę zabezpieczenia swego własnego losu przez ścisłe połączenie się z Austryą.“

Otóż zwierzenia Metternicha o Niemczech z lat 1849 i 50. Niechaj, komu wola, doszukuje się w nich jasnowidzącego rzutu światła na przyszłość, przeczucia, że Niemcy doczekają się jedności dzisiejszego autoramentu, z wyrzuceniem poza swój obręb Austryi. Co rzeczą tylko pewną a i dzisiaj jeszcze prawdziwą, to że królowie, jak bawarski, nie idą chętnie pod jarzmo kaudyńskie Prus i że radziby sobie podobnie upokarzającéj przeprawy oszczędzić. Ale Metternich i tutaj, czém jest wszędzie i zawsze: doktrynerem konserwatyzmu, szczęśliwym z kolumbowego odkrycia, że Prusy reprezentują pod najrozmaitszemi maskami ideę rewolucyjną, kiedy Austrya zajmuje stanowisko prawa i zdrowéj zachowawczości. Odkrycie bardzo genialne, ale wymagające przetłómaczenia *na czyn*, którego wyczekiwanie i kwietyzm zastąpić nie mogły.

To samo dosłownie można powiedzieć o postawie upadłego kanclerza w *drugiéj* ze wspomnionych wyżéj kwestyj, *sprawie wschodniéj.* Wystawmy sobie prawdziwego męża stanu Austryi obdarzonego podobną, nadarzającą się jego krajowi sposobnością. Jakby taki Bismark np. był umiał skorzystać z podobnego zawiklania interesów w bezpośredniém sąsiedztwie! Metternich nie kieruje już wprawdzie wówczas nawą państwową Austryi, ale kto wie, czy właśnie dla tego, że swobodny w swém zdaniu, że wolny od wszelkiéj odpowiedzialności, nie mógłby wygodniéj i otwarciéj, niż kiedybądź indziéj, wypowiedzieć zdrową, dodatnią myśl polityczną,—*gdyby* ją miał rzeczywiście. Cóż natomiast znajdujemy we wszystkich jego korespondencyach, memoryałach, zapiskach, o ile dotyczą ówczesnego zawikłania wschodniego? Mniéj lub więcéj złośliwe uwagi o Napoleonie III; następnie długie traktaty „o walce dobrego ze złém,“ „kłamstwa z prawdą,“ pesymistyczne wyrzekania nad postawą cesarza Mikołaja zarówno jak Porty Ottomańskiéj, Anglii, jak Prus, gabinetu francuzkiego, jak samegoż wiedeńskiego Hofburgu. Nadaremno znów polujemy w całym tym lesie zawiłych memoryałów i homeryczną drzemką trącących depesz, na jakąbądź śmiałą i dodatnią myśl polityczną, któraby Austryi torowała drogi i wskazywała odpowiednią rolę. Co, powiedzielibyśmy, odzywa się naówczas w starcu z pewną siłą, namiętnością i młodzieńczą jakoby energią, to arystokratyczna wzgarda dla piemonckiego parweniuszostwa. Widok reprezentowanego przez Cavoura Piemontu na kongresie paryskim wyrzuca go z równowagi. Podupadły magnat pokazuje ze wzgardą drzwi chcącemu się z nim poufalić parweniuszowi. I otóż może powód przeszkadzający i w *trzeciéj* jeszcze ze wspomnianych wyżéj kwestyj,

w *kwestyi włoskiéj*, widziéć Metternichowi przyszłość z pewną pogodną jasnością. W przysłowie polityczne zamieniło się słynne owo orzeczenie księcia Metternicha o Włoszech, „jako pojęciu geograficznêm.“ Otóż, z czém się częstokroć i tutaj w zapiskach jego spotykamy. Metternich, czy to wśród wypadków lat 1848 i 49, czy podczas wojny wschodniéj i kongresu paryskiego z roku 1856, czy w przededniu wojny roku 1859—nie chce wierzyć ani w naród, ani w państwo, ani w jedność włoską a jedynemi jego dla Piemontu uczuciami, są, jak powiedzieliśmy co dopiero,—wzgarda i nienawiść. Gdy w roku 1848 mowa o pośrednictwie Anglii i Francyi na rzecz Włoch, mówi Metternich. „Inna zagadka, któréj rozwiązania mam prawo oczekiwać, jest wiedziéć, na rzecz jakiego to mocarstwa obróciłby się wyrok korzystny dla narodowości włoskiéj, zastosowany do kwestyi terytoryalnéj. Czyż miałoby to być dla *Włoch* (owego płodu imaginacyi, którego mimo wytrwałych poszukiwań nie mogłem jeszcze znaleść inaczéj, jak zapisanego na kartach geograficznych a który mi się usuwa, gdy go chcę dotknąć, jak coś, co nie ma ciała), czyż dla Austryi, dla Francyi, dla Anglii może? Nigdy półwysep włoski nie będzie politycznie *jednym*, ani nawet *zjednoczonym*, a jeżeli przez przypadek miałoby być inaczéj, sytuacya taka nie będzie miała innéj wartości, ani innéj trwałości od wartości i trwałości przeznaczonéj przypadkowościom. Włochy będą w ten sposób zawsze znajdowały się pod wpływem zagranicy, a w pierwszym rzędzie pod wpływem organizmów politycznych, które ze względu na swe położenie geograficzne, są najbliższymi sąsiadami.“

Cóż teraz, wobec podobnego orzeczenia i wobec dotykalnéj oczywistości, jaką przedstawia dzisiaj półwysep apeniński, mówić o jasnowidztwie wielkich mężów stanu, o nieomylności ich politycznego oka, o skarbach wiedzy i pewności politycznéj, zdobywających się tylko kosztem długiego doświadczenia! Co zaś najciekawsza, trzeba mu było jeszcze dożyć właśnie początku wypadków, mających tak gruntownie i doszczętnie przekreślić prawdę jego horoskopów politycznych! Pociechą przynajmniéj, kompensatą złego, na jakie się zanosi a jakiego sam już nie widziéć nie może, jest optymistyczne przekonanie, że Francya roku 1859 idzie ze wstrętem na walkę dla emancypacyi włoskiéj. Spotykamy się pod tym względem z ciekawym księcia pamiętnikiem, opisującym dwie rozmowy z wybitnemi w téj sprawie osobistościami: generałem hiszpańskim Narwaezem i słynnym Lessepsem. „Wczoraj,“ pisze Metternich pod dniem 21 lutego 1859, przyszedł mi powiedziéć kamerdyner, że marszałek Narwaez kazał mnie zapytać o godzinę, o któréj by się mógł przedstawić u mnie. Pojmiesz, że myślałem, iż sługa mój myli się w na-

zwisku. Dowiódł mi, że tak nie jest, ponieważ napisał to nazwisko pod dyktatem lokaja P. d'Ayallon (posła hiszpańskiego). Odpowiedziałem, że marszałek znajdzie mnie w domu o godzinie, która się *jemu* będzie zdawała stosowną. Marszałek przyszedł rzeczywiście przedstawić mi się o godzinie drugiéj, w towarzystwie pana d'Ayallon i innéj osoby, którą mi przedstawił jako ostatniego gubernatora wojennego Madrytu. Zabraliśmy miejsca a zawiązała się między nami następna rozmowa. Zapisuję dosłownie jéj początek. *Ja.* Cóż pana sprowadza do Wiednia i co mi daje w ten sposób zaszczyt zrobienia twéj osobistéj znajomości? *Narwaez.* Przybywam z Paryża a udaję się do Wenecyi, gdzie zamierzam spędzić koniec zimy. Obróciłem drogę na Wiedeń, jedynie, aby miéć sposobność spotkania się z Tobą. Odkąd przyszedłem na świat, słyszę ciągle Twoje nazwisko; pragnąłem zrobić twoją znajomość osobistą. *Ja.* Co mówisz, może być tylko pochlebném dla mnie; mogę cię zapewnić i z méj strony, że cieszę się ze zrobienia twojéj znajomości. Czy myślisz bawić tu czas dłuższy i przedstawić się cesarzowi? *Narwaez.* Nie pozostanę dłużéj nad dzień w Wiedniu. Być może, iż będę tu z powrotem po opuszczeniu Wenecyi. Nie mogę się jednakże przedstawić u dworu, nie zabrawszy się nawet z mundurem. Po tym początku, zwróciłem rozmowę na pożałowania godną sytuacyą dnia; i na wrażenia, pod któremi Paryż opuścił. Zakomunikować ci jego odpowiedź, jestto powtórzyć, co ja, ty i wszyscy wiemy i czujemy. Następne słowa jednakże przedstawiają interes szczególniejszy. Jest tylko jedno wołanie we Francyi, jest niém wołanie o *pokój.* Wołanie to pochodzi ze strony całéj ludności, wszystkich warstw, z których się ta ludność składa, wliczając w to armią. Jak to, zawołałem, wliczając w to i armią? Tak, armią, poczynając od marszałków, a z małemi wyjątkami, wszystkie prawie znakomitości wojskowe. Na zapytanie moje, które mu zadałem, czy był w specyalnych stosunkach z cesarzem, odpowiedział mi, że był u niego na posłuchaniu pożegnawczém przed odjazdem. A jakież wrażenie na ciebie zrobił. Człowieka, który czuje, że wszedł w cieśninę, z któréj nie ma wyjścia. Zrób z tém opowiadaniem, co ci się podoba; komunikuję ci je bez dodania własnego komentarza. Dzisiejszego poranku odwiedził mnie P. Lesseps w przejeździe do Egiptu. Po rozmowie o kanale Suezkim, który postępuje naprzód jakoby popychany samą naturą rzeczy, zażądałem odeń zdania sprawy z wrażeń swych o położeniu we Francyi. Słowa jego odpowiadają zupełnie temu, co już mówił marszałek Narwaez. Uważa położenie, w jakie się wplątał cesarz za nieskończenie niebezpieczne dla niego samego, a jako wynik obłędu jego zapatrywań. Co pozostanie rzeczą ciekawą, to ostatnie słowo naszéj rozmowy.

Przed wyjazdem z Paryża, miałem długą rozmowę z księciem Napoleonem, który, jak wiesz, jest gorliwym stronnikiem dzieła kanału, a którego obecna pozycya przywiązuje w szczególny sposób do tego przedsięwzięcia. Po wyczerpnieniu tego przedmiotu, rzekłem do księcia. Wszystko to dobrze i pięknie, ale wobec czego znajdujemy się postawionymi? Wobec wojny, czy wobec pokoju, które będą wywierały, tak pierwszy jak druga, bezpośredni wpływ na nasze przedsięwzięcie? Otóż, co książę mi odpowiedział. Nie mogę udzielić kategorycznéj odpowiedzi, lecz moje uczucie powiada mi, że czynniki pokoju odniosą górę nad widokami wojny. Zrób i z tém opowiadaniem, co ci się podoba, a ja dodam tylko jedno słowo. Lesseps powiedział mi. Cesarz zalecił mi trzymać się w sprawie kanału pańskich skazówek a powtórzył mi tę radę na samém pożegnaniu. Na to odpowiedziałem mu: Jeżeli cesarz Napoleon zwraca jakąbądź uwagę na moje wrażenia, żałuję, że się nie mogę znaleść w obliczu jego, jak się to działo w obec jego stryja. Gdy tenże po dziewięciogodzinnéj rozmowie, w któréj po trzy czy cztery razy podnosiłem rękawicę, jaką mi się zdawał rzucać, mi powiedział. Dobrze! Czy wiesz, co nastąpi? Austrya *nie* wypowie mi wojny.—Na to odpowiedziałem mu. N. Panie, jesteś zgubionym! Gdybym się dzisiaj znalazł w obliczu synowca, otóż, cobym mu powiedział. Położenie takie, jakie sprowadziłeś, *wywoła koniec*. Pierwszy wystrzał działowy, jaki z twéj strony nastąpi, stanie się hasłem odpowiedzi tysiącznych wystrzałów działowych. Sprawa zawiąże się, według mego wewnętrznego przekonania, między Francyą reprezentowaną obecnie przez ciebie a Europą. Europa będzie miała za sobą i przeciw sobie naturalny los wojen. Będzie miała za sobą widoki powodzenia, przeciw sobie widoki klęski. Ty zaś, wręcz przeciwnie, znajdujesz się w odmiennném położeniu; ty będziesz miał *przeciw* sobie *obie* kombinacye. Takie to położenie, jakie sobie stworzył synowiec Napoleona I. Czyż położenie to jest dla tego korzystniejsze dla Europy? Mogę temu z trudnością uwierzyć. Spodziewam się niezadługo być wystawionym na przyjemność rozmowy w ex-cesarzem Sulukiem! Świat, mój drogi hrabio, znajduje się w stanie szaleństwa. Pozostańmy rozsądnymi a będziemy nimi, stając na podstawie *zasad* głośno przyznanych!"

Wyborna zaiste, ale wątpimy bardzo, czy skuteczna pociecha, godna doprawdy doktrynerskiéj przeszłości austryackiego kanclerza! Powiedziéć sobie w lutym roku 1859, w samym nieledwie przededniu Magenty i Solferina, „że dobrze i rozsądnie oprzéć się na podstawie ogólnie uznanych zasad, a że stając na niéj, będziemy rozsądnymi," jest istotnie strusiem chowaniem głowy w piasek, zdawkowym ko-

munałem, na jaki szkoda doprawdy stanowiska, rozumu i doświadczenia człowieka, który, cokolwiekbądź przecież, przewodniczył przez kilkadziesiąt lat polityce pierwszorzędnego mocarstwa europejskiego. Ktoby chciał, niechaj w złowrogiéj przepowiedni rzuconéj w twarz Napoleona III, niechaj w owém ostrzeżeniu, przeczuwającém po Almie, Sebastopolu, Magencie i Solferinie—Froschweiler i Sedan, dopatruje się jasnowidzących połysków gasnącego księcia kanclerza. Oko to zaopatrzone, jakby się zdawać mogło w obecnym przypadku, tak dobrym wzrokiem na przedmioty dalszéj odległości, nie cieszyło się równym na rzeczy bliższe. Jakby przez ironią losu było jeszcze księciu kanclerzowi dano dożyć pierwszych salw owego gromu, który sobie zapowiadał odwrócić „rozsądkiem“ i silną postawą „na ogólnie uznanych zasadach,“ gromu, który zapowiadał wprowadzić w użycie to, co Metternich nazywał, pogardliwie „pojęciem geograficznćm,“ to, co według niego było „nigdy nie wykonalną mrzonką“. Dziwna, raz jeszcze powtarzamy, ironia losu. Ośmdziesięcio sześcioletni Metternich gaśnie powoli w Wiedniu, gdy synowie śpieszą na widownię walki we Włoszech, w otoczeniu córek i kilku co poufniejszych domowników. Dochodzi jeszcze jego przymierającego słuchu huk dział z pod Montabello i Magenty, zwiastujących swobodę i jedność włoską.

Cóżby nam w niniejszém sprawozdaniu wypadło jeszcze dopowiedzieć z tego długiego sędziwego żywota? Chyba otóż ostatnie chwile jego według opowiadania naocznego świadka, hrabiego Hübnera, ówczesnego reprezentanta Austryi na dworze Napoleona III, „Dnia 15 maja,“ mówi hr. Hübner w liście do księcia Ryszarda Metternicha, „obchodził (Metternich) swą ośmdziesięciosześcieioletnią rocznicę urodzin. Przy stole był wesołym i mówił dużo, ale byliśmy przykro uderzeni zmianą, jaka się dawała dostrzegać w jego osobie. Dnia 25 maja (1859) miałem odjeżdżać do Neapolu. Przepędziłem z nim jeszcze cały poranek. Zrobiliśmy małą przechadzkę po ogrodzie; opierał się na mojém ramieniu. Zastanowiło mnie, że ciężar tak lekki. Następnie towarzyszyłem mu do jego gabinetu. Rozmowa była żywa i dotykająca ważnych przedmiotów. Gdy go opuszczałem, powiedział mi po kilka razy i z przyciskiem. Byłem opoką porządku. Zamknąłem już drzwi, gdy je otworzyłem znów z wolna, aby raz jeszcze przypatrzeć się wielkiemu mężowi stanu. Siedział przy swojém biurku, z piórem w ręku, wzrok zamyślony i jakoby zagłębiony w przestrzeń, prosty, spokojny, majestatyczny, taki, jakim go dawniéj widywałem tak często w kancelaryi państwa w całym blasku potęgi. Cień, który poprzedza śmierć a który zdawało mi się dostrzegać w ciągu ostatnich dni, zniknął z jego twarzy. Pro-

mień słońca oświecał komnatę a blask światła przemieniał jego szlachetne rysy. Po upływie kilku chwil spostrzegł mnie podedrzwiami, zwrócił na mnie długie spojrzenie pełne głębokiéj życzliwości, następnie odwrócił się, mówiąc półgłosem. „Opoką porządku.“

W kilka tygodni późniéj, w Castellamare, odebrałem wiadomość o jego śmierci. Wkrótce po moim odjeździe, dała się uczuć reakcya. Wzruszenie, ciągłe wytężenie umysłu, chęć pracy dla ojczyzny jeszcze w ciągu ostatnich dni, boleść, jaką mu sprawiły nieszczęsne początki kampanii,—wszystko to wycieńczyło resztę sił jego. Dnia 10 czerwca kazał się jeszcze wozić po ogrodzie w krześle na kółkach. Przyjaciel jego młodości, dawny ambasador w Londynie, książę Paweł Esterhazy, szedł przy jego boku. Dnia następnego rano, kiedy się ubierał, miał krótkie zatamowanie oddechu. Doktór Jaeger, który go leczył od długich lat, położył go do łóżka. Członkowie rodziny bawiący w Wiedniu, córki jego, księżniczka Herminia, hr. Melania Zichy i jéj małżonek; wnuczka jego i synowa, księżna Paulina Metternich, jego najmłodszy syn Lotar, do których doliczyć należy kilku starych przyjaciół, dawnego prezesa niemieckiego *Bundestagu* hr. Münch, księcia Pawła Esterhazego, barona Josikę, niegdyś kanclerza dworu w Siedmiogrodzie, P. Pilata i hr. Rechberga, świeżo zamianowanego ministrem spraw zagranicznych,—otaczali jego łoże. Przyjął sakramenta; nie mogąc już mówić, błogosławił członków rodziny znakami, które się odnosiły bez wątpienia do synów Ryszarda i Pawła, którzy byli na widowni wojny i zgasnął powoli, bez konania, dnia 11 czerwca 1859, około południa.“ Otóż melancholijny, spokojny koniec żywota, który świecił tak długim i szerokim udziałem w losach Europy.

Widok zgonu, zwłaszcza zgonu starca gasnącego w przeświadczeniu *tylko* spełnionego wiernie przez cały czas swego trwania obowiązku, nie pozostaje bez pewnego łagodzącego, kojącego wszelkie dawniejsze niechęci i żale wrażenia, choćby najnieubłagańszych przeciwników. Wywierałby nie inne z pewnością i na *nas*, gdyby nawet w ostatnim niemal momencie nie psuła i nie zakłócała owéj poważnéj harmonii dziwna ułuda miłości własnéj. *„J'ai été un rocher de l'ordre,“*—oto świadectwo, które sobie były kanclerz Austryi w przededniu zgonu sam wystawia. Czy miał do tego powód i prawo, niechaj na *to* pytanie odpowiadają całe jego pamiętniki, niechaj, co ważniejsza, odpowiada cały ujemny rezultat jego politycznéj akcyi.

Kazimierz Jarochowski.

SYSTEMAT NILU

I JEGO ZNACZENIE.

Któż, co w latach młodzieńczych lubił czytywać opisy dalekich krain i przenosić się do nich na skrzydlach fantazyi, nie zatrzymał się dłużéj w czarownéj krainie Faraonów, nie płynął w lekkiéj łodzi po tajemniczych falach téj świętéj rzeki, któréj początku nawet bogowie nie znali. Kto nie odpoczywał pod cieniem uroczych palm, co wznoszą dumnie swe królewskie głowy na wiecznie pogodném lazurze nieba po nad żary i piaski pustyni. Kto nie stawał na szczycie piramid, tych niezniszczalnych pomników wielkiéj, zamarłéj przeszłości, tych najwyższych prawie dzieł człowieka, z których „czterdzieści wieków spogląda", które same jedne z całego stworzenia „nie lękają się czasu". Kto z pod wiekowego piasku pustyni nie odgrzebywał starożytnych posągów, nie wsłuchiwał się w tajemnicze dźwięki Memnona, witającego w blaskach poranku piękną jutrzenkę. Kto nie zachwycał się klasycznym profilem Ramzesa Miamuna, tego słonecznego potomka, tego ideału władzy, potęgi i królewskiego blasku!....

Ale w latach późniejszych, gdy młodzieńcza fantazya ustępuje miejsca rozwadze, oko człowieka dojrzałego, oko badacza dostrzega wyraźniej po za barwną zasłoną poezyi przedmioty świata realnego: po za olśniewającym przepychem Faraonów — nędzę niewolników, co rękami swemi wznosili olbrzymie budowle dla kaprysu władców, po za wszystkiemi tęczowemi barwami wschodu—bydlęcy żywot Fellahów, co wylewają krwawy pot na nie swoje pola dla napełnienia złotem kasy kedywa i jego chciwych urzędników, pośród łodzi mknących lekko po falach Nilu—korsarskie statki obrzydłych handlarzy „żywego hebanu," co niosą pożogę i zdziczenie głęboko w serce „tajemniczego kontynentu".

Lecz czyż po zniknięciu świetnych tkanek starodawnéj poezyi, poezyi gwałtu i miecza, oko badacza nie dojrzy dziś nic, prócz tych smutnych i wstrętnych objawów, żadnego światełka, co by zastąpiło utracony bezpowrotnie urok dawnéj poezyi, co by było zapowiedzią lepszéj, naprawdę jasnéj przyszłości? Przeciwnie: po nad tym światem gwałtu i nędzy ludzkiéj, oko badacza dojrzy światło wyższéj nowoczesnéj poezyi, poezyi poświęcenia dla wiedzy, dążenia do niéj z wolą niezłomną, choć-by kosztem osobistego szczęścia, choć-by nawet kosztem życia! A prócz poezyi, oko badacza dojrzy coś więcéj, dojrzy często żelazną matematyczną zależność między geograficznemi warunkami krainy i dziejową działalnością jéj mieszkańców, a poznanie praw téj zależności sprawi mu nie mniejszą roskosz, jak poetyczne młodzieńcze zachwyty.

Odwiecznego geograficznego zadania: „caput Nili quaerere“, nie rozwiązał świat starożytny i średniowieczny. Świat gwałtu i ucisku, świat religijnego fanatyzmu nie zdobywał się na poświęcenia dla czystych naukowych zadań; dopiero w naszych czasach, gdy bohaterstwo miecza i ucisku, lub męczeństwo dla złudzeń, ustąpiło miejsca bohaterstwu i poświęceniu dla nauki, trudność zadania źródeł nilowych pękła przed niezłomną wolą nowoczesnych bohaterów.

Jak niegdyś wiedzione chimerą lub żądzą łupów szły tłumy krzyżowców do ziemi świętéj, tak obecnie żądzą wiedzy trawieni bohaterowie nowi idą wgłąb' Afryki, by w straszliwych zapasach z tym nowym Sfinksem wydzierać mu tajemnice jedną po drugiéj. Dzięki im ląd Afrykański wynurza się coraz wyraźniéj z kryjącéj go wiekowéj pomroki. Dzięki im wiemy obecnie, że na wschodniéj krawędzi centralnéj Afryki, po obu stronach równika, między kotliną, odkrytéj przez Stanleya Lualaby-Kongo, na zachodzie i wybrzeżem łukowatéj zatoki Zanzibarskiéj na wschodzie, od doliny Zambezi na południu, do morza Czerwonego (Abisynia) na północy, rozciąga się potężna wyżyna, z górami sięgającemi nawet w téj gorącéj strefie do krainy wiecznego śniegu; zagłębienia śród téj wyżyny zalały liczne i obszerne jeziora, z któremi jedno tylko amerykańskie „morze wody słodkiéj“ iść może w zawody.

Naczelne miejsce w téj krainie jezior zajmuje jezioro Ukerewe albo Victorya Nyanza, odkryte w r. 1858 przez Speka, opłynięte i zbadane w r. 1875 przez słynnego Stanleya. Obszarem przenosi ono blisko pięć razy Ładogę i dorównywa amerykańskiemu jezioru Wyższemu. Trójkątne jego zwierciadło na 1,200 metr. nad poziom morza wzniesione, wierzchołkiem zwraca się ku południowi, a północną podstawą opiera o równik; jest to źródłowe jezioro Nilu, owe odwieczne geograficzne *desideratum*. Z zachodu, południa

i wschodu, otaczają je wieńcem wysokie góry; między ostatniemi wznoszą się dwa olbrzymy afrykańskiego lądu: Kenia i Kilimandżaro, wygasłe wulkany, uwieńczone wiecznemi śniegami. Z gór, okalających jezioro, spływają ku niemu liczne strumienie, zasilające je swemi wodami; pośród tych strumieni, trzy mogą rościć pretensyę do godności rzeki źródłowéj: Kagera z zachodu, Szimju-Mwaru z południa, Ruwana ze wschodu (1). Pierwsza, zbadana przez Stanleya, uważana przez niego za główną rzekę źródłową, przepływa kilkanaście jezior, wśród bujnéj roślinności wodnéj (papyrus) i przynosi jezioru Ukerewe największą, jak się zdaje, obfitość wód. Szimju i Ruwana są mniéj znane, ale najdłuższa ze wszystkich trzech jest Szimju, przytém zachowuje ona najwierniéj kierunek rzeki głównéj, a źródła jéj na wysokości blisko 1,500 metr. stanowią najbardziéj na południe wysunięty punkt całego nilowego systematu ($5\frac{1}{2}^0$ szer. pd.). Szimju po przeszło osiemdziesięciomilowym biegu wpada do południowego rogu jeziora, zatoki Speka.

Wielki rezerwoar nilowy, zbierający te wszystkie wody, jezioro Ukerewe jest największém słodkowodném jeziorem Afryki, posiada błękitną barwę wód i brzegi po większéj części wyniosłe, a na nich liczne wsie toną wśród zieleni bananowych gajów. Wzdłuż północnych wybrzeży około Rubagi, rezydencyi króla Mtesy, władcy krainy Uganda, którego flota panuje na jeziorze i który tak gościnnie przyjmował Stanleya, ciągnie się gęsty las trzcinowy. Liczne wyspy jeziora pokryte bujną roślinnością zamieszkuje ludność, która tu znalazła schronienie przed napadami wojowniczych plemion. Stanley podczas swéj żeglugi po tém jeziorze miał wiele do walczenia z korsarzami, hipopotamami i burzami, ale przyznaje, że pod względem krajobrazowego wdzięku jezioro Ukerewe jest perłą lądu afrykańskiego (2). Olbrzymia masa wód Nyanzy znajduje odpływ na północnym brzegu, za pośrednictwem rzeki Victorya Nil, płynącéj ku północo-zachodowi; lecz niestety zaraz po wyjściu z jeziora rzeka ta, torując sobie łożysko przez zagradzający jéj drogę skalisty wał, tworzy wodospady Ripona. Poniżéj wodospadów znajdują się jeszcze prądy, a daléj rzeka płynie już w nizkich brzegach, zarosłych papyrusem i trzciną i w czasie wysokiego stanu wód zalewa znaczne obszary; wtedy z nieprzejrzanéj przestrzeni wodnéj sterczą tylko chaty mieszkańców na pagórkach i olbrzymie kopce termitów. Ta część Nilu zwana Sommerset Nil przepływa dwa pomniejsze jeziora i jest żeglowna; dopiero poniżéj wielkiego kolana ku zacho-

---

(1) Ob. J. Chavanne. Afrikas Ströme und Flüsse. Wien, 1883. Str. 25 i nast.

(2) Ob. Stanley. A travers le continent mystérieux I.

dowi, około 30° dług. wsch. od Paryża, rzeka, zstępując z wyżyny Unioro na niższy taras jeziora Mwutan (Albert Nyanza), toruje sobie znów przejście przez granitowe skały i tworzy liczne wodospady, z których największy Murchisona (36 metr. wysok.). Po obu stronach tego wodospadu wznoszą się do wysokości 90 metr. skaliste brzegi, pokryte najbujniejszą roślinnością zwrotnikową, a po za niemi rozciągają się nieprzejrzane stepy, poprzerzynane tu i owdzie lasami; ten krajobraz, pełen wdzięku, odtworzył w swym opisie Baker odkrywca wodospadu. Poniżéj uspokojona rzeka staje się znów żeglowna i wlewa się do jeziora Mwutan.

Drugi rezerwoar nilowy, jezioro Mwutan, zwane Albert Nyanza, przez odkrywcę swego Bakera, znacznie mniejsze od poprzedniego (trzy razy mniejsze od Ładogi), leży na drugim tarasie wyżyny, na wysokości 700 metr., wśród stromych brzegów skalistych (wyjąwszy północne), z których staczają się ku jezioru wspaniałe wodospady. Sommerset Nil przepływa to jezioro tylko po linii stycznéj do północnego skraju.

Po wyjściu z jeziora, rzeka płynie daléj, w głównym północnym kierunku, pośród gór skalistych i z tego powodu otrzymała miano „rzeki górskiéj“ (Bahrel Gebel); poniżéj wojskowéj stacyi egipskiéj Dufile znów przerzyna się kataraktami, tamującemi żeglugę, na niższy stopień i tu pod Lado (5° szer. pn.) stolicy egipskiéj prowincyi ekwatoryalnéj, traci charakter rzeki górskiéj. Scenerya rzeki między Dufile i Lado jest miejscami niezwykle wspaniała. W głęboko wyżłobioném łożysku szumi błękitna rzeka w niezliczonych małych kaskadach i prądach. Na prawym brzegu, wzgórza podnoszą się zwolna do bujnie zalesionych gór, podczas gdy na lewym wzgórza przeplatają się z okolicami parkowemi, żółtawemi płatami piasku i chaotycznie nagromadzonemi głazami; małe lesiste wysepki nadają téż rzece wiele wdzięku. Przed Lado Nil przepływa około zwalisk dawnéj misyi katolickiéj Gondokoro, która odegrała ważną rolę w historyi zbadania Afryki, albowiem tu był koniec żeglugi w górę rzeki i punkt wyjścia wypraw lądowych wgłąb' kraju; obecnie Gondokoro upadło w skutek zmiany nilowego ramienia.

Na północ od Lado Bahrel Gebel traci charakter rzeki górskiéj, zachowując północny kierunek i wstępuje na alluwialną, błotnistą równinę wschodniego Sudanu (jednak jeszcze na 460 metr. wysok.). Rzeka toczy się tu powoli, w licznych zakrętach, dzieli się na odnogi, tworząc liczne wyspy i mielizny i dosięga znacznéj szerokości. W téj tylko części swego biegu systemat Nilu posiada gęstą sieć dopływów, tak z lewéj, jak i prawéj strony; niedawno zmarły podróżnik austryacki Marno, badacz krain nilowych, który padł ofiarą swe-

go zapału naukowego, w następujący sposób charakteryzuje tę część nilowego dorzecza, „w przeciwieństwie do rzek wschodniéj części nilowego systematu, to jest do wypływających z górskiéj krainy Abisynii, lewe dopływy ekwatoryalnego Nilu posiadają krótki bieg górny, a długi dolny z mało wybitnemi łożyskami. Brzegi, gdzie o nich wogóle może być mowa, rozpłaszczają się i spływają z sąsiednią równiną, która leży na jednym z nimi poziomie, przedstawia, mniéj więcéj znaczny obszar zalewu; to stanowi dogodny warunek do osadzania mułu, przynoszonego przez rzeki z gór. Ztąd powstają zmiany w kierunku rzek, wznoszenie łożysk, zmniejszenia spadków i zniwelowanie całéj krainy — czynniki, które, działając bezustanku przez setki i tysiące lat, muszą zmieniać ukształtowanie całéj krainy". Te warunki sprzyjają podziałowi rzeki na ramiona i tworzeniu się wysp; z licznych ramion téj części biegu najznaczniejsze zowie się Bahrel Seraf. Ramię to oddziela się na prawo od głównéj rzeki nieco, na prz. 7° szer., a łączy się znowu poniżéj ujścia Bahrel Gazalu i zwrotu rzeki głównéj ku wschodowi (pod 9½° szer.). Utworzona tym sposobem między Bahrel Gebelem i Serafem deltowata wyspa, dosięga przeszło 10 mil szerok. i blisko 30 mil długości. To jest właściwa bagnista kraina górnego Nilu; dotąd téż tylko dosięgnęła wyprawa rzymska, za cesarza Nerona (60 r. po Chr.). Na téj przestrzeni, tak rzeka główna, jak i Seraf, rozlewają szeroko i tworzą liczne kanały, łachy, jeziora i bagna. Te boczne kanały dają nieraz jedyną możność obejścia głównego koryta, zapchanego często roślinnemi tamami. Zabagnienie, tworzenie się kanałów i w ogóle stagnacya wód tutejszych, zależy téż, w znacznéj części, od bujnego rozwoju pływającéj roślinności wodnéj, jako téż papyrusów i ambaczu, które wstrzymują bieg wody i sprzyjają tworzeniu się osadów. W czasie wysokiego stanu wód odrywają się nieraz wielkie masy pływającéj roślinności i unoszone prądem, gromadzą się w miejscach węższych i czasem zupełnie zagradzają łożysko rzeki, stawiając takie tamy żegludze, jak wieczne lody dla żeglarzy polarnych. Słaby prąd wody nie jest w stanie usunąć tych przeszkód, które potęgują się coraz nowemi, nadpływającemi masami traw. Woda, wznosząc się po za taką tamą, wzmożonem ciśnieniem wpycha nowo nadpływające masy pod poprzednie, tak, iż rzeka nie tylko w całéj swéj szerokości, ale i w całéj głębokości zapełnia się roślinnemi masami. Tym sposobem powstaje w końcu niepokonana dla statków grobla roślinna, zwana w języku miejscowym „sett". Te tamy są tak zbite, mocne i elastyczne, że pędzący parowiec, który do połowy zagłąbia się w nie aż po koła, odskakuje następnie, jakby od elastycznéj poduszki. W niektórych latach tamy te dosięgają tak znacznych rozmiarów,

iż rzeka przy najwyższym stanie wody nie jest w możności ich usunąć i trzeba do tego pomocy człowieka. Między innemi, w latach od 1878—1880 tamy roślinne przerwały zupełnie żeglugę na Bahrel Gebelu, między 7° a 9° szer. i dopiero usiłowaniom podróżnika Marno udało się znów otworzyć rzekę dla żeglugi.

Przy końcu północnego biegu Bahrel Gebelu (pod 9½° szer.) obfite wody Bahrel Gasalu uderzają z lewej strony, pod kątem prostym, w prąd rzeki głównéj i ztąd tworzy się tu jeziorowaty rozlew Mekren el Bohur (jezioro No na dawnych mapach) pokryty pływającemi wyspami roślinnemi, powiększający się znacznie w czasie deszczów i zabagniający okolice. Wody rzeki głównéj, ulegając parciu wód dopływu, zwracają się na chwilę w jego kierunku, to jest ku wschodowi wzdłuż 9½° szer. i przyjmują nazwę Bahr el Abiadu („rzeka biała“). Brzegi rzeki nikną tu dla oka, wśród wysokiéj trawy i dopiero w odległości 2—3 klm. po obu stronach szeregi drzew palmowych (deleb, dum) i akacyowych, oznaczają granice rozlewu. Wkrótce po przyjęciu z prawéj Sobatu, którego ujście leży na jednéj szerokości geograficznéj z ujściem Gasalu, rzeka główna zwraca się znów ku północy i płynąc daléj aż do Chartumu, jak wprzód przez kraj płaski i błotnisty, rozszerza się znacznie (do 6,400 metr.) i tworzy liczne wyspy Szilluków. Szyllukowie są ludem po części pasterskim, po części rybackim, który uwija się po falach Nilu, na swych maleńkich i lekkich łodziach z wodnéj rośliny ambacz. Łodzie te są tak lekkie, że, jak twierdzi Schweinfurth, jeden człowiek może trzy łodzie wziąść na plecy, choć jedna łódź może unieść trzech ludzi! Szylluk po przebyciu pewnéj części drogi wyciąga łódź na brzeg, bierze ją na ramie „jak hoplita swą tarczę“ i przenosi napowrót do domu. Szyllukowie odznaczają się duchem wojowniczym, dawniéj zajmowali się korsarstwem, napadając na statki kupców chartumskich z kością słoniową; w odwet za to, załogi tych statków rabują Szyllukom ich bydło. Po prawéj stronie rzeki rozciągają się tu obszerne lasy akacyowe, dostarczające gumy kupcom chartumskim; między temi akacyami, szczególniéj zasługuje na uwagę A. fistula, zwana tak przez Schweinfurtha od jéj arabskiéj nazwy *ssofar*, co znaczy flet, albo fujarka. Białe jak kość słoniowa ciernie téj akacyi, są siedliskiem pewnego rodzaju poczwarki i wskutek tego nabrzmiewają przy nasadzie w wielkie banie. Gdy następnie owad wydostanie się przez okrągły otwór, tworzy się pusta przestrzeń dla rezonansu i pod wpływem wiatru wydaje tony fletu. W zimie, po opadnięciu liści, taki las akacyowy, z kredowo-białemi konarami robi wrażenie tłumu upiorów, a świst i jęk jakby tysiąca głosów podnosi jeszcze bardziéj to osobliwe wrażenie.

Tylko w téj środkowéj części swego biegu Nil, jakeśmy powiedzieli, posiada bogaty rozwój dopływów (co zależy od ukształtowania dorzecza i rozkładu opadów atmosferycznych), tak, iż da się przyrównać do smukłego pnia, który tylko w połowie swéj wysokości posiada pęczkowate rozgałęzienia obustronne, lecz nie przeciwległe. Zachodni z tych pęczków stanowi sieć rzek spływających z północno-równikowego działu wodnego (Uelle-Kongo) i łączących się w jedną rzekę Bahr el Gasel, która przewyższa rzekę główną obfitością wód. Drugi, wschodni, nieco poniżéj leżący pęczek dopływów, z których najznaczniejszy Bahrel Asrak („rzeka niebieska“), otrzymuje rzeka główna z Abisynii. Oba te systemata: Gasalu i Asraku mogą być uważane za drugorzędne źródłowe rzeki Nilu.

Zachodni pęczek dopływów, rozwijający się nakształt wachlarza, jest pod względem hydrograficznym szczególniéj interesujący. Dział wodny, z którego te rzeki spływają, ma kierunek z południowschodu na północo-zachód, ogólny zaś kierunek całéj siatki wodnéj jest z południo-zachodu na północo-wschód; ale w miarę oddalania się na zachód od Bahr el Gebelu, rzeki zachodniego pęczka, okazują coraz wyraźniéj dążność do zboczenia ku wschodowi, tak, iż nakoniec rzeka Bahr el Arab, albo el Homr, ma czysto wschodni kierunek i w dalszym ciągu przyjmuje nazwę Bahr el Gazalu. Z kierunku działu wodnego wynika, że im daléj na zachód, tym rzeki te mają krótszy rozwój; z równomiernego zaś, północo-wschodniego pochylenia się tego działu, nakształt jednéj tafli, wynika zadziwiający paralelizm téj siatki dopływów, tak, iż całe dorzecze przedstawia się pokrajanym w wązkie i długie parcelle (podobnie jak na górnym biegu lewych dopływów średniéj Kongo). Dopływy te w górnym biegu, w pobliżu działu wodnego żłobią sobie głębokie łożyska i wrzynają się aż w skalisty podkład. W tych głębokich dolinach, wzdłuż rzek, ciągną się wysokie i gęste lasy „galeryowe“: rzeki płyną tu wśród nieprzerwanych, gęstych szpalerów, a nieraz nawet pod zieloném sklepieniem, jakby w tunelach. We wnętrzu tych lasów nadbrzeżnych, pnie drzew, niby olbrzymie kolumnady świątyń egipskich, wspierają wśród wiecznego cienia zielone sklepienia. Tajemniczą ciszę tych świątyń natury przerywa szmer sączących się niezliczonych źródeł i strumieni. Z zewnątrz widziane, lasy te przedstawiają się jako nieprzerwana ściana zieleni. Wysokość tych kolumn z wnętrza dosięga 100 stóp, ale z zewnątrz nie przedstawiają się one tak imponująco, gdyż wskutek zagłębienia rzecznych dolin nieraz tylko połowa téj wysokości sterczy nad powierzchnią okolicznego kraju; a czasem nawet cała taka „galerya“ kryje się wgłębi rzecznéj

doliny (1). Wynioślejsze międzyrzecza wązkie i długie przedstawiają stepowy charakter i obfitują w żelazo darniowe; to też u ludów zamieszkujących ten kraj (Njam Njam, Bongo, Djur) rozwinął się znacznie przemysł kowalski, a ostrza lanc służą tu za drobnę monetę. Z pośród tych stepów wyskakują tu i owdzie niby wyspy, skały gnejsowe i granitowe o ścianach stromych i grzbietach płaskich; na nich krajowcy budują swe wsie warowne. Wiele z tych wsi pozdobywali chartumscy handlarze kością słoniową, na czele swych nubijskich band i założyli na tych skałach jak również nad brodami rzecznemi, w miejscach przeprawy, warowne osady zwane seribami, służące za składy kości słoniowéj i różnych zapasów. Seriby te przypominają ostrogi kozackie w epoce podboju Syberyi lub forty handlarzy futer w północnéj Ameryce brytańskiéj.

Rzeki systematu Gasalu w dolnym biegu płyną leniwo śród niskich brzegów, tworzą labirynt kanałów, jeziór i bagien z bujną roślinnością wodną, z wodą prawie stojącą; w czasie wysokiego stanu wód przedstawiają one ogromny obszar zalewu. Pośród tych bagien i labiryntu kanałów kryje się pasterski lud Dinków, aby uchronić swe stada przed razziami komendantów serib.

Wschodni pęczek dopływów, leżący poniżéj zachodniego, składa się z trzech głównych dopływów: Sobatu, którego bieg górny jest nieżeglowny i mało znany, Bahrel-Asraku i Atbary.

Najważniejszy z nich jest Bahrel Asrak („rzeka niebieska“) Wypływa on pod nazwą Abai z górskiéj krainy Abisynii, owéj „afrykańskiéj szwajcaryi,“ owéj naturalnéj skalistéj warowni stanowiącéj najdaléj na północ wysunięty bastyon wschodnio-afrykańskiéj wyżyny. Bastyon ten wyskakuje nagle skalistemi ścianami po części z błotnistéj i lesistéj krainy Kolla, po części ze spiekłéj bezwodnéj Samhary (na wschodzie). Wnętrze Abisynii przedstawia labirynt skał piętrzących się chaotycznie „niby rozburzone prace przedwiekowych Tytanów“; skały te kształtu słupów, obelisków, piramid itp. o stromych ścianach i płaskich szczytach, zwane amba, dostępne nieraz tylko za pomocą drabin lub wyrąbanych schodów, stanowią każda zosobna warownię i odegrały ważną rolę w dziejach tego kraju (Magdala). To też Abisynia pozostała niepodległą mimo zdobywczych zapędów Egiptu od faraonów do kedywów (klęska i śmierć Munzingera Paszy), pozostała podobnie jak Czarnogóra chrześcijańska, wyspą śród mahometańskiego morza, którego fale roztrącały się daremnie o jéj skaliste piersi.

---

(1) Ob. Schweinfurth. Im Herzen von Afrika I str. 545.

Młodzieńczy Abai z szumem i pianą stacza się tu po skałach w głęboko wyżłobionem korycie, tworząc katarakty i wpada do wspaniałego alpejskiego jeziora Tana (przeszło 1900 metr wys.), które leży w zagłębieniu wyżyny na 3000 metr. wysokiéj. Po wyjściu z jeziora, Abai płynie z początku w głębokiem łożysku ku południowschodowi a następnie zatacza łuk i zwraca się pod nazwą Bahrel Asraku na północozachód. Płynąc wciąż w tym kierunku z początku u stóp wyżyny przez lesistą równinę Kolla, potém przez stepową równinę Sennaru, dosięga Bahrel Abiadu, i tworzy z nim kąt ostry podobnie jak Werra z Fuldą. Ale nawet tu, na aluwialnéj równinie Sennaru rzeka zdradza swój górski charakter, płynąc bystro między wysokiemi brzegami, które tylko miejscami zalewa w czasie wysokiego stanu wody. Bystry prąd Asraku zapewnia mu ważne stanowisko w systemacie nilowym i jemu to (wraz z Abarą) zawdzięcza Egipt ów żyżny muł wydarty Abisynii, który po połączeniu rzeka Nil osadza w swym dolnym biegu; tym osadom zawdzięcza Egipt swe powstanie i pomyślność, Abisynia jest ojcem a Nil matkę Egiptu.

Przy splywie Bahrel Asraku z Bahrel Abiadem na wązkim półwyspie między obu rzekami leży Chartum (16° szer. 380 m. wys.), główny rynek handlowy wschodniego Sudanu; tu z obszaru Gasalu i Gebelu przywożą kość słoniową, gummę i niewolników, a także pióra strusie; towary te idą daléj wdół Nilu do Nubii i Egiptu lub zbaczają od Berberu do morza Czerwonego i Arabii.

Ostatnią rzeką zasilająca Nil jest Atbara, zwana w górnym biegu Takassie, biorąca początek również na wyżynie Abisynii śród jéj najwyższych wierzchołków. Zbliża się ona charakterem do Asraku tylko mniéj obfituje w wodę tak, iż w porze suszy czasami rozpada się na szereg kałuż i niedosięga Nilu. Ujście Atbary leży już poniżéj Chartumu, w następnéj już części Nilu.

Dolina, którą Nil przebiega od Lado do Chartumu, jak geologiczny charakter gruntu wskazuje, była jeziorem, które spłynęło, gdy rzeka wyżłobiła sobie łożysko poniżéj Chartumu w piaskowcowéj wyżynie Nubii. Tam gdzie w téj wyżynie podkład piaskowca stanowią ławice skał krystalicznych, tam siła wyżłabiająca natrafiła na większy opór i tam téż utworzyły się wodospady katarakty i prądy.

Wyżyna Nubii jest to skalista, bezpłodna i sucha kraina niby „arena działalności straszliwego Neftysa i Tyfona, bóstw pustyni i chaosu.“ Odnosi się to szczególniéj do północnéj części Nubii, owéj „krainy kamieni“ (Dar el Hadjar). Ten charakter krainy odbił się w charakterze mieszkańców i w ich losach dziejowych. Nubia była zawsze schronieniem przed najazdem zdobywców: w czasie najścia pasterskich Hyksosów na żyzną dolinę Egiptu, część Egipcyan

schroniła się w „krainie kamieni,“ niby za murem skalistym. Ten labirynt skał dawał świątynie ich bogom, warowne zamki ich wodzom bezpieczne punkta zborne wojownikom. W téj dzikiéj krainie Egipcyanie, dotąd spokojni rolnicy, nabrali energii i siły do zemszczenia się na wrogach i odzyskania ojczyzny. Bezpłodność krainy zmuszała ich do szybkiéj decyzyi: dla utrzymania życia musieli oni przedsiębrać wyprawy łupieskie na swą dawną żyzną ojczyznę; taki beduiński sposób życia przyzwyczaił ich do niebezpieczeństw wojennych i gdy dostatecznie wzrośli w liczbę, rozpoczęli wojnę o niepodległość i wyparli Hyksosów z żyznego Egiptu (1). Nubia odegrała tu taką rolę jak skalista Asturia w dziejach Pirenejskiego półwyspu. I późniéj jeszcza skalista Nubia stawiała tamę zdobywczym zagonom Persów, Aleksandra Macedońskiego, Rzymian, Arabów i Mehemeda Alego; przed tym ostatnim śkryli się tu Mamelucy i niepokoili czas jakiś Egipt swemi napadami. Wskutek takiego charakteru krainy i związanego z nim przebiegu dziejowego, Nubijczycy wyrobili w sobie wysokie poczucie wolności i godności osobistéj w przeciwieństwie z rolniczemi Egipcyanami. U Nubijczyków nie spotykamy bynajmniéj téj uniżoności jaką odznaczają się Egipcyanie. Gdy Schweinfurth pytał się pewnego razu jakiegoś Nubijczyka dla czego tenże nie tytułuje go *sidi*, jak to czynią Egipcyanie, usłyszał odpowiedź: „sidi znaczy pan, a pan jest tylko jeden, wszechmocny Bóg.“ Natomiast ubóstwo krainy wyrodziło też ujemne strony charakteru i życia narodowego, jak chciwość, łupieztwo, emigracye za zarobkiem, handel niewolnikami itp. Handlarze niewolników tak zwani gellabowie i handlarze kością słoniową na czele najemnych band Nubijczyków przedsiębiorą dalekie wyprawy w obszar Bahrel Gasalu, który zyskał miano „pastwiska głodnych Nubijczyków.“ Niegdyś Nubijczycy płacili niewolnikami rodzaj daniny mahometańskim władcom Egiptu, a otrzymywali w zamian brakujące im zboże.

Taką to krainę przerzyna Nil poniżéj Chartumu. W biegu tym tak przez wyżynę Nubii jak i w dalszéj części swego dorzecza w dolinie Egiptu Nil wygina się łukowato, tworząc dwie litery **S**.; ten łukowaty kształt biegu właściwy wielu rzekom Afryki (Niger, Kongo, Zambezi, Limpopo) wynika z intensywniejszego wznoszenia się pewnych centrów wyżyny, które zmusiło wody do kołowego opływania.

Pierwsze **S** sięga napółnoc do Korosko i posiada łuki o silniejszém napięciu niż drugie. Na pierwszym z dwóch łuków tworzących pierwsze **S**, Nil jest żeglowny do Berberu; wprawdzie w téj części

---

(1) Ob. Robert Arnold Am Heiligen Nil str. 34,

biegu leży tak zwana 6-ta katarakta (licząc wgórę rzeki), ale przedstawia ona nawet w czasie niskiego stanu wody bardzo nieznaczną przeszkodę. Wzdłuż téj katarakty ciągnie się labirynt skalistych wysepek zwany przez żeglarzy nilowych „archipelagiem 99 wysp;“ wyspy te porosłe akacyami cudnéj zieloności, robią na podróżnym czarujące wrażenie (1). Miasto Berber leży poniżéj ujścia Atbary w punkcie największego zbliżenia się nilowego łuku do morza Czerwonego, gdzie leży port Suakin. Oba te miasta zawdzięczają swe znaczenia właśnie temu zbliżeniu się dwóch komunikacyjnych elementów, oraz łączącéj ich poprzecznéj dolinie w grzbiecie Nubijskiéj wyżyny; droga ta jest oddawna bardzo uczęszczana przez kupców i mekkańskich pielgrzymów, tymbardziéj, że poniżéj Berberu Nil z powodu katarakt jest nieżeglowny; część ruchu na Nilu zbacza tu więc na wschód ku morzu Czerwonemu i Arabii. Z powodu znaczenia téj drogi powstał w ostatnich czasach plan połączenia Berberu z Suakinem koleją żelazną, lecz obecne powstanie sudańskie odwlekło urzeczywistnienie tego zamiaru. Walka, jaka obecnie toczy się w tych okolicach, wykazuje téż wielkie znaczenie téj drogi: powstańcy zawładnęli broniącą téj drogi fortecą Sinkat i tym sposobem przecięli komunikacyę Berberu z Suakinem.

Dalsza część łuku Berberu i część następnego (łuk Dongoli) do Wadi Halfa z powodu katarakt są nieżeglowne. Rzeka ma tu charakter bystrego górskiego potoku, w wielu miejscach tak wązkiego, że można przezeń kamień przerzucić. Katarakty te, jak zawsze tak i obecnie, stanowią obronę zbuntowanych, nie pozwalają bowiem na wysłanie w górę Nilu wojennéj flotylli dla dania odsieczy Chartumowi; opanowując miejsca wązkie i katarakty, powstańcy mogą nawet nieprzepuścić najmniejszéj łodzi. Po zboczach skalistych ścieśniających tu rzekę wije się tylko wązka ścieżka dla pieszych, a w głębi widnieją gdzie niegdzie szczeliny ze zbożem i palmami, ciągnące się wązkim przerywanym rąbkiem wzdłuż rzeki.

Katarakta pod Wadi Halfa, zwana 2-gą (licząc wgórę Nilu) lub wielką kataraktą, nawet w czasie wysokiego stanu wody da się przepłynąć tylko na maleńkich, umyślnie w tym celu budowanych łodziach. Dla tego tutaj statki płynące wgórę Nilu przeładowują towary na wielblądy i daléj podróż wodna zamienia się na karawanową, która idzie przez pustynie Korosko i Bajuda wzdłuż cięciw łuków nilowych do Berberu lub Chartumu. Poniżéj katarakty Wadi Halfa leży Ebsambol, olbrzymia świątynia egipska w skale wykuta. Ritter sądzi, że tu był niegdyś punkt centralny kultu religijnego

(1) Ob. Schweinfurth Im Herzen von Afrika I str. 51.

i związanego z nim zwykle handlu; tu musiało być targowisko, w którém Egipt i Nubia zmieniały się swemi płodami. W téj świątyni składano bogom ofiary za szczęśliwe przebycie drogi karawanowéj przez pustynię. Poniżéj Ebsambola leży Ibrim, gdzie była forteca na skale, broniąca wstępu do górnéj Nubii, a zarazem stanowiąca punkt wyjścia dla wypraw Nubijczyków na Egipt (1). Poniżéj Ibrim pod Korosko kończy się pierwsze **S** nilowe.

Drugie **S** posiada łuki mniéj wygięte; na pierwszym z nich prawie w połowie, pod miastem Assuan w starożytności Syene (prawie pod zwrotnikiem Raka—pierwszy pomiar południka) leży ostatnia katarakta nilowa zwana 1-szą, ktora w czasie wysokiego stanu wody da się przebywać łatwo. Z wyższych okolic Nubii, mówi Ritter (2), toruje tu sobie Nil poraz ostatni drogę jako rzeka górska przez skaliste wyspy i cieśniny, na przestrzeni od wyspy Philae do Elefantyny, spada z szumem i pianą przez katarakty Syeny do nowéj błogosławionéj krainy Egiptu, przez którą płynie dalej już z majestatycznym spokojem, jako dobroczynna, życiodawcza rzeka. Gdy karawana, która długo ciągnęła przez monotonną, skwarną i bezwodną pustynię Nubii, zbliży się do téj granicy wyższego Egiptu, to przygnębioną duszę podróżnika orzeźwi najprzód daleki szum katarakt, a następnie widok zieleni palmowych gajów Syeny; człowiek uczuwa się tu jakby odrodzony, powołany do nowego, rozkosznego życia. Ponure wrażenie, którém spiekła żałobna pustynia przygniatała duszę wędrowca, znika, a natomiast otwiera się widok na ożywiony, ludny kraj egipski, przy wejściu do którego ciemne granitowe łańcuchy gór, cieśniny skalne, pieniące się nurty i skaliste wyspy z ich olbrzymiemi pomnikami strzegą z południa krainy cudów starego świata, niby tajemnicze straże postawione przed wiekami przez same żywioły. Według pojęć Egipcyan tu na wyspie Philae, gdzie kończy się żyzna ziemia egipska, a zaczyna pustynia, państwo Tyfona, był grób Osirisa i tu mu kapłani składali ofiary (zwaliska świątyń); w grobie tym Osiris spoczywał przez czas suszy i niskiego stanu wód, a zmartwychpowstawał w czasie wylewu. Poniżéj Philae leżą katarakty Syeny, a poniżéj tych pokryta zielenią palm i akacyi wyspa Elefantyna; na téj wyspie są téż zwaliska świątyń, na jednéj ze ścian widać wyobrażenie statku, któremu składano tu ofiary, jako przy końcu i początku żeglugi (analogia Elefantyny z dnieprzańską Chorticą (3))

---

(1) Ob. C. Ritter. Erdkunde I str. 621. 622.

(2) Ob. C. Ritter Erdkunde I str. 677.

(3) Ob. W. Nałkowski. Rzeki Waldajsko-Sarmackie. Przewodnik Naukowy Lwów 1877.

Tutaj téż był nilometr, według wskazówek którego nakładano podatki; chciwi kapłani nie dozwalali tu zwykłym śmiertelnikom wstępu; aby módz podawać przesadną wysokość nilometru i na téj podstawie zdzierać lud jak największemi podatkami.

Przy wyspie Elefantynie leży na prawym brzegu rzeki miasto Assuan (Syene); od tego miasta do wyspy Philae zbudowali Egipcyanie na prawym brzegu rzeki drogę lądową dla obejścia wodospadów; droga ta dla obrony od łupieskich napadów z gór Arabskich była zasłonięta z téj strony murem, którego ślady widne śród piasków noszą nazwę Hayt el Adjour. Z powodu tych wodospadów Assuan miał niegdyś ważne znaczenie handlowe i strategiczne; tu stały zawsze załogi egipskie; za czasów Herodota, który w swych podróżach aż dotąd dosięgnął, stała tu załoga perska, za czasów Strabona kohorty rzymskie. Dopiero za Augusta Rzymianie pod wodzą Petroniusza posunęli się po za katarakty Syeny i zdobyli twierdzę Ibrim, ale, jak sądzi Ritter, nie zdołali rozprzestrzenić swéj władzy po za wielką kataraktę pod Wadi Halfa. Arabowie dopiero w XIII wieku tam dosięgnęli, późniéj udało się tam usadowić Mamelukom, przeciw którym francuzki generał Desaix zbudował pod Assuanem bastyon. „Kraina kamieni“ zawsze stanowiła ważną zaporę, schronienie i Mamelucy stawiali tam długo opór; dopiero po długich bojach i zdobyciu twierdzy Ibrim udało się Mehemedowi Alemu zawojować Nubię. Okolice Assuanu obfitują w łomy kamieni jako to granitu, który tworzy katarakty (syenit), piaskowca i daléj na północ wapienia. Odłamy tutejszych kamieni spuszczano wdół Nilem dla wznoszenia świątyń, pałaców i pomników.

Poniżéj Assuanu Nil wstępuje w szerszą dolinę Egiptu rozciągającą się równolegle do morza Czerwonego i zachodniego pasa oaz między dwoma wyżynowemi wałami Arabskim na wschodzie i Libijskim na zachodzie, podobnie jak dolina wyższego Renu między Schwarzwaldem i Wogezami. „W téj krainie, rozciągającéj się na sto kilkadziesiąt mil długości a zaledwie kilka mil szerokości, łączy się blask nieba, świeżość wody, żyzność równiny, bezpłodność przyległych wyżyn, ciężka nędza dzisiejszego człowieka i kolosalne pomniki zamierzchłych wieków—jedném słowem wszystkie kontrasty, aby napełnić duszę postrzegacza niemym podziwem lub wprawić go w głęboką zadumę“ (Robert Arnold).

Z dwóch ściskających dolinę wałów, Arabski spada ku niéj stromo nieraz nawet bezpośrednio do rzeki, wał Libijski leży nieco daléj od rzeki pozostawia szerszą dolinę i spływa ku niéj łagodniéj. Oba te wały wapienne mają dziki, chaotyczny, pustynny charakter; szczególniéj Libijski. Pośród rumowiska i piasku sterczą tu miejsca-

mi nagie skały wapienne z powierzchnią gładką, wyszlifowaną przez lotny piasek i odbijającą silnie palące promienie słońca. Okolica ta robi wrażenie południowo-europejskiego Karstu tylko wszystko jest tu bardziéj puste, bezpłodne i martwe. Gdy podróżny stanie na wyniosłości i powiedzie wzrokiem dokoła, to duszę jego przejmuje przygnębiające uczucie pustki i osamotnienia (1). Dzięki jednak tym wałom skalistym ściskającym napływową dolinę Nilu, miała ona materyał budowlany tym cenniejszy, iż wskutek bezleśności krainy mieszkańcy nie mogli używać do budowy ani drzewa, ani cegły palonéj. Te wały stanowiły prócz tego naturalne graniczne warownie Egiptu; dla tego to państwo egipskie tak długie wieki przetrwało, ale dla tego téż, gdy nadeszła chwila stanowcza zmierzenia się z wrogiem, Egipcyanie wykazali tak mało siły odpornéj. Albowiem ta wyspowość niejako Egiptu otoczonego po części morzem, po części skalistą pustynią, miała ochronne ale zarazem i zgubne znaczenie; ochronne, bo do czasu utrudniała dostęp obcym zdobywcom; zgubne, bo gdy raz szranki zostały przerwane, to wrogowie zastali Egipcyan niezahartowanych w zewnętrznéj walce o byt, jak wogóle wyspiarzy, i to tymbardziéj, że żyzność ziemi wyrodziła zniewieściałość i despotyzm. Egipcyanie nie umieli nigdy mężnie stawić czoła wrogowi i w nowszych czasach ten sam brak hartu uwidocznił się w powstaniu Arabiego baszy, oraz w dzisiejszych walkach Fellahów przeciw nubijskim powstańcom. Wprawdzie udało się starożytnym Egipcyanom wyprzéć Hyksosów, ale to dopiero wtedy, gdy pod wpływem surowéj nubijskiéj przyrody charakter Egipcyan uległ zmianie, zahartował się.

Na początku tego biegu Nilu, zaraz poniżéj Assuanu, skały jeszcze parę razy obustronnie przystępują do saméj rzeki, to znów oddalają się naprzemian i tym sposobem tworzą się kotliny nadrzeczne, połączone z morzem Czerwonem poprzecznemi dolinami w górach Arabskich; dla tego tu powstały osady ludzkie. Przed pierwszém zwężeniem doliny pod Selfeleh, jedna z gór zbliżających się do rzeki nosi miano „góry burz,“ albowiem po nad nią przy najpogodniejszém niebie i silnym upale zbierają się nagle chmury gromowe, z których padają gromy i błyskawice do rzeki, a wicher rzuca i roztrzaskuje barki o nagie piaskowcowe skały wybrzeża. Tu mieszkają nieliczni ludzie jaskiniowi, którym śród pustyni tylko te burze przynoszą przypadkowe dary jako „Strandgut.“ Poniżéj téj góry leży cieśnina Selfeleh z łomami piaskowca, a jeszcze poniżéj gdzie góry się oddalają, w kotlinie leży Edfu i daléj Esneh, od których prowadzą

(1) Ob. J. Chavanne Afrika im Lichte unserer Tage 1881 str. 42.

doliny do morza Czerwonego; od pierwszego—do starożytnego portu Berenice, od drugiego—do Kosseir. Daléj następuje drugie zwężenie Gebeleyn, gdzie skały tak z obu stron zbliżają się do rzeki, że nie ma nawet ścieżki na wybrzeżu, lecz trzeba skręcać daleko drogą lądową, by się dostać do trzeciéj największéj kotliny tebańskiéj. Nil tworzy tutaj łuk ku wschodowi zbliżający go do morza Czerwonego, do którego (Kosseir) prowadzi dolina; na łuku tym leżą zwaliska Teb, a nieco poniżéj miasto Keneh. „Ta kotlina tebańska przedstawia miejscowość jakby przeznaczoną od natury na wielkie ognisko ludności. Tutaj zbiegają się handlowe drogi Azyi i Afryki. Tutaj mają swe ujście najprostsze drogi z Sudanu i zachodniego pasa oaz, z Abisynii i Nubii. Stąd biegną wadi (wyschłe łożyska potoków) do morza Czerwonego. Tutaj téż leżało „miasto Amona“ Biblii, albo „stubramne“ Teby Egipcyan, Dziś jeszcze widne tu rozrzucone zwaliska tego miasta, którego sława za czasów Homera aż do odległéj Grecyi sięgała. Tu za panowania wielkiego Ramzesa Miamuna spływały bogactwa całego znanego naówczas świata, spotykali się czarni kupcy Sudanu i poławiacze pereł z Indyjskiego oceanu. Świątynie i pałace, budowane i upiększane przez cały szereg faraonów, współubiegały się ze sobą we wspaniałości i blasku; orzeźwiające gaje palm i mimozy okalały je wraz z rozrzuconemi wdzięcznie kląbami kwiatów; czyste i surowe linje tych wspaniałych budowli odbijały się w modrych falach marmurowych lub porfirowych rezerwoarów, a promienie wiecznie pogodnego słońca igrały z żywemi barwami płaskorzeźb na granitowych pylonach, czerwonawych obeliskach, na głowach olbrzymich sfinksów i kolosów. Żaden język dzisiejszy nie jest w stanie wyrazić wspaniałości tego miasta, żaden pędzel go odtworzyć; nawet w myśli po zbadaniu jego szczątków, pozostaje zaledwie słaby obraz jego minionéj wielkości“ (Robert Arnold). Obecnie śród ruin rozciągających się po obu stronach Nilu leżą tu cztery nędzne wioski, a po lewéj stronie wznoszą się dwa kolosy Amenhotepa III, z których jeden zwany „kolosem Memnona“ wydaje dźwięki o wschodzie słońca, gdyż cząsteczki jego ogrzane nagle po silném oziębieniu nocném (kontynentalny klimat) pękają.

Poniżéj tebańskiego łuku Nilu pod Assiut, dokąd dochodzi wgórę doliny nilowéj kolej żelazna z Aleksandryi, góry oddalają się od rzeki, dolina stale się rozszerza i tu po Egipcie górnym zaczyna się Egipt średni. Dolina ta to dawna morska zatoka równoległa do morza Czerwonego zapełniona żyznym mułem rzecznym z Abisynii. Rzece zawdzięcza ona swe powstanie, jest „darem rzeki“ (Αἴγυπτος δῶρον τοῦ ποταμοῦ). Ten pas żyznéj ciemnéj ziemi stanowi wybitny kontrast z otaczającą jasną pustynią, ztąd egipska nazwa kraju: „Kemi,“ co znaczy czarny.

Ilość wody w Nilu znacznie się tu zmniejsza, gdyż mieszkańcy używają jéj na irrygacyjne kanały, które leżą głównie po zachodniéj (libijskiéj) stronie rzeki, albowiem po wschodniéj wyżyna Arabska zbyt blizko przystępuje do rzeki. Pola uprawne leżą między rzeką i kanałem ciągnącym się u podnóża wyżyny Libijskiéj; kanał ten zwany kanałem Józefa jest pozostałością staroegipskich budowli wodnych, boczną swą odnogą idącą przez szczelinę skalną w górach Libijskich zasila on oazę Fayum, różany ogród Egiptu i kończy się u lewego ramienia Nilu, Rozetty.

Ostatnią fazę swego biegu, deltę, tworzy Nil pod 30° szer. poniżéj Kairu. Tutaj skaliste wały, ścieśniające dotąd dolinę rzeki, znikają, a przez to otwierają się drogi z zamkniętéj doliny: na zachód—do oazy Siuah (Jowisza Amona), ogrodu drzew daktylowych, oliwnych i figowych, wśród piaszczystéj pustyni („szmaragd w złotéj oprawie"); na wschód—na przesmyk Suezki i do morza Czerwonego. To są dwie bramy Egiptu, strzeżone w starożytności przez dwie twierdze: Marea na zachodzie, przeciw nomadom Libijskim i Pelusium na wschodzie, przeciw nomadom Semickim z Azyi (trzeciéj bramy Egiptu broniła Syene przeciw Nubijczykom). Droga na wschód przez przesmyk Suezki, ścieśniony dwoma morzami, broniona po części przez linię jezior Gorzkich, była prócz tego, jak to się zwykle zdarza na przesmykach, zamknięta murem obronnym, zbudowanym przez Ramzesa Miamuna. Ten „mur egipski" składał się z licznych warowni, połączonych wysokiemi szańcami i biegł od Pelusium nad morzem Środziemném, wzdłuż jezior Gorzkich, do dzisiejszego Suezu nad morzem Czerwoném. Tu Egipcyanie powstrzymywali najścia Azyatów, tu rozstrzygały się losy Egiptu (zwycięztwo Kambizesa nad Psamenitem pod Pelusium). Obecnie cytadela, broniąca z téj strony doliny nilowéj, wznosi się na ostatniéj odrośli Arabskiego łańcucha, stromym i białym Mokattamie; u stóp téj cytadeli rozciąga się dzisiejszy Kair, Masr el Kahira, to jest „zwycięzka", tak zwą Arabowie „królowę doliny nilowéj", stolicę egipskiego państwa: „Różnobarwne życie kipi na ulicach tego miasta: obok ruchliwego Europejczyka, stąpa zamyślony Turek, dumny Arab, przygnębiony Fellah, ubogi handlarz wody w skórzanych worach roznoszonéj i nędzny murzyński niewolnik, wszelkie kontrasty dzisiejszego wschodu i zachodu są tu reprezentowane". Ze szczytu cytadeli roztacza się wspaniały widok, ustępujący chyba tylko niezrównanéj panoramie Bosforu: z morza domów wznosi się las smukłych minaretów, rysujących się na żółtawém tle przeciwległych gór pustyni, a nad tém rozpościera się niezmęcony lazur pogodnego nieba. Niżéj za miastem, zielona smuga pól zraszanych Nilem. Po za tém wdali na występie Libijskié

wyżyny rysują się ciemne trójkątne sylwetki piramid, rzucających o zachodzie słońca przedłużone gigantyczne cienie na zwaliska Memfisu, starożytnéj stolicy faraonów.

Poniżéj Kairu Nil, uwolniony od ścieśniających go wyżyn, dzieli się na odnogi i tworzy obszerną deltę; z dwóch głównych odnóg zachodnia uchodzi do morza pod Rozettą, wschodnia pod Damiettą (klucz Egiptu w czasie wojen krzyżowych). Gęsta sieć odnóg bocznych i sztucznych kanałów łączy te dwie główne odnogi, oraz rozprzestrzenia się na zewnątrz ich, tworząc żyzną i gęsto zaludnioną krainę delty, wzdłuż północnego rąbka delty ciągną się nadbrzeżne jeziora (Mariutt, Burlos, Manzaleh). Jeziora te oddzielone są od morza wązkiemi, piaszczystemi smugami, które dla żeglarza, zawijającego z północy do wybrzeży Egiptu, stanowią zaledwie dostrzegalną granicę między ciemną zielenią fal morskich i błękitem nieba. Jeziora te powstały w skutek wdarcia się morza na niskie wybrzeże, albowiem budownicza praca Nilu walczy tu z elementem burzącym: z powolném obniżaniem się wybrzeża. Na pasie piaszczystym, oddzielającym od morza jezioro Mariut (Mareotis), leżała starożytna Aleksandrya, zbudowana dla tego na zachód od ujściowych ramion Nilu, że prąd morski unosi muł rzeczny ku wschodowi i zamula tam porty. Handlowe znaczenie Aleksandryi polegało na zbliżeniu się Nilu do morza Czerwonego w okolich delty. Zbliżenie to i potrzeba komunikacyi z Arabią, wywołała oddawna myśl połączenia tu Nilu z morzem Czerwoném za pomocą kanału; dzieła tego dokonał pierwszy Ramzes Miamun. Kanał ten szedł od Bubastos (dziś Zagazik) nad Nilem do Arsinoe (dziś Suez). Następcy Miamuna kilka razy odnawiali ten kanał. Jeden z kalifów zaś kazał go zniszczyć w celach wojennych. W naszych czasach myśl kanału podjęto nanowo, lecz jak wiadomo połączono bezpośrednio morze Śródziemne z Czerwoném. Kanał ten idzie od Port Said (dawne Pelusium) przez wschodnią, osuszoną część jeziora Manzaleh i przez jeziora Gorzkie do Suezu (ukończ. 1869). Kanał ten można uważać za ujście Nilu do morza Czerwonego; prócz tego miejscowego ma on téż uniwersalniejsze znaczenie: skrócił on drogę z Europy do Indyi, która dawniéj prowadziła około przylądka Dobréj Nadziei, a przez to podniósł znaczenie morza Środziemnego, które od epoki wielkich odkryć bardzo opustoszało. Dzisiejsza Aleksandrya leży na grobli łączącéj dawne miasto z nadbrzeżną wyspą Pharus i łączy się z Kairem kanałem Mahmudieh, oraz koleją żelazną, która daléj idzie do Suezu, a wzdłuż Nilu do Assiut. Kraina delty w dziejach Egiptu ma w części znaczenie podobne jak Nubia; jakkolwiek bowiem krainy te pod względem ukształtowania powierzchni, przedstawiają antypodyczną sprzecz-

ność, to jednak mają jedną cechę wspólną—niedostępność: jedna z powodu górzystości, druga—błotnistości i labiryntu kanałów. To też delta była często schronieniem żywiołów niezadowolnionych, siedliskiem rozbójnictwa, punktem wyjścia powstań. Tu, jak wiadomo, Psametyk zawiązał stosunki z korsarzami greckiemi i przy ich pomocy odzyskał panowanie.

Tajemnicze dla starożytnych, peryodyczne wylewy Nilu, użyzniające mułem dolinę Egiptu tłómaczą się, jak wiadomo, peryodycznością deszczów zwrotnikowych. Na nilometrze wyspy Rhoda pod Kairem obserwują przybór rzeki w początku lipca, przybór ten trwa do początku października; przez połowę tego miesiąca rzeka zachowuje dość stałą maxymalną wysokość, następnie zaczyna opadać; w drugiéj połowie czerwca dosięga najniższego stanu. Jeżeli maximum wezbrania Nilu Białego i Niebieskiego przypadną równocześnie, to nilometr wyspy Rhoda wskazuje należytą wysokość $7\frac{1}{2}$ — 8 metr. i rolnik egipski cieszy się nadzieją obfitego żniwa. Jeżeli maximum Nilu Niebieskiego nastąpi wcześniéj bez współudziału powolniejszych fal Nilu Białego, to wezbranie będzie podzielone, nie dosięgnie wymaganéj wysokości i żniwa wypadną niepomyślnie. Jeżeli nareszcie odwrotnie: powolniejsze fale Nilu Białego wprzód dosięgną maximum, to na nie naleje się szybsza fala Nilu Niebieskiego i Egipt ucierpi od nadmiernego wylewu. Od wylewów zależy także czas żeglugi na Nilu: w lecie, w czasie wylewu odbywa się głównie żegluga wdół, w zimie w czasie niskiego stanu wody, a zarazem panowania wiatrów północnych, żegluga odbywa się w górę. W czasie wylewu rzeki delta i cała dolina Egiptu są zalane; nie trzeba jednak sądzić, że zalew ten odbywa się zupełnie swobodnie i że cały kraj zalewany bywa bezpośrednio: człowiek opanował tu żywioł wodny i z niszczącego zamienił go na pożyteczny, a to za pośrednictwem licznych tam i kanałów, które rozprowadzają i utrzymują wodę gdzie potrzeba. Cała zdatna pod uprawę ziemia, mówi Schweinfurth, podzielona jest przez groble na ogromne basseny; w basseny te wprowadza się kanałami użyzniająca woda i utrzymuje się tak długo na pewnéj wysokości, aż grunt dostatecznie się napoi, a woda osadzi potrzebną ilość mułu; na wyżéj leżące pola podnosi się woda pompami. Tymczasem woda w rzece opada, co daje możność spuszczenia wody z bassenów do rzeki i przygotowania roli do uprawy. Głównemi produktami są: pszenica i bawełna. Podczas tych wylewów wiele wiosek Fellahów łączy się ze sobą jedynie groblami, wiele musi komunikować się ze sobą tylko za pomocą łodzi; cały kraj tworzy wtedy nadzwyczaj malowniczy i charakterystyczny widok. Jak Holendrzy wydzierają ziemię do uprawy morzu, tak Egipcyanie

nie wydzierają ją pustyni przez rozprowadzenie kanałami wody nilowéj; ale przez szczeliny w wałach, otaczających dolinę nilową, wicher nawiewa często piasek, „ów ruchomy element zniszczenia“ i pustynia znów opanowywa dawną zdobycz Nilu i człowieka. Jest to walka złego Tyfona z dobrym Ozirisem, podstawa egipskiéj mitologii. „Przy dobrym rządzie, wyrzekł charakterystycznie Napoleon, Nil dosięga pustyni, przy złym pustynia Nilu“. Ta walka człowieka z pustynią, przy pomocy Nilu stała się podstawą nie tylko religii, ale w ogóle całéj kultury Egiptu. Drugim ważnym warunkiem rozwoju egipskiéj kultury jest bezdeszczowość krainy, która w obec użyzniających wylewów Nilu byla błogosławieństwem. Dzięki tym dwóm czynnikom, człowiek w Egipcie nie był narażony na zgubne, tak pod względem materyalnym jak i moralnym, dla rolnika zmiany meteorologiczne; plony rolnika nie mogły tam być zniszczone nieprzewidzianą posuchą lub niepogodą; obfitość ich zależała jedynie od wysokości nilowego wezbrania, którą można było wymierzyć i tym sposobem wiedzieć naprzód, jak obfite będą żniwa i do tego zastosować się (1). W obec takich warunków musialo w Egipcie zakwitnąć rolnictwo, najsilniejsza dźwignia cywilizacyi; sam Faraon przy koronacyi musiał skosić snop zboża, rosnącego na polach świątyni. Zależność zbiorów od wysokości wylewu, naprowadziła na myśl budowania tam, kanałów i wodozbiorów (jezioro Meri), aby w czasie wysokiego wylewu można było nagromadzić zapas wody na rok mniéj korzystny. Niszczenie granic poszczególnych pól przez wylewy, wymagało corocznie nowych pomiarów i wytykania granic; ztąd rozwinęła się nauka geometryi. Domy trzeba było budować na silnych, kamiennych podstawach, by ich woda nie uniosła; ztąd rozwinęła się sztuka inżynierska i budownictwo, którego pomniki są tak trwałe, że dotąd się dochowały, że „czas ich się lęka“. Współczesność między wylewami Nilu i ukazywaniem się pewnych gwiazd na niebie, wywołała najprzód cześć dla ciał niebieskich (obok czci dla Nilu, wody i jéj przedstawiciela krokodyla, którego egzystencya związana jest z wodą), a następnie dała popęd do rozwoju astronomii. Szkodliwy wpływ, jaki przy gorącym klimacie wylewy mogły wywierać na zdrowie, dał popęd do rozwoju hygieny i medycyny; liczne przepisy sanitarne Egipcyan odbiły się téż w prawach Moj-

---

(1) Już Herodot (ks. II) zwrócił uwagę na znaczenie bezdeszczowości Egiptu dla rolnictwa: „Dowiedziawszy się bowiem (Egipcyanie), iż cała kraina Greków deszczami skrapianą bywa, a nie rzekami, jak ich własna, mówili, iż Grecy raz oszukani w wielkiéj nadziei, nędznie głodem mrzeć będą. To zaś wyrażenie się oznacza, że jeżeli kiedy nie zechce Bóg spuszczać im deszczu i posuchą ich uciśnie, głodem wygubieni zostaną. Grecy bowiem nie mają innego sposobu dostania wody jak od Zeusa“.

żesza. Balsamowanie téż było w związku z wylewami Nilu: bano się by trupy, uniesione wodą, nie zarażały powietrza, palić zaś trupów nie można było z przyczyny braku drzewa.

Z drugiéj strony, owe wielkie hydrauliczne roboty, których wymagały wylewy Nilu, mogły być dokonywane tylko zbiorowo, pod kierunkiem silnego rządu; ztąd to, za współudziałem téż żyzności gruntu, wytworzył się despotyzm i kastowość. Całe życie Egipcyan koncentrowało się w faraonie; był on dla nich synem bogów, posiadającym boską siłę i wszechmoc, bogiem w ludzkiém ciele: „mówisz do wody wytryśnij ze skały, a natychmiast na twoje słowa wypływa ocean“ przemawiano do Ramzesa, który téż przed swemi własnemi posągami składał ofiary, jak przed bóstwem. Ilustracyą tego despotyzmu widzimy do dziś dnia w pozostałych olbrzymich piramidach, budowanych ciężką pracą ludu, dla fantazyi władców, dla dogodzenia ich pysze. Sam nawet ten dyspotyzm przetrwał dotąd, widzimy go w nędzy Fellaha, którego jednym z czterech żywiołów (palma, Nil, słońce, bat) jest bat; który musi płacić wysokie podatki od wszystkiego, nawet od gnoju, jako materyału opalowego! Napoleon tak mówi o téj sile, któréj z natury rzeczy rząd w Egipcie nabyć musiał nad poddanymi: „W żadnym kraju rząd nie ma takiego wpływu na pomyślność ogółu. Gdy rząd jest dobry, to kanały są dobrze wykopane i utrzymane, porządek w nawodnieniu jest dobrze przeprowadzony i wylew jest rozciąglejszy. Gdy przeciwnie rząd jest zły, błędny lub słaby, wówczas kanały napełnia szlam, tamy są źle utrzymane, porządek w nawodnieniu zaniedbany, zasady systemu nawodnienia zwichnięte przez wewnętrzne niezgody i indywidualne interesa oddzielnych osobistości lub obwodów. Rząd francuzki nie ma żadnego wpływu na deszcz lub śnieg, lecz w Egipcie rząd ma bezpośredni wpływ na rozciągłość wylewu, który tam zastępuje miejsce deszczu“.

Przebyliśmy Nil w całéj jego rozciągłości, od źródeł do ujścia, badając charakterystyczne cechy téj rzeki, oraz skrapianych przez nią krain; w czasie téj badawczéj wędrówki przekonaliśmy się, że w żadnym może innym kraju geograf nie był-by w stanie wykryć ściślejszego, bardziéj matematycznego związku między warunkami geograficznemi i dziejowym rozwojem mieszkańców. Na zakończenie spójrzmy raz jeszcze po za siebie na całość tego, tak ważnego w dziejach, nilowego systemu.

Nil jest jedną z największych rzek świata (820 mil), ustępującą co do długości tylko olbrzymowi Nowego Świata—Missuri-Missisipi. Kierunek jego nie wiele zbacza od linii prostéj (550 mil), to téż i dorzecze (trzecia część Europy) ciągnie się wązką i długą smugą, wy-

jawszy między 5^0 i 15^0 szer., gdzie rozszerza się znacznie. Tę linię prostą reprezentuje mniéj więcéj 30^0 (południk od Paryża), przecina on iezioro Ukerewe, a o 30^0 przeszło daléj na północ jedno z ujść delty. Nil przecina ten południk swemi zwojami z ośm razy, nie oddalając się odeń nawet w największém odchyleniu więcéj jak na 24 mil; tym sposobem rzeka obwija się około 30^0 południka, jak wąż około laski. Dzięki takiemu kształtowi biegu i znakomitéj długości, Nil sięga daleko we wnętrze lądu i za pośrednictwem Bahr et Gazalu zbliża się do centralno-afrykańskiéj rzeki Kongo (Uelle); jest on jakby mostem rzuconym wpoprzek pustyni, po którym przeszedł wgłąb' Afryki mahometanizm, a z czasem przejdzie zapewne wyższa, europejska cywilizacya. Według Schweinfurtha Nil jest najdogodniejszą drogą do serca Afryki (1), jakkolwiek twierdzenie to należałoby odnieść do czasu przyszłego, gdy sztuka usunie liczne przerwy, sprawione w téj długiéj wodnéj linii przez wodospady i od czasu do czasu przez tamy roślinne. Drugą charakterystyczną cechą Nilu, odróżniającą go od wszystkich rzek na ziemi, jest to, że w ostatniéj trzeciéj części swego biegu nie przyjmuje ani jednego stałego dopływu; płynie on tu samotnie między dwiema skalistemi pustyniami, których paląca powierzchnia chciwie pochłania ulatniającą się z rzeki wilgoć, a podróżnika mami tylko złudnym mirażem fal wodnych („woda dyabelska"). Tę siłę dosięgnięcia morza, bez pomocy dopływów, wśród bezdeszczowéj krainy, Nil zawdzięcza Abiadowi: rzeka ta, wypływając z obfitéj w deszcze jeziornéj, równikowéj okolicy, ma zawsze obfitość wód, ona jest „karmicielką" nilowego systematu, ona ma, pod względem hydrograficznym, piewszeństwo, podczas, gdy Asrakowi zawdzięcza Nil swój żyzny muł, swe dziejowe znaczenie.

Wielka dziejowa przeszłość Nilu, wiekowa jego tajemniczość, przyszłość, jaką wywróżyć mu można, kontrast, jaki przedstawia z okoliczną pustynią, oto przyczyny, dla których rzeka ta była, jest i będzie upragnionym przedmiotem myśli i dążeń wielu: młodzieńcy i poeci marzą o niéj, uczeni udają się tam dla badań, wędrowiec w pustyni pragnie jéj jak raju, a wrażenie, jakie ona sprawia, pozostawia niezatarte ślady we wspomnieniach, oraz pragnienie powtórnego jéj ujrzenia. Własność tę Nil bezwątpienia dzieli z wielu pięknemi i bogatemi w dziejowe wspomnienia krainami i rzekami. Klunzinger, który wynajduje wiele analogii między Nilem i Renem (2),

---

(1) „La vraie porte par laquele la civilisation doit entrer dans l'Afrique" (l'Exploration, 1883, XVI, 102.

(2) Ob. „Nil und Rhein als geografische Homologieen" v. Klunzinger. Die Natur 1881, Nr. 3.

przytacza też, między innemi i ten ostatni wzgląd. O Renie śpiewa pewien poeta niemiecki:

„Nad Ren, nad Ren, ach nie idź nad Ren
Mój synu, ja radzę ci szczerze,
Tam życie twe nowe zbyt słodko popłynie,
Tam dusza twa zbyt bujnie rozkwitnie".

A w końcu:

„I teraz wciąż śpiewasz: nad Renem, nad Renem
I już nie wrócisz do swoich".

Egipcyanin zaś powiada o swym ukochanym Nilu: „kto raz napije się wody nilowéj, tego trapić będzie po tém nieugaszone pragnienie, nie zazna spokoju, musi pić powtórnie".

Wacław Nałkowski.

ZYZMA.

VII.

Zaledwo tydzień minął od otwarcia sklepu, gdy przed samém południem jakby na zapowiedzianą uroczystość, zajeżdżały przed jego drzwi karety, lub otwarte powozy. Wysiadały z nich strojne panie i po niejakiem czasie, uśmiechając się i rozmawiając z sobą po francusku, wracały do swoich powozów i odjeżdżały.

Gromadka ludzi przypatrywała się temu niezwykłemu u nas widowisku. Przechodził w tym czasie Zyzma i również stanął. Domyślał się o co rzecz idzie, serce mu biło, rad był wejść do sklepu, lub zajrzéć przynajmniéj przez szyby, lecz nie śmiał i bał się. Niezdecydowany zamyślił się głęboko. Zbudził go głos Bluma. Zaśmiał mu się tuż nad uchem, Zyzma doznał wrażenia jak gdyby od chrzęstu zardzewiałych zawias.

— Patrzysz na własne dzieło i tryumfujesz,—zawołał dotykając się jego ramienia.

— Na jakie?—zapytał udając zdziwienie.

— Cały Lwów wie, że to twój sklep i piękna królowa w nim.

Zyzma zbladł.

— Nie rozumiem,—odpowiedział nieśmiało.

— Sądzisz że ta pielgrzymka arystokracyi naszéj, odbywa się w celach podziwu dla twych nici i tasiemek—co? Mój drogi, ani ty, ani ja, zbytnią naiwnością nie grzeszymy. Nie mogłeś lepszéj reklamy wyszukać, dla twego towaru. Patrz,—wyjął z kieszeni surduta paczkę bawełny, zawiniętą w papier,—kosztujesz mnie pięćdziesiąt centów. Przecież i ja musiałem iść i zobaczyć. Ładna, dystyngowana i chociaż za ladą w sklepie, wielka pani...

— Przysięgam ci przerwał rozdrażniony Zyzma, że między mną a nią prócz przyjaźni nic nie ma. I aby uniknąć pozorów nie bywam nawet u niéj.

— Niepotrzebnie zadajesz sobie ten przymus, odparł Blum, ludzie są złośliwi, Lwów poluje na skandale, nasze towarzystwo odznacza się biegłością w tym sporcie. I wiesz co mówią,—powiedziéć ci?

— Proszę cię.

— Założyłeś sklep dla niéj, a ona aby się zemścić na wszystkich swoich ciotkach i wujaszkach, postanowiła się afiszować. A ponieważ nie widziano jeszcze hrabianki za ladą sklepową, ciotki więc i nie ciotki zjeżdżają się patrzéć na to widowisko. Przywożą z sobą cały arsenał szyderstw, upokorzeń, uśmiechów, szeptów. Lecz kobiecina trzyma się dzielnie.

— Widziałeś?

— Wracam wprost ze sklepu. Przyjmuje ich jak królowa. Przy niéj dwóch subiektów jak cerbery i młoda żydóweczka, bronią ją świetnie. Pytają się tonem pewnym i stanowczym, wydają towar i kłaniają się zimno. Damy przekonawszy się, że stanie hrabianki za ladą nie sprowadza trzęsienia ziemi, podrażnione jéj dumą, a stanowczością i chłodem subiektów, wychodzą.

— Czy uwierzysz że dotąd nie znam historyi jéj życia,—rzekł Zyzma.

— Krótka i dość zwyczajna jak na nasze stosunki. Bogata, pięknego nazwiska sierota, była na opiece swéj cioci. Ciotki mają zwykle jedynaków i pracują nad tém, aby ci robili świetne partye. Miała go a raczéj ma i ciocia twéj sklepowéj. Gotowa partya była w domu. Polityka cioci polegała na tém, aby nikogo nie pokazywać wychowance prócz swego jedynaka. Przesadziła jednak w wykonaniu programu. Pupilka znienawidziła kuzyna, nawinął się przystojny, śmiały dowcipny szlachcic—kazała mu się wykraść. Ciotka z obawy, przed procesem o dochody, zgodziła się, posag został wypłacony—resztę pewno sam wiesz lepiéj odemnie. Gra na giełdzie zakończona tragedyą.

Zyzma się zamyślił.

— Jaki jest twój stosunek z twoją sklepową nie wchodzę. Dość że nie mogłeś lepszego zrobić interesu.

— Jakiego interesu?

— Gdybyś założył sklep w najhumanitarniejszych tendencyach, przeznaczając dochód już nie wiem na jaki cel, nie przychodziliby i nie kupowali, podejrzywając, że możesz od nich wymagać ofiar, poprostu baliby się. Ponieważ jednak w twym sklepie i w jego założeniu jest choć pozorny skandal, zrobisz majątek. Nie dość na tém, papiery twéj moralnéj wartości na salonach naszéj stolicy poszły w górę. Być kochankiem pięknéj hrabianki Brańskiéj...

— Ale ja nim nie jestem, zawołał Zyzma oburzony.

— Boś głupi, pomyślał Blum. Ale jest wszelkie prawdopodobieństwo, że mógłbyś nim być,—dodał głośno.

— Nie, nie mógłbym—przysięgam ci.

— Mniejsza z tém, lecz ludzie wierzą że jesteś, co na jedno wychodzi. I to dodaje ci uroku. Stałeś się na pół bohaterem. Damy się pytają: któż to jest ten co potrafił oczarować dumną hrabiankę. Młodzież ci zazdrości. Przekonasz się gdy się tylko pokażesz na recepcyi u hrabiego. I dla tego to założenie sklepu i osadzenie w nim pięknéj młodéj damy, nazywam wybornym interesem.

— Nie myślałem o żadnym, gdyż tysiąc guldenów więcéj dochodu lub mniéj, nie jest dla mnie interesem.

— Ale dziesięć tysięcy zaczyna nim być. Nareszcie nie koniecznie pieniądze mają wchodzić w grę i stanowić podstawę interesu. Sława, znaczenie, wpływy, stosunki. Drzwi masz otwarte. Hrabianka Brańska otworzyła ci je na oścież. Do widzenia, jeżeli nie u ciebie w domu to u hrabiego na raucie.

— Alboś ty bardzo sprytny i wybornie odgrywasz swoję rolę, lub wielki z ciebie osioł. Założyć sklep dla pięknéj i młodéj kobiety i nie mieć jéj? Cóż to drwisz sobie ze mnie... Pomysł gienialny. A bądź sobie nawet geniuszem, a ja i tak po twym karku dojdę do celu i wtedy dopiero zadrwię z ciebie wspaniale. Hrabianka Brańska w sklepie tego żydka podobnego do fryzyera, lub kupczyka z galanteryjnego sklepu! Ma szczęście bo ma pieniądze. I gdy ja je będę miał popróbuję zagrać na haussę mamy fortuny, również w rzeczach mych upodobań i fantazyi.

Zyzma się zgryzł. Argumentacye Bluma były zbyt loiczne, aby można było wątpić w ich prawdę, tém więcéj że i on miał te same przeczucia. Nie powinien był jéj tu przywozić. Żal ścisnął mu serce.

— Za cóż ona ma cierpieć, znosić upokorzenia, walczyć i o co? Nie miał pojęcia jakiego to rodzaju i w imię czego wytworzyła się walka. Brakło mu do tego świadomości wyrabiającéj szerokie poglądy na stosunki ludzkie.

Wracał wolno do domu, pełen smutnych myśli. Mimo to czas od czasu usta jego wyginały się do uśmiechu. Opowiadanie Bluma podrażniło jego ambicyą i dumę a te dopominały się o swe prawa.

— Gdym do Tarnowa odnosił uzbierane gałgany i kości pomyślałby kto wtedy, że zostanę kochankiem pięknéj hrabianki, wyszeptał. Obejrzał się z obawy czy go kto nie słyszy. Za skarby świata nie ogłosiłby dziejów swéj przeszłości, gotów był uciec ze Lwowa i ukryć się pod ziemię.

— Kochanek hrabianki, powtórzył głośniéj, wyprostował się i dumnie spojrzał przed siebie. Przechodzący obok niego ludzie niezwracali na niego uwagi. To go nieco gniewało, uśmiechał się szydersko i patrzał na nich z utajoną pogardą.

Wrócił do domu, wziął książkę do ręki, lecz nie mógł czytać. Cała arystokracya mówi o nim. Piękne panie pragną go poznać i radeby wypróbować siły jego czarów na sobie. Rzucił ksążkę, tajona radość wypełniała jego serce. Zobaczył przez okno Sali idącą do niego. Przestraszony wybiegł na schody i nakazując palcem milczenie wprowadził dziewczynkę do pokoju.

— Cóż się stało, pytał cicho.

— Pani dostała serdecznego płaczu, ja i pan Daniel ratowaliśmy ją...

— Co za Daniel.

— Jakto nie wiesz, mój nauczyciel.

— I cóż zawołał niecierpliwie.

— Teraz się już uspokoiła, płacze, ale cicho.

— Sali! mów wszystko co wiesz.

— Kiedy ja nic nie wiem, tylko tyle, że od jedynastéj godziny zaczęły zajeżdżać powozy...

— Widziałem. Cóż pani?

— Nic, była blada, ale ani nie mrugnęła okiem, i patrzała na nie tak, że się one rumieniły. Pan Teodor subiekt powiedział mi, że to były krewne pani i znajome. Gdy odjechały, powiedziała: skończyło się, teraz mnie zostawią w pokoju. Rozmawiała z Teodorem i nawet uśmiechała się. Dopiero gdy wróciła na górę, wzięła Stasia na ręce, zaczęła go tulić do siebie i wtedy rozpłakała się tak serdecznie, ale tak, że się serce krajało.—Sali z pewną dramatycznością obtarła łzy świecące w jéj oczach.—Pan Daniel radzi aby pani nie schodziła po południu do sklepu. Ale powiedziała że pójdzie, że musi iść. Wiesz Zyzma, że nie chciałabym być polską hrabianką. U nas czy są pieniądze, czy nie, zawsze się jest żydem. Krewny zawsze jest krewnym, może nic nie dać, ale się przywita, ugada, poradzi. U nich to biedaka i rodzona ciotka nie poznaje i odwraca się—prawda Zyzma?

— Cieszysz się że jesteś żydówką.

— A czegóż mam się smucić. Że mnie się nie wyśmiewają, czy ja śpiewam po ulicach, czy w sklepie sprzedaję,—bylebym uczciwie zarabiała. I pan Daniel jest żydem,—dodała po chwili.

— Więc cóż?

— Nic, ty bo go jeszcze podobno nie znasz, chociaż go do nas przysłałeś. Bardzo jest dobry, pani go lubi. Jakby pani było gorzéj,

Teodor pójdzie po doktora. Do widzenia. Wpadnę tu dziś, albo jutro...

— Wyszła—Zyzma został. W umyśle jego zaczęła się znowu nie jednokrotnie rozpoczynana walka. Nareszcie zaczął się wstydzić sam siebie, z pogardą odtrącał myśli nasuwane mu przez próżność i ambicyą. Dźwigał się z upadku, bohateryzując z pewnėm zacięciem i deklamacyą swą poprawę.

— Podle postąpiłem ciągnąc tę kobietę za sobą. Zdanie to powtórzył po raz dziesiąty od wyjazdu z Wiednia.

— W Wiedniu odwiedzałbym ją i mógłbym po całych dniach być z nią razem, byłoby nam dobrze,—zarumienił się. Ona by nigdy nie została żoną żyda, zawołał—nigdy... Ale, dodał łagodząc swoję boleść, lubiłaby mnie, ufałaby mi, szanowałaby mnie. Tu zostałem jéj urzędowym kochankiem, a widywać mi jéj nie wolno. Skrzywdziłem kobietę, zatrułem jéj życie, spotwarzono ją przezemnie i dla mnie. Cierpiał, a jednak serce nie biło mu mocniéj.

— Muszę ją ratować—ale jak. Uciekać—wyborna myśl—jadę do Wiednia, ztamtąd do Paryża? Po francusku nie umiem! No to pojadę do Monachium, Szwajcaryi, wszędzie tam gdzie mówią po niemiecku... Majątek stracisz? Będę żył oszczędnie. Przecież to lepiéj potrafię jak pana udawać. Konie sprzedam, mieszkanie odnajmę... Blum przyjaciel powinien mi pomódz. Jutro w drogę! Wrócę wtedy, gdy wszystko ucichnie, gdy mi ona pozwoli wrócić.

Dumny był ze swego bohaterstwa i tragiczności jaką sobie tworzył. Nie chcąc tracić chwili czasu poszedł do Bluma.

Idąc opanowywały go żal i tęsknota. Uciekać gdy dopiero zaczął żyć, wyrabiać stosunki, dochodzić do znaczenia i wpływów. Zdawało mu się że wielkiemi sprawami kieruje.

Spotkał go Natan i skłonił się zdejmując ostentacyjnie kapelusz. Zyzma zatrzymał go—przywitali się.

— Cieszę się że pana spotykam, jutro rano wyjeżdżam...

— Już jutro, odezwał się z odcieniem szczerego żalu chłopiec i tém chwycił Zyzmę za serce.

— Muszę.

— Na długo?

— Czasu oznaczyć nie jestem w stanie.

— Za parę dni ukaże się pierwszy numer naszéj „*Zgody*“ nie będziemy mogli ofiarować go panu, ani się pożegnać. Siostra moja, chciała panu podziękować.

— Za cóż?

— Za... zawachał się—za pamięć o niéj, lecz cóż nie przyszedłeś pan, dodał ciszéj smutno.

— Przyjdę dziś, Sykstuska—numer?

— Piętnasty, na drugiém piętrze.

— A co do waszego pisma bądź pan spokojny nie porzucę was, dziś przyniosę...

— Ależ z tém co mamy jesteśmy w możności wytrwać pół roku, przerwał mu Natan cały w płomieniach.

— Nie posądzam panów o chciwość broń Boże. Jestem tylko tyle praktyczny, że lubię kończyć zaczęte interesa—wyciągnął do młodzieńca rękę i uścisnął ją serdecznie.

Szli razem w milczeniu.

— Poznałeś pan głowę naszéj partyi? nauczyciela pańskiéj kuzynki.

— Nie poznałem jeszcze, lecz gdy wrócę...

— Nic pana nie powstrzyma od tak nagłego wyjazdu?

— Jakiś nadzwyczajny wypadek, lecz ponieważ nadzwyczajności rzadko się trafiają...

Stanęli przed mieszkaniem Bluma.

— Mam nadzieję i pana zastać u siostry, rzekł żegnając się.

— Z pewnością, pośpieszył odpowiedzieć Natan.

— Zyzma pobiegł na górę i za chwilę znalazł się w pokoju młodego adwokata.

— Czy kazała ci wyjechać, spytał się Blum,—wysłuchawszy tyrady Zyzmy.

— Ja się z nią nie widuję.

— A więc zobacz się i spytaj a ręczę że otrzymasz rozkaz abyś został. Wyjazd twój znaczyłby ucieczkę—jéj tchórzostwo, przyznanie się do winy, chęć rehabilitacyi i upokorzenie się przed ciotkami. Mówisz że jest niewinna.

— Przysięgam.

— Wyjazdem mógłbyś ją potępić na zawsze, bez ratunku, bez możności wyjścia.

— Nie wrócę jak za rok.

— Wszystko jedno. Zawsze to w opinii będzie znaczyć, że ona cofnęła się przed opinią, stchórzyła przed szyderstwem ciotek. Nareszcie tobie nie wolno jechać, jako człowiekowi honoru.

— Dla czego?

— Przyjąłeś zobowiązania, przysiągłeś mi że razem będziemy pracować w najszlachetniejszych celach naszéj sprawy. I gdy się akcya zaczyna ty uciekasz. Powiedzą żeś blagier, że nie umiesz dotrzy-

mać zobowiązań, że twoje wpływy są żadne i żeś dla tego urządził nogę.

— Mogę sprawy nasze popierać w Wiedniu.

— Dobrze, lecz nie teraz, akcya zaczyna się tu i dla tego należy zostać. Sejm niedługo będzie otwarty. Jutro odbierzesz zaproszenie na raut do hrabiego, i musisz być, jeżeli nie dla siebie to dla niéj.

— Koniecznie?

— Niezbędnie. Bądź śmiały, energiczny, czasem nawet zuchwały, a będą cię szanować. A teraz bądź zdrów. Jutro występuję przed sądem przysięgłych, a nie mam pojęcia jak się wziąść do obrony szkaradnéj zbrodni.

— Ależ to głupiec skończony i do tego zakochany! Ufundował sklep, urządził mieszkanie, płaci, a ona mu drzwi zamyka przed nosem. Pozwala na to, rozpacza, chce uciekać... Zważywszy że to jeszcze żyd... Jeżeli które z dzieci Izraela odznaczy się naiwnością, to już przewyższy nawet przeciętnego Styryjczyka. A ja z obawy przed nim chciałem prowadzić grę nadzwyczaj ostrożnie, wyrafinowaną w przebiegłości. I warto to było tyle zabiegów, dla takiego głupca.

— A więc zostaję—rzekł z rezygnacyą Zyzma stając na ulicy dla silniejszego skupienia myśli. Muszę zostać, zawołał i to zostać dla niéj, aby patrzéć wyzywająco ludziom w oczy i upokarzać ich swoją godnością. I znowu zaczynał być dumny z nowéj swéj roli.

„Ona“ i sprawy mego kraju wymagają abym został. Nie nauczył się jeszcze wmawiać w siebie poświęcenia. Wyraz ten był mu dotąd obcy. To mu jednak nie przeszkadzało, aby powoli uczyć się uważać siebie za ofiarę fatalizmu i swych obowiązków.

Poszedł do hotelu Georgea i z miną dyplomatyczną kryjącą w sobie niedocieczone tajemnice zasiadł do obiadu.

— Młodzi panicze siedzący przy stolikach, zaczęli pokazywać go sobie oczami i cicho szeptać.

— Pomimo dobrego słuchu i natężenia nie mógł złapać ani jednego wyrazu, lecz nie wątpił że rozmowa się toczy o nim i „pani.“

— Zazdrościcie mi, pomyślał uśmiechając się ironicznie i mówicie: ten żyd sięgnął ręką po jedną z naszych, może krewnę, niedawną przyjaciołkę lub znajomą,—lecz żaden z was nie odważy się przyskoczyć i wyciąć mi policzek.

Krwią mu zabiegła twarz, pochwycił nóż, ściskając go nerwowo

— I dobrze robią, bobym pierwszemu, któryby się do mnie zbliżył, ostrze tego noża zabił po sam trzonek.

— Kelner, zawołał rozdrażniony, butelkę szampana.

Młodzi ludzie spojrzeli na niego, potém po sobie i uśmiechnęli się. Zyzma zbladł, zmrużył oczy i chcąc ukryć wzruszenie, pochwycił leżący na stole dziennik zasłaniając się nim.

Sala powoli zaczęła się wyludniać—Zyzma został sam w obec butelki zamrożonego szampana. Pił ze wzrastającém upodobaniem. Do głowy zaczęły mu przypływać weselsze myśli, uśmiechał się i rad był z siebie.

— Wytrwam, powtarzał i obronię ją tu na miejscu, swoją energią i dzielnością. Niech ją tylko zaczepią! Nie takie ja konie ujeżdżałem... Dam ja wam radę.

Nie wiedział komu grozi, wino rozgrzewało w nim krew, pobudzając wojownicze instynkta.

Wrócił do domu czekając na Sali,—nie przychodziła. O zmroku wybiegł i z przeciwnéj strony ulicy obserwował swój sklep. Ściemniało,—stróż domu zaczął znosić okiennice, wtedy zbliżył się, zajrzał przez szybę i wszedł.

Pani nie było, Sali zdziwiona patrzała na niego, subiekci stereotypowo uśmiechnięci kłaniali się z zacięciem kupieckiem.

Gdy wchodził był pewny że dużo ma do powiedzenia, otwieral usta, lecz nie wiedział co mówić. Subiekci byli pewni, że będzie przeglądał księgi lub liczył kasę.

— Pani po obiedzie zeszła do nas, odezwała się pierwsza Sali lecz ją głowa rozbolała, odprowadziłam ją na górę położyła się.

— Dzisiejsze przejścia, zaczął Teodor melodramatycznie.

Zyzma był pewny, że ton subiekta jest dla niego wyrzutem.

— Sama chciała, przerwał rozdrażniony.

— Młodzi ludzie w milczeniu głowy skłonili.

Zyzma stał zamyślony.

— Pobiegnij, szepnął do dziewczynki, zobaczyć jak się ma „Pani."

Sali wyszła, Zyzma skinieniem głowy przywołał subiektów i zaczął cicho.

— Znacie panowie historyą „pani."

Milczeli.

— Po śmierci męża nie miała sposobu do życia. Poznałem ją w chwili, gdy myślałem o założeniu sklepu, prosiła mnie o miejsce. Perswadowałem,—nic nie pomogło. Jest to kobieta szlachetna, nieskazitelna, lecz dumna, i aby się zemścić na ciotkach, które ją odtrąciły, przyjęła,—mówił z naciskiem—służbę u żyda.

Na blade oblicza młodych ludzi wystąpiły rumieńce,—oczy przysłonili rzęsami.

— Co innego panowie — pośpieszył dodać — wy się nie pytacie jakiéj kto religii, wam jedynie idzie o firmę i uczciwość. My kupcy znamy się na tem.

— Niezawodnie—zawołali jednocześnie.

— Szlachta i arystokracya inaczéj patrzą i dla tego hrabianka Brańska zostając sklepową u żyda zmaltretowała swoję familią. Czy uwierzycie, że gdy umierała z głodu, napisała list do ciotki i nie odebrała odpowiedzi.

Szmer oburzenia i zgrozy wydobył się z piersi subiektów.

— A teraz przez zemstę gotowi gadać, że ona jest moją kochanką.

Subiekci milczeli.

— I dla tego noga moja nie postanie w jéj mieszkaniu. Do przejrzenia rachunków, poproszę panów do siebie. Niech sobie gadają, kiedy w tém nie ma cienia prawdy,—co?..

— Niech gadają—zawołał z patosem Teodor.

— Bo gdyby chciała już zostać czyjąś kochanką, to by pewno wybrała sobie kogo innego a nie żyda. Prawda?

Subiekci nie wiedzieli co odpowiedzieć.

Wróciła Sali.

— Pani śpi—powiedziała sucho.

— Gdyby jutro nie wstała, pamiętajcie posłać po doktora.

— Pan Daniel wié o tém dobrze—odpowiedziała mu Sali.

Zyzma wyszedł, dziewczynka pobiegła na górę, zostali subiekci.

— Dla czego on to wszystko nam mówił — odezwał się subiekt wiedeński.

— Jest w tém coś, bo jak na żyda za dużo serdeczności. Uważałeś jak ciągle wyjeżdża ze swojém żydowstwem.

— To już taki wiedeński szyk — zapewniał subiekt z Wiednia. Jak ci się zdaje, czy to jest prawdopodobne, aby ta piękna kobieta była jego kochanką.

— Przysięgam ci, że w tém cienia podobieństwa niema—zawołał Teodor.—Ja znam polki.

— Mój kochany, tylko pomyśl — mówił wiedeńczyk, — ona nie ma pojęcia o handlu i interesie, on jéj najmuje mieszkanie i pewno płaci dobrą pensyą, bo z czegoż-by żyła? I to wszystko robi żyd.

— Ale ona za to jest przynętą sklepu, i jak się mogłeś przekonać, żyd nie głupi.

— Arystokracya była raz, i raptem wszystkiego utargowaliśmy za kilkanaście guldenów.

— Nie znasz naszych stosunków—odpowiedział mu, z pewnością siebie lwowianin.—Tu arystokracya wszystkiém rządzi i jeżeli

ona pójdzie raz, za nią całe mieszczaństwo będzie ciągnąć do sklepu, jak procesya, przekonasz się. A niech się tylko raz wnęcą, to już nie potrafią gdzie indziéj kupić, tak samo jak w Wiedniu. Widzisz, że żyd ma rozum i wié za co płaci. Szwaczkom i pokojówkom pochlebia, gdy hrabianka wybiera im guziki i waży jedwab'. Za tydzień będzie tu tłok, musimy przyjąć ze trzech chłopaków, gdyż sami nie damy rady.

— Prawda. Biedna kobieta, mając do wyboru głodną śmierć, lub służbę u żyda, wybrała to drugie.

— A że on nie przychodzi, widać, że jest uczciwym człowiekiem. Nieszczęśliwa kobieta, piękna i młoda, tak haniebnie zmarnowana. Brońmy ją.

— Brońmy—powtórzył kolega.

Tak usposobieni dla młodéj kobiety, subiekci opuścili sklep, opowiadając głośno swoje poglądy u Kosteckiego i Grossa, w dwóch cukierniach, a jedynych atrakcyach inteligencyi Lwowa.

Zyzma rad z siebie wyszedł ze sklepu, pewny, że przekonał subiektów.

— Najlepiéj siebie wyszydzać, tym sposobem ludzi się rozbraja i broni tych, których bronić chcemy — zadecydował. Zdawało mu się, że wiele zrobił, aby ocalić honor kobiety, która losy swe powierzyła w jego ręce. Mimo to, z tajników jego mózgu, z głębin serca wychylała się duma, że to on, i nikt inny jest kochankiem pięknéj, świetnie urodzonéj kobiety.

Myśli tłoczyły się do jego mózgu, chociaż je siłą odpychał. Wszedł do jezuickiego ogrodu.

Zachodzące słońce, rzucając ostatnie blaski, oblewało niebo i ziemię krwią. Granatowe chmury, posuwały się z zachodu, jak armia zbita w kolumny, zajmująca w milczeniu plac boju. Wiatr szumiał, uginając wierzchołki topoli, liście na drzewach drżały, krajobraz stawał się ponury, oświecony czerwonemi blaskami, rozlewającemi się po ciemnych chmurach.

Smutek raptownie opanował młodego człowieka, nieznane mu dotąd uczucie żalu wciskało się do jego serca.

Błyskawice i dalekie grzmoty, zapowiadające burzę, dały hasło ludziom goszczącym w ogrodzie do odwrotu. Ciemność stopniowo zalegała horyzont, tonęły w niéj drzewa i zielone trawniki. Jedynie gmach sejmowy świecił białością murów, rysując swoje kontury na czarném tle chmur i powoli rozpościerającym się dokoła mroku.

Duże krople deszczu powoli w szerokich odstępach zaczęły padać na ziemię. Czas był się cofnąć. Sykstuska ulica tak blisko, w porę ją sobie przypomniał.

Wzruszony, choć sam nie wiedział dlaczego, dotarł na drugie piętro, ręka mu zadrżała gdy guzik dzwonka przyciskał.

Cicho otworzyły się drzwi, Natan przyjął gościa, pomagając mu zdjąć paltot.

Na środku salonu czekała Żaneta w czarnéj sukni. Była blada, krew ściekała jéj do serca, oczy świeciły ogniem, zdawała się być niespokojna, rozmarzona, usta jéj lekko drżały. Siląc się na wesołość, uśmiechnęła się.

— Zaledwie poznany porzucasz nas pan, podobno na długo— dodała smutno.—Gdyby Zyzma miał słuch wykształcony, usłyszał-by drżenie jéj głosu.

Młody człowiek szukał oczami gospodarza.

— Ojciec—pochwyciła—jest tylko gościem w domu, przeważnie mieszka w wagonach, na drodze ze Lwowa do Wiednia. Biedny, zapracowuje się dla nas.

— I pani na to pozwalasz—zapytał bez myśli.

— Na wiele-bym rzeczy nie pozwalała—odpowiedziała, patrząc mu w oczy — lecz sił mi brak. Mogłabym mieć prawo, ale cóż, gdy siła przed prawem.

— Naprzykład?

— Może-by mi przyszła fantazya zakazać panu wyjeżdżać, a brak mi—dodała ciszéj, rumieniąc się lekko—sił.

Odgłos dzwonka przerwał rozmowę. Natan wybiegł do przedpokoju, dziewczyna przysłoniła oczy rzęsami, wpatrując się w haft chusteczki, trzymanéj w ręku.

Zyzma nie widział wzruszenia dziewczyny i poważnie milczał.

Do pokoju weszli Józef i Daniel. Zyzma powstał, uścisnął za rękę Józefa, a gdy się dowiedział, że przedstawiony mu drugi młodzieniec jest nauczycielem Sali, pośpiesznie podprowadził go do okna.

— Dawno pan byłeś u swéj uczenicy?

— Wracam ztamtąd.

— I cóż „pani"— szepnął.

— Lepiéj, chwilowe rozdrażnienie nerwów.

— Leży?

— Prosiłem aby nie wstawała.

— Usłuchała pana?

— Przyrzekła.

— Chwała Bogu. Jak widzę masz pan wpływy.

Daniel się zarumienił.

— Cóż uczenica, zaczął po małéj przerwie.

— Zdolności uderzające, chęć do nauki wielka. Charakter żywy, gwałtowny nawet, lecz podstawy jego szlachetne.

Zyzma przyglądał się uważnie młodemu człowiekowi. Odpowiedzi jego stanowcze i jasne zaimponowały mu. Przypomniał sobie, że to głowa stronnictwa i naczelnik partyi.

Wyciągnął ku niemu rękę.

— Cieszę się, że los wybrał pana na przewodnika dla méj kuzynki. Czuwaj pan nad całym domem, dodał z przymuszonym uśmiechem.

— O ile tylko pozwolą...

— Kto?

— „Pani“ i pańska kuzynka.

— Ależ dziewczynę zupełnie już zawojowałeś.

Widocznie nie śmiały i nieobyty w stosunkach z ludźmi, młodzieniec zarumienił się.

Wrócili do towarzystwa, Zyzma usiadł blisko młodéj dziewczyny. Czarna jéj suknia obszyta koronkową kryzą u szyi, uwydatniała białość twarzy i blask jéj oczu. Włosy gładko zebrane w warkocz przewiązany purpurową wstążką wpadały w granat. Usta miała nieco odchylone, nozdrza lekko rozwarte, przypominające wschód...

Gdy Zyzma zwrócił się do młodzieży, wpatrywała się w niego zamyślona, marząca.

Rozmowa toczyła się swobodnie i wesoło. Młodzież mówiła dużo i z zapałem o mającém wyjść ich piśmie. Podnosiła wpływ wydawnictwa i swoje stanowisko do olbrzymich rozmiarów. Walczyła mężnie, zdzierała maski obłudy, maltretowała upartych, trzymając sztanda swych zasad wysoko.

Trzeźwy umysł Zyzmy, wyrobiony doświadczeniem, łatwo odgadł egzaltacyą młodzieńców, lecz dał się im porwać, cieszył się razem z nimi i coraz więcéj sympatyzował z ich sprawą. Oni go uczyli kochać kraj rodzinny i wierzyć w jego przyszłość. Niewidzialnie, jakby siłą magnetyczną, opanowali jego umysł i prowadzili za sobą. Winien to był przedewszystkiém wrodzonemu optymizmowi i odziedziczonym skłonnościom do propagandy. Zapalał się i choć mało mówił, czuć było z brzmienia jego głosu, rumieńców na twarzy i blasku oczu, że jest rozgorączkowany.

Żaneta, patrząc na brata i jego przyjaciół, zdawała się mówić:

— Przeczucia moje nie zawiodły mnie.

Józef rad był skłonić Zyzmę do otwartego popierania ich sprawy, lecz Daniel i Natan przerywali mu z samego poczucia delikatności.

— Przyjdzie i na to czas—odrzekł lakonicznie młody człowiek. Żaneta spójrzała na Topaza, marszcząc gładkie czoło.

— Wierzymy panu — rzekła z przyciskiem — i ufamy — dodała ciszéj.

— Dziękuję pani—odparł Zyzma, z serdecznym uśmiechem.

Po kolacyi Daniel zwrócił się z prośbą do rozmarzonéj dziewczyny o deklamacyą. Poparli go Zyzma i Józef.

Młoda dziewczyna, rumieniąc się, broniła się. Lecz gdy Natan pocałował ją w czoło, a Zyzma w rękę, zasiadła do fortepianu.

Łagodne tony wydobywały się z pod jéj palcy. Zyzma zdziwiony słuchał, nie mogąc sobie zdać sprawy z uczucia, które nim opanowało.

Dziewczyna zbladła i przy cichym akompaniamencie, zaczęła drżącym głosem:

„Niech fantastycznie lutnia nastrojona
Wtoruje myśli posępnéj i ciemnéj“.

Powoli głos jéj nabrał siły, oczy blasku, nozdrza się rozszerzały, zęby z po za różowych ust świeciły białością kości słoniowéj i pereł.

„Na Termopilach—nie na Cheronei“
Trzeba się memu załamać koniowi“

Daniel słuchał spokojny, majestatyczny. Józefowi oczy świeciły, twarz się oróżowiła. Natan siedząc w rogu salonu, przenosił wzrok z Zyzmy na siostrę.

Zyzma zachwycał się głosem dziewczęcia, jéj deklamacyą, a nawet akompaniamentem, który wzruszył go pieszczotliwością tonów, lub porywał grzmiącemi akordy, podobnemi do tententu koni, lecz nie rozumiał. Serce mu się ściskało ze wstydu, bał się, żeby się nie domyślano, że nie dla niego płynęły te czarujące wiersze swoją muzyką.

Dziewczyna skończyła, cisza zaległa salon. Młodzieńcy nie śmieli się odezwać, zostawiając pierwszeństwo Zyzmie. Ten nie wiedział co powiedzieć. Milczenie jego, złożono na karb głębokiego wzruszenia.

— Warto kochać naród, jeżeli posiada takich poetów — odezwała się młoda dziewczyna, wstając.

— Warto—szepnął Zyzma.

— Raczéj mamy prawo być dumni z naszego poety — rzekł z przyciskiem Daniel.

— Źlem się wyraziła, lecz pamiętaj pan, że ja zaledwie od paru lat jestem polką — odpowiedziała dziewczyna i wzruszona usiadła obok Zyzmy.

— Pani jesteś zmęczoną—zapytał cicho.

— Denerwuje mnie Słowacki. Lecz im mnie więcéj denerwuje, z tém większą rozkoszą upajam się nim.

I znowu zaległa cisza. Zyzma nie śmiał się odezwać, żeby nie powiedziéć coś niewłaściwego. Dziewczyna blada, zatopiona w swych myślach, z błyskami tajemniczych ogni w oczach, milczała. Pierś jéj wznosiła się miarowo, usta się zacisnęły, ręce opadły na poręcze fotelu. Patrząc w przestrzeń, nikogo i nic nie widziała. Możnaby przysiądz, że wypowiedziane przed chwilą wiersze wracały do jéj mózgu. I gdyby ją kto zbudził i zmusił mówić, usłyszałby pewno:

„Na Termopilach — nie, na Cheronei
Trzeba się memu załamać koniowi“.

Zyzma wstał i pocichu poszedł po kapelusz. Szelest zbudził dziewczynę z zadumy, zwróciła wzrok na niego.

— Prędko pan nas opuści—spytała.

— Zostaję—odpowiedział.

— Nie wyjeżdżasz pan?

— Zostaję — powtórzył ściskając ją serdecznie za rękę, pożegnał młodzieńców i wyszedł.

Żaneta ze wzruszenia nie była w stanie się podnieść i słowa wymówić.

— Jestem skończony głupiec — rzekł na ulicy.—„Cheronea“, „Termopile“, „Atrydzi“..... Słyszałem piękną muzykę słów „koszula Dyaniry“... Muszę te wszystkie wyrazy wyszukać w encyklopedyi. O ile ci młodzi ludzie są szczęśliwsi odemnie. Dziewczyna omdlewała pod czarem wygłaszanéj poezyi...

— I stało się, że w tém mieście wielkiém i ludném jestem sam, niemam towarzystwa i przyjaciół, w gronie których mógłbym swobodnie przepędzić parę godzin. W obec jednych lękam się wyrwać z głupstwem i zdemaskować się, drzwi najbliższych mi są dla mnie zamknięte.

Zaczął mimowolnie porównywać Żanetę z „panią“. W towarzystwie téj drugiéj był swobodniejszym, mimo swéj nieśmiałości. Żanecie imponował bogactwem i pozycyą, chociaż czuł się skrępowanym brakiem wykształcenia.

— Zawsze „pani“ jest wielką panią, a żydówka żydówką—zadecydował, pomimo, że w ciemnościach świeciły mu czarne oczy żydówki, patrzące smutno i rzewnie i, pomimo że żydówka, przygniatała go swemi wiadomościami i polotem myśli.

Po powrocie do domu zaczął odczytywać grób Agamemnona, szukając objaśnień niezrozumiałych wyrazów w encyklopedyi niemieckiéj. Rad był się wydobyć z otaczających go ciemności, choć-

by do światła jutrzenki pewnéj określonéj wiedzy. Popychały go do tego ambicya, wstyd i powoli wyrabiające się w nim instynkta, rozbudzane wypadkami, towarzystwem dwóch kobiet i młodych przyjaciół.

— Został—rzekł uroczyście Natan, po odejściu Zyzmy.

— I prosił o cierpliwość—dodał Józef.

Na bladą twarz młodéj dziewczyny wystąpiły rumieńce.

— Nas prosił o cierpliwość — rzekła, — a jednemu tylko panu Danielowi zwierzał się.

— Zadawał mi pytania w kwestyi swych domowych stosunków.

— Domowych, powtórzyła zdziwiona.

— Jest jakaś tajemnica.

Młodzieńcy i Żaneta zbliżyli się.

— W sklepie jego sprzedaje nici i guziki hrabianka Brańska z domu. Zasłabła. Wypytywał się o jéj zdrowie. Widocznie nie wolno mu tam chodzić.

— Młoda, piękna?

— Młoda i piękna, matka ślicznego chłopca.

Nastała cisza.

Natan smutnie spójrzał na siostrę. Demokratyczne usposobienie Józefa oburzyło się na stosunki ich stronnika z arystokracyą. W umyśle dziewczyny zapanował chaos. Myśli tłoczyły się bezładnie, a serce dawało znać o sobie, to przyśpieszoném biciem, to bólem kurczowym. Jeden Daniel był spokojny, myśląc o pierwszym numerze swéj „Zgody“.

Hrabianka Brańska z domu, w sypialnym pokoju swego mieszkania, na trzecim piętrze, leżała na wygodnie usłaném łóżku. Obok niéj spał Staś. Lampa okryta zieloną zasłoną rzucała łagodne światło.

Młoda kobieta nie mogła zasnąć. Wspomnienia przeszłości tłoczyły się do jéj mózgu, wstrząsając nerwami. Porównywała je z obecném swojém stanowiskiem i mimowoli łzy tłoczyły się jéj do oczu.

Gdy cierpiała nędzę, gdy głodna śmierć zaglądała jéj w oczy, myślała tylko o zabezpieczeniu bytu, jako o jedyném swém szczęściu, a nawet rozkoszy. Dziś nędza jéj została zażegnana, głód odpędzony na zawsze, wróciła do miasta, w którém przepędziła najświetniejsze chwile życia, zobaczyła dawne swoje znajome, przyjaciółki, kobiety ze swego otoczenia, które, mrużąc oczy, patrzały się na nią, jak na rzecz, lub ciskały spójrzenia pogardy i niechęci, szepcząc między sobą wyrazy, których się domyślała.

Co za dziwne zmiany, jakie przeobrażenia. W Wiedniu, rozpoczynając grę na giełdzie z mężem, pragnęła wygrać milion i wrócić do Lwowa, aby wystawném życiem, świetnością salonów, elegancyą,

protekcyą sztuki, upokorzyć swych nieprzyjaciół, imponować im, być podziwem tłumów, zmusić dzienniki do hymnów pochwalnych....

Rozczarowanie przyszło zbyt prędko, za niém katastrofa, wróciła do stolicy, lecz na łasce żyda, w służbie u niego, opinia wskazuje ją, jako jego kochankę, on ją uczy obowiązków obywatelskich i pośrednio literatury polskiéj.

Na blade jéj policzki wystąpiły czerwone wypieki, podrażnione nerwy szarpały organizmem. Zerwała się z łóżka, chodziła po pokoju, pijąc wodę. Wyglądała przez okno na rozsypane po szafirze nieba iskrzące się gwiazdy. Nie mogła się modlić, choć kiedyś dawniéj była nabożna, nie mogła poszarpanych myśli skupić i ułożyć. Ból, wstyd i upokorzenie wstrząsały nią.

Dopiero gdy różowa jutrzenka oświecała pokój, nerwy jéj pod promieniami światła uspokoiły się nieco. Stanęła przed łóżeczkiem Stasia i patrząc na łagodną jego twarzyczkę, myślała o obowiązkach i poświęceniu. Pod wpływem tego uczucia zaczęła marzyć na temat męczeństwa i to ją uspokoiło.

Już niejednokrotnie fantazya jéj przyzwyczajała się pracować w tym kierunku, zawsze z pomyślnym skutkiem dla złagodzenia jéj rozdrażnienia.

Poświęcić się dla syna, być męczenniczką dla jego przyszłości, oto jéj cel. Nigdy dotąd nie pomyślała, że gdyby nie jéj próżność i pragnienie upokorzenia milionami ciotek, Staś byłby posiadaczem paru kroć sto tysięcy guldenów, byłby wychowany w sferze, do któréj według opinii matki, miał prawo należéć w sferze jedynéj, w któréj żyć można, w co do dziś jeszcze, nie śmiejąc tego powiedziéć głośno, wierzyła.

Ranny chłód przejął ją, wróciła do łóżka i uspokojona zasnęła, aby nazajutrz wstać i z uśmiechem męczennicy zejść do sklepu.

— Muszę ją widziéć — powtarzała sobie Żaneta. Spieczone jéj usta, oczy świecące, blado niebieskie obwódki pod oczami, mówiły o wzruszeniach serca i źle przespanéj nocy.

Ledwo się doczekała dziesiątéj godziny. Twarz przykryła czarną woalką, zarzuciła okrycie i wolno, aby zapanować nad sobą i uciszyć gwałtowne bicie serca, poszła wprost do sklepu.

Nienawiść do chrześcian i polaków, wydobywała się z głębi jéj serca, mimo, że ją uciszyć chciała.

Pierwsza do niéj uśmiechnęła się Sali, subiekci skłonili. Dziewczyna zawahała się jedno mgnienie oka i poszła wprost do młodéj damy.

Poprosiła o włóczki i kanwę.

W. tym dziale „pani“ posiadała pewną biegłość, paczki z włóczką podawała jéj Sali. Zaczęła się rozmowa. Młoda kobieta udzielała rad nieznajoméj pod względem doboru kolorów.

Kupujący zaczęli się schodzić, — należało skończyć rozmowę, zabrać towar i wyjść.

— To ona aż tak jest piękną, myślała wracając do domu. A jak dystyngowana, elegancka, czarująca..... Cóż ja przy niéj biedna żydówka ze swoją muzyką i deklamacyą. Ona pewno odemnie lepiéj gra, a jako polka i lepiéj deklamuje. Czemże ja go pociągnę do siebie.—Zwątpienie i smutek podobne do ciemnych chmur, tłoczyły ją.

Wróciwszy do domu stanęła przed lustrem powoli zdejmując woalkę i kapelusz.

— Ani ja nie mam takiego jak ona uśmiechu pełnego czarów, ani takich ust rozkosznych do całowania. I pewno rozmawiać jak ona nie umiem: przyjemnie i łatwo. Książki tych czarów nie nauczą, można się z książek zaledwo o nich dowiedziéć. Już dawno, parę lat temu, chodziłam jeszcze w krótkiéj sukience, ojciec zaprowadził mnie na koncert. Widziałam ją, otoczoną wykwintną młodzieżą, uśmiechała się do nich jak przed chwilą — przypominam sobie..... A dziś jest jego sklepową—kochanką!

Zyzma urósł w jéj oczach na bohatera. Straciła nadzieję, aby kiedyś mogła pozyskać jego miłość, lecz pewno i dla tego zdawało się jéj, że go więcéj jeszcze kocha.

Natan domyślał się co się dzieje w sercu dziewczyny, lecz bał się pytać, bał się poruszać tak drażliwą dla nich obojga kwestyą.

Widząc ją smutną i zamyśloną, całował ją w czoło i pocichu wychodził z domu.

VIII.

— To już dowiedzione, że nie ma we Lwowie szczęśliwszego człowieka nad ciebie, mój drogi — mówił, stojąc w pokoju Zyzmy przed lustrem, Blum, we fraku i białym krawacie.

Zyzma się uśmiechnął ironicznie. Uśmiech ten zobaczył Blum.

— Bo czego ty chcesz więcéj — zawołał. Jesteś młody, przystojny, zdrów jak wilk, bogaty, masz stanowisko, dobijają się o ciebie ludzie najróżnorodniejszych sfer, i—i przynajmniéj tak głosi opinia, jesteś właścicielem najładniejszéj przed paru laty we Lwowie panny, nie mówiąc o jéj wysokiém urodzeniu.

— W téj kwestyi proszę cię zamilcz na zawsze — przerwał mu rozdrażniony Zyzma. — Zacząwszy od mego stanowiska, które jest fałszywe, wszystko jest blagą.

— Przeciwnie, nie ma w tém cienia fałszu, lub blagi, pozycyą masz i postanowiłeś z niéj korzystać. A co do własności pięknéj kobiety, ja mogę milczéć jeżeli ci się podoba, lecz czyż możesz zamknąć sto tysięcy ust? Dziś na przykład jesteś *graet attraction* rautu u hrabiego Zygmunta. Zaręczam ci, że będą tłumy i to przeważnie kobiet; hrabina Cesia, ciotka twéj sklepowéj, nie jest lubianą dla srogości swych purytańskich zasad i złego języka. Będą ją chciały upokorzyć i zbiorą się tłumnie. Tak się to krzyżują interesa i namiętności, których nici i promienie ześrodkowują się w tobie. No obróć się.

Posłuszny Zyzma spełnił rozkaz. Blum nasadził szkiełko i patrzał.

— Gucio ci pozazdrości fraka — zawołał.

— Któż to jest Gucio?

— Jakto, nie znasz Gucia?

— Niestety.

— Gucio jest siostrzeńcem hrabiego Zygmunta, a przeznaczeniem jego jest mieć z największym szykiem robione fraki, najekscentryczniejsze krawatki, kochać się, lub udawać że się kocha, w najładniejszych kobietach i posiadać okrzyczanéj sławy konie. Za to wszystko jest wyrocznią młodzieży, ulubieńcem dam, ma przywiléj mówienia głupstw wszelkiego rodzaju, z których ludzie czują się w obowiązku głośno śmiać. Wolno mu udawać kogo mu się podoba, żartuje z własnego stryja. Mówi po niemiecku jak cesarsko-królewski leitenant, po francuzku jak bona szwajcarka, ma ich rozum, przy tém spryt, obycie towarzyskie i króluje!

— Tak?—zapytał zdziwiony Zyzma.

— A tyś pewno myślał, że na salonach hrabiego zastaniesz samych filozofów i filozofki. Bądź spokojny, oprócz kilku rozumnych ludzi, reszcie zaimponujesz temi paroma tomami Słowackiego i Mickiewicza, które masz na stole.

Zyzma uśmiechał się z powątpiewaniem.

— Tylko odważnie, przytomnie i cynicznie. Nic sobie nie rób z nikogo i z niczego, drwij ze wszystkiego tak jak ja, a będą mieć respekt przed tobą.

— Jedźmy.

Mimo zapewnień przyjaciela Zyzmie biło serce przez całą drogę, a gdy lokaje zdejmowali z niego paltot, zbladł, ściskając nerwowo za rękę Bluma.

Weszli, gubiąc się w tłumie. Blum się witał, rozdzielając ukłony, stosownie do stanowiska i majątku. Cynizm jego znikł, zmieniając się w czołobitność i służalstwo.

W drugim salonie zastali gospodarza rozmawiającego w kole dam.

— Dziękuję panu za pamięć—odezwał się hrabia, podając rękę młodemu człowiekowi,—jak również i tobie, panie Blum, za to, żeś nam dostawił tak miłego gościa.

Lornetki pań zbliżyły się do oczu, Zyzma zarumienił się pod natłokiem ciekawych spójrzeń. Hrabia wziął go pod ramię i zaprezentował.

Na twarz młodego człowieka buchnęły płomienie.

Jedna z dam, bliska krewna hrabiego, odgrywająca rolę gospodyni, zaczęła z nim rozmowę po niemiecku. Zyzma bojąc się aby w swéj niemczyznie nie zdradzić się zwrotem żydowskim, odpowiedział po polsku. Był nawet nieco dumny, że mógł mówić tym językiem.

— Ach, zapomniałam, że pan jesteś galicyaninem—odezwała się dama z uśmiechem.

— Polakiem — rzekł Zyzma nieśmiało, nauczony przez Żanetę i jéj przyjaciół.

Poprawka ta zrobiła na paniach wrażenie, a wywołała lekki rumieniec na twarzy damy.

— Czy to ten — odezwała się jedna z pań do swéj towarzyszki. Zyzma usłyszał.

— Ten sam.

— Przystojny, bardzo przystojny żydek. Lecz żeby Amelka..... to coś okropnego?

Zyzma zarumieniony, spójrzał w stronę mówiących i zobaczył obok przystojnéj, okazale zbudowanéj damy, młodą osobę, którą widział na stacyi w Prerau. Przyszły mu na myśl rady Bluma, wyprostował się dumnie i uśmiechnął, patrząc wyzywająco na okazale zbudowaną damę.

Dama zbliżyła się, rzucając mu pytanie o wiedeńskiéj operze i teatrze w Burgu.

Odpowiadał wesoło, obejmując spójrzeniami odkryte jéj ramiona. Dama zasłoniła je, rozwijając wachlarz; uśmiechnęła się przebaczająco i odeszła.

— Zuchwały żyd — pomyślała,— ładny i namiętny. Promienie jego oczu pieką... Mniéj się teraz dziwię Amelce.

Zyzma tryumfował, nabierając coraz więcéj czelności, którą w duchu odwagą nazywał.

Sprawdziły się przypuszczenia Bluma. Hrabina Cesia nie przyszła, lecz przysłała przyjaciółkę na zwiady. Córka jéj pokazała Zyzmę. Nie robiąc sobie żadnéj ceremonii z żydem, zaczepiła go.

Po obopólnéj zamianie zwykłych konwecyonalnych wyrazów:

— Pańskie rysy—rzekła, udając że szuka w pamięci, nie są mi obce. Zdaje mi się, że widziałam pana...

— W Prerau, dokończył Zyzma.

— Ach prawda, nie byłeś pan sam.

— Miałem zaszczyt, rzekł poważnie, towarzyszyć hrabinie wracającéj z synem do kraju.

— Hrabinie, powtórzyła z odcieniem zdziwienia.

— Przepraszam hrabiance Brańskiéj z domu.

— Widziałam ją w pańskim sklepie.

— Pani hrabina, mówił tym samym tonem,—w chwili gdy umierała z głodu, a na listy swe nie odbierała odpowiedzi od rodziny, raczyła przyjąć u mnie miejsce kasyerki.

— Pańska kasyerka nie zasłużyła na to, aby się nią rodzina zajmowała.

— W to nie wchodzę, odparł żywo młody człowiek, lecz u nas żydów jest zwyczaj, że naprzód głodnemu dajemy jeść, a potém rozprawiamy z nim o jego zasługach. W każdym razie dziękuję rodzinie hrabianki Brańskiéj za jéj milczenie, bo tym sposobem pozyskałem dla mych insteresów osobę pewną i nieskazitelną. Skłonił się i odszedł.

— Arogant, rzekła matka do córki, zwyczajnie jak każdy żyd gdy go przypuścimy do towarzystwa. Dziwię się dla czego hrabia Zygmunt pozwolił mu tu wejść. Niepotrzebnieś mnie do niego prowadziła.

— Spełniłam rozkaz Mamy, odpowiedziała córka.

Upokorzona mama postanowiła się zemścić na Cesi i wszystko jéj zaraz jutro z odpowiedniém udramatyzowaniem powtórzyć.

W towarzystwie kilku paniczów przyszedł Gucio. W salonach zrobił się większy ruch, życie zawrzało. Do Zyzmy zbliżył się Blum...

— Obserwuję cię zdaleka, wybornie się trzymasz. Przekonałeś się, że tu nie jest zbiór samych gieniuszów.

Gucio zdradzał wyborny humor, otoczony przez damy, opowiadał jakąś wesołą historyą, bo śmiał się głośno i zabawnie giestykulował.

Hrabia Zygmunt zbliżył się, słuchał, wziął udział w rozmowie i korzystając z pierwszéj sposobności, uprowadził młodzieńca.

Odosobnieni rozmawiali cicho, hrabia pokazał oczami Zyzmę, którego zabawiał jeden z członków konsorcyum kolei, opowiadając mu o wielkich korzyściach dla kraju, gdy droga żelazna połączy Węgry z Polską.

Przechodził Blum, hrabia go zatrzymał i we trójkę podeszli do rozmawiających.

Przedstawiony Gucio zaczął na wstępie chwalić konie Zyzmy. Zdawało mu się tylko, że w prawéj pęcinie przedniéj nogi licowego konia jest lekkie zgrubienie.

Zyzma mu odpowiedział, że się nie omylił, dziwiąc się jego wielkiemu znawstwu.

Gucio rad odbierał hołdy uznania i obaj jako specyaliści zaczęli mówić językiem koniarzy galicyjsko austryackich o kolerach, plumpeganach...

Hrabia i Blum cofnęli się.

— Mam do sprzedania świetnie ujeżdżonego pod siodło anglika, rzekł Gucio.

— Radbym go widzieć, odparł Zyzma.

— Przyjadę jutro rano na nim. Mówił mi Blum że masz pan najlepsze we Lwowie cygara i stary, prawdziwy koniak.

— Przekonasz się hrabia.

— Z przyjemnością.—Jakże nasze kobiety? po wiedeńskich tracą, prawda? Ale przecie i tu można wybrać. Połowa serc do zdobycia. Cóż kiedy pan już jedno zdobył, i to rarytne. . Rozśmiał się głośno. Zazdroszczę ci—kobiety udają że są zagniewane. Dewotki wymawiając twe imię żegnają się. Mam nadzieję że je rozbroisz przy pierwszéj kweście... Wybornieś się pan zaprezentował w miasteczku. Do widzenia.

Gucio pobiegł do pań.

Zanim Zyzma mógł ochłonąć z podziwu przysunął się do niego rozpromieniony Blum.

— Zwycięstwo, szepnął mu.

— W czem takiém.

— Słyszałem jak Gucio powiedział ci do widzenia. Za Guciem przyjdzie cała złota młodzież.

— Ja myślałem, mówił cicho Zyzma, że mając o mnie opinię...

— Uwodziciela, dodał Blum.

— Wypędzą mnie i zepchną ze schodów.

— A tymczasem szukają i uśmiechają się do ciebie. Hrabia ci nadskakuje, jego siostrzeniec robi ci honory, bawi cię... Patrz.

Dama w czarnéj sukni zbliżała się ku nim.

— Panie Blum to pewno pański przyjaciel.

— Ten sam pani hrabino, odparł Blum, Zyzma się skłonił.

— Żebrzę na krowę dla siedmdziesięcioletniéj staruszki. Brakuje mi jeszcze czterdziestu guldenów mówiła, patrząc poważnie a słodko na Zyzmę.

Młody człowiek wyjął pośpiesznie pulares, wydobył stówkę i podał ją damie.

— Ach co za szkoda, że pan nie jesteś katolikiem.

— Mocno żałuję, odpowiedział Zyzma pochylając głowę.

— Gdyż właśnie sześćdziesiąt guldenów potrzeba mi na dokończenie ornatu, dokończyła dama spuszczając oczy.

— Ponieważ kupiona krowa, przerwał Blum, będzie w połowie żydowską, powinno jéj być wolno jeść żydowskie siano. Otóż te sześćdziesiąt guldenów przyjaciel mój przeznacza na siano.

— Wyobraźcie sobie panowie zapomniałam o sianie, dziękuje. Ukłoniła się patrząc pieszczotliwie na Zyzmę i westchnęła dodając: Idę daléj—pracować.

Zaledwo odeszła parę kroków skinęła na Bluma.

— Pański przyjaciel, szepnęła, bardzo sympatyczny i dystyngowany młodzieniec.

— Co za szkoda że nie katolik, dodał Blum.

— Oj ty poganinie! Lecz Amelka powinnaby dać sobie z nim radę. Wtedy mogłaby wziąść ślub i wszystkoby się naprawilo. Gdybym ja była na jéj miejscu.

— Jużby dawno było po ślubie.

— Idź pan sobie, jesteś cynik i nie rozumiesz się na poświęceniu...

— Nie jest tu tak źle w tym świecie, odezwał się Blum wracając do Zyzmy. Byle mieć trochę pieniędzy, niezależne stanowisko a jeszcze czuć że się jest potrzebnym, można się dobrze bawić. Powinieneś się wychrzcić i ożenić z Amelką, a nie jak dotąd żyć z nią na wiarę. Taką ci daje radę chrześcijańska żebraczka.

Zyzma nic nie odpowiedział, stał smutny i zamyślony.

— Ściągnąłem uczciwą kobietę aż tu, aby się dźwigać w opinii jéj hańbą. I za cóż ją krzywdzę tak nędznie, za to że z zaparciem siebie pracuje na kawałek chleba? Czyby nie było lepiéj, żeby razem z dzieckiem z głodu umarła...

Słuchajno, zwrócił się gorączkowo do Bluma, czy nie ma jakiego sposobu, aby ratować tę kobietę od potwarzy jakie rzucają na nią. Zdaję mi się że słyszę ich szept.

— Iść za radą narodowéj żabraczki.

— Jaką?

— Wychrzcić się i ożenić.

Zyzma nie zrozumiał szyderstwa.

— Ona mnie nie chce, zawołał.

— Tém gorzéj dla niéj i dlatego musi iść daléj drogą przeznaczenia.

Zyzma nie odpowiedział, roztworzył gwałtownie chapeauclaque i wyszedł. Blum patrząc za nim powtarzał w duchu.

— Oj ty głupcze, głupcze.

Napróżno szukał go hrabia, Gucio miał przy nim siedzieć przy kolacyi. Damy szeptały między sobą że ztęskniony nie mógł wytrzymać dłużéj.

Tymczasem Zyzma biegł przez puste ulice. Echo się rozlegało od uderzeń jego obcasów o kamienne płyty.

Zadzwonił do bramy swego mieszkania tak gwałtownie że stróż domu zerwał się na równe nogi. Wbiegł po schodach i drzwi za sobą zatrzasnął.

— Chciałem być uczciwym człowiekiem, zawołał, lecz cóż kiedy ludzie podłość moją protegują... Gdyby ona była moją kochanką, mógłbym i powinienem ją ukryć, a nie pokazywać światu i chwalić się.

— I to są ci, zawołał, na których dawniéj ledwo patrzéć śmiałem, gdym się do nich zbliżał przejmował mnie dreszcz nieokreślonego podziwu i mimowolnie czapkę ściągałem z głowy.

Położył się, i gdy zamknął oczy, na ciemném tle zaczęły się przed nim rysować postacie cichego poważnego Daniela, zapalającego się jak iskra młodego Topaza, Natana i jego siostry, która swe duże, zamyślone oczy w niego wlepiała.

— Tylko droga Cesiu nie dramatyzuj, bo w całéj téj sprawie nic dramatycznego nie widzę, mówiła przyjaciółka na pożegnanie. Ktoby sobie z żyda coś robił. Hrabia Zygmunt musi go potrzebować, lecz wiesz jak jest skryty. Wszystko to niedługo ucichnie i ludzie zapomną. Adieu, do widzenia.

Hrabina Cesia ściskając nerwowo rękę przyjaciółki milczała. Dopiero po jéj odejściu wybuchła.

— Formalnie urządzają manifestacyą przeciwko mnie. Zapraszają tego przeklętego żyda, zlatują się żeby go oglądać, bawią się nim i pozwalają mu aby rzucał na mnie potwarze. A hrabia Zygmunt, ten posągowy arystokrata, dziedzic wielkiego imienia, przyjmuje żyda u siebie i spiskuje z nim przeciwko mnie...

Zemściła się ta nędznica okropnie, strasznie, lecz któż mógł się spodziewać, że taki obrót rzeczy wezmą.

Ratunku, ratunku, mój syn, moja córka i zmęczona padła na fotel kryjąc twarz w dłonie.

Do salonu wszedł cicho, nie robiąc żadnego prawie szmeru młody człowiek—wysoki, barczysty, blady o płaskiéj twarzy a dużym nosie i małych oczach. Usta miał szerokie, zamknięte jak wieko, bez żadnego wygięcia, małe bląd faworyty, i rzadkie wąsy.

Hrabinie Cesi ręce zsunęły się na kolana.

— I cóż, i cóż—pytała.

— Nie widziałem jéj—odpowiedział młodzieniec poważnie.

— Nie było jéj w sklepie?

— Nie wiem, nie zaglądałem. Bo proszę mamy jakażby tam była moja rola? Nareszcie mógłby mnie kto widzieć wchodzącego lub wychodzącego. Ludzie nie zapomnieli żem się parę lat temu starał o nią. Wizyty w sklepie naraziłyby mnie na śmieszność, a tém samém zachwiały moją karyerę. Mama wie, że na drodze dyplomatycznéj skandal, lub śmieszność, znaczą więcéj jak nieudolność...

— A czyż to nie skandal, że moja siostrzenica i wychowanka, a twoja kuzynka, jest kochanką żyda i nici sprzedaje.

— Fatalizm mamo.

— I żyda tego wpuszczają do salonów aby nas spotwarzał, wykrzyknikami, że to naszym obowiązkiem było ją ratować.

— Mówił mi Erazm, że Gucio jest dziś u niego na śniadaniu.

— Gucio?? Hrabina Cesia powstała. Gdzież są nasze rody, zawołala tragicznie.

— U żyda na śniadaniu, odpowiedział syn, rad że mu się udało. Matka spojrzała na niego poważnie.

— Edziu zdaje mi się, że ty nie rozumiesz sytuacyi, rzekła żałośnie.

— Rozumiem droga mamo, lecz nie wiem co robić i jak się ratować. Wyzwać go na pojedynek?? Z żydem się bić, to śmieszność, karyera zachwiana.

— O tém nie ma mowy.

— Wypędzić go z miasta?

— Wypędzić jego i ją oboje!—pochwyciła.

— Niepodobna, — jest obywatelem i korespondentem Nowéj Pressy.

Matka padła na fotel, załamała ręce i rozpłakała się.

— Mamo,—droga mamo spokoju i zimnéj krwi. Spokój i zimna krew zawsze zwyciężają, nie tylko w dyplomacyi.

— Daj mi już dziś pokój ze swoją dyplomacyą, powiedziała wśród łez. Moja kochana Izia, moje drogie dziecię.

— Wyjedźmy na jakiś czas ze Lwowa.

— Uciekać, aby nieprzyjaciele nasi otrąbili zwycięstwo a my tym sposobem przyznali się do winy. O wtedy plotki i potwarze urosłyby nam po nad głowy. Edziu, mimo twéj dyplomacyi... Nie skończyła...

Edzio stał zamyślony. Na jego płaskiéj, długiéj, dyplomatycznéj twarzy, malowało się wzruszenie, przez nerwowe drganie w kącikach ust.

Milczeli oboje długą chwilę.

— Przecież coś radź, zawołała matka.

— Wytrwać w biernéj, poważnéj milczącéj opozycyi...

— W tak ważnéj chwili, możeby dobrze było zaprzestać dyplomatycznych komunałów, przerwała rozdrażniona kobieta.

Na twarzy Edzia zakwitły blado-różowe rumieńce.

— A jednak mamo, rzekł siląc się na spokój, umiéć przeczekać nieszczęście, to wielka rzecz. Austrya tą jedyną zdolnością trzyma się i egzystuje.

Matka smutnie patrzała na niego wstrząsając głową. Edzio stał poważnie oparty o róg kominka.

— Trzeba ją koniecznie wyprawić ze Lwowa, rzekła po długim namyśle.

— Lecz jakim sposobem?

— Sposób musimy znaleść.

Edzio zrobił ruch rękami oznaczający powątpiewanie. Wierny jednak swéj zasadzie przeczekania nieszczęścia nie stawiał matce żadnéj opozycyi.

(*d. c. n.*) *Sewer.*

O PODDAWANIU UCZUĆ,

JAKO ŚRODKU WYCHOWANIA NARODOWEGO.

(Prawo zwrotnego działania ruchów).

(*Dokończenie*).

II.

Mamy teraz rozważyć pytanie, czy zjawisko stwierdzone w hipnotyzmie—pojawienie się uczucia w skutek nadanego wyrazu—możliwém jest w stanie normalnym, a jeśli tak, to w jakim stopniu i przy jakich warunkach. Zjawisko to zależném jest od określonych czynników i stan normalny, wtedy tylko i o tyle przedstawiać dlań może pole, o ile urzeczywistnia owe czynniki. Czynniki zaś wykryliśmy następujące: ogólne znieczulenie, bezmyślność i bezwola, cząstkowa nadczułość, wybujanie wyobraźni i nadpobudliwość, kojarzenie się wedle czystéj zasady przyległości. Z nich ostatni tylko, prawo kojarzenia się, znaleść może zupełne zastosowanie w stanie normalnym, gdy tymczasem pierwsze są przezeń, mniéj lub więcéj, wyłączone. Ale, ponieważ, jak to widzieliśmy, ten to tylko ostatni czynnik jest momentem zjawiska głównym, istotnym, rostrzygającym, wszystkie zaś inne, współtowarzyszące, otwierają mu tylko wolniejsze pole i ułatwiają działanie, i ponieważ on to właśnie godzi się ze stanem normalnym, to zgóry już powiedzieć można, iż zjawisko omawiane, w stanie tym jest zasadniczo możliwém; lecz, z drugiéj strony, ponieważ uboczne współczynniki tu i tam są inne, naprzód téż przewidzieć się daje, iż zjawisko, choć co do istoty możliwe, wystąpić jednak musi w stanie normalnym, w odmiennéj postaci, czy-to co do stopnia, czy téż co do innych jakich znamion.

Weźmy więc na uwagę ów główny moment, aby wyśledzić sposób jego działania pośród warunków, jakie nastręcza zwykły stan

fizyologiczny. Zasada kojarzenia wedle przyległości, określająca sobą następstwo stanów, bieg myśli, zawarunkowaną jest w swém działaniu, jak widzieliśmy, czterema czynnikami: wrażeniami, zwykłą myślową postacią umysłu, nastrojem uczuciowym i siłą skojarzenia. Znieczulenie, bezmyślność i bezwola snu hipnotycznego, wyłączały trzy pierwsze czynniki, w skutek czego następstwo stanów zawisłém było tylko od siły skojarzenia; lecz w warunkach normalnych rzeczy mają się inaczéj: znieczulenie, bezmyślność i bezwolę zastępuje tutaj fizyologiczna wrażliwość zmysłów, myśl czuwająca i ruchliwa, uwaga i władza nad ruchami, czyli miejsce czynników przeważnie ujemnych i obojętnych zajmują czynniki dodatnie i wpływowe. Ztąd wynika, iż gdy w sprawie następstwa wyobrażeń, stan patologiczny zobojętniał wszelkie wpływy uboczne i następstwo owo zależném czynił od saméj siły skojarzeń, stan fizyologiczny przeciwnie, wpływy owe w grę wprowadza i, gdy zechcemy wyznaczyć następstwo stanów, liczyć się z nimi każe. Zahipnotyzowanemu nadajemy ruch ekspresyjny, postawę i oto w myśl prawa kojarzenia się wedle przyległości, któremu nic tu na przeszkodzie nie staje, pojawia się odnośne uczucie niezmiennie; w stanie normalnym nie może być mowy o nadawaniu postawy, lecz raczéj o jéj własnowolném przybraniu, przypuśćmy więc, iż człowiek czuwający przybiera postawę ekspresyjną, układa nawet wyraz twarzy,—w myśl owego prawa powinno-by się i tu pojawić uczucie, jako najsilniéj z danemi ruchami skojarzone, lecz pojawienie się jego nie jest już konieczne, albowiem występują teraz czynniki dodatkowe, modyfikujące działanie prawa, i aby powiedzieć, czy uczucie się pojawi czy nie, należy rozważyć wpływ tych czynników.

Czynniki wymienione oddziaływać mogą na zasadę kojarzenia się stanów przyległych, w trojaki sposób: albo wzmacniając własną jéj dążność (siłę), albo ją osłabiając, albo też zachowując się względem niéj neutralnie. Rozpatrzmy trzy te przypadki odnośnie do każdego z trzech czynników.

Gdy przybiorę pewną postawę ekspresyjną, np. gniewną, odpowiadające jéj uczucie — gniew, objawia *dążność* do odrodzenia się. Dążność ta jednak zawarunkowaną jest w pierszym rzędzie *wrażeniami*, współcześnie do umysłu dopływającemi. Wrażenia te mogą być treścią swą zupełnie obce dążącemu do odrodzenia się uczuciu, ani z niém zgodne, ani sprzeczne; ale jeżeli są intensywne, silnie pociągają ku sobie uwagę, to już tém samém szeroko zajmą świadomość i po prostu, jako pewne silniejsze stany świadomości zagrodzą drogę słabszym, dążącym dopiero do wystąpienia: pomimo więc przybrania postawy i wyrazu, przy tych warunkach uczucie się nie pojawi.

Skutek ten témbardziéj nastąpi, jeśli wrażenia owe nie będą już obce, lecz wprost przeciwne odnośnemu uczuciu, t. j. albo same posiadać będą odmienną barwę uczuciową, albo dążyć do obudzenia przez skojarzenie uczucia sprzecznego; tak mimo gniewnéj postawy nie uczuję gniewu, jeśli jednocześnie *słyszéć* będę np. melodyjne, kojące dźwięki muzyki (1), lub błagalne prośby ofiary, albo *widziéć* jéj łzy i twarz pokorną, budzącą litość, albowiem każde z tych wrażeń, albo samo wnosi, albo zmierza do obudzenia uczucia, przeciwnego temu, które w skutek przybranéj postawy mogło było powstać i dążyło do powstania,—powtóre, w chwili owéj, gdy przybiorę postawę uczuciową, wrażenia mogą być bardzo słabe, albo nawet, o ile to w stanie czuwania jest możliwém, prawie całkiem nieobecne; w tym przypadku, który zbliża się do stanu hipnotycznego znieczulenia, zasada kojarzenia wedle przyległości będzie mogła rozwinąć się swobodnie i po przybraniu postawy, pojawieniu się uczucia nic nie stanie na przeszkodzie, przynajmniéj ze strony wrażeń zmysłowych, np. w zupełnéj ciszy i ciemności, w braku ustrojowych wrażeń silniejszych. Najprzyjaźniejszym jest—trzeci przypadek: wrażenia dochodzą do umysłu, ale takiego są rodzaju, iż na równi z przybraną postawą dążą do obudzenia tegoż samego uczucia, a zatém nie tylko się nie sprzeciwiają, lecz dążność jéj własną wzmacniają; np. nauczyciel ułożył twarz do gniewu, aby pozorem jego nastraszyć ucznia, ale jeśli widzi, że uczeń mimo tego trwa w naganném zachowaniu się, łatwo bardzo wybuchnie on gniewem prawdziwym.

Odnośnie do dwóch drugich czynników, warunkujących skojarzenie się uczucia z wyrazem, mianowicie *wyobrażeń* i *uczuć*, tkwiących w umyśle przed wejściem doń wrażenia ruchowego, w pewnéj części powtórzyć przyjdzie to, cośmy powiedzieli o wpływie wrażeń. Na człowieka, zajętego żywo odmiennemi myślami lub silnie wzruszonego, postawa ekspresyjna pozostanie bez wpływu, po prostu dlatego, iż uwaga jego w inną zwrócona jest stronę, świadomość innemi stanami wypełniona. Tém mniéj możliwém to będzie, gdy owe zajmujące go w téj chwili myśli (wyobrażenia) i panujący w nim nastrój, wprost są sprzeczne z uczuciem, mającém powstać wskutek postawy. Tak np. ofiara przemocy i ucisku stoi przed swym tyranem w postawie wyrażającéj uległość i cześć, lecz mimo to daleką jest od tych uczuć, bo oto budzą się w niéj wspomnienia krzywd, do-

(1) „Kajus skłonnym był do uniesień; często w rozmowie mimowoli w gniew wpadał i rzucał obelgi. Ale niewolnik jego Licyniusz, który stał za nim zawsze z instrumentem muzycznym, wydobywał słodkie, łagodne dźwięki i w ten sposób uśmierzał wybuchy swego pana“. *Plutarch. Żywot Kajusa Gracha.*

świadczone uczucia boleści i gniewu. Co więcéj, w wypadkach podobnych, gdy wyraz i postawa stają w sprzeczności z nastrojem już gotowym, rezultat może być wprost przeciwny,—wzmocnienie uprzednio istniejącego nastroju; a to dlatego, iż postawa ekspresyjna, bądź co bądź, wpływ wywiera, odpowiadające jéj uczucie dąży do obudzenia się, a to znaczy, że budzi się w małym stopniu i przychodzi w starcie z uczuciem, istniejącem, w skutek czego to ostatnie prawem kontrastu żywiéj się jeszcze uświadamia: znieważony w obec ciemiężcy przy pokornéj postawie nie tylko duchem się nie ukorzy, lecz silniejszą poczuje nienawiść, niż kiedykolwiek.

Temu, cośmy w zakresie wrażeń nazwać mogli względném znieczuleniem, w zakresie wyobrażeń i uczuć odpowiada stan, względnéj bezmyślności i apatyi. Stan to bardzo pospolity i powiedzieć można, iż ogromna większość ludzi przeważną część życia w takiéj bezmyślności i apatyi przepędza; nieznaczy to, iżby umysł ich absolutnie próżnym był wszelkich myśli i wzruszeń, lecz przesuwające się po nim stany są nader luźne, blade i nikłe, występują na krótko i bezładnie, aby wnet miejsca innym chwilowo silniejszym ustąpić, to téż jako siła odporna umysłu nie mogą być prawie brane w rachubę, i umysł przeciętnego człowieka w zwykłych warunkach jest wogóle bardzo przystępnym dla wszelkich wpływów, które mu się silnie z zewnątrz narzucą. Zdarza się nawet, iż okoliczność uboczna wątłą ową treść umysłu spycha niżéj jeszcze od zwykłego jéj poziomu, jak np. słabość fizyczna, zmęczenie itp., a wtedy otrzymujemy stan zbliżony bardziéj jeszcze do bezmyślności hipnotycznéj: uczucie skojarzone z przybraną postawą odradza się, ponieważ nieznajduje żadnéj, lub bardzo małą przeszkodę ze strony uprzednio danéj treści umysłu.

Wreszcie trzeci przypadek: uczucie, dążące do odrodzenia się w skutek przybranéj postawy, znajduje poparcie ze strony innych wyobrażeń i uczuć, które, albo są obecne w umyśle, albo budzą się z niém jednocześnie, choć z innych powodów; wyobrażenia te dążą same przez się w tymże kierunku co i postawa, uczucia są identyczne lub blisko pokrewne temu, które ona ma wywołać; ztąd rezultat taki, iż ze zgodnego współdziałania tych trzech lub dwóch czynników powstaje żywy i pełny stan świadomości, odpowiadający przybranéj postawie.

Jeśli uwzględnimy zwykłe stosunki życiowe, okaże się, iż ten przypadek przy takich stosunkach jest najnaturalniejszym i najpospolitszym, że zatém on to na równi z poprzedzającym, a może więcéj jeszcze od niego, otwiera najszersze pole zastosowania dla saméj zasady. Zauważmy bowiem, iż dowolne przybranie pewnéj ekspre-

syjnéj postawy, nie będącéj odruchowym skutkiem istniejącego uczucia, przypuszcza zawsze, mniéj lub więcéj ważną tego potrzebę, pewną sytuacyą; ale sytuacya, która powoduje przybranie danéj postawy, zazwyczaj jednocześnie oddziaływa na dobór wyobrażeń z postawą ową zgodnych, dobór taki czyni pożytecznym i pożądanym, jak niemniéj wywołuje odpowiedni nastrój uczuciowy, a przynajmniéj do niego usposabia. Dla czego? Oto naprzód sytuacya taka wymaga zazwyczaj *mówienia* zgodnie z przybraną postawą, to zaś mówienie oczywiście przypuszcza także obecność i wyobrażeń, z postawą zgodnych; daléj sytuacya podobna, jeśli nawet niewymaga mówienia, to jednak dostarcza pewnych wrażeń, które już bezpośrednio już przez skojarzenie zapełniają świadomość osoby wyobrażeniami, przybranéj postawie przyjaznemi; wreszcie sytuacya, lubo rzadziéj, sama przez się pożądanym czyni odpowiedni postawie nastrój uczuciowy, — to zaś, że pewne uczucie jest pożądaném, że powinno się pojawić, przy braku przeciwnych wpływów, ułatwia, zradza usposobienie do tego uczucia. Weźmy za przykład zwykły stosunek gościa i gospodarza, albo dobrze wychowanego mężczyzny i kobiety: przybieram pewną złożoną postawę, wyrażającą zadowolenie, życzliwość, zrazu nie z wewnętrznego, szczerego usposobienia, lecz dla konwenansu; jednocześnie jednak, staram się mówić o rzeczach przyjemnych, a przynajmniéj unikać rzeczy dla drugiéj osoby nieprzyjemnych, czyli ograniczam na tę chwilę świadomość swoję tylko do wyobrażeń, harmonizujących z usposobieniem życzliwém; ale zachowaniu się takiemu z mojéj strony odpowiada podobneż zachowanie się i drugiéj osoby: i ona wyrazem, mową i postępowaniem stara się okazać uprzejmą i życzliwą, co z kolei budzi we mnie wyobrażenia i uczucia dla niéj korzystne i podnieca moje usposobienie życzliwe; niezależnie wreszcie od tego wszystkiego, z tego samego, iż w danéj sytuacyi staram się utrzymać wszelkie *pozory* życzliwości, wypływa, iż na tę chwilę przynajmniéj jest dla mnie pożyteczném i pożądaném, abym był *rzeczywiście* usposobionym życzliwie, a to *caeteris paribus* jest jednym więcéj powodem, ażeby pojawiło się uczucie życzliwości. Widzimy przeto, jak ta sama sytuacya życiowa, która skłania do przybrania postawy ekspresyjnéj, jednocześnie, choć innemi drogami dąży do wzbudzenia w umyśle takiego nastroju myślowego i uczuciowego, który sprzyja pojawieniu się uczucia, odpowiadającego owéj postawie.

Do czynników, objętych powyższemi przypadkami, dołączyć należy jeden jeszcze, który stawiam tu osobno dlatego, iż może on brać udział w każdym z owych przypadków: jest to czynna *uwaga, wola.* Pojawianie się uczucia, w skutek postawy ekspresyjnéj, wi-

dzieliśmy tylko co zawarunkowane pewnym doborem i ustosunkowaniem wrażeń, wyobrażeń i uczuć, interweniujących niezależnie od saméj postawy; ale dobór ten i ustosunkowanie w pewnym stopniu podlega naszéj woli, rozporządzać nim możemy za pomocą czynnéj uwagi. Najmniéj to jest możliwém w zakresie wrażeń, które niezależnie od nas narzucają się od przedmiotów; i tu wszakże możemy niekiedy wpływać, poszukując jednych, unikając widoku innych przedmiotów, w obec tych samych przedmiotów skierowując i utrzymując uwagę raczéj na tych cechach niż innych. Właściwie jednak dopiero w dziedzinie myśli i uczuć osiągnąć możemy szerszy wpływ nad sobą. Skoro z tych lub owych powodów przybraliśmy już postawę ekspresyjną, pojawienie się uczucia możemy dopuścić lub nie, stosownie do potrzeby i chęci, zwykle w pewnym tylko stopniu, a jeżeli czynniki za obrębem woli działające są słabe, a wola (uwaga) wyrobiona, to prawie w zupełności. Stosownie do tego, czy w danych okolicznościach korzystniejszém jest dla nas dać tylko pozory uczucia, czy téż i czuć rzeczywiście, możemy za pomocą dowolnéj uwagi, uprzątnąć z umysłu wszelkie żywsze stany i otworzyć w ten sposób pole wpływowi postawy, lub gdy to jest możliwém, wywołać w nim i utrzymywać takie stany świadomości, które-by poparły działanie owéj postawy, dążącéj do obudzenia uczucia; albo też jak w jednym, tak w drugim razie postąpić przeciwnie, zajmując umysł wogóle czém inném, lub zapełniając go wyobrażeniami, wrogiemi uczuciu. Wszakże, zważywszy, jak słabą u większości ludzi jest zdolność dowolnéj uwagi i jak mało rozpowszechnioną jest wiedza psychologiczna, którąby w tych razach dyktowała sposób zachowania się, uznać przyjdzie, iż czynnik ten świadoméj woli małą tylko odegrać może rolę, i że skutek przybieranéj postawy, w większości wypadków zależnym być musi od czynników mimowolnych, działających automatycznie.

Wyszczególniłem wszystkie przypadki typowe i proste, jakie przedstawiać może zachowanie się wrażeń, wyobrażeń, uczuć i w części woli względem przybranéj postawy ekspresyjnéj. Prócz tych jednak prostych, możliwą jest jeszcze pewna ilość przypadków, złożonych, mięszanych, a nawet te to mięszane najlepiéj odpowiadają rzeczywistemu stanowi rzeczy. Pojedyncze czynniki, któreśmy wyżéj rozpatrzyli w działaniu odosobnioném, w rzeczywistości zazwyczaj w rozmaity sposób kombinują się z sobą, już zgodnie się łącząc, już krzyżując, a ostateczny rezultat — pojawienie się uczucia lub nie, jest zawsze wypadkową ich połączonego współdziałania i przeciwdziałania. Tak, wrażenia sprzeczne z uczuciem współistnieć mogą z wyobrażeniami i skłonnością uczuciową, uczuciu, wynikają-

cemu z przybranéj postawy, przyjaznemi, np. gdy przybiorę postawę życzliwości w obec osoby brzydkiéj i wstrętnéj, ale która budzi we mnie przypomnienie swych zalet wewnętrznych lub doznanych od niéj dobrodziejstw; przyjaznemu brakowi wszelkich wrażeń zmysłowych towarzyszyć może nagromadzenie w umyśle intensywnych wyobrażeń, tamujących przystęp uczuciu; wrażenia i wyobrażenia nieprzyjazne uczuciu występować mogą tuż obok przyjaznych i ścierać się z nimi itp.; w każdym zaś z wypadków, czy się uczucie pojawi czy nie, zależy od tego, który z wpływów jako skuteczniejszy przeważy. Przypadki nieskuteczne same przez się stać się mogą skutecznemi przez *powtórzenia*; pamiętajmy bowiem, iż jakkolwiek przybrana postawa może nie objawić się widomym skutkiem, nie mniéj jednak skojarzone z nią uczucie dąży do odrodzenia się, to zaś dążenie nieznaczy nic innego jak to, że uczucie odradza się rzeczywiście w pewnym nieznacznym stopniu, nie sięgającym do progu świadomości; ale nagromadzenie pewnéj ilości pobudzeń słabych, nieświadomych, daje w końcu pobudzenie silne, świadome i oto uczucie, zrazu zaczątkowe, nieświadome i w obec przeciwnych wpływów bezsilne, wskutek częstych powtórzeń, wielokrotnego przybierania téjże postawy, może się spotęgować tak dalece, iż przemoże owe wpływy nieprzyjazne i uświadomi się. Powtórzenie, rozumie się, działać może i w przypadkach samych przez się skutecznych, podnosząc wpływem swoim ich skuteczność.

Dokonawszy teraz wszelkich możliwych kombinacyj mieszanych, z uwzględnieniem udziału woli i powtórzeń i, bez takowego, otrzymalibyśmy, wraz z przypadkami prostymi, wszystkie, zdaje się, postaci, jakie przybrać może sprawa poddawania uczuć za pośrednictwem wyrazu, każdy zaś fakt rzeczywisty dałby się pod jednę z nich podciągnąć i co do swego skutku na podstawie jéj objaśnić. Do sformułowania zaś tych postaci doszliśmy *a priori* bez uwzględnienia faktów, oparłszy się na analizie poddawania hipnotycznego i na ogólnych zasadach psychologicznych. Otrzymujemy też tutaj rezultat, który już przedtém zapowiedzieliśmy, mianowicie, iż w stanie normalnym zjawisko poddawania uczuć wogóle mniéj ma pola dla siebie i wogóle w mniejszym wystąpić może stopniu aniżeli w śnie hipnotycznym. Powiedziałem: wogóle, gdyż z drugiéj strony w stanie normalnym znajdujemy czynniki takie, których brak w hypnotyzmie, a które silnie przyczyniają się do skutku: są to wrażenia, wyobrażenia, które nosząc tenże charakter uczuciowy, co i przybrana postawa, ku jednemu z nią dążą celowi, a nadto dobra wola osobnika i wpływ powtórzenia. Skoro te przyjazne czynniki zbiegną się z innemi jeszcze, wspólnymi już i hipnotyzmowi, to zachodzi pyta-

nie, czy czasem stan normalny nie jest zdolny do wydania znacznie większego skutku (uczucia), aniżeli stan patologiczny? Ażeby odpowiedzieć na to, zauważyć trzeba, iż w tém, co tu uważamy za skutek, tkwią dwa momenty, występujące zazwyczaj razem, lecz mogące się i rozdzielić, mianowicie: stan świadomości, uczucie i mimiczne wyrażenie się, będące, jak to już wyżéj nazwaliśmy, resztą ogólnéj tego uczucia ekspresyi, za odjęciem postawy uprzednio już przed pojawieniem się uczucia przybranéj! Co do pierwszéj części tego skutku trudno coś stanowczego orzec, zwłaszcza, iż nie mamy sposobu mierzenia bardziéj złożonych stanów psychicznych; w stanie hipnotycznym uczucie powstaje w formie czystéj—tylko przez skojarzenie z postawą, mniéj ma zatém przyczyn je wywołujących, ale zato wchodzi na grunt płodniejszy i zużytkowuje dla siebie wyłącznie znaczny zasób wolnéj energii nerwowéj; w stanie normalnym prócz postawy ekspresyjnéj podniecają je nadto pewne wrażenia i wyobrażenia, które znów jednak pochłaniają dla siebie część energii nerwowéj i o tyleż ujmują jéj samemu uczuciu, a jednocześnie mieszają doń dodatkowe, pokrewne uczucia, pozbawiając je w ten sposób postaci typowéj; wogóle w pierwszym wypadku uczucie zdaje się być bardziéj intensywném, natężoném, w drugim, t. j. normalnym, bardziéj ekstensywném, szerokiém. Co do drugiego momentu, nie ulega wątpliwości, iż uczucie poddane hipnotykowi wyraża się dopełniająco, o wiele żywiéj i plastyczniéj, aniżeli u osobnika czuwającego; tam jest ono jednolite, ograniczone i dla wyrażenia się zużytkowuje bez przeszkody wielki zasób energii, gdy tymczasem w stanie normalnym mieszają się doń uczucia uboczne, dodatkowe, z których każde dąży także do wyrażenia się, a lubo jako zbyt słabe nie zawsze wyraz swój osięga, jednak, zawsze choć-by samém dążeniem, zmniejsza ekspresyjną siłę głównego uczucia.

Dotychczasowe rozumowanie nasze było w głównéj osnowie dedukcyjném: rozczłonkowawszy zjawisko na proste czynniki, śledziliśmy ich działanie, wychodząc wciąż z ogólnych prawd psychologicznych, tak, iż otrzymane tym sposobem wnioski noszą cechę logicznéj konieczności. Ale zważywszy mnogość i powikłanie znanych czynników, oraz możliwe istnienie nieznanych, konieczność logiczna w tym, jak i w innych wypadkach, nie jest jednoznaczną z faktyczną pewnością. Dlatego zwrócić się nam trzeba do faktów obserwacyi, o ile też one wywód apryoryczny potwierdzą. Faktów tych, co prawda, niewiele na razie mogę przytoczyć, jakkolwiek sądzę, iż gdy poznaną zostanie bliżéj sama zasada i wskutek tego zwróci się w tę stronę baczniejsza uwaga, znaleść ich będzie można znacznie więcéj.

Pan X. będąc uczniem gimnazyum zabawiał czasami całą klasę, bardzo trafnie naśladując gesta i mowę niektórych nauczycieli; „najczęściéj, mówi on, zdarzało mi się naśladować gniew, otóż po odegraniu takiéj sceny, która całą klasę pobudzała do wybuchów śmiechu, czułem się tak zirytowany i rozdrażniony, jak gdybym miał najważniejszy osobisty powód do gniewu". Tutaj postawa ekspresyjna znajdując w dążeniu swém poparcie w tém, iż p. X. mówiąc zgodnie ze swą rolą, uprzytomniał sobie wyobrażenia zdolne rozgniewać, z drugiéj strony miała do zwalczenia przeciwny wpływ wrażeń— śmiech i niezłośliwe zachowanie się towarzyszów, oraz nastroju uczuciowego saméj osoby, która jako w zabawie musiała być z razu usposobioną wesoło; jak widzimy, wpływy te przemogła skutecznie.

Dugałd Stewart w *Filozofii umysłu ludzkiego*, t. III, cytuje fakt podobny o Burkem, który zapewniał, że wpadał w gniew, zawsze w miarę jak naśladował zewnętrzny wyraz tego uczucia, i drugi, który do téjże saméj odnieść należy zasady, o pewnym aktorze z początku bieżącego stulecia. „Estcourt był tak niezwykłym i znakomitym mimikiem, że nie było mężczyzny ani kobiety, począwszy od kokietki, a skończywszy na radcy miejskim, których raz ujrzawszy, niepotrafił-by najdokładniéj naśladować w głosie, spójrzeniu, postawie i najdrobniejszych ruchach. Słyszałem go, jak wygłaszał długie mowy i rozwijał argumenty *w stylu* pewnego wybitnego adwokata, z taką doskonałością, oddając najdrobniejsze *odcienie i właściwości jego wymowy*, iż istotnie był jakby jego *alter ipse* i że trudno było odróżnić go od oryginału". W wypadku tym, zastanawiającém jest to, iż aktor utrafiał w styl i drobne odcienia wymowy: otóż niepodobna przypuścić, aby i te subtelne szczegóły były rezultatem drobiazgowego postrzegania i świadomego naśladownictwa, lecz uważać je raczéj należy za mimowolny, konieczny skutek (reszta wyrazu) tych stanów świadomości, nastroju, które wywołała naśladowczo przybrana postawa, a które odpowiadały dokładnie nastrojowi osoby naśladowanéj. W podobny to sposób znakomity filozof i fizyognomista Campanella dochodził do odgadywania cudzych stanów duchowych: przybierał on jak najdokładniéj postawę i wyraz osoby, którą przenikał, i jednocześnie skupiał uwagę na swoich własnych stanach; ostatnia ta okoliczność sprzyjała niewątpliwie pojawieniu się uczucia, przypuszcza ona bowiem z jednéj strony oderwanie umysłu od postronnych wrażeń i wyobrażeń (względne znieczulenie i bezmyślność), a z drugiéj—pewien przychylny kierunek woli, gotowość przyjęcia odradzającego się uczucia.

Tutaj nastręcza się pytanie, czy i o ile aktor przejmuje się swą rolą, czyli o ile podlega działaniu postawy ekspresyjnéj. Zdaje się, iż

nie może być na to odpowiedzi ogólnéj. W wypadku tym, z czynników sprzyjających pojawieniu się uczucia, mamy, zawsze uświadomianie się wyobrażeń zgodnych z postawą a wynikających z mówionéj roli, takież wrażenia odbierane ze sceny i zawarunkowane daną sytuacyą dramatyczną—dekoracye, to co mówią i działają inni aktorzy; w pewnych razach: sympatyczny, niekiedy bardzo znaczny wpływ wzruszonych słuchaczy, którzy oddając wzruszenie swe na twarzach, zarażają niem i aktora; nadto, w części mimowolne w części wprawą nabyte odosobnienie się od wszelkich wyobrażeń i wrażeń, niebędących w związku z oddawaną rolą.

Z czynników przeciwnych pojawieniu się uczucia, stale działają wrażenia, których aktor od czasu do czasu doświadcza, schodząc za kulisy, i które go przywołują do siebie; przy pewnych zaś tylko warunkach wpływ wywierają wrażenia z za kulis i z widowni—szmery, poruszenia, oklaski itp., oraz wyobrażenia, pewne akty uwagi i woli, będące w związku już to z osobistością aktora, już z przepisami i wymaganiami sztuki scenicznéj. Ostateczny rezultat w pojedyńczym wypadku zależnym jest od szczególnego ustosunkowania i gry tych czynników. Co do wrażeń czy to przyjaznych (sympatycznych) czy przeciwnych, to zdaje się, że aktor dość prędko nad nimi zapanowywa, tak iż przestają one w sposób świadomy na bieg jego stanów wpływać. Jednocześnie jednak z postępami, jaki robi w swéj sztuce, wzmaga się drugi czynnik nieprzyjazny—wyobrażenia i pojęcia estetyczne, którymi grę swoją stara się normować. Gdy początkujący aktor nieznaczny pojęć tych zasób posiada, nie umie ich stosować i liczy najwięcéj na natchnienie, temperament, zapał, to aktor wytrawniejszy stara się wciąż swoje „ja“ utrzymać na boku, rzadko improwizuje i nie szuka natchnienia na scenie, ale raczéj świadomie zamierza i odmierza efekty gry. Krytycy przynajmniéj w rozwoju artystów zmianę tę stwierdzają, co pozwala przyjąć, że aktor wyrobiony mniéj daleko podlega wpływowi postawy ekspresyjnéj, aniżeli nowicyusz. Z drugiéj jednak strony trudno przyjąć, aby się z pod wpływu tego kiedykolwiek zupełnie wyswobodził i to tém mniéj, im bardziéj gra jego zbliża się do doskonałości. Są tak drobne poruszenia mimiczne, modulacye głosu, wyrazy oczu, które wyjęte będąc z pod wpływu świadoméj woli, otrzymane być mogą tylko jako odruchowe następniki uczucia. Jest tu więc prawdopodobnie taki stan rzeczy, iż uczucie odpowiadające postawie, występuje momentami, przerywanemi przez momenty świadomości osobistéj, aktów uwagi, wyobrażeń estetycznych itp. Artysta, przybrawszy zrazu grube zarysy postawy, daje przystęp odradzającemu się pod jéj wpływem uczuciu, które już odruchowo wykończa subtelniejsze odcienie ekspresyi, po-

czem może być natychmiast powstrzymane i wycofane ze świadomości zapomocą dowolnéj uwagi, ażeby dać miejsce świadomemu siebie kierownictwu wyobrażeń estetycznych. Czas i miara, w jakiéj dać należy przystęp uczuciu, ustanowione być mogą, rozumie się, w studyach uprzednich, podczas których artysta ocenia efekty swéj gry. Wreszcie, uwzględnić by należało okoliczności uboczne, jak np. indywidualność, temperament artysty; jeżeli sytuacya dramatyczna zgadza się z położeniem, temperamentem osobistym aktora, wtedy trudniéj mu się powstrzymać od wpływu postawy (współdziałanie wyobraźni i nastroju, zgodnych z postawą), i poddanie się jéj w tym wypadku większe jeszcze przedstawia dla sztuki niebezpieczeństwo, uczucie bowiem, z wielu stron podniecane, łatwo przejść może miarę estetyczną. Pożądanemby było, ażeby nasi inteligentniejsi artyści zechcieli na tę kwestyą zwrócić uwagę i dostarczyć faktycznych postrzeżeń.

Zakres obserwacyi powiększy się znacznie, jeśli rozszerzymy nieco nasze dotychczasowe pojęcie postawy i wyrazu uczuciowego. W pojęciu tém obejmujemy zazwyczaj pewne agregaty ruchów, które są mimowolne, bezcelowe i symptomatyczne, czyli takie których nie poprzedza świadomy zamiar, które nie osięgają celów pożytecznych dla osobnika i służą za znaki, symptomaty, stanów wewnętrznych. Lecz rozważywszy bliżéj te cechy, łatwo się przekonamy, iż nie stanowią one istotnéj różnicy między ruchami ekspresyjnemi a innymi, które z téj kategoryi zazwyczaj wyłączamy i obejmujemy w grupie czynów, postępków, wogóle t. z. *postępowania*. Mimowolność i bezcelowość są to cechy przypadkowe. Czy ruch jest mimowolny czy dowolny jest to kwestya świadomości, czynnika, jak wiadomo, w sprawach psychicznych biernego, towarzyszącego a niepowodującego; ruchy dowolne z czasem stawać się mogą mimowolnymi, nie zmieniając się co do istoty, i odwrotnie, ruch zazwyczaj mimowolny wykonany być może dowolnie. Bardziéj jeszcze przypadkową jest celowość: ruchy te same pod względem psychofizyologicznym, celowe przy jednych warunkach zewnętrznych, przy innych być nimi przestają. Tak, weźmy agregat ruchów, zwanych ekspresyjnymi np. uczucia gniewu i agregat ruchów postępowania np. takich, które stanowią postępowanie dobroczynne, tj. z jednéj strony mimowolnych i bezcelowych, z drugiéj—dowolnych i celowych, a przekonamy się, jak cechy te są zmienne i nieistotne. Gniewne ściąganie brwi, wyszczerzanie zębów i zaciskanie pięści, obecnie niezapewniające żadnéj korzyści i wykonywane odruchowo, kiedyś jednak u przodków naszych ludzkich lub zwierzęcych miały cele i pożytek rzeczywisty: ochronienie oczu od blasku podczas wal-

ki, zastraszenie przeciwnika albo i kąsanie, wzmocnienie uderzenia ręki, i wykonywane też były świadomie, z rozmysłem, czyli stanowiły część postępowania. Z drugiéj strony ruchy, które stanowią obecnie postępowanie dobroczynne, jakkolwiek są zazwyczaj dowolne, poprzedzane świadomém wyobrażeniem skutku, to jednak przy dłuższéj praktyce cnoty, gdy przechodzą w t. z. przyzwyczajenie, stać się mogą w pewnym zakresie i do pewnego stopnia automatycznymi, zacierając w ten sposób różnicę swą na tym punkcie od ruchów ekspresyjnych; że zaś także stawać się mogą bezcelowymi, to, choć mniéj to jest wyraźném, jednak okaże się zupełnie możliwém, jeśli wyobrazimy sobie taki ustrój społeczeństwa, w którym zniknie zupełnie potrzeba dobroczynności, a jednak odnośne uczucia, zmianę tę przetrwawszy, wywoływać będą odpowiednie ruchy—już wówczas bezcelowe; coś podobnego nawet i teraz widzieć możemy w niektórych zwyczajach, ceremoniach np. obmywaniu nóg żebrakom przez papieża i biskupów, które niewiadomo, czy zaliczyć do kategoryi ruchów ekspresyjnych czy postępowania. Trzecia wreszcie cecha, znaczenie symptomatyczne, niemniéj dać nie może podstawy do rozgraniczenia ruchów ekspresyi i postępowania, albowiem przysługuje tak jednym jak drugim. Każdy ruch spowodowany jest pewném pobudzeniem ośrodkowem, pewnym stanem psychicznym, świadomym albo nieświadomym i tém samém przyjęty być może za znak, symptomat owego stanu, który inaczéj nawet byłby wcale dla postrzegania naszego niedostępnym. Poprzednikami ruchów ekspresyjnych są pewne uczucia, poprzednikami ruchów postępowania są także uczucia, albo popędy, wyobrażenia, tu i tam mamy rzecz oznaczoną, stan świadomości i znak—ruchy; jeśli zaś ów charakter symptomatyczny tylko w ruchach ekspresyi okazuje się wyraźnym, to dlatego iż w tych to ruchach, skądinąd bezcelowych, jest on cechą najważniejszą, a nawet dla nas w życiu jedynie mającą znaczenie, gdy tymczasem w ruchach postępowania ginie on pośród wielu innych znamion, przeciągających ku sobie uwagę naszę. A jednak jasném jest, iż wszelkie cnoty, występki, charaktery, kierunki moralne lub niemoralne postrzegamy i rozróżniamy tylko w ich objawach ruchowych; to, co nazywamy uczciwością, charakterem szlachetym lub przewrotnym, sprowadza się dla nas ostatecznie do pewnych szeregów skurczów mięśniowych, składających się na postępki uczciwe, szlachetne lub przewrotne; to zaś, co nadto w tych pojęciach mieścimy, jest to już tylko wywnioskowane przez analogią, a mogło być wywnioskowaném tylko pod warunkiem istnienia wogóle i postrzegania przez nas owych szeregów ruchów,—które w ten sposób okazują się w całém znaczeniu wyrazu znakami albo symptomatami. Tak iż,

gdyby to się nie sprzeciwiało zwyczajowi językowemu, moglibyśmy równie dobrze powiedzieć, że gniew powoduje postępki takie, jak marszczenie brwi, zaciskanie pięści itp., albo że litość wyraża się w wspieraniu ubogich, opatrywaniu chorych itp.

Skoro więc tak jest, skoro między ruchami właściwie ekspresyjnymi a ruchami postępowania nie ma żadnéj istotnéj różnicy, to cały wywód powyższy, któryśmy zrobili o wpływie postawy i wyrazu uczuciowego na pojawienie się uczucia, przenieść możemy *mutatis mutandis* i na ruchy, stanowiące postępowanie, czyli postawić możemy wniosek następujący: Pewien sposób postępowania, przymusowo narzucony, albo z ubocznych, konwencyonalnych pobudek przyjęty, zawsze dąży, a przy pewnych warunkach, jak wyźej, rzeczywiście wywołuje te stany, uczucia, skłonności, wyobrażenia, które w zwykłym porządku rzeczy są jego poprzednikami, jego pobudkami.

Przy tak rozszerzonem pojęciu postawy i wyrazu uczuciowego znajdujemy nowe fakty na poparcie zasady. Następujący dotyczy w części postępowania, w części ruchów właściwie wyrazowych. Pan Y. był obojętnym w rzeczach wiary i uczuć religijnych, z czasem jednak stał się pobożnym i wierzącym, a zmiana ta zaszła śród okoliczności następujących: jako przełożony niższej szkoły na prowincyi, zmuszony był przewodniczyć uczniom w spełnianiu praktyk religijnych, oraz okazywać samemu pozory pobożności chodzić do kościoła, klękać, modlić się i t. p. „Poczułem wtedy, mówił, iż budzi się we mnie tkliwy nastrój religijny; przykre okoliczności życia wkrótce potem ostatecznie go ugruntowały.“ W tym wypadku było jednak dość czynników współdziałających, które, być może same przez się zdolneby były dany skutek sprowadzić: uroczysta atmosfera świątyni, unosząca myśl ku nieskończoności architektura, poważne a przejmujące brzmienie organów, uniesienie wiernych odbite na twarzy (jakkolwiek i te czynniki, jak niżéj zobaczymy, podchodzą właściwie pod naszą zasadę), uświadamianie się wyobrażeń przyjaznych w naukach, jakie okolicznościowo dawać musiał wychowańcom (o miłości i bojaźni bożéj itp.), nadto—temperament osobnika wybitnie nerwowy, uczuciowy, wykształcenie i nałogi myślenia przeważnie literackie, poetyczne a nie naukowe, czyli brak wyobrażeń przeciwnych.

X. i Z. znali się od dość dawna, lecz stosunek ich był zawsze chłodnym, a nawet nacechowanym pewną instynktową niechęcią i przymusem w obcowaniu. Zdarzyło się jednak, iż gdy Z. zachorował i leżał w szpitalu, rodzina jego, zdala zamieszkała, uprosiła X, aby chorego odwiedzał i zaspakajał jego niektóre potrzeby. Pociągało to dla X. wiele kłopotów i niedogodności, niemniéj jednak obo-

wiązek swój sumiennie spełnił. Od tego też czasu, jak zauważył, zbudziło się w nim pewne przychylne uspobienie względem X., spotkanie z nim było milszém, niż przedtém; skłonnym był sądzić go pobłażliwiéj.

Jest to owocem pospolitéj obserwacyi, iż dobroczyńca zazwyczaj życzliwiéj po spełnieniu czynu usposobiony jest względem obdarowanego, niż ten względem niego, a to sprawdza się, o ile zauważyłem, i w tych wypadkach, w których pobudka uczynności miała źródło nie w życzliwości, lecz we względach ubocznych.

Między osobami, które wspólnie przebyły trudne przejścia i niedole, często wywiązuje się stosunek trwałéj życzliwości i przyjaźni, przez to zapewne, iż położenie owo nastręczało im dużo sposobności do czynienia wzajemnych ustępstw a bardziéj jeszcze koniecznėm poniekąd czyniło niesienie wzajemnych usług.

Wiadomo, iż matka ze wszystkich dzieci często najbardziéj przywiązuje się i kocha to, które jest najsłabsze, tj. to które wymaga najwięcéj opieki i starań; zrazu kocha ona może każde jednakowo, najsłabszemu zaś najwięcéj trudów poświęca z potrzeby i obowiązku, lecz wskutek tego zdobywa ono w jéj sercu pewną przewyżkę miłości, która późniéj już sama pobudzać będzie matkę do większych poświęceń; i ta to przewyżka uważaną być może za skutek, spowodowany postawą ekspresyjną.

Otworzy się przed nami nowa a rozległa dziedzina faktów, jeśli raz jeszcze uzupełnimy nasze pojęcie postawy i wyrazu ekspresyjnego. Jak przedtém pojęcie to rozszerzyliśmy na objawy stosunkowo bardziéj złożone na t. z. postępowanie, tak teraz podciągniemy pod nie objawy stosunkowo prostsze. Mówiąc dotąd o postawie i wyrazie uczuciowym, rozumieliśmy zawsze pewien ruch rzeczywisty tj. stan realny, żywy, pierwotny, co w zakresie zmysłów zewnętrznych odpowiada wrażeniu (barwy, dźwięki itd.), co nawet i samo uważane być może za *wrażenie*, a czemu przeciwstawia się stan idealny, słabszy, wtórny, zwany *wyobrażeniem*. Jest to jednak elementarną prawdą współczesnéj psychologii, że przeciwstawienie owo jest słusznem tylko ogólnie i w grubych zarysach, że w gruncie rzeczy wrażenia i wyobrażenie nie są to dwa odrębne, lecz tożsamo zjawisko, tak co do warunkującego je procesu psycho-fizyologicznego, jak i co do miejsca w organizmie nerwowym, w którém ów proces zachodzi. Różnica między niemi jest różnicą stopnia, ale nie natury: proces wyobrażenia jest tylko słabszém powtórzeniem takiegoż i na tychże drogach nerwowych uprzedniego procesu wrażenia. Nie będę tu wchodził w dowodzenie tego teoretyczne: aby jednak umysł czytelnika skłonniejszym uczynić do przyjęcia wypływających stąd wnio-

sków, przytoczę parę faktów. Żywe wyobrażanie pewnéj barwy powoduje takież zmęczenie oka, jak przy patrzeniu i odnośne zjawiska kolorów dopełniających (*Helmholtz*). Pigułka z chleba przyjęta jako środek purgatywny, sprowadza właściwy skutek (*Maudsley*). „Pewna służąca obecną będąc przy puszczaniu krwi swéj pani, w chwili cięcia uczuła w tém samém miejscu silny ból i wkrótce w temże miejscu na jéj ciele wywiązało się zapalenie" (*Marmisse*, podobnie *Bain*). Wyobrażeniu ruchowemu towarzyszy zawsze pobudzenie odnośnych mięśni; o ile myślimy wyrazami—a wyrazy, pamiętajmy, są to ruchy krtani, języka itd.—czuć możemy słabe poruszenia języka, ust, co Bain wyraża w ten sposób, iż myślić znaczy to powstrzymywać się od mówienia; ludzie z wykształconym aparatem mięśniowym (gimnastyk, pływak, eksperymentator), gdy sobie wyobrażają pewien ruch czy to własny, czy innych przedmiotów, czują słabe pobudzenie odpowiednich mięśni, np. wyobrażając sobie, iż chodzą, uczuwają poruszenie w górnéj części uda, myśląc o koniu, który ciągnie wóz, doznają pewnego wrażenia w okolicy piersi i barków (*Stricker*, także *Gratiolet*); osoby, które były obecne przy silnych atakach konwulsyi, czują ogólne zmęczenie w członkach (*Jolly*). Odnośnie do wyobrażeń ruchowych zauważmy jeszcze jedno: wyobrażenia te skojarzone są zazwyczaj z wyobrażeniami innych zmysłów, sluchu i wzroku i dążność swą do przejścia w ruch rzeczywisty okazują daleko wyraźniéj wtedy, gdy obudzone są i utrzymywane w umyśle przez *wrażenia* rzeczywiste (resp. wyobrażenia) słuchowe lub wzrokowe; tak afatycy, niedotknięci ataksyą (bezwładem ruchów), chociaż własnowolnie nie mogą mówić, jednak zachowują władzę powtarzania wyrazów *podpowiadanych* (wrażenie słuchowe), a łatwiéj jeszcze gdy skierują *oczy na usta* mówiącego (wrażenie wzrokowe) (*Kussmaul*); patrząc na maszerujących żołnierzy, Stricker czuł znacznie silniejsze pobudzenie mięśni uda, aniżeli gdy tylko o tém myślał.

Fakty te dostatecznie okazują, że wogóle wyobrażenie jest slabszém powtórzeniem wrażenia, tak co do umiejscowienia jak i co do następstw, skutków jednego i drugiego; w szczególności—i to dla naszéj kwestyi bezpośrednio jest ważném—że wyobrażenie ruchu, czy to jako takie czy jako ruch słyszany lub widziany, jest początkiem samego ruchu rzeczywistego, jest owszém tym ruchem rzeczywistym w mniejszym stopniu, czyli że myślić o ruchu, słyszeć o nim, widzieć go znaczy to samo, co ruch ten w mniejszym stopniu rzeczywiście wykonywać. Ztąd wniosek bezpośredni: wyobrażać pewną postawę i wyraz ekspresyjny, słyszeć o nich, widzieć je, znaczy to postawę tę i wyraz w mniejszym stopniu przybierać. Gdy zaś przypomnimy że t. z. postawę ekspresyjną co do natury psycho-fizyologicznéj i skut-

ków, uznaliśmy za jednoznaczną z t. z. postępowaniem, okaże się koniecznym i ten drugi wniosek: Wyobrażać pewien sposob postępowania, słyszéć o nim, widziéć go, znaczy to postępowanie owo w słabszym stopniu wykonywać.

Ustanowiwszy tożsamość co do natury i skutków wrażeń wogóle i wyobrażeń, w szczególności—wyrazu ekspresyjnego i postępowania z jednéj strony a odpowiadających im wyobrażeń z drugiéj, możemy do tych ostatnich odnieść to wszystko mniéj więcéj, cośmy stwierdzili o pierwszych, czyli postawić wniosek następujący: Wyobrażanie wyrazu ekspresyjnego albo postępowania, słyszenie o nich (czytanie) lub patrzenie na nie, zawsze dąży, a przy pewnych warunkach, jak wyżéj—rzeczywiście wywołuje te uczucia, skłonności i wyobrażenia, ktore w zwykłym porządku rzeczy są poprzednikami, czyli pobudkami wyrazu i postępowania.

Zasada w nowéj téj postaci przedstawiona, domaga się jeszcze niektórych uzupełniających wyjaśnień. Lubo wrażenie (stan realny) i wyobrażenie (stan idealny) są co do natury procesu temsamem zjawiskiem, niemniéj jednak istotną jest ich różnica co do stopnia. Wyobrażenie jest stanem względnie słabszym, wrażenie—stanem względnie żywszym, bardziéj intensywnym, a wskutek tego i następstwa, skutki psychiczne, pierwszego muszą być słabsze niż następstwa drugiego. Ztąd wynika, że wyobrażenie wyrazu lub postępowania przy innych równych warunkach, mniejszą ma dążność i siłę wywoływania odnośnych uczuć, aniżeli wyraz ten i postępowanie rzeczywiście przyjęte. Dążność ta i siła zależną jest od tego, o ile wyobrażenie oddala się lub zbliża do stanu rzeczywistego. Najsilniejszém jest wyobrażenie obudzone przez skojarzone z niem *wrażenie* wzrokowe lub słuchowe: gdy ruch jakikolwiek wykonywamy, to jednocześnie go widzimy, te więc stany kojarzą się i gdy późniéj ruch dany u innych zobaczymy, to wyobrażenie samego ruchu, obudzi się żywiéj niż bez tego bodźca; co do wrażeń słuchowych, to należy tu nawiasowo przypomniéć, że do t. z. wyrazu uczuciowego należą téż i modulacye głosu, które wyrażają wzruszenia, towarzyszące wypowiadanym myślom (głos niski, wysoki, drżący, płynny itp.), otóż ponieważ gdy wymawiamy słowa, jednocześnie téż je słyszymy, to późniéj gdy dźwięki te z uczuciową modulacyą zasłyszymy od innych, i samo wyobrażenie ruchowe (w narzędzie głosu) obudzi się żywiéj niż bez bodźca słuchowego. Gdy w pomoc wyobrażeniu ruchowemu przychodzi nie wrażenie wzrokowe lub słuchowe, lecz tylko takież *wyobrażenie* np. gdy słyszymy lub czytamy opis wyrazu, postępowania, to, o ile to pomocnicze wyobrażenie słabszém jest od wrażenia, o tyle téż i wyobrażenie ruchowe mniejszą otrzymuje podnietę i w słabszym odra-

dza się stopniu; stąd wypływa że widzenie wyrazu uczuciowego lub postępowania ze względu na pojawienie się odpowiednich uczuć (względnie: skłonności, popędów, wyobrażeń) skuteczniejszém jest aniżeli prosty ich opis. I w tym jednak ostatnim wypadku mogą być jeszcze stopniowania. zależne od tego, o ile opis ów jest dokładnym i obrazowym, a także o ile własna nasza wyobraźnia zdolną jest wedle tego opisu wysnuwać odpowiednie obrazy; najniższy stopień otrzymamy, gdy opis będzie ogólnikowym i prozaicznym, a my na miejscu konkretnych obrazów podstawimy pojęcia ogólne, słowa czyli gdy o wyrazie uczuciowym lub postępowaniu będziemy tylko myślić, a nie wyobrażać je sobie we właściwém słowa tego znaczeniu.

Jakkolwiek powstanie wyobrażenia ruchowego przez skojarzone z nim wrażenie wzrokowe lub słuchowe, powoduje większą jego żywość i zapewnia mu większy wpływ na odrodzenie się uczucia, jednak, z drugiéj strony, wiąże się z tém inna okoliczność, która proces cały komplikuje i ogranicza poniekąd skutek. Gdy w poprzednich wypadkach uczucie budziło się wskutek wyrazu lub postępowania, dowolnie z wewnętrznych impulsów, przyjętych, mieliśmy jeden tylko fakt skojarzenia—uczucia z ruchem, tak znów teraz gdy to uczucie zależném jest od wyobrażenia wyrazu lub postępowania, wchodzi w grę drugie jeszcze skojarzenie, mianowicie—wyobrażenia ruchowego i pewnego wrażenia, widoku ruchu, który to widok ma owo skojarzone z niem wyobrażenie ruchowe budzić. I w drugiém tym skojarzeniu wystąpić mogą wszystkie owe perturbacyjne czynniki, których wpływ na kojarzenie się samego uczucia z ruchem, poprzedniośmy rozpatrzyli, jakoto: wrażenia inne współczesne, tkwiące w umyśle wyobrażenia oraz panujący nastrój uczuciowy. Od tych to czynników w obecnym wypadku zależném będzie nie tylko odrodzenie się uczucia wskutek wyrazu, lecz i pojawienie się samego wyrazu wskutek wrażenia zewnętrznego, widoku tego wyrazu. Wszakże przyznać trzeba, iż wpływ tych czynników na pojawianie się wyrazu (jako wyobrażenia ruchowego) znacznie jest słabszym niż na odradzanie się uczucia w następstwie wyrazu; a to dla tego, że gdy przybieramy ruch (wyraz), to mamy wtedy wrażenie, którego słabo jesteśmy świadomi—czucie t. z. mięśniowe wogóle jest tępe, a wskutek tego w dążeniu swém do obudzenia uczucia łatwo uledz może obcemu wrażeniu zewnętrznemu, wyobrażeniu lub uczuciu; ale gdy na powstanie samego ruchu (wyrazu) działa widok tego ruchu, to mamy tu wrażenie zewnętrzne, wzrokowe, a wrażenia zmysłów zewnętrznych, w szczególności wzroku, są wogóle intensywniejsze niż mięśniowe, pociągają ku sobie uwagę, żywiéj się uświadamiają i tém samém zdolniejsze są wywołać swoje skojarzenia, pomimo nawet wpły-

wów przeciwnych. Wobec tego spodziewać się można zgóry częstego bardzo i łatwego pojawiania się wyrazu w postaci wyobrażenia ruchowego, u człowieka, który wyraz ten widzi u innych. Mniejsze już jest prawdopodobieństwo, gdy idzie nie o prosty wyraz lecz o postępowanie: tu wchodzą dłuższe szeregi ruchów, choć na nie patrzymy, lecz nie zawsze możemy wszystkie objąć, jak wyraz lub postawę, nie zawsze możemy na nich bez przerwy uwagę utrzymać, nasze własne stany odporne—wrażenia inne, wyobrażenia, uczucia, więcéj mają szans wystąpić, a wskutek tego widok postępowania mniéj wogóle oddziaływa aniżeli widok wyrazu ekspresyjnego. Gdy nie widzimy odnośnych objawów, lecz tylko słyszymy lub czytamy ich opis, to również opis wyrazu skuteczniejszym być musi niż opis postępowania, dla tego że ruchy wyrazu lub postawy są względnie proste, z nieznacznemi zmianami zawsze jednakowe i przez to trwaléj i żywiéj w pamięci zachowane, aniżeli ruchy postępowania, względnie złożone, trudniéj postrzegalne, w każdym wypadku odmienne, słabiéj przeto w pamięci zachowane.

Nadto, prócz owego czynnika ubocznego (skojarzonych wrażeń wzrokowych), słabsze lub żywsze odrodzenie się wyobrażenia ruchowego, zależy jeszcze od warunków, tkwiących w samym przyrządzie ruchowym tj. mięśniach i nerwach ruchowych. Ośrodki czuciowo-ruchowe czułe i pobudliwe, mięśnie dobrze zbudowane i często ćwiczone, jak pochopniejsze są i zdolniejsze do wykonywania wszelkich poruszeń, tak też i korzystniejsze przedstawiają warunki dla wyobrażenia ruchowego, aniżeli ośrodki tępe, mięśnie wątłe i leniwe.

Zostaje jednę jeszcze zrobić uwagę. Wyobrażenie ruchowe—wyrazu, postawy, jako słabsze, mniejszą ma dążność do budzenia odpowiednich uczuć, aniżeli rzeczywisty ruch—wyraz, postawa; lecz gdy się już raz pojawiło, choć w słabszym stopniu, to za to w owéj swéj dążności mniéj przeszkód znajduje, pewniéj wywołuje właściwe sobie uczucie; zachodzi tu bowiem następująca przyjazna okoliczność: to położenie życiowe, które dostarcza nam widoku wyrazu i postawy u innych ludzi, zazwyczaj jednocześnie oddziaływa na nas tymiż samymi wpływami, przez które wywołało wyraz u owych ludzi, a tém samém, usposabia nas do poddania się wpływowi tego wyrazu, na który patrzymy; co więcéj, widok wyrazu u innych zwraca uwagę naszę na te zewnętrzne okoliczności, które go u innych wywołały, i którym teraz łatwiéj sami ulegniemy. Tak np. podczas pożaru, albo w nudném towarzystwie nie tylko działa na nas wyraz strachu lub nudy, lecz i niebezpieczeństwo lub nudna rozmowa, które działały i na nich, a nadto wyraz ów wskazuje nam, co jest gro-

żnego lub nudnego w otoczeniu. Podobnie gdy czytamy opis wyrazu ekspresyjnego, to najczęściéj przedtém lub zaraz potém dowiadujemy się i o zdarzeniach, które ów wyraz spowodowały. Gdy idzie nie o wyraz lecz o postępowanie, to wymieniona okoliczność mniejszy wpływ okazać może: rzadko się zdarza, aby położenie nasze i osoby, na któréj postępowanie patrzymy, były identyczne lub nawet bardzo zbliżone, gdy jednak wypadek taki zajdzie, to niewątpliwie widok lub opis postępowania, wspomagane przez inne wpływy współczesne, oddziałają na nasze uczucia silniéj, niż w wypadku zupełnie odmiennych położeń.

Wyświetliwszy pokrótce nowe to zastosowanie zasady, przejrzyjmy fakty, o ile te potwierdzają tak zasadę wogóle, jak i tę jéj postać. Należą tu objawy t. z. sympatyi albo współczucia. Sympatyzować z kimś znaczy to, niemając własnych ku temu pobudek, przejmować się tymi stanami, uczuciami, których doznaje ktoś inny wskutek pobudek rzeczywistych, bezpośrednich. Sympatya obudza się w dwojaki sposób: możemy naprzód uprzytomnić sobie położenie osoby, któréj chcemy współczuć, czyli jéj pobudki rzeczywiste i w tym razie czuć będziemy tak, jak czulibyśmy znalazłszy się sami w tém położeniu, choć w stopniu słabszym o tyle, o ile wyobrażenie słabszém jest od rzeczywistości. Zdarza się jednak, iż sympatyzujemy z osobą, nieznając wcale, albo w danéj chwili nie uwzględniając jéj położenia i dość nam, ażebyśmy widzieli zewnętrzne objawy jéj uczucia, czyli wyraz uczuciowy. Przykłady tego każdy łatwo znajdzie we własném doświadczeniu: widok płaczących, chmurnych twarzy przejmuje nas smutkiem, twarz uśmiechnięta—napełnia zadowoleniem, pomimo naszéj uwagi i woli. Że wpływ ten symptomatów, na które patrzymy, polega właśnie na słabszém odtwarzaniu się w nas postawy i wyrazu, na to mamy bezpośrednie dowody obserwacyi; jakkolwiek często dla sympatycznego odczucia cudzych stanów, dość jest ich wyraz widzieć, jednak w pewnych wypadkach zauważyć możemy, jak osoba sympatyzująca mimowoli przystosowuje swoję własną postawę i wyraz do tych, jakie przed sobą widzi; osoby o słabych nerwach, wrażliwe, z łatwością przejmują wyraz i gesta tych, z którymi rozmawiają, uśmiechają się wobec śmiejących, marszczą się wobec zachmurzonych; w teatrze znaczna część widzów, zwłaszcza kobiety przejmują postawę i wyraz aktora, którego gra najbardziéj ich wzrusza. Wiadomo, iż kobiety i dzieci celują w przenikaniu myśli, odgadywaniu cudzych uczuć, jednocześnie znaną jest u tychże osób wielka skłonność do naśladownictwa cudzych poruszeń; otóż odgadują one uczucia dlatego właśnie, iż z łatwością przystosowują swą postawę do podstawy widzianéj. Współbytność

dwóch tych objawów również stwierdzoną została przez podróżników u niektórych dzikich plemion, np. Indyan Północnéj Ameryki.

Jak dalece ścisłym jest związek uczuć sympatycznych i zewnętrznych objawów uczucia, znajdujemy wskazówki tego w literaturze. Poeta, przedstawiając uczucia osób, nie tylko kreśli ich pobudki, lecz, o ile pozwalają na to estetyczne względy kompozycyi, podaje zarazem i opis symptomatów owych uczuć, czyli ich wyrazu: a to świadczy z jednéj strony, iż w chwili gdy przejęty był uczuciami swych bohaterów, miał w umyśle i obraz ich uczuciowéj postawy, z drugiéj — iż podanie tego obrazu uważał za środek pożyteczny do obudzenia tychże uczuć w czytelniku. Oto kilka przykładów. Mickiewicz tak przedstawia strach:

„I *włosy mi się jeżą*, kiedy się oglądam
I postać twoją widzieć *lękam się* i żądam....“

Homer tak kreśli żal Achillesa po stracie Bryzeidy:

„a wtedy Achilles
Zdala od swych towarzyszy usiadł i *gorzko zapłakał*,
Wzrok utopiwszy w niezmierne sinego morza przestrzenie;
Ręce wyciągnął i matkę gorąco błagać poczyna“. (Jl. I, 348).

Dolon, napadnięty przez Greków, tak strach wyraża:

„przystanął srodze *zlękniony*,
Cały się *trząsł*, a *zęby* od strachu mu w ustach *dzwoniły*;
Bladość ogarnia mu twarz“ (Jl. X, 374).

albo:

„Dolon odrzecze mu na to *z drżącemi od strachu kolany*“.

Achilles, na wieść o śmierci Patroklesa, tak się zachowuje:

„Obydwiema rękoma chwyciwszy za czarną kurzawę,
Głowę nią posypuje i piękne szpeci oblicze;
Czarna jak popiół kurzawa na pięknym obległa chitonie.
Sam zaś wpośród kurzawy, ogromny na wielkiéj przestrzeni
Legł i rękoma lubemi swe *włosy targając zeszpecił*“. (Jl. XVIII, 22).

U tragików: Sofoklesa, Eurypidesa, również wiele znaleść można podobnych przykładów, których jednak nie przytaczam w braku polskiego przekładu; między innemi u Sofoklesa: Ajaks 309, 324, 317; Antygona 441, 1231; Edyp Król 1258, 1317, Edyp z Kolonu 329, 1250, 1259; Filoktet 822, Trachinianki 786 i wiele innych.

Formułując ostatecznie zasadę, jako odradzanie się uczucia, w skutek wyobrażenia lub widzenia jego wyrazu, zaznaczyłem, iż zachodzi to przy tychże warunkach, któreśmy uprzednio dla innych postaci zasady określili, a do których należą: współczesne wrażenia,

wyobrażenia, panujący nastrój uczuciowy i doświadczenie uczuciowe. Warunki te wywiedliśmy *a priori*, teraz jednak możemy przez postrzeganie słuszność ich stwierdzić, ponieważ objawy t. z. sympatyzowania, będące, jak widzimy, szczególném tylko zastosowaniem nierównie ogólniejszéj zasady, daleko wcześniéj i powszechniéj zauważone zostały, aniżeli sama zasada: co do nich téż empirycznie ustalono okoliczności, sprzyjające lub utrudniające ich pojawienie się. Tak, z pospolitego doświadczenia wiadomo, że uledz możemy uczuciowemu wpływowi otoczenia, np. tych, z którymi rozmawiamy, wtedy tylko, jeśli skupimy uwagę na ich wyrazie, czyli odosobnimy się od reszty otoczenia, od wpływów innych wrażeń; daléj, że zajęcie się własnemi myślami, obecność pewnych stałych, własnych i silnych wyobrażeń czyni nas względnie niezależnymi od usposobienia tych, z którymi obcujemy; że gdy znajdujemy się w określonym i wyraźnym nastroju uczuciowym, przeciwny nastrój otaczających, potęguje tylko i zaostrza nasz nastrój własny, że np. wesołość obecnych rozdrażnia bardziéj jeszcze silnie zagniewanego; że stała niezdolność sympatyzowania warunkuje się właśnie ciągłą obecnością w umyśle silnych stanów egotycznych; że wreszcie stanowczą przeszkodę sympatyi stanowi brak osobistego doświadczenia odnośnych stanów i uczuć. Wszystkie te okoliczności, wykryte przez pospolitą obserwacyą, zgodne są, jak widzimy, z temi, które otrzymaliśmy, jako wnioski z prawd ogólniejszych i które przeto tém większéj teraz nabierają pewności.

Że wyobrażanie, słyszenie lub widzenie nie tylko wyrazu i postawy ekspresyjnéj, lecz i pewnego sposobu postępowania, powoduje w umyśle odpowiednie stany uczucia—na to trudniéj znaleść w życiu dowody faktyczne. Niewątpliwie jednak tutaj zaliczyć należy fakty w tym rodzaju, że np. ogół przejmuje się niekiedy nienawiścią, poprostu ulegając wpływowi wybitnych jednostek: nienawidząc i prześladując, każdy na swój sposób, niewielu zdolnych jest wskazać, jakie skłaniają ich ku temu powody; podobnie z drugiéj strony, zdobywa człowiek popularność, wziętość i miłość u ludzi, skoro się znajdzie kilka jednostek energiczniejszych i krzykliwszych, które dadzą pochop ku temu i oddziałają na apatyczny i bezmyślny ogół. Zdarza się, iż przedmiotu zrazu zupełnie nam obojętnego zaczynamy pożądać wtedy dopiero, gdy postrzeżemy, że inni o niego się ubiegają: widok cudzych zabiegów budzi i w nas odnośne uczucia, jakkolwiek mogą tu współdziałać i inne jeszcze przyczyny. Zauważano, iż podczas długich i krwawych wojen, o których wieści daleko się rozchodzą, zniża się ogólny poziom usposobień altruistycznych, mnożą się przestępstwa, czyny gwałtu i okrucieństwa u tych nawet, któ-

rzy sami udziału w wojnie nie biorą; podczas bitwy np., żołnierze z natury łagodni zarażają się okrucieństwem od niektórych towarzyszy i ogólny poziom okrucieństwa wznosi się do tego punktu, na którym stoją jednostki z natury najokrutniejsze. Dlatego też krwiożerczość, wykazana przez wojsko na wojnie, nie może służyć za dowód dzikości danego narodu. Chwile ogólnéj paniki giełdowéj lub przemysłowéj też samą objawiają przyczynę: zachowanie się jednych budzi odnośne uczucia i takież zachowanie się u innych, choć-by ku temu bezpośrednich pobudek nie mieli. Jednakże, nie wszystkie wypadki, w których widok ruchów postępowania wywołuje takież ruchy, postępowanie innych, tłómaczyć można rozwijaną tutaj zasadą: pojawianiem się pod wpływem ruchu (względnie: wyobrażenia ruchu) uczucia, które-by się z kolei stawało samoistną pobudką i powodowało dalszy szereg poruszeń. Niekiedy na widok ruchów występują takież ruchy u innych bezpośrednio, pomimo jakiegokolwiek stanu uczuciowego, na zasadzie nieświadomego naśladownictwa ruchowego, które znów sprowadza się do tego prawa, iż wyobrażenie ruchu dąży do przejścia w ruch. Np. gdy widząc na ulicy, jak się ktoś potknął, sam się potykam na równym chodniku. Czy mamy przed sobą powtarzanie ruchów w skutek pośredniego obudzenia się uczucia jako pobudki, czy też w skutek bezpośredniego nieświadomego naśladownictwa, o tém w każdym szczególnym wypadku orzec nie trudno; w pierwszym razie są to zazwyczaj ruchy o stałym charakterze ekspresyjnym, albo stanowią określony, typowy sposób postępowania; powtóre, nie są zupełnie identyczne co do formy i zakresu z ruchami widzianemi, lecz tylko ogólnie do nich podobne; wreszcie poprzedza je mniéj lub więcéj wyraźny stan świadomości uczuciowéj. W drugim wypadku naśladownictwa ruchowego, ruchy są zazwyczaj przypadkowe i nie związane stale z określoną formą uczucia, są wierném powtórzeniem ruchów naśladowanych, wykonywają się nieświadomie. Tak wedle tych znamion, będziem mieli nieświadome naśladownictwo wtedy, gdy np. dziecko zaraża się jąkaniem od innéj osoby, albo gdy na ulicy ludzie biegną w pewną stronę dlatego, że widzą innych, w tymże kierunku biegnących; przeciwnie, między ruchem, postępkami widzianymi a wykonywanymi przypuścić należy ogniwo pośrednie—stan uczuciowy, który, będąc poddanym mimowoli, stał się świadomą pobudką, w takich wypadkach, gdy np. w chwili paniki przemysłowéj na wieść o tém, co inni robią, każdy stara się swoją odmienną działalność przemysłową ograniczyć i ze swoich interesów wycofywać gotówkę, albo gdy podczas popłochu w teatrze, pod wpływem sympatycznego strachu, część pewna osób wyszukuje dróg ucieczki w ich położeniu najkrótszych i najdogodniejszych.

Streśćmy teraz pokrótce cały przebieg rozumowania. Wpośród objawów snu hipnotycznego stwierdziliśmy fakt pojawiania się uczucia w następstwie nadanéj postawy i wyrazu. Analizując zjawisko, znaleźliśmy, iż głównym jego momentem jest zasada najsilniejszego skojarzenia dwóch stanów: uczucia i ruchu ekspresyjnego; że współczynnikami, które ów moment określały, były: hipnotyczne znieczulenie, bezmyślność i bezwola, i jako wynik otrzymaliśmy, iż przy tych warunkach zjawisko było koniecznem. Przeniósłszy się następnie na grunt normalnie psychologiczny, znaleźliśmy tutaj czynną tę samę zasadę skojarzenia, lecz w odmiennem otoczeniu: normalnéj wrażliwości, wyobraźni i uwagi; a w obec tych warunków bardziéj złożonych, wywnioskowaliśmy, iż zjawisko choć nie jest koniecznem, jest możliwem, i to w stopniu mniejszym lub większym, zależnie od zachowania się przyjaznego, obojętnego lub wrogiego czynników takich jak: wrażenia, wyobrażenia, uczucia i wola, z uwzględnieniem wpływu powtórzeń. Ustanowiwszy zasadę w formie prostéj i typowéj, jako pojawianie się uczucia wskutek postawy ekspresyjnéj, i rozszerzając daléj pojęcie téj postawy, wywnioskowaliśmy tenże sam skutek odnośnie do ruchów, wchodzących w zakres t. z. postępowania, oraz do wyobrażeń ruchowych. Wreszcie dla wniosków otrzymanych dedukcyjnie, znaleźliśmy potwierdzenie w faktach, których dostarczyła obserwacya.

Obejmując rezultaty, do których badanie nas doprowadziło, sformułować możemy następujące prawo:

Wyraz, postawa ekspresyjna i postępowanie, czy-to rzeczywiste, czy wyobrażone (widziane, słyszane) zawsze dążą, a przy przyjaznem lub tylko obojętnem ustosunkowaniu się względem nich innych wyobrażeń, uczuć i aktów woli, oraz pod wpływem powtórzeń, rzeczywiście wywołują w umyśle te uczucia, popędy i wyobrażenia, które w zwykłym porządku były ich poprzednikami i pobudkami.

Ponieważ zazwyczaj, w szemacie refleksu, ruch jest w stosunku do czucia momentem następczym, spowodowanym, a w szeregu powyższych zjawisk, przeciwnie, ruch w stosunku do czucia występuje jako moment poprzedniczy, powodujący, to i prawo, zjawiska owe formułujące, nazwać by można *prawem zwrotnego działania ruchów.*

III.

Prawo to, tak jak je wyżéj w formie abstrakcyjnéj wyraziłem, nie odsłania z razu swych konsekwencyj praktycznych i aby otrzymać te konsekwencye, które usprawiedliwić mają drugą część tytułu pracy naszéj, podać musimy parę jeszcze wyjaśnień uzupeł-

niających, a mianowicie, uwzględnić niektóre dalsze skutki, które prawo w umyśle sprowadza, oraz pewne uboczne okoliczności, związane już-to z naszą organizacyą duchową, już-to z warunkami bytu społecznego.

Dwoma terminami sądu, wyrażającego prawo, są: ruchy i uczucie, z których, z punktu widzenia praktycznego istotnym jest drugi, tj. uczucie, i wszystkie konsekwencyc życiowe naszego prawa polegają na tém, iż w myśl jego uczucie pojawia się, względnie, może być wywołaném, za pośrednictwem pewnych ruchów.

Wprawdzie dla życia bezpośrednią wartość mają tylko ruchy przez ludzi wykonywane—ich postawa, czyny i słowa, ale ponieważ te powodowane są, między innemi, przez uczucia, jasném jest, iż uczucia, jako przyczyna i środek, osiągają znaczenie pierwszorzędne: na ruchy—postawę, czyny i słowa, o ile powodowane są przez uczucia, oddziałać możemy tylko oddziaływając na uczucia. Tymczasem ze wszystkich stanów świadomości najmniéj dla wpływu naszego podatnemi są — uczucia, będące przyczyną, środkiem, a najbardziéj— ruchy, będące tylko skutkiem, celem. Otóż z góry widzimy, iż prawdziwą korzyść znajdziemy, gdy zdołamy jakkolwiek rolę tę przemienić i ruchy — stany podatne, uczynić środkiem, a uczucia, mało podatne — celem.

W saméj rzeczy, w zakresie ruchów wola nasza wpływ wywierać zdolna najłatwiéj i najszerzéj: człowiek bardzo wcześnie i w stopniu dość zadawalniającym uczy się kierować i rządzić swemi poruszeniami, ale bardzo późno lub wcale, swemi wyobrażeniami i myślami; w wieku nawet dojrzałym nierównie jest łatwiéj utrzymać przez czas pewien określony rodzaj i kierunek ruchów, aniżeli określony rodzaj i kierunek wyobrażeń, łatwiéj przymusić się i wytrwać przy pracy fizycznéj, mięśniowéj, aniżeli umysłowéj, pracy myślenia; co zaś do uczuć, to dowolne panowanie nad nimi, o ile w ogóle jest możliwém, zależy nie tylko od ćwiczenia, lecz także od pewnéj specyalnéj wiedzy psychologicznéj i fizyologicznéj i dla większości ludzi na zawsze obcem pozostaje.

Ruchy nie tylko są najpodatniejsze dla woli samego osobnika, lecz ze wszystkich objawów istoty duchowéj są to jedyne dostępne dla innych ludzi; istotą tą możemy kierować, cośkolwiek jéj nakazywać lub zakazywać i oceniać skutki naszego działania, o tyle tylko, o ile objawia się nam ona pewnymi ruchami i po za tymi ruchami zachowanie jéj w zakresie wewnętrznych uczuć i wyobrażeń jest zgoła dla nas niepoznawalne i dla wpływu naszego niedostępne. Skoro więc prawo nasze ukazuje związek i przyczynową zależność stanów wewnętrznych—uczuć, a pośrednio i wyobrażeń, od zewnętrz-

nych—ruchów, tém samém ułatwia nam i rozszerza możność kontroli i kierownictwa istoty duchowéj, w obrębie samych już jéj uczuć i myśli.

Z tego, że ruchy są to jedyne objawy postrzegalne i dostępne dla innych, wynika, iż w interesie jednostki leży normować i urządzać w sposób dla ogółu pożądany nie swoje wyobrażenia i uczucia—niepostrzegalne, ale przedewszystkiém swoje ruchy—wyłącznie postrzegalne. Na razie mniejsza o to, czém jesteśmy, jakie są nasze uczucia i myśli: dla powodzenia naszego i szczęścia ważniejszém jest, czém się wydajemy, jakie są nasze ruchy. Jednèm słowem, warunki bytu społecznego więcéj dostarczają pobudek do przybierania lub unikania pewnych ruchów, aniżeli do przybierania lub unikania pewnych uczuć i myśli. Ale skoro owe ruchy pożądane i wymagane w stanie społecznym, w myśl naszego prawa oddziaływają na usposobienie wewnętrzne osobnika, to same warunki społeczne dążyć będą przez pośrednictwo ruchów, do wywarcia pewnego wpływu na stan uczuć i myśli.

Tak więc dla życia ważne są właściwie ruchy—postawa, czyny i słowa, ale pobudkami ruchów, ich przyczynami są uczucia; działać przeto na pierwsze można tylko przez drugie; lecz uczucia są najmniéj dostępne dla oddziaływania, najbardziéj—ruchy; prawo nasze okazuje, jak przez ruchy oddziałać można na uczucia, i tém ułatwia ostateczny cel -- oddziałanie na zachowanie się ludzi, na ich czyny i słowa, o ile powodowane są przez uczucia. A więc, określiwszy, które uczucia są pożyteczne i moralnie pożądane, w zakresie woli osobistéj, będziemy przybierać odpowiadające im ruchy (postawę, postępowanie), i to łatwiéj nam przyjdzie niż przybieranie samych uczuć; w zakresie bezpośredniego kierowania człowiekiem nakazywać będziemy moralnie pożądane ruchy i to łatwiéj przyjdzie niż nakazanie samych uczuć; w zakresie stosunków i urządzeń społecznych utrzymywać będziemy i mnożyć takie, które w jakikolwiek sposób sprzyjają i powodują przybieranie ruchów, odpowiadających uczuciom, moralnie pożądanym.

Lecz tu znowu zachodzi pytanie, w jaki to mianowicie sposób ruchy oddziałać mają na uczucia i myśli. Bo jeżeli w skutek danego ruchu pojawia się dane uczucie, w tym stopniu i na tak długo, jak sam ruch, to w tém jeszcze wyraźnéj korzyści niewidać: ruch — postawa, czyny, słowa, objaw ostatecznie dla życia wartościowy, był tu już i tak dany. Jeżeli zaś w moralności, wychowaniu i polityce przywiązujemy pierwszorzędne znaczenie do uczuć, to nie jako do stanów przypadkowo, efemerycznie pojawiających się i znikających, ale jako do pewnych stałych usposobień, trwałych zdolności, i nie

jako do stanów spowodawanych, ale jako do powodujących. Otóż o istotnym wpływie przybieranych ruchów na uczucia może być mowa wtedy tylko, gdy się okaże, iż ruchy wywierają na uczucie wpływ nie chwilowy, przemijający, ale trwały, taki, który zdolny byłby przetrwać istnienie samego ruchu, wywołać uczucie nie jako stan przypadkowy, ale jako stałą zdolność. W saméj rzeczy ruchy wpływ taki wywierają.

Przedewszystkiem, pomijając obserwacyą, analogia innych stanów i procesów psychicznych upoważnia nas do przyjęcia, iż uczucie, które pojawiło się wskutek przybranego ruchu, niekoniecznie znika z ustaniem samego ruchu, że owszem trwa ono dłużéj i ze spowodowanego skutku, jakim było pierwotnie, zdolne jest stać się powodującą przyczyną. Wyobrażenie, obudzone przez skojarzenie z widzianym przedmiotem, nie ustępuje z umysłu, gdy przedmiot zszedł z oczu, lecz zdolne jest pozostać samo i obudzić dalsze skojarzenia; motyw woli, zrodzony pod wpływem realnego wrażenia, nie znika z ustaniem wrażenia, lecz i późniéj, pomimo niego, zdolny jest wolę pobudzić; wreszcie ku temuż samemu wnioskowi przyprowadza nas obserwacya zjawiska hipnotycznego: widzieliśmy, iż gdy hipnotykowi nadano gest gniewny, zaciśnięto pięść, to uczucie pojawiło się wskutek tego w pewnym nieokreślonym stopniu, lecz wnet przyjęło na siebie rolę czynną i wywołało na twarzy takie poruszenia, jakich zewnętrznie nikt-by nadać nie mógł. Otóż podobnie wnosić należy, że i w stanie fizyologicznym, uczucie pojawiwszy się w pewnéj nieokreślonéj części, jako skutek częściowo przybranych ruchów, kilku rysów postawy, kilku początkowych czynów, słów, stanie się z kolei przyczyną i już samo przez się powodować będzie w danéj chwili dalszy ciąg ruchów, postępków, słów, choć-by nawet znikły przymusowe ruchy, które je początkowo wywołały. Postawa, postępowanie, słowa w pierwszym momencie przybrane, udane, obce nastrojowi wewnętrznemu, w momentach dalszych stać się mogą szczerymi, i z nim zgodnymi, powodowanymi przez nastrój wewnętrzny.

Uczucie, nie tylko zdolne jest przetrwać ruchy, które je wywołały, przez cały dany przeciąg czasu, przez czas danéj sytuacyi życiowéj bez przerwy, lecz zdolne jest przetrwać i daną sytuacyą i odrodzić się już samo przez się niezależnie od ruchów, po pewnéj przerwie, w odmiennéj sytuacyi. Ruchy przybieramy zawsze w obec pewnego przedmiotu lub pewnéj osoby, uczucie budzi się przeto także w obec pewnego przedmiotu i pewnéj osoby, a w skutek tego, między przedmiotem lub osobą a uczuciem zawiązuje się skojarzenie, które przy powtarzaniach coraz bardziéj się utrwala, tak, iż z cza-

sem w obec danego przedmiotu lub osoby uczucie budzić się będzie samo przez się i stanie się samoistną pobudką dla odnośnych postępków. Przykładem tego matka, która najsłabszemu dziecku udziela więcéj starań z razu z potrzeby i obowiązku: lecz zrodzone wskutek tego silniejsze uczucie wiąże się z osobą dziecka i usposabia ją do większych poświęceń niezależnie od idei obowiązku.

Dane uczucie, odradzając się wielokrotnie pod wpływem ruchów, nabiera coraz większéj siły odradzania się, jako fakt pamięci; organizacya nerwowa osobnika coraz lepiéj przysposabia się do danego uczucia, w myśl tego, iż każdy narząd, w miarę jak jest czynnym, uzdalnia się do dalszéj czynności, że każda funkcya doskonali się w miarę wykonywania. Jednocześnie uczucie odradzając się w rozmaitych sytuacyach i w obec różnych osób, stanie się w końcu względnie niezależném od jakiéjkolwiek szczególnéj sytuacyi lub osoby i odradzać się będzie we wszystkich położeniach, które posiadają ogólną tylko cechę, w związku będącą z danym rodzajem uczucia, np. litość — w położeniach mających tę cechę, iż jest ktoś, co potrzebuje pomocy.

Ten zaś ostatni wynik równa się twierdzeniu, iż uczucie staje się trwałem usposobieniem i zdolnością osobnika, czego dowieść należało.

Przejrzyjmy teraz niektóre szczególne przypadki, w których prawo znaleść może praktyczne uwzględnienie.

W *wychowaniu*, mianowicie kształceniu uczuć, jeśli pominiemy frazeologią i wątpliwéj wartości zalecenia ogólne, zapełniające tę część pedagogii, to obok zasady naśladownictwa (przykładu, który także w części polega na poddawaniu) w związku z teoryą przyzwyczajenia, niéma, zdaje się, drugiéj, któraby dawała równie pozytywne wskazania, jak zasada poddawania uczuć za pośrednictwem ruchów. Daje nam ona środek, którym rozporządzać możemy w określonéj i dowolnéj mierze, pod warunkami mniej więcéj znanymi, śród okoliczności nie trudnych do oznaczenia w każdym pojedyńczym wypadku. Ze szczególnych zadań wychowawczych, którym posłużyć może nasza zasada, wymienię: wzbudzenie i utrzymywanie pogodnego, wesołego nastroju umysłu; podtrzymywanie uczucia siły, energii, pewności siebie; rozwój skłonności altruistycznych—życzliwości, sympatyi, gotowości do usług, z wyłączeniem skłonności i uczuć przeciwnych. Zadania te urzeczywistniać będziemy, już-to, w granicach możności, nakazując odpowiednią postawę lub postępowanie, już-to dając dziecku sposobność widzenia lub wyobrażania téj postawy i postępków. Tak, nakłonimy je w stosunkach z ludźmi do zachowywania oznak i form życzliwości, dobroci, grzeczności, do ustępstw, poświęceń i przysług na ko-

rzyść innych, po prostu wskutek naszego rozkazu, bez względu, czy dziecko czuje ku temu wewnętrzną pobudkę czy nie; przestrzegać będziemy, aby zwykłym wyrazem twarzy dziecka był wyraz pogodny, zadowolony, uśmiechnięty, zwykłą postawą—ciało wyprostowane, naprzód podane, głowa podniesiona, a w tym celu niepozwolimy mu bez przyczyny chmurzyć się, garbić lub pochyło trzymać, a przedewszystkiém starać się będziemy sami zachowywać zawsze w jego obecności wyraz wesoły, postawę pełną siły i energii.

Pamiętać jednak należy, iż tego rodzaju środek wychowawczy uważany być winien nie za czynnik jedyny i wystarczający, lecz tylko za współczynnik, który może cel osiągnąć lub chybić zależnie od ustosunkowania się innych czynników. Znaczenie tych czynników, współczesnych wrażeń, wyobrażeń, uczuć, aktów woli, wyjaśniono dostatecznie w części rozprawy teoretycznéj i tutaj dość je będzie przypomniéć. Gdy mówię o wychowawczych skutkach przybieranych ruchów (postawy, postępowania), to nic nadto powiedziéć niechcę, jak tylko, iż ruchy te *dążą* do wywarcia tych skutków, i że znaczenie ich i wpływ oceniać zawsze należy z domyślném zastrzeżeniem „*przy innych równych warunkach—caeteris paribus.*“ Pogodny, wesoły nastrój ducha zależny jest przedewszystkiém od dobrego odżywiania, korzystnych warunków bytu tak w teraźniejszości, jak we wspomnieniach i przewidywaniach; uczucie siły, pewności—od energicznego krążenia krwi, powodzeń w życiu itp., i gdy te warunki są stanowczo i z gruntu wadliwe, to niewątpliwie i przybieranie odnośnéj postawy nie wpłynie na obudzenie i utrzymanie uczuć. Ale wszystkie te warunki uboczne znajdować się mogą w pewnym stopniu obojętnym, stać na pewnym punkcie zero—nie być ani zbyt korzystnymi ani zbyt nieprzyjaznymi, i wtedy istnienie uczuć raczéj tych niż innych, w stopniu wyższym niż niższym, uczynić możemy zależném od tego wyrazu i postawy, jakie osobnik pod naszym wpływem zwykle przybierać będzie. W dwóch wypadkach, które, pod każdym innym względem równe, tém się tylko różnią, iż w jednym przybraną została postawa ekspresyjna, w drugim nie, w pierwszym miéć będziemy większe prawdopodobieństwo pojawienia się uczucia i w stopniu wyższym, aniżeli w drugim.

Dla praktyki ważne są jeszcze dwa punkty. Zmierzając do obudzania w dziecku pewnego uczucia za pomocą nakazanéj mu postawy lub postępowania, baczyć należy, czy uczucie owo dane było w doświadczeniu dziecka indywidualném lub dziedziczném, czy doświadczało go kiedyś wskutek przyczyn rzeczywistych—wrażeń, stanów ustrojowych lub przynajmniéj odziedziczyło. W przeciwnym razie brak będzie dla postawy drugiego ogniwa skojarzenia, i gdy

postawę tę przybrać zmusimy, to pozostanie ona czemś zupełnie zewnętrznéin, martwem, a jeśli w podobnych okolicznościach i z takimże skutkiem często wywoływać ją będziemy, to zrodzimy w dziecku przywiązanie i nawyknienie do pustych form, *konwenansu*. Ażeby dziecko wskutek zewnętrznego zachowania się uczuło miłość dla obcych, potrzeba, ażeby znało już miłość dla rodziców itp. Co do uczuć takich, jak zadowolenie, siła, gniew, to prawdopodobnie są one z wyrazem swym skojarzone organicznie i skojarzenie to przynosi dziecko z sobą na świat; a zresztą i samo doświadcza ich dość wcześnie. Powtóre, narzucając dziecku pewną postawę lub postępowanie, uwzględnić należy, jakim jest w téj chwili jego nastrój uczuciowy rzeczywisty. Jeżeli istniejący nastrój jest silnie zaakcentowany i w kierunku wprost sprzecznym z postawą, to narzucenie jéj będzie miało za skutek, jak wiemy, tylko zaostrzenie i spotęgowanie owego pierwotnego nastroju, i ostatecznie dziecko przyzwyczai się do *obłudy*, która właśnie polega na wyraźnéj sprzeczności między wyrazem, słowem, czynem a stanem wewnętrznym. Nakazując oznaki i postępowanie życzliwości, szacunku względem osoby, dla któréj dziecko czuje wstręt, mniejsza o to, uzasadniony czy nie, wzbudzimy w niem większy jeszcze wstręt i nienawiść dla téj osoby.

Uwagi powyższe mieć należy na względzie i w niektórych niżéj wskazanych przypadkach.

W wychowaniu i niektórych innych stosunkach środkiem rządzenia ludźmi jest *rozkaz*, którego działanie opiera się na zasadzie, że wyobrażenie ruchu dąży do przejścia w ruch—w czyn. Lecz, aby dążność ta urzeczywistniła się, potrzeba, aby wyobrażenie padło na przyjazny grunt: umysł skłonny do przyjęcia i wykonania rozkazu wolnym być winien w téj chwili od innych wyobrażeń; takie zaś właśnie stłumienie obcych wyobrażeń, otworzenie pola jednemu wyobrażeniu, powodują niektóre uczucia, jak bojaźń, poczucie własnéj słabości, szacunek dla rozkazującego. Te zaś uczucia mają swój wyraz, z którym są ściśle związane: nie godzą się z innym wyrazem, budzą się pod wpływem swojego wyrazu. Otóż, chcąc zapewnić skuteczność rozkazowi przez uprzednie doń usposobienie osobnika, przestrzegać będziemy przedewszystkiém, aby w chwili odbierania rozkazu zachowywał on postawę, odpowiadającą uczuciom bojaźni, słabości, szacunku, postawę stojącą, z głową lekko pochyloną, rękoma opuszczonemi; postawa niedbała, lekceważąca—siedzenie lub leżenie jest jednym więcéj czynnikiem przeciwnym rozkazowi i usposabiającym do nieposłuszeństwa. Regułę tę oddawna instynktownie stosowano, a dobry jéj przykład znajdujemy w dyscyplinie wojsko-

wéj: tam wymaga się od żołnierza nietylko, aby przybierał wobec zwierzchnika naturalny wyraz uczuć, warunkujących posłuszeństwo np. ręce spuszczone, lecz i wyraz ich konwencyonalny, który przypadkowo związał się z owymi uczuciami np. ręka u czoła albo sformowanie szeregu. Wielką ilość razy żołnierz odbierał i wykonywał rozkaz znajdując się w prawidłowym szeregu, wskutek czego pozycya ta skojarzyła się z nastrojem uczuciowym posłuszeństwa i aby żołnierza do posłuszeństwa tego usposobić w okolicznościach mniéj przyjaznych, korzystném jest oczywiście naprzód kazać mu pozycyą ową przyjąć. Tak iż rozkazy: „ręce na dół“ albo „formuję się,“ od których oficer zaczyna, mają właściwie na celu osłabienie zbiorowéj woli gromady i usposobienie jéj do wykonania dalszych rozkazów, dla których inaczéj mniéj może byłaby podatną; te zaś pierwsze rozkazy pewniéj będą wykonane, dla tego iż były częściéj od wszelkich innych dawane i wykonywane.

Stanowisko *małżonka i ojca* rodziny wymaga wykonywania wielu czynności altruistycznych, w braku innych pobudek, choćby pod przymusem ogólnéj idei obowiązku, opinii publicznéj i prawa. Lecz spodziewać się należy, iż sposób ten postępowania zrazu przymusowo przyjęty, oddziała na uczucia i zmodyfikuje w kierunku altruistycznym naturę, która była przeważnie egoistyczną i która takąby pozostała, żyjąc po za związkiem małżeńskim.

Niektóre stosunki społeczne powodują stale przybieranie pewnéj postawy i pewnego sposobu postępowania, bez względu na istnienie lub brak osobistych, wewnętrznych ku temu pobudek. Takimi są obowiązki gościnności, wypływające ze *stosunku gospodarza i gościa*. Obowiązki te uświęcone tradycyą, ubezpieczone i podtrzymywane przez zwyczaj i opinią publiczną, sprawiają, iż ludzie najrozmaitszych usposobień i temperamentów, zkądinąd może wcale niesklonni do ustępstw i poświęceń, gdy wystąpią w roli gospodarza, starają się zachowaniem całém okazać uczucia troskliwéj życzliwości i przyjaźni dla człowieka, który wszedł pod ich dach; przybierają więc wyraz i postawę znamionujące życzliwość i zadowolenie oraz wykonywają postępki, mające na celu zaspokojenie jakiejś przyjemności lub potrzeby gościa, z drugiéj strony unikając pilnie wszystkiego, co mogłoby go nieprzyjemnie urazić. Gość znowu do pewnego stopnia stara się w podobny sposób zachować względem gospodarza. W myśl wszystkiego, cośmy wyżéj powiedzieli i z uwzględnieniem zrobionych tam zastrzeżeń i wyjątków, niemamy powodu nieprzyjąć, że i w tym wypadku wyraz i postępowanie, czemkolwiek są spowodowane, oddziaływają na stan człowieka wewnętrzny, czyli budzą uczucia życzliwości. Wprawdzie skłonni jesteśmy nieraz widzieć

w tym stosunku obłudę lub czczą formę, oburzamy się widząc, jak ludzie, którzy przed chwilą ściskali się i świadczyli sobie tysiące grzeczności, rozszedłszy się, obmawiają i szkodzą sobie wzajemnie; lecz dzieje się to dlatego, iż takie właśnie wypadki, jako stanowiące żywy kontrast z zewnętrznymi oznakami życzliwości, przedewszystkiém rzucają nam się w oczy, gdy tymczasem wypadki przeciwne— zgodności uczuć z wyrazem i postępowaniem, właśnie dlatego, iż brak w nich sprzeczności, iż zgodne są z tém, co odrazu znaleść się spodziewamy, przechodzą niezauważone. A jednak tych ostatnich, jak sądzę, jest znacznie więcéj. I te nawet wypadki, które mają pozory obłudy, nie są zazwyczaj takimi w całości: jakiemkolwiek jest zachowanie się dwóch ludzi przedtém i potém, niewątpliwie podczas samego stosunku, gdy schodzą się jako gospodarz i gość i przybierają odnośną postawę, doświadczają też na sobie jéj wpływu i mniéj są nieszczerzy, niż sądzićby można z ich dalszego zachowania się, gdy wpływy przeciwne łatwiéj biorą górę. Podobnie, i składanie życzeń imieninowych, jak w pewnych razach jest wyrazem szczerego uczucia, tak i dopełniane dla zwyczaju, budzi usposobienie życzliwsze dla osoby: przypuszcza ono bowiem zadanie sobie pewnego przymusu, wykonanie pewnych postępków, wypowiedzenie słów, z celem zadowolenia osoby, któréj się życzy. Co do życzeń noworocznych itp., to wpływ ich osłabiać musi znacznie ta okoliczność, iż składa się ich naraz zbyt wiele i w formie prawie identycznéj, a to, jak wiadomo, przytłumia świadomość wszelkiéj czynności.

Bądź co bądź, stosunki towarzyskie, nakazując wyraz i postępowanie altruistyczne, dążą stale do rozwinięcia w społeczeństwie usposobień altruistycznych i przytłumienia egoistycznych i to tém bardziéj, im są częstsze i powszechniejsze tj. im więcéj razy na każdą jednostkę wypada występować w roli gościnnego gospodarza. Rodzice, którzy nie utrzymują stosunków towarzyskich i nieprzyjmują gości, pozbawiają się jednego środka moralnego wychowywania dzieci, zwłaszcza dorastających córek. W zebraniach publicznych, klubach itp., położenie jest znacznie różne, tu każdy czuje się panem u siebie i, z wyjątkiem małych ograniczeń, niema potrzeby robić ustępstw na korzyść innych ani czynnie starać się o ich zadowolenie: każdy musi myślić i wystarczyć sam sobie w miarę własnego humoru i środków materyalnych. To też ograniczenie zebrań prywatnych i zastąpienie ich publicznymi, niezależnie od mogących ztąd wyniknąć korzyści, z naszego punktu widzenia, groziłoby niebezpieczeństwem obniżenia w społeczeństwie ogólnego poziomu usposobień altruistycznych.

Niektóre *profesye*, oparte na stosunku z ludźmi, pociągając z natury swojéj pewną postawę i sposób postępowania, dążą stale do wywarcia określonego wpływu na charakter człowieka. Tak praktyka lekarza zmierza do ulżenia cierpień ludzkich i przypuszcza mnóstwo czynności, ruchów, które mają na celu dobro, zadowolenie innych, które są natury altruistycznéj i tém samém dążą do wzbudzenia odnośnego nastroju wewnętrznego: odwiedzanie chorego, rozpytywanie się go o zdrowie, pocieszanie, opatrywanie ran, uskutecznianie niskich i wstrętnych niekiedy posług—wszystko to są czynności, które zawyczaj wynikają z miłości i poświęcenia, a które lekarz pełni w szerokim zakresie z zawodu. Zajęcie adwokackie przeciwnie, polega na wykonywaniu i wyobrażaniu mnóstwa czynności, mających na celu dobro osobiste, moralne lub materyalne, zabezpieczenie praw własnych bez ujmy cudzych, albo powiększenie korzyści własnych z równomiernym uszczerbkiem cudzych. Nie znaczy to, iżby lekarz oddawał się zawodowi swemu z pobudek życzliwości dla innych, adwokat z celów egoistycznych, owszem, jak jeden, tak drugi w pracy swéj mieć mogą zysk przedewszystkiém na widoku; lecz idzie o to, iż lekarz płatnym jest za pełnienie czynów altruistycznych, adwokat—czynów egoistycznych. Gdy w życiu każdego człowieka czynności jednego i drugiego rodzaju w pewnéj normalnéj mierze łączą się i dopełniają, lekarz koncentruje w sobie i wyręcza wielu ludzi w jednym rodzaju postępków—altruistycznym, adwokat bierze znów na siebie pełnienie za wielu czynności egoistycznych. A rodzaj postępowania, wypełniający znaczną część życia, bez względu, jakie pobudki zrazu go powodowały, w myśl naszego prawa, odbićsię musi na usposobieniu wewnętrzném człowieka. Rozumie się, iż zważywszy różnicę gotowych skłonności, z jakimi ludzie wchodzą do swych zawodów, i które przetrwać mogą wszelkie wpływy przeciwne, rezultat ten nie jest koniecznym; zgodnie z zasadą naszą, to tylko za pewne przyjąć można, że z dwóch ludzi przed rozpoczęciem zawodu jednakowo względem innych usposobionych, jeden po dziesięciu latach praktyki lekarskiéj stanie się przecięciowo bardziéj altruistą, drugi po tyluż latach praktyki adwokackiéj—przecięciowo bardziéj egoistą, a ta różnica uwydatni się i w postępowaniu ich wogóle, po za zawodem, w życiu prywatném i publiczném.

Obowiązki prokuratora, sędziego śledczego i niektóre inne, polegają na wykonywaniu i wyobrażaniu czynności, mających na celu nie już ubezpieczenie własnego dobra, lecz wprost zmniejszenie cudzego, przyczynienie bliźniemu cierpień—słusznie czy nie, to w danym razie obojętne. Konsekwentnie przeto zajęcia te dążą do zrodzenia w człowieku stałego nastroju obojętności dla cierpień, złośli-

wości, okrucieństwa w stosunkach z ludźmi wogóle. Dlatego też bezstronnym sędzią. do czasu przynajmnjej, być nie może ten, kto przez czas dłuższy był adwokatem, prokuratorem, sędzią śledczym.

Profesya, związana z pełnieniem usług osobistych, nacechowana zawsze w mniejszym lub większym stopniu domniemaną różnicą położenia, stosunkiem pana i sługi, wymaga ze strony tego ostatniego postawy i czynności, znamionujących niższość, zależność człowieka, wyrażających pokorę, uniżoność, chęć przypodobania się. Postawa ta, będąca może zrazu konwencyonalną, czynności, będące zrazu prostą wymianą ekonomiczną, z czasem oddziaływają na naturę wewnętrzną człowieka, wyrabiają w nim uczucia służalcze, które ujawnią się nietylko w stosunku do osoby, której obowiązany służyć, lecz i w innych sferach działania.

Przeciwnego zboczenia oczekiwać należy u ludzi, którzy z zawodu swego zmuszeni są więcéj niż człowiek przeciętny, przybierać postawę rozkazującą, wykonywać czynności panowania i rządzenia, jak np. dowódca wojska, zarządca wielkiego majątku, fabryki i t. p. Sposób ten zachowania się, choćby z razu godził się w nich z poczuciem równości i godności innych ludzi, a nawet przychodził im z pewnym przymusem, z czasem dążyć będzie do przetworzenia ich charakteru, przystosowania go do natury tych czynności, do wyrobienia w nich stałego nastroju—poczucia siły, pewności siebie, dumy, pragnienia władzy, lekceważenia cudzych chęci, i to nietylko w zakresie ich profesyjnych obowiązków, lecz wogóle we wszelkich stosunkach z ludźmi.

Widzimy więc, iż obok pewnych rodzajów pracy, które ujemnie dzialają na zdrowie fizyczne — w kopalniach, szlifierniach i t. p. są pewne inne, które fatalnie dążą do uszkodzenia równowagi i zdrowia moralnego; jak w jednym, tak w drugim wypadku dobrze jest poznać stan rzeczy i jego przyczyny, aby im przeciwdziałać, tylko, że w drugim tym wypadku trudniéj jeszcze o środki zaradcze. niż gdy idzie o zdrowie ciała.

W części rozprawy teoretycznéj okazałem, iż jednym z warunków sprzyjających dzialaniu przybranéj postawy na stan wewnętrzny, jest uprzednie istnienie gotowego nastroju uczuciowego, zgodnego co do natury z przybraną postawą. Otóż warunek ten nie może być lepiéj urzeczywistnionym jak w tym wypadku, gdy uczucie, powstawszy z ubocznych specyficznych pobudek, objawia lekką dążność do wyrażenia się, my zaś za pomocą świadomych aktów woli dążność tę wspieramy i rozmyślnie dajemy uczuciu wyraz zupełny—przybieramy postawę, wypowiadamy je, odpowiednio postępujemy.

Ostateczny ten wyraz przewyższa pierwsze, naturalne natężenie uczucia i ta właśnie przewyżka, przez nas świadomie spowodowana, w myśl naszego prawa, oddziaływa na stan wewnętrzny, ale w danym razie nie budzi uczucia nowego, lecz tylko potęguje uczucie już przedtém w zarodku dane. Ten sam fakt niekiedy i w takiéj postaci występuje, iż uczucie tkwi w nas ale nieświadomie, a uświadomia się wtedy dopiero, gdy wywola jakikolwiek ruch ekspresyjny, który jego natężenie spotęguje, np. gdy nienawidzimy instynktownie pewnéj osoby, ale dowiadujemy się o tém dopiero wtedy, gdy spostrzeżemy, że mimowoli od niéj wzrok odwracamy. Jako konieczne przeto następstwo naszéj zasady przyjąć możemy wniosek, iż *uczucie, które się wyraża postawą, słowami lub postępkami, przy innych równych warunkach, w miarę tego wyrażania się, rośnie*; oraz i wniosek odwrotny, że *uczucie wewnątrz skrywane, nie otrzymujące żadnego wyrazu, lub w objawach swych tłumione, co najmniéj, przy innych równych warunkach niewzmaga się*; a jeśli skądinąd nie jest podsycaném, to przez samo trwanie, slabnie. Otwiera się tu dla nas nowe pole i środek panowania nad sobą. Gdy zauważymy słaby zaczątek uczucia, to stosownie do tego, czy jest ono dla nas pożądaném lub nie, wzrost jego lub upadek uczynić możemy zależnym od własnéj woli: w pierwszym razie dając mu najzupełniejszy wyraz w postawie, słowach, albo postępowaniu—wykonywaném lub tylko wyobrażaném, w drugim — tłumiąc w zarodku wszystkie te objawy. Nie zupełnie sluszném jest w miłości, iż „serce nie sługa“, nie zawsze usprawiedliwieni być mogą ci, co porzucają narzeczone, dla tego iż pokochali inną kobietę. W znacznéj liczbie wypadków możemy budzącą się miłość stłumić zupełnie, lub gasnącą podniecić, umiejętném zachowaniem się względem drugiéj osoby. Do spotęgowania zaczątkowéj, niekiedy nieświadoméj miłości, a nawet, o ile istnieją wogóle przyjazne ku temu warunki fizyologiczne i zewnętrzne, do wywołania nieistniejącéj, prowadzi postawa i czynności, zazwyczaj przez miłość już istniejącą powodowane, jak świadczenie grzeczności towarzyskich, mówienie komplementów, składanie podarków i oddawanie innych usług, częste i z pewném uniesieniem spoglądanie na osobę; czego wszystkiego znów unikać należy, jeśli boimy się powstania lub wzmożenia się uczucia. Niemniéj dla ludzi, będących na drodze do zakochania się, lub zgoła do zakochania się w sobie usposobionych, ważnym momentem jest taniec, który obejmuje wiele ruchów, wyrażających właśnie uczucie miłości, odtwarzających zaloty mężczyzny, kokieteryą kobiety itp., i który tém samém dąży do obudzenia odnośnych uczuć u osób tańczących.

W duszy najmoralniejszego człowieka, najczystszéj kobiety drzemią nieświadomie występne popędy, sprośne uczucia, które od

czasu do czasu pod naciskiem zewnętrznym lub wpływem fizyologicznym przedzierają się do świadomości: wtedy bezpieczeństwo naszéj moralnéj istoty wymaga, aby kiełkującym tym uczuciom niedawać żadnego wyrażenia, nie tylko w postępkach, ale nawet w słowach. Dla tego to skromność i wstydliwość są dobrą prezerwatywą moralną, ponieważ, choć-by człowiek czuł się dalekim od uznawania i wprowadzania w czyn pewnych rzeczy, powstrzymują go nawet od mówienia i nazywania tych popędów i uczuć, które w nim samym może tkwią w téj chwili, gotowe zbudzić się do życia za najlżejszą podnietą swojego wyrazu—gestu, nazwy itp.

Dla uniknienia nieporozumień, nadmienić winienem, iż w niektórych wypadkach wyrażenie uczucia nie tylko niepotęguje go, ale osłabia. Taki jednak skutek ma miejsce tylko pod następującemi warunkami: jeżeli wyrażenie się uczucia jest tego rodzaju, iż mieści zarazem jego zadowolenie jako popędu i przy tém jeśli trwa dość długo, np. w miłości patrzenie na osobę, dotykanie, całowanie itp.; powtóre, jeżeli wyrażanie uczucia pociąga za sobą znaczny wydatek energii nerwowéj w ruchach, któréj proporcyonalnie ubywa dla czynności ośrodkowéj, warunkującéj sobą natężenie samego uczucia, np. gdy człowiek rozpacz wyraża silnie w płaczu i gwałtownych gestach. W obu tych wypadkach do samego wyrazu łączą się czynniki uboczne, które, naturalne jego działanie, objęte naszą zasadą, paraliżują, saméj jednak zasady nieznosząc. W niektórych znów razach zdawać się może, iż tłumienie wyrazu nie tylko niepozostawia uczucia na stopniu pierwotnym, ale zaostrza je i powiększa; ale tu uwzględnić trzeba, iż uczucie już jest samo przez się wysoko natężone, i że powstrzymujemy właściwie tylko jeden jego środek wyrazu—ruchowy, widzialny, a otwieramy zupełną swobodę wyrażenia się w inny sposób, tak, iż uczucie zahamowane w zewnętrznych objawach, uderza tém silniéj na sferę ośrodkową i wyraża się za pomocą wyobrażania mnóstwa odpowiednich mu przedmiotów i postępków; co jednak nie może mieć miejsca, jeśli uczucie było zrazu słabe i wtedy już w zewnętrznych objawach tłumione. Przy tych więc zastrzeżeniach, sformułowana wyżéj zasada, iż uczucie, które się wyraża, rośnie, oraz płynące stąd następstwa, utrzymują się w sile.

Nie ulega wątpliwości, iż zachodzi pewna odpowiedniość między usposobieniem wewnętrzném człowieka a *strojem*, który wskutek tego uważany być może za część ogólnego wyrazu, a o ile przypuszcza pewne przysposobienia i starania, za część postępowania wogóle. Odpowiedniość ta zasadza się już to na związku naturalnym, już-to ustanawia się konwencyonalnie. Pierwsza dotyczy przeważnie

kolorów; wiadomo, iż nie każda barwa równie się godzi z danym nastrojem ducha; człowiek smutny, zmartwiony, słaby, z ubogim zasobem energii nerwowéj (nie lubi towarzystwa, nurzy się prędko wzruszeniami, zabawą), jak poszukuje ciszy, lubi dźwięki niskie, tak też poszukuje barw ciemnych, czarnéj, fioletowéj, szaréj i tych barw najchętniéj używa do stroju; przeciwnie człowiek wesoły, zdrowy, w którym wzbiera energia emocyonalna, który długo i łatwo wytrzymuje pobudzenia towarzystwa, zabawy, lubuje się w barwach jasnych, jaskrawych, połyskujących i takie przeważnie do stroju wybiera. Skoro zaś istnieje ten związek między uczuciami a barwą stroju, to przyjąć należy i odwrotne działanie barwy na uczucie: jeśli nastrój uczuciowy człowieka znajduje się na pewnym punkcie zero lub bliskim niego, to przywdziewając jasne lub ciemne barwy, może on nastrój ów w jedną stronę przychylić, rozpogodzić go lub zasępić. Czarny strój żałoby, o ile jest naturalnym wyrazem żalu, o tyle z drugiéj strony przywdziany konwencyonalnie usposabia człowieka do uczuwania żalu. Większe rozpowszechnienie się ostatniemi czasy barw stroju jasnych i żywych i zamierzony podobno dalszy w tym kierunku postęp, o ile-by się przyjął u ogółu, świadczył-by o pewnym podniesieniu się poziomu energii uczuciowéj, a z drugiéj strony oddziałał-by ożywczo na bardziéj apatyczne jednostki.

Odpowiedniość nastroju i ubrania konwencyonalna ztąd bierze początek, iż zwyczaj do niektórych położeń i stosunków życiowych przywiązał określoną formę i barwę stroju; a ponieważ każde z owych położeń przypuszcza pewien nastrój uczuć i myśli, wskutek tego z czasem zawiązuje się skojarzenie między danym nastrojem a określoną formą i barwą stroju, przyjętego w pewném położeniu; tak, iż gdy przywdziejemy ów strój określony, jesteśmy bardziéj usposobieni do przejęcia się nastrojem uczuciowym odpowiedniéj sytuacyi lub stosunku. Położenia wymagające fraka i białego krawata, przypuszczają zarazem pewien układ sztywny, nastrój poważny i powściągliwy, ale też frak i biały krawat usposabiają nas uroczyście i odświętnie. O ile stanowisko w świecie i zamożność wyraża się między innemi w stroju modnym i wykwintnym, o tyle też i człowiek ubogi gdy włoży strój modny i wytworny, poczuwa się pewniejszym siebie i jakby podniesionym społecznie. Szacunek, bojaźń, usposabiające do posłuszeństwa, uwydatniają się i w stroju, czy-to wyjątkowo starannym, czy nawet wedle ścisłéj formy sporządzonym, nie godzą się ze strojem zaniedbanym: to też, gdy chcemy zapewnić sobie posłuszeństwo, usposobić do niego, wymagamy przedewszystkiem, aby podwładny stawał przed nami w stroju starannym lub do jego pozycyi podwładnego przywiązanym. Ściśle przestrze-

ganie formy w wojsku do najdrobniejszych szczegółów, uważać należy za środek, ułatwiający karność, usposabiający do posłuszeństwa. Uczuciom czystym, zdrowym towarzyszy i dbałość o zewnętrzną czystość, o przyzwoitość w stroju; i odwrotnie, zachowując zawsze przyzwoitość w stroju zabezpieczamy się przeciw złym myślom i brudnym uczuciom, strój wyuzdany czyni nas mniéj surowymi; kobieta mocno wydekoltowana lub w negliżu w obec mężczyzny, staje się zarazem mniéj czystą w duszy i przystępniejszą dla pokus.

W tém, że wyobrażenie — widzenie wyrazu uczuciowego budzi odpowiedni mu nastrój, przyjemny lub przykry, znajdujemy jeden więcéj środek pozyskiwania sobie ludzi, przychylnego ich dla siebie usposabiania. Jeżeli w obecności innych przybierać będziemy zawsze wyraz zadowolenia — czoło rozmarszczone, usta lekko uśmiechnięte, to przy innych równych warunkach, wraz z naszém pojawieniem się budzić się w nich będzie nastrój przyjemny, z naszém odejściem, także *caeteris paribus* — ustanie przyjemnego nastroju wskutek czego w umyśle ich stan przyjemny skojarzy się z naszą osobą wogóle, a to znów nastroi ich względem nas życzliwie. Niezależnie wreszcie od tych korzyści osobistych, powiększanie ogólnéj sumy szczęścia i niepowiększanie ogólnéj sumy cierpienia, bez względu jakiém jest to szczęście—bezpośredniém czy sympatyczném, leży w obowiązku moralnym każdego człowieka.

Tutaj wspomnieć-by należało o doniosłym wpływie wyobrażania, opisów rozmaitego sposobu postępowania. na moralność społeczną, lecz kwestyę tę pominąć muszę, gdyż wiąże się ona ściśle z kwestyą naśladownictwa ruchowego, a rozwinę ją obszerniéj w oddzielnéj rozprawie.

Przedstawione wyżéj wyniki i wskazania niektórym z czytelników wydadzą się może zbyt ryzykownymi i bezwzględnymi, nie sądzę jednak, by za takie uważać je chcieli ci, którzy przyjąwszy raz zasadę, niewzdragają się téż przyjąć wszystkich jéj następstw. Témbardziéj, że jeśli w wynikach tych jest coś nowego, to właściwie tylko forma, gdyż co do treści, to po większéj części są one zgodne z temi prawidłami, które ogół ludzi bezwiednie uznał i stosował w swém postępowaniu; ta zaś zgodność stanowi jeden więcéj dowód ich słuszności.

J. Wł. Dawid.

Poselstwo hr. de Broglie w Polsce.

II. Hr. de Broglie w r. 1754; rola jego w sprawie Ordynacyi Ostrogskiéj.

(*Dokończenie*).

IV.

W chwili téj, usuwająca z porządku dziennego wszystkie inne kwestye, sprawa ordynacyi przybiera znowu drażliwszy charakter. Ulegając woli królewskiéj usunięciem na bok swych zastępów, dał hetman, w swém przekonaniu, hasło narzucającego się obu stronom zawieszenia broni. Tymczasem, już w końcu kwietnia doszedł go, z naprawy kanclerza w. k. i dwóch Lubomirskich, wystosowany pozew do trybunału Lubelskiego. Dekret, jakiego się ztamtąd można było spodziewać nie podlegał żadnéj wątpliwości. Pamiętamy o tém że marszałkiem trybunalskim stanął przed 6-ma miesiącami wojewoda Smoleński, ówczesny kandydat patryotycznego stronnictwa, dzisiejszy przeniewierca. Uczyniony niebacznie a gwałtownie przeforsowany wybór spadał obecnie na hetmana nakształt wyroku ironicznéj Nemezis. Znalazł się wprawdzie w porę wojewoda Bełzki z dobranym orszakiem przyjaciół, którzy potrafili zapobiedz wniesieniu ordynackiéj sprawy, wtłoczywszy się na wokandę z niemającym końca szeregiem rzeczywistych czy wymyślonych procesów. Wojewoda był tu, przed kratkami, w swoim żywiole i stawał się niebezpiecznym zapaśnikiem. Szczęśliwym skutkiem uwieńczony wybieg nie mógł jednak wystarczyć do uspokojenia rozjątrzonych serc i ubezpieczenia zaniepokojonych umysłów. Tém bardziéj że jednocześnie zachwiane pierwej u dworu stanowisko Czartoryskich utwierdzać się zdało napowrót, za przyczyną nowego zwrotu w lawirującéj polityce pierwszego ministra Saskiego i jego zięcia.

Nagłe wysunięcie się naprzód hetmana w. k. w roli, do którój nie uznawano go zdolnym, rozmiary, do których w krótkim przeciągu czasu urosło jego stanowisko pośród Rzlptéj, zaniepokoiły Brühla i marszałka nadw. Zrozumieli obaj że, pozbywając się, w osobie Czartoryskich, jednego niewygodnego sprzymierzeńca, dostają się w objęcia drugiego, mniéj może wygodnego jeszcze, tracąc przytem ten silny punkt oparcia, którego dostarczała pierwszéj kombinacyi polityka rosyjska. Mniszech, w szczególności, ujrzał się zawiedzionym w osobistych swych rachubach i jakby zawieszonym między niebem a ziemią. Z jednéj strony spotykał mur przełamać się nie dających wstrętów, z drugiéj odmęt obudzonych świeżo niechęci. Brakło mu gruntu pod nogami, w jednéj téż chwili znaleźli dwaj bracia, pojawiwszy się na przeniesionym do Warszawy dworze, dawne łaskawe przyjęcie i dawne uśmiechy. W jednéj chwili także, oględny, dopóki miał przed sobą perspektywę niepożądanego z dworem antagonizmu, ustępujący z pola, kokietujący ze stronnictwem patryotyczném a Mokronoskiego oświadczeniami neutralności głaskający Gross, widząc zmienioną obecnie sytuacyą, zmienił ton, nastrajając się do niéj. Na publiczném i osobliwą uroczystością przygotowań odznaczoném przyjęciu u dworu, król, w obecności posła rosyjskiego, przyodział osobiście kanclerza w. l. we wstęgę przysłanego dlań przez cesarzowę orderu ś-go Andrzeja. Nie było dotąd przykładu podobnéj ceremonii, jak zepewnia hr. de Broglie (1). Jak gdyby zaś dla położenia większego nacisku na jéj znaczenie, Branickiemu wypadło wysłuchać jednocześnie cierpkich, ze strony Jego królewskiéj mości, przymówek (2) do przyjętéj nieco pierwéj tabakiery brylantowéj z portretem króla francuzkiego. Broniąc się, przypomniał hetman królowi udzielone sobie przed kilkoma laty upoważnienie do przyjęcia futer ofiarowanych przez Cesarzowę Rosyjską.

Rozdział wakansów rozpoczęty szafunkiem starostw, złą jednocześnie dla patryotów zapowiedział się wróżbą. Wszystkie starostwa dostały się kandydatom familii. Odzyskiwała ona w tak częstem użyciu, ówcześnie, i nadużyciu występujący środek werbowania stronników i nęcenia do przeniewierstw. Już zresztą jeden z głównych przeniewierców, Kazimierz Lubomirski, doczekał się nagrody, dołączywszy do przyznanéj mu części w podziale ordynacyi pożądane przez się miecznikostwo w. k.

Jednak, powołana do rozpatrzenia ordynackiéj sprawy komisya uległa w pewnéj mierze naciskowi rozbudzonéj przez patryotów

(1) Do p. de St. Contest; Warszawa, 27 czerwca. Arch. Spraw. Zagr. V 240.
(2) Tamże.

opinii, jak król sam uległ, w wyborze komisarzy, narzuconéj przez ten sam nacisk potrzebie pozornéj przynajmniéj bezstronności. Wszystko wskazuje zresztą że polityka dworska nie zdobyła się teraz jeszcze, w końcu czerwca, na jakąkolwiek stanowczą decyzyą w tym przedmiocie, ani nawet na wyznaczenie sobie statecznego jakiegokolwiek kierunku. Szukała dotąd swéj drogi i oglądała się za zyskaniem czasu. Samo wyznaczanie komisyi odpowiadało przedewszystkiém téj potrzebie zwłoki. Utworzono z niéj rodzaj sądu polubownego, w którym z jednéj strony zasiadali: Michał Czartoryski, Massalski hetman pol. l. i Wielopolski wojewoda Sandomierski, z drugiéj strony Załuski biskup krakowski, Rzewuski, hetman pol. kor. i Potocki krajczy kor., rolę zaś superarbitrów wzięli na się Dembowski, biskup kujawski, Mniszech, marszałek nadw. kor. i Brühl. Rozpoczęte na dniu 29 czerwca prace komisarskie zamkniętemi się znalazły, w pierwszéj połowie lipca uroczyście wyrażonėm postanowieniem większości oświadczającéj się za oddaniem dóbr Ordynackich w administracyą. Była to przegrana dla Czartoryskich. Ale natychmiast wyszła na jaw płochość rzeczywista i jałowość całéj téj, z wielkim aparatem podjętéj, pseudo-jurydycznéj demonstracyi, a zarazem rzeczywista siła zdobytéj chwilowo przez Familją sytuacyi u królewskiego boku. Nie zdradzając najlżejszego względu dla zapadłéj decyzyi, i na własnéj opierając się powadze, król odłożył rozstrzygnięcie sprawy do czasu posejmowego, a więc do dwóch lub trzech miesięcy. Jednocześnie zaś, ulegając uczynionym sobie przedstawieniom odnośnie do prawdziwego charakteru militarnéj demonstracyi, za pomocą któréj upozorował hetman wytrwałość swoję w zamyśle utrzymania ordynacyi pod wojenną strażą, i ściśléj tym razem określając swoje rozkazy, wezwał monarcha hetmana do przywrócenia poruszonych z miejsca chorągwi na dawne ich, właściwe stanowiska (1).

Zawrzalo w obozie hetmańskim i przyszła też dla pana de Broglie krytyczna chwila, chwila przymusowego wyjścia z dotychczasowéj biernéj, obserwacyjnéj roli. Podniesiona w marcu przez Czartoryskich myśl konfederacyi wraca na porządek dzienny—ale po drugiéj stronie; i naturalnie konfederackie zamysły zahaczają się o pomoc Francyi. Ogólnikowe wczorajsze oświadczenia posła francuzkiego, poparte chudym szafunkiem kilku tysięcy dukatów, nie mogą nadal wystarczać. Wypada koniecznie wyciągnąć zeń coś więcéj stanowczego. Pani Podkomorzyna bierze na się to zadanie. Towa-

(1) August III do J. K. Branickiego; Warszawa, 8 lipca, 1754 r. Arch. Spraw Zagr. V. 249.

rzyszy jéj starosta Tłomacki, dzielący z nią w téj chwili osobliwe zaufanie hetmana. P. de Broglie widzi się przypartym do muru. Zasłania się brakiem instrukcyi. Oczekuje właśnie takowych następną pocztą. Nie rozumie zresztą jakim sposobem sprawa czysto domowa, mówiąc językiem rosyjskiego kolegi, może stawać się okazyą do wywoływania obcéj interwencyi. Sprawę tę podjął hetman na własną rękę, wiedziony poczuciem swojego obowiązku i krajowego interesu, nie zaś interesu Francyi. Nie zasięgał rady pana de Broglie. Nakoniec oświadcza p. de Broglie życzenie osobistéj z hetmanem rozmowy.

Ale hetman okazuje się więcéj jeszcze kategorycznym. Nie przeczy, aby konfederacya nie była *złym* środkiem ratunku, ale widzi w niéj *zło* konieczne, którego dłuższe unikanie było-by niebezpieczném, a zresztą niemożliwém. Chodzić już tylko może o roztrząsanie warunków powodzenia. To ostatnie zda się hetmanowi zapewnionem, o tyle przynajmniéj „o ile domowa rozprawa uchroni się od interwencyi mocarstw ościennych.„Hetman ma oczywiście na myśli, posługując się tym eufemizmem, interwencyą mocarstw—po stronie antagonistów konfderacyi; bo zresztą interwencya Francyi po stronie konfederacyi saméj zdaje mu się nietylko pożądaną, ale nawet niezbędną do pomyślnego jéj obrotu. Ogranicza on wszelako tę interwencyą (zawsze w przypuszczeniu ściśle przez inne mocarstwa zachowanéj neutralności) do czysto pieniężnych posiłków. Naciśnięty przez posła, nie cofa się nawet hetman przed oznaczeniem cyfry: Sześćdziesiąt tysięcy dukatów powinny wystarczyć, jeżeli, czego spodziewać się wolno, konfederacya nie potrwa dłużéj roku i jeżeli wskazana suma wypłaconą będzie w pierwszéj chwili.

Wobec takowego *ultimatum* brakuje znowu rozkazów panu de Broglie. Obiecuje on wyprawić kuryera z przedstawieniem sytuacyi. Nie wątpi zresztą, że odpowiedź gabinetu okaże się przychylną. Zwłoka jest konieczną i hetman poddaje się ostatecznie téj konieczności; zgadza się na odłożenie stanowczych przedsięwzięć do pory sejmowéj i opuszcza stolicę, udając się do koła wojskowego.

V.

P. de Broglie oddycha swobodniéj; nie widzi się wszelako wolnym od wszelkiego kłopotu. Chodzi obecnie o utrzymanie *status quo* aż do powrotu kuryera wyprawionego pod datą 17 lipca, a przedewszystkiém o utrzymanie samego hetmana w podjętéj przezeń roli. Owóż okazuje się, iż pierwsze już chwile narzuconego mu za-

wieszenia broni czynią dlań rolę tę niezmiernie ciężką. Są natury miękkie, którym akcya udzielić jest w stanie niejakiego pozornego przynajmniéj hartu, zdolnemi je czyniąc do wielkich nawet wysileń; niemasz pomiędzy niemi takich, dla którychby wyczekująca postawa nie stanowiła próby przechodzącéj siły. Do téj pory przeznaczony mu czynny w porywających go wypadkach udział, niósł sybarytę Białostockiego i dźwigał go aż do wysokości zajętego przezeń stanowiska. Teraz każden nowy krok przezeń postawiony okazuje go chwiejniejszym i skłonniejszym do niechlubnych kapitulacyj. Wczoraj jeszcze odpowiadał on hardo skłaniającym go do kompromisu i niebezpieczeństwo jego położenia wystawiającym mu adwokatom. Nie lękał się interwencyi Rosyi, o któréj rozumiał, że łatwo spotkać by się mogła z inną obcą, w obronie patryotycznéj sprawy występującą kontr-interwencyą. Nie wzdrygał się przed spustoszeniem swoich dóbr i pałaców, które chciał raczéj widzieć obróconemi w perzynę, aniżeli by miał znieść ostateczną hańbę narzuconego przez własnych rodaków jarzma. Dziś insynuacye usłużnych rozjemców, zgłaszających się od koła dworskiego w osobie wyprawionego z ramienia dworu wojewody Podolskiego i łączącego się z nim hetmana w. l. znajdują łatwiejszy przystęp do jego ucha. Król żąda wycofania wojska trzymającego ordynacyą w stanie faktycznego oblężenia; obiecuje w zamian zniweczyć zaniesiony do trybunału Lubelskiego pozew; przyrzeka wszelakie bezpieczeństwo stronnikom hetmańskim i nie odejmuje im nadziei uzyskania, po sejmie, pożądanéj administracyi dóbr ordynackich. Hetman odpowiada niejasno; oświadcza się skłonnym, osobiście, do uczynienia zadość królewskiéj woli; pragnie atoli działać w porozumieniu z przyjaciołmi.

Ale sama wiadomość o rozpoczętych w takim charakterze rokowaniach wywołuje tu, w obozie patryotycznym prawdziwą panikę. I p. de Broglie widzi przed sobą groźbę, drażliwszego od poprzednich kryzysu. Wojewoda Bełzki, starosta Tłomacki, Mokronoski, z Podkomorzyną na czele, szturmują do ambasady. Żądają od niefortunnego posła jakowejś demonstracyi, czegośkolwiek coby dopomódz mogło do zaszachowania biorących górę nad hetmanem wpływów. Znaglony, znużony przyprowadzającą go do prawdziwéj rozpaczy natrętnością, odważa się wreszcie młody dyplomata, po walecznym oporze, na ważony długo i nieśmiało przed panem de St. Contest apologizowany, krok—pierwszy i ostatni którego odpowiedzialność daje się, w całym przebiegu zajmującéj nas sprawy, przypisać własnéj jego, aczkolwiek przymuszonéj inicyatywie: pisze do hetmana dla zachęcenia go do wytrwałości w zamysłach.

Listu tego szukaliśmy napróżno w zbiorze dostępnych dla nas dokumentów. Akuratność zwykła hr. de Broglie w komunikowaniu gabinetowi swemu wszystkich przechodzących przez jego kancelaryą pisem opuściła go w tym przypadku. Zadość zresztą okazało się samej, pobieżnie w depeszy z d. 17 lipca powtórzonej przez posła, treści pisma, o którym mowa, dla ściągnięcia na głowę autora surowej ze strony ministra nagany, choć pismo, w całej swej wymownej rozciągłości, nie wystarczyło do odwrócenia hetmana od narzucających się jego słabemu charakterowi kompromisowych tendencyj. Ton odpowiedzi hetmańskiej na nowy list królewski z dnia 8 lipca zdradza już zmianę, dokonaną w jego usposobieniu. Z determinowanego i wyniosłego, staje się Branicki nagle błagającym i pokornym. Wszakże, poprzednie rozkazy Jego Królewskiej Mości ściągały się jedynie do ewakuacyi dóbr ordynackich, bez wzmianki o przeznaczeniu chorągwi ztamtąd ściągniętych. Wszakże, z wyznaczonych obecnie tym chorągwiom stanowisk zagrażać one mogą jedynie gwałcicielom porządku, zakładającym sobie wzbogacenie się publicznym kosztem! Przypomina hetman wierne swoje, w obronie Jego Król. Mości, służby, z hazardem życia i mienia podejmowane; błaga o oszczędzenie dobrej sławy, wolnej dotąd od wszelkiego uszczerbku, odstępstwem zaś od drogich wszystkim prawym obywatelom interesów na szwank niechybny wystawić się muszącej. Wydaje nakoniec do wojska rozkazy, które ruszają je znowu z miejsca, oddalając o kilka mil od granic ordynacyi. Nowemu temu manewrowi towarzyszy manifest, stwierdzający wprawdzie solidarność hetmana z przeciwném podziałowi stronnictwem, ale zaznaczający jednocześnie jego uległość woli królewskiej.

Uległość ta nie okazuje się zresztą nadto trwałą. w pierwszych już dniach sierpnia nowy wiatr zawiał. Pośród koła wojskowego hetman znalazł się był oddalonym chwilowo od zwykłych swych powierników i doradzców, Mokronoskiego, starosty Tłomackiego i innych, pozostałych w Warszawie. Zbliżający go znowu do nich powrót do Białegostoku daje się odczuwać natychmiast. Podjęta przez Lubomirskich próba samowolnej gospodarki w oswobodzonych z pod straży dobrach: zamierzone spuszczenie olbrzymiego stawu, stanowiącego jeden z głównych dochodów miejscowych i zasilającego w dodatku wodą fosy Dubieńskie, dostarcza pretekstu do postanowionego szybko kontr-manewru: chorągwie hetmańskie wracają na terytorium ordynackie.

Czy nie wypada nam przypisać jakowego udziału, w tym zwrocie, dyplomatycznej interwencyi hr. de Broglie? Możemy, na podstawie własnego jego świadectwa, odpowiedzieć stanowczo: nie. Hr.

de Broglie pozostaje całkowicie obcym temu epizodowi. Zaprząta go w téj chwili inna i nowa zupełnie kombinacya, dostarczająca obfitego materyału jego korespondencyi, a nam doskonałéj skali do określenia, w sposób właściwy, jego politycznego geniuszu i dyplomatycznych zdolności. Jeden z płaskich dworaków, kręcących się wiecznie naokoło poselstw zagranicznych, w nadzei podchwycenia jakiegoś kawałka wstążki, czy innego okruchu ze stołu monarszéj łaski, Aleksander Jabłonowski, brat wojewody rawskiego, podsunął młodemu posłowi myśl dochodzenia rzekomych praw Stanisława Leszczyńskiego (rodzącego się jak wiadomo z Jabłonowskiéj) do zakwestyonowanéj ordynacyi. Autor książki, p. t. „Le secret du roi“ przypuszczać chce, iż w ekscentrycznéj téj pretensyi zobaczył hr. de Broglie jedynie nastręczoną sobie sposobność do czynniejszego ze swéj strony wmięszania się w obchodzącą go zkądinąd sprawę. Domysł to nie zaprzeczenie pożądany dla historycznéj reputacyi początkującego dyplomaty, ale niestety zupełnie dowolny. Własne depesze hr. de Broglie ukazują nam go czasem czepiającego się nasuniętéj mu dziwacznéj myśli, z całą powagą poselskiego swego charakteru i z całą także przyrodzoną żywością właściwego sobie temperamentu. Wypełnia on, w ciągu lipca, swą korespondencyą genealogicznemi wywodami; rozporządza, w układanych z góry fantastycznych planach, olbrzymim, w ręce francuzkiéj dyplomacyi tą drogą przechodzącym funduszem.....

Ma się rozumiéć, iż plany te spotykają się w Wersalu z dość chłodném przyjęciem. Wstrząsająca całą Rzecząpospolitą sprawa obudziła tam inne zaprzątnienia. W braku poważnych, ze strony pana de Broglie, wskazówek w tym przedmiocie, otrzymywano je zkądinąd. Z Wiednia margrabia d'Aubterre donosił o wytężonéj w tym kierunku uwadze gabinetu austryackiego i czynionych przez tenże gabinet usiłowaniach, celem skłonienia Rosyi do czynnego pośród Rzplitéj występu. Przypuszczano w Wiedniu, iż król pruski nie potrafi patrzéć spokojném okiem na interwencyą rosyjską i miano w perspektywie wyborną okazyą do wywołania pożądanego starcia (1). I w Wersalu wszelako braknie, w téj epoce, potrzebnéj trzeźwości umysłu i stateczności w postanowieniach. Przez chwilę braknie nawet wszelkiego w urzędowéj polityce kierunku. W połowie już lipca St. Contest położył się na łoże śmiertelnéj choroby. Zastępujący go chwilowo St. Florentin zwraca się z prośbą o radę na wszystkie strony: do starego de Noailes i do samego dogorywającego ministra. St. Contest uważa konferencyą za nieuniknioną, dopa-

(1) d'Aubterre do p. de St. Contest; Wiedeń 3 sierpnia. Arch. Spraw Zagr. V. 241.

truje przyjaznych dla jéj powodzenia okoliczności w obecnym obrocie wypadków i uznaje konieczność subsydyów ze strony gabinetu francuzkiego, na przypadek interwencyi rosyjskiéj; zastrzega tylko nakłonienie patryotów do tego, aby nie dobywali pierwsi oręża (1). De Noailles posuwa się daléj jeszcze: dochodzi do tego wniosku, że konfederacya patryotów polskich uważaną być powinna, w obecnéj chwili, za tyle pożądaną dla Francyi, ile niemiłą dla dworów Wiedeńskiego, Petersburskiego i Drezdeńskiego. Nie oświadcza się jednak za wywoływaniem jéj, a tylko za powstrzymaniem się od stawiania jéj jakichkolwiek przeszkód (2).

Tendencye polityczne, reprezentowane w Wersalu przez ks. de Conti, w Polsce przez hr. de Broglie, znajdują przeto w najbliższém otoczeniu gabinetowém silny punkt oparcia. Czego nie znajdują, niestety, ani tu, ani gdzieindziéj, to określonego konkretnie programu, jasno wytkniętych celów i wskazanych praktycznie środków. Jaką właściwie korzyść obiecywać sobie może Francya z owéj pożądanéj jakoby konfederacyi? Jak zapewnić sobie pomyślny jéj wypadek? Powołany w połowie sierpnia do objęcia ministeryalnego spadku po zmarłym panu de St. Contest, p. de Rouillé szuka napróżno odpowiedzi na te pytania, czy-to w depeszach hr. de Broglie, czy-to w memoryałach, dostarczanych przez wersalskich swych doradców. Hr. de Broglie czyni się wymównym tłómaczem swéj bezsilności, w obec zrywających się do zbrojnego wystąpienia zapędów patryotycznéj opozycyi; pozostawia wszelako do rozwiązania zagadkę zasady politycznéj, solidaryzującéj interes Francyi z temi zapędami. Uchyla się nawet od samodzielnego obliczenia obustronnych szans w gotującém się starciu. Hetman w. k. uznał konfederacyą za nieuniknioną, sumę 60,000 dukatów za dostateczną do przechylenia zwycięztwa na jéj stronę: nie pozostaje przeto Francyi, jak tylko sięgnąć do worka i rzucić się z zawiązanemi oczyma w tę awanturę! Przed taką konkluzyą cofa się p. de Rouillé, i cofnęła się w końcu sama, do hazardów skłonniejsza, sekretna połowa polityki francuzkiéj.

Dzisiejszy biograf hr. de Broglie dopatrzył i tym razem, w instrukcyach, przesłanych ostatecznie niecierpliwiącemu się posłowi, upodobanego sobie, dramatyzującego sytuacyą i skrzętnie przeto, przy każdéj sposobności, na wierzch dobywanego dualizmu. W depeszy więc urzędowéj, któréj znakomity pisarz podaje datę (*20 września*) i z któréj komunikuje nam ustęp, widzimy ministra (pana de

---

(1) St. Contest do p. de St. Florentin; Wersal, 20 lipca. Arch. Spraw Zagr. V. 240.

(2) de Noailles do p. de St. Florentin; St. Germain, 23 lipca. Arch. Spraw Zagr. V. 240.

Rouillé), wzdrygającego się na samę myśl konfederacyi i zalecającego posłowi użycia wszelkich środków dla zapobieżenia takowéj niepożądanéj ewantualności. Zgłaszający się atoli obok, z wyrazem osobistych intencyj królewskich, ks. de Conti przewiduje ze swéj strony, w drugiéj również cytowanéj i datą oznaczonéj depeszy (*20 lipca*) ewantualość wyprzedzającego patryotyczną konfedaracyą porwania się do broni, ze strony Czartoryskich, i na ten przypadek, przyrzeka postawionym w stanie słusznéj obrony przyjaciołom Francyi natychmiastową pomoc pieniężną (1). Otóż całe to przedstawienie rzeczy jest nowym wybrykiem akademickiego artyzmu i książęcéj desinwoltury przeciwko powadze dokumentów i prawdzie historycznéj. Nie mamy już potrzeby zastanawiać się nad tą kwestyą: jakim sposobem piszący pod datą 20 lipca powiernik krolewskiéj myśli komentować był w stanie i prostować instrukcyą ministeryalną, przesłaną dwoma miesiącami późniéj. Przypuśćmy godną względnéj pobłażliwości pomyłkę w datach. Depesz z d. 20 września i 20 lipca 1754 r. *niemasz wcale* w archiwalnym zbiorze, do którego odwołuje się książe de Broglie. Przywiedziony przez się ustęp ministeryalnéj depeszy znalazł on pod datą 30 sierpnia; obok wszelako, i *w têj saméj depeszy*, znaleść mógł także i *znalazl tam* z wszelką pewnością, bo nie mógł znaleźć jéj gdzieindziéj, do pana de Rouillé i do *urzędowego* działu dyplomacyi należącą, a całkiem dowolnie przez się na karb księcia de Conti włożoną formułę polityczną—formułę czyniącą subsydia fraucuzkie zależnemi od wskazanego wyżéj warunku.

Opóźniona wskutek choroby pana de St. Contest, i pod datą wyżéj wskazaną, 30 sierpnia, dopiero z podpisem pana de Rouillé wyprawiona, odpowiedź urzędowa gabinetu Wersalskiego, na przesłane pod datą 30 czerwca przez pana de Broglie informacye i przedstawienia, brzmi w saméj rzeczy kategorycznie w tym sensie. Zaczyna minister od wyrażenia przeciwnych podziałowi ordynacyi uczuć gabinetu francuzkiego, upoważniając posła do oświadczenia się z niémi nie tylko przed przywódcami stronnictwa patryotycznego, ale i przed samym Brühlem. Przypuszcza, iż deklaracya tego rodzaju wystarczyć może do odwrócenia ministra saskiego od popierania potępionego dzieła. Gdyby jednak, wbrew przewidzeniom, uparł się on w dotychczasowych swych skłonnościach, wypadło-by panu de Broglie uprzedzić patryotów, iż Jego Arcy chrześciańska Mość *nie może* udzielić żadnego poparcia konfederacyi, którą-by oni *pierwsi* podjąć chcieli. Przedsięwzięcie tego rodzaju dały by im przed całą Europą pozór zbuntowanych przeciwko prawéj władzy pod-

(1) Le secret du Roi. T. I. str. 89 i 90.

danych, z którymi Jego Arcy Chrześciańska Mość nie życzyła by sobie przyjmować żadnéj solidarności. Dostarczyło-by ono prawdopodobnie także ich przeciwnikom, pożądanego przez tych ostatnich, protekstu do ściągnięcia w granice Rzplitéj wojska Rosyjskiego. Czy przeto konfederacya znajduje się absolutnie potępioną w ministeryalnéj myśli? Nie zupełnie absolutnie. Podkreśliliśmy wyżéj wyraz *pierwsi*, i zasługuje on w saméj rzeczy na wyszczególnienie, ponieważ zawiera sens pewnéj restrykcyi, którą minister wprowadza do absolutnego z pozoru oświadczenia, a którą sam formułuje daléj w następujący, zostawiający do życzenia pod względem dobitności, ale przecież dostatecznie zrozumiały sposób:

„Ponieważ jednak, brzmi dosłownie tekst depeszy, patryoci zdają się skłonnymi do konfederacyi jedynie dla uprzedzenia w tym względzie przeciwnego obozu, przeto Jego Królewska Mość, będąc, z przyczyn wyżéj wskazanych, w statecznym zamyśle odmówienia im wszelkiéj pomocy w pierwszym przypadku, nie uchyliła-by się przeciwnie od udzielenia takowéj w obec zaczepki, stawiającéj ich w stanie słusznéj obrony".

I wracając, w ciągu depeszy, do tego punktu swéj instrukcyi, określa go minister bliżéj jeszcze. Ewantualność przewidziana przezeń jest to ewentualność *rekonfederacyi*; a przeto patryoci znagleni do jéj podjęcia, liczyć mogą na skuteczne ze strony Jego Królewskiéj Mości wsparcie.

Mamy więc tu, nie wychodząc z *urzędowégo* tekstu i programu, całkowitą przez francuzkiego historyka wytkniętą alternatywę. Ks. de Conti, ze swoją tajną kancelaryą, nie posiadł, w narzuceniu jéj hrabiemu de Broglie, najmniejszego udziału. Znika dowolnie przypuszczony dualizm politycznego kierunku, a z nim razem wytworzona przez to przypuszczenie dramatyczność sytuacyi, i wyznamy chętnie, że romansowy interes epizodu stracić może na takowym powrocie faktów do właściwego porządku; ale nie piszemy tu romansu. Z upodobanym zresztą przez się dualizmem spotkać się mógł historyk francuzki w historyi tego samego epizodu, ale daleko późniéj. Ks. de Conti potrafił ostatecznie wymódz na słabym umyśle królewskim nową, radykalnie już od urzędowego programu odbiegającą koncesyą, na rzecz patryotycznych planów i własnéj o te plany zahaczającéj się polityki, ale spóźnił się ze zdobytym pracowicie tryumfem. Wypadki wyprzedziły go w stanowczym swoim, nie dającym już nakierować się obrocie i zdobycz pozostała bezowocną. Czy jednak właściwe akademickiemu pisarzowi lekceważenie dat nie było-by mu pozwoliło wejść tą drogą, bez rzeczywistego tym razem rozminięcia się z prawdą, w posiadanie pożądanego drama-

tycznego faktu? Z tego względu zwolennikom opierającéj się na takowych faktach literatury żałować przyjdzie, iż depesza księcia de Conti do p. de Broglie z d. 3 października 1754 r. uszła uwadze autora romansu historyczuego, p. t. „*Le secret du Roi*“. Depesza ta stanowi prawdziwy blankiet, z podpisem króla Francyi u spodu, wydany zrywającym się do broni patryotom polskim. Brakuje w nim tylko cyfry, oznaczającéj wysokość subsydyów, do wypłacenia których zobowiązuje się Jego Arcy-Chrześciańska Mość na wypadek zbrojnego starcia. Zresztą rozwiązuje on w zupełności ręce hetmanowi w. k. i jego stronnikom. Jego Arcy-Chrześciańska Mość pozostaje niechętną zawsze zaczepnemu ze strony patryotów występowi, ale zostawia im możność *domyślania się* zaczepki ze strony przeciwnéj i uprzedzenia jéj wstępném działaniem. Jeśli-by np. postawionymi oni znaleźli się w obec bliskiego prawdopodobieństwa przystąpienia Rzplitéj do Austro-Rosyjskiego przymierza; jeśli by daléj Czartoryscy, bez podniesienia otwarcie konfederacyjnego sztandaru, skłonili się do jakowegoś analogicznego wybiegu; jeśli-by nakoniec przyjść miało do skierowanych przeciwko hetmanowi w. k. i patryotom zaburzeń w wojskach Rzeczypospolitéj—wszystkie te ewentualności urzeczywistniły-by w oczach Jego Królewskiéj Mości przewidziany *casus foederis*.

Ale, jak to już nadmienioném zostało, zapędzone tak daleko, w wytkniętym przez ks. de Conti kierunku, intencye królewskie pozostały literą martwą. W chwili krytycznéj zadowolnić się przychodzi hr. de Broglie literą urzędowych, pod datą 30 sierpnia wyprawionych instrukcyj, do których tajna kancelarya nie znalazła się na razie w możności dołączenia jakiéjkolwiek poprawki. Jak widzieliśmy związały one ściśle interwencyą Francyi z hipotezą konfederacyjnego ze strony Czartoryskich zamachu i w tym sensie oświadczyły się kategorycznie. Wezwanym się ujrzał hr. de Broglie do przyłożenia wszelkich starań i użycia wszelkich środków, celem zapobieżenia ewantualnemu przerzuceniu wolnych obrad sejmowych pod węzeł konfederacyjny. Gabinet Jego Arcy-Chrześciańskiéj Mości wzdrygnął się stanowczo przed takową ewantualnością, „*pociągającą za sobą ruinę swobód republikańskich i upadek liberum veto*, tego jedynego przedmurza wolności republikańskiéj“.

Otóż i mamy uprzedzającą późniejsze deklaracye trzech sprzymierzonych dworów, jasno teraz już i dobitnie zredagowaną formułę gwarancyi konstytucyjnéj!

W myśl objawiających się w tym kierunku zaprzątnień, zaleconém ma sobie poseł francuzki „*zerwanie jak najrychlejsze sejmu i rozproszenie jak najśpieszniejsze jego członków*“, dla zapobieżenia wszel-

kim niespódziankom. Gdyby jednak usiłowania jego bezskutecznemi się okazały, *rekonfederacya* patryotyczna stała-by się, w oczach Jego Arch-Chrześciańskiéj Mości, nietylko godziwą, ale niezbędną i współudział Jego Arcy-Chrześciańskiéj Mości zapewnionym. Ma się rozumiéć, współudział ten ograniczonym by zawsze pozostał do pieniężnych jedynie zasiłków. Od obowiązku czynniejszéj interwencyi uwolnionym uznał się gabinet francuzki przez materyalne, z geograficznego położenia dwóch krajów wynikające, niepodobieństwo. Wziął przed się atoli zapewnienie skądinąd patryotom i tego także rodzaju pomocy. W tym celu, wyprawiona jednocześnie, pod adresem pana des Alleurs, posła w Konstantynopolu, i kuryerowi powierzona depesza, zawarła pilne i pełne doniosłości zlecenia. Stosując się do nich, należało, aby dyplomatyczny kolega pana de Broglie przypomniał Porcie skuteczność deklaracyi, wydanéj przez nią nazajutrz po traktacie Akwisgrańskim, w obec skierowanych ówcześnie przeciwko Szwecyi, a natychmiast powstrzymanych zapędów Rosyi; przedstawił analogią wytworzonego obecnie w Polsce położenia i skłonił tureckich mężów stanu do powtórzenia ówczesnéj demonstracyi. Podsunąć mógł w tym celu myśl noty, w któréj znalazła-by się zapowiedź, iż wszelkie poruszenia wojsk, zdradzające, ze strony sąsiednich mocarstw, zamiar zbrojnego wmięszania się w spory dzielące Rzplitą, a témbardziéj przychodzące do skutku wkroczenie obcych sił zbrojnych na terytoryum Rzplitéj, zniewolić-by musiało rząd Ottomański do czynnego ze swéj strony występu w obronie zagrożonéj swobody sąsiedniego państwa. Dodatkowy paragraf ministeryalnéj instrukcyi upoważnił nadto pana des Alleurs do oznajmienia o krokach przedsięwziętych jednocześnie w tym samym kierunku przez gabinet Wersalski u Berlińskiego i Stockholmskiego dworu i o stałém postanowieniu Jego Arcy-Chrześcianskiéj Mości wspierania, ze swéj strony, patryotycznéj *rekonfederacyi* pieniężnemi subsydyami.

Oto wszystko, na co zdobyć się potrafiła w téj chwili tak dobrze urzędowa jak i nieurzędowa polityka Ludwika XV. Współzawodnicząca zaś, z szybszym od ówczesnych piśmiennych komunikacyj biegiem wypadków, niecierpliwość politycznych sprzymierzeńców hr. de. Broglie, nie pozwoliła mu doczekać się spokojnie i tego nawet skromnego rezultatu kombinacyj Wersalskich. W chwili saméj, w któréj następca pana de St. Contest skłonił się do heroicznego, z jego strony, wysiłku dyplomatycznéj inicyatywy, wypadło nieszczęśliwemu posłowi odpierać nowy, gwałtowniejszy od poprzednich atak. Tego samego dnia, 30 sierpnia, przybywający z Białegostoku do Warszawy, podkomorzy w. lit. przywiózł kategoryczne

oświadczenie hetmana, iż dłużéj na rezolucyą ze strony Francyi czekać mu nie podobna. Jak gdyby w zmowie zaś z nim będący poseł pruski zgłosił się jednocześnie, z nie mniéj naglącém żądaniem stanowczéj rezolucyi, pragnąc działać w porozumieniu ze swym kolegą, ale nie mogąc zwlekać z powzięciem ostatecznych postanowień. Wolno domyśléć się zresztą, że kłopotliwy ten dla posła francuzkiego zbieg obustronnych pretensyj, nie był w tym razie owocem prostego przypadku. Wolno przypuszczać, że pełniący obowiązki sekretarza przy hetmanie w. k., p. Beck, nie figurował za darmo w etacie oszczędnie przez Fryderyka II szafowanych gratyfikacyj. Prusy podejmowały teraz już metodę dwuznacznéj owéj ze stronnictwem patryotyczném kokieteryi, któréj pilnowały się już do końca, trzymając z jéj pomocą w szachu politykę rosyjską i paraliżując, w łonie Rzplitéj saméj, wiążące się z tą polityką dążenia i kombinacye.

Jakkolwiekbądź, chroniczny u posła francuzkiego niedostatek instrukcyj i chroniczna potrzeba zwłoki wystąpiły znowu na porządek dzienny. Nazajutrz po rozmowie z podkomorzym w. l. wyprawia on do Wersalu swego sekretarza, pana de Linau, powierzając mu zredagowany na prędce memoryał, z nałożonym czarnemi farbami obrazem sytuacyi i z rodzajem sformułowanego w imieniu patryotów *ultimatum*. Sześćdziesiąt tysięcy dukatów rocznego, na dwa lata zagwarantowanego subsydyium, oto minimum żądań patryotycznych. Od siebie dodaje do nich p. de Broglie projekt uroczystéj deklaracyi, wystosowanéj do króla, senatorów i stanu rycerskiego, w osobie marszałka sejmowego, a stwierdzającéj stateczny, ze strony Jego Arcy - Chrześciańskiéj Mości, zamysł sprzeciwienia się interwencyi obcych mocarstw (tj. *in specie*, Rosyi) w domowe sprawy Rzeczypospolitéj.

VI.

Skrzyżowały się tym sposobem, na drodze między Warszawą a Wersalem, ministeryalne instrukcye z poselskiemi propozycyami. Te ostatnie z nieszczególném w Wersalu spotkały się przyjęciem. Projekt deklaracyi odrzucił p. de Rouillé stanowczo; w przedmiocie zaś proponowanego dwuletniego kontraktu pieniężnego uchylił się nawet od wszelkiéj dyskusyi, puszczając wniosek mimo ucha i odsyłając sucho ambasadora do litery ostatnich swoich postanowień. Pozwolił mu tylko dać wiedziéć hetmanowi i jego stronnikom, że *w przypadku rekonfederacyi przez nich podjętéj*, poseł francuzki w Polsce miéć będzie do rozporządzenia sumę 30,000 dukatów. Odpowiadając nakoniec na paragraf memoryału z d. 31 sierpnia, dotyczący stosunków pana de Broglie z posłem pruskim, polecił minister

ograniczyć się względem tego ostatniego do wyrażenia niezachwianych sympatyj Jego Arcy-Chrześciańskiéj Mości dla sprawy patryotycznéj, zostawić zaś bliższe porozumienie się w tym przedmiocie z gabinetem pruskim samemu ministrowi i jego osobistym stosunkom z posłem pruskim w Paryżu, p. Kniphausem (1).

Bierny ten rezultat podróży swojego sekretarza przewidział, przyznać mu to trzeba, hr. de Broglie, otrzymawszy datowane z dnia 30 sierpnia instrukcye. Wypadki nie zostawiły mu zresztą możności oglądania się na powrót pana de Linau. Rozpoczynający się dnia 30 września sejm przyśpieszył przeciągnięte i tak już rozwiązanie akcyi. Zjechał z powrotem do Warszawy hetman w. k., otoczony, jak zawsze, tłumem przyjaciół i dworaków, a siecią krzyżujących się naokoło osoby jego wpływów. Wyprawiony naprzeciwko niego, z ramienia p. de Broglie, starosta tłomacki, świeżo obdarzony cześnikostwem koronném, znalazł go wielce zakłopotanym względem swojéj postawy, wobec króla i sejmu, chwiejnym znowu i słuchającym insynuacyj nieodstępującego go od trzech tygodni (podobno z polecenia Brühla) starosty nowskiego, Zboińskiego, wielce enigmatycznego doradcy, dzielącego swoje sympatye i swój urząd konfidenta między hetmanem a pierwszym ministrem saskim, nienawidzącego Czartoryskich, przynajmniéj w mowie, wyznającego, przynajmniéj wobec świadków, najżywsze uczucia patryotyczne, imponującego wielu osobom tą postawą, ale uchodzącego, w oczach wielu innych osób i samego hr. de Broglie, za aktualnego szpiega. Pierwsza rozmowa z posłem francuzkim, po przybyciu do Warszawy, nie przyczyniła się oczywiście do udzielenia hetmanowi większéj determinacyi. Odporne stanowisko, narzucone jemu i jego stronnikom przez instrukcye wersalskie, zdało mu się pełném niebezpieczeństwa. Bez trudności przyszło mu wykazać zafrasowanemu dyplomacie, że w grze tego rodzaju wszystkie szanse są po stronie tego, który zaczyna. Gromadzi on, w saméj rzeczy, naokoło siebie cały, najliczniejszy zwykle kontydgens niepewnych swojéj drogi i wahających się partyzantów. Widział się hetman ograniczonym, w stanowczéj chwili, do jednego wojska, nie przenoszącego w rzeczywistości 12,000 głów. Widział się zniewolonym do zajęcia dóbr ordynackich na własną odpowiedzialność, bez tego poparcia, jakiego wyglądał od konfederacyi i wydanego przez nią wyroku. Miękł i topniał w oczach hr. de Broglie. Przyrzekł jednak zastosować się do życzeń Jego Arcy-Chrześciańskiéj Mości, o tyle przynajmniéj, o ile to zależném będzie od osobistych jego chęci, dodając z nieco naiwną dobrodusznością, że stron-

(1) De Rouillé do hr. de Broglie: Wersal, 23 września. Arch. Spraw Zagr. V. 241

nictwo, na którego czele stanął, podległém jest wprawdzie jego woli, ale o tyle tylko, o ile wola ta zgodną się znajduje z interesami i skłonnościami stronnictwa; parafrazując w ten sposób, na kilkadziesiąt lat przed jéj wypowiedzeniem, sławną formułę demagoga francuzkiego.

Czego spodziewać się było można po tak określonéj postawie hetmańskiéj, to wyszło na jaw wprędce. Na posłuchaniu u króla wódz patryotów okazał się miękkim w saméj rzeczy, król zaś tém twardszym w postanowieniu odroczenia decyzyi do pory posejmowéj. Wybiła zapowiadająca się od dawna nowa krytyczna dla hr. de Broglie godzina. Zawiedzione z jednéj strony nadzieje zwróciły się utartą już koleją w drugą stronę, ku Francyi. Hr. de Broglie znalazł się w oblężeniu, opsypany wyrzutami, napomnieniami, obelgami nawet. Stawiano mu przed oczy nie szczędzone istotnie w przeszłości zachęty i obetnice; naglono do działania, i potrafiono nakoniec przywieść do téj ostateczności, w któréj potrzeba zrobienia czegoś narzuca się w kształcie nieubłaganéj konieczności. Od początku do końca młody poseł działa w téj sprawie wtedy tylko, kiedy nie może, lub zdaje się mu że nie może, wytrzymać daléj w wygodnéj bierności. Obecnie otrzymane świeżo instrukcye upoważniły go w pewnéj mierze, do publicznego w obronie ordynacyi występu. Zaczém, ulegając naciskowi, skłonił się, nie bez wahania, do wystawienia strzeżonéj dotąd i więcéj od obietnic oszczędzanéj powagi poselskiéj. W mowie do samego króla zwróconéj, d. 26 września, dołączył uroczyście głos swój do patryotycznego chóru, domagającego się wyznaczenia administracyi, wywlekając przed tém, dla upozorowania swéj interwencyi, rzekome prawa króla Stanisława, dodając jednak, aczkolwiek nieśmiało, że oprócz tego partykularnego, inne jeszcze względy, z których gotów jest zdać sprawę przed ministrami Jego Królewskiéj Mości, każą Francyi patrzéć niechętném okiem na tranzakcyą Kolbuszewską.

Powiedział za wiele i za mało jednocześnie. Za wiele dla utrzymania się w granicach intencyj Wersalskich, za mało dla wywołania rzeczywistego wrażenia. Nie trudno przyszło, uprzedzonemu zapewne zresztą otrzymanemi z Wersalu informacyami, Augustowi III uchwycić rzeczywisty sens przymusowéj téj demonstracyi i odsłonić kryjącą się za brzmiącemi głośno rzeczeniami niechęć do czynnego jéj poparcia. Król odpowiedział sucho, wyrażając nadzieję, „że ościenne państwa zechcą, w obec sprawy dotykającéj domowych jedynie interesów Rzeczypospolitéj, naśladować przykład Rosyi, która, jak o tém wiadomo posłowi Jego Arcy-Chrześciańskiéj Mości, oświadczyła się z postanowieniem zachowania ścisłéj neutralności“. Replika była dotkliwą. Jednocześnie zaś Brühl nie zaniedbał wyzyskać

fałszywego kroku, którego się w występie młodego dyplomaty domyślił. Wezwany tego samego dnia, na wieczornym teatrze, do wyjaśnienia rzeczywistego charakteru swéj odezwy, uciekł się strapiony poseł do formalnéj kapitulacyi. Oświadczył dobitnie, że Jego Arcy-Chrześciańska Mość *niczego nie żąda*; zastrzegł się kategorycznie przed wszelką intencyą groźby, czy nawet nacisku na wolę Jego Kr. Mości, króla Polskiego, i odmówił ostatecznie wypowiedzianym przez się słowom wszelkiego znaczenia po za wyrażeniem żywego zajęcia, budzącego się w sercu Jego Arcy-Chrześciańskiéj Mości dla wszystkiego co obchodzi sprzymierzonego z nim monarchę (1).

Tego było trzeba Brühlowi dla rozwiązania mu rąk; tego także antagonistom patryotycznego stronnictwa dla zupełnego bezpieczeństwa przed widmem interwencyi francuzkiéj, i do tego doprowadziła osobista akcya hr. de Broglie, która tu bierze w rzeczywistości koniec. W zestawieniu z konkluzyami, do których doszedł ze swéj strony historyk francuzki, w ocenieniu téj akcyi, rezultat taki zdumiewać musi. W tém co daléj zachodzi, w ostateczném rozwiązaniu wytworzonéj obecnie sytuacyi, nie bierze już poseł francuzki żadnego namacalnego udziału. Naturalna kombinacya rozmaitych, po za nim w grę wprowadzonych czynników i logiczny téj kombinacyi wypadek, oto ostatnie słowo epizodu.

O porwaniu się do broni, z rachubą na obietnice posła francuzkiego, nie mogło teraz już być mowy w obozie patryotycznym. Czartoryscy podnieśli głowę. Podobno podnieśli ją za wysoko. W roli na siebie przyjętéj, miało, bądź co bądź, stronnictwo patryotyczne za sobą poparcie opinii publicznéj. Okazało się to na sejmie. Sejmiki wypadły na stronę obrońców ordynacyi i większość okazała się widoczną i przeważną po téj stronie na pierwszéj sesyi sejmowéj. Prawdopodobnie dopomógł do tego rezultatu Mniszech i w tym rezultacie też znalazł się rzeczywisty węzeł sytuacyi. Dwaj bracia nie zawahali się: przecięcie węzła — zerwanie sejmu, weszło niebawem do ich publicznego niejako programu. Było to rozstaniem się ze stałą dotąd tradycyą polityczną *familij*; było, musiało być także rozstaniem się z dworem. Polityka *zrywaczy sejmów* nie mogła być polityką *dworskiego* stronnictwa! Zmieniła się w jednéj chwili postać rzeczy. Brühl zaczął bąkać przed panem de Broglie o udzieleniu administracyi; król okazał łaskawszą twarz hetmanowi. Jednocześnie zaś Mniszech ujrzał znowu przed sobą możność przeprowadzenia wła-

(1) De Broglie do p. de Rouillé; Warszawa, 1 października. Arch. Spraw Zagr. V. 241.

snego programu. Widział stanowisko hetmana zachwiane, w pewnéj mierze, względném niepowodzeniem dotychczasowych jego kroków; obóz patryotyczny w zamięszaniu i niepokoju. Przypuścił, iż potrafi wysunąć się teraz na czoło i—stanął w pierwszym rzędzie między domagającymi się wyznaczenia administratorów.

Czartoryscy znaleźli się między młotem ą kowadłem, między groźbą niełaski królewskiéj a groźbą sejmowych postanowień. Czy zabrakło im w tym przypadku zwykłéj przenikliwości? Jak widzieliśmy, zerwanie sejmu figurowało w instrukcyach h-go de Broglie. Wprawdzie instrukcye te stosowały się do sytuacyi całkiem odmiennéj od téj, którą obecnie wytworzyły wypadki i nie potrzebował młody poseł, ani wielkiéj dozy przenikliwości ani wielkiéj miary inicyatywy, aby odmówić im obecnie wszelkiego zastosowania. P. de Rouillé oparł się jawnie na przykładzie przeszłych sejmów, w których Familja rozporządzała stale większością. Urzeczywistniony przeto obecnie przewrót stosunków narzucał odmienną wręcz politykę. Ale i do tego elementarnego pojęcia nie potrafił dźwignąć się p. de Broglie. Jego korespondencya ukazuje nam go trwającego do końca w zamyśle trzymania się, w przedmiocie sejmu, litery otrzymanych rozkazów. Stara się on jedynie o zamaskowanie swoich zabiegów w tym kierunku i stropienie podejrzeń. I widzimy tę rzecz dziwną; stronnictwo patryotyczne tryumfujące na sejmie, a zesolidaryzowanego jakoby z tém stronnictwem reprezentanta Francyi, nawiązującego nici podziemnéj intrygi przeciwko temu sejmowi i temu tryumfowi! Ogląda się on mianowicie za pozyskaniem którego z posłów noszących jawnie barwę Familji. Obdarzony świeżo 200-ma dukatami za usługi oddane przy fundacyi trybunału Piotrkowskiego (1), Mokronoski rusza w pole i wraca niebawem z pożądaną zdobyczą: Staniszewski, poseł warszawski, cieszący się konfidencyą kanclerza w. l. i jego brata, okazał gotowość do odstąpienia swego sumienia za dobrą cenę i do zatamowania, na rozkazy, sejmowéj czynności. Czy udało się w saméj rzeczy h-mu de Broglie oszukać z jego pomocą Czartoryskich? W sprawozdaniach ambasadora francuzkiego, Staniszewski gra podwójną rolę, udając się przed dawnymi swymi przyjaciołmi za zostającego w ich służbie szpiega, a zwodząc ich fałszywemi zwierzeniami względem programu patryotycznego stronnictwa. Przeświadczeni tym sposobem o stałém ze strony swych przeciwników postanowieniu utrzymania sejmu i wytoczenia na nim

---

(1) De Broglie do p. de Rouillé; Warszawa, 15 września. Arch. Spraw Zagr. V. 241.

sprawy ordynackiéj, Czartoryscy wyręczają h-go de Brogli i Staniszewskiego we wstrętnem dziele zerwania (1).

Jest może w tém przedstawieniu faktów nieco, odziedziczonéj w familijnym spadku przez dzisiejszego historyka francuzkiego i zaznaczonéj już przez nas, skłonności do sprzeniewierzającego się historycznéj prawdzie romantyzmu. Czartoryscy nie potrzebowali doniesień Staniszewskiego dla nabycia przekonania, iż program hetmana w. l. i jego politycznych przyjaciół dąży do utrzymania sejmu. Od początku istnienia sejmów program taki był zawsze programem wszystkich większości sejmowych. I w tym téż przypadku, jeżeli Staniszewski odzywał się w saméj rzeczy przed nimi w takim sensie, tedy mówił prawdę. Dowiadujemy się od samego pana de Broglie o wojewodzie Bełzkim, jako oświadczył się on od samego początku za doprowadzeniem sejmu do pomyślnego zakończenia. Chęć użyczenia staroście Oświecimskiemu (Malachowskiemu), pożądanéj przezeń laski sejmowéj, kierowała w tym względzie wojewodą, podług przypuszczeń posła francuzkiego. Wolno jednak chyba położyć ten domysł na rachunek ogólny osobliwéj niedomyślności wykazanéj w tym razie przez niedojrzałego dyplomatę, i przypuścić raczéj, że wojewoda Bełzki skłaniał się po prostu, razem ze swymi towarzyszami do tego na wypadek obrad sejmowych poglądu jaki, w obecnych warunkach, był jedynie z ich strony logicznym. Logika sytuacyi wydzieliła tym razem patryotom rolę obrońców, Czartoryskim rolę antagonistów powagi sejmowéj; aby zaś w podjęciu téj ostatniéj roli wyręczyć ich chciała, niczém nie dająca się usprawiedliwić, konkurencya tak determinowanego przyjaciela sprawy patryotycznéj jak p. de Broglie, tego kanclerz w. l. i jego brat domyślać się nie mogli i machiawelistyczna interwencya Staniszewskiego była zbyteczną dla ustrzeżenia ich od podobnego domysłu.

Jakkolwiekbądź, sejm zerwany został d. 20 października przed obiorem marszałka, i zerwany autentycznie przez Czartoryskich. Już zaś kilkoma dniami wcześniéj, w obec zmierzających jawnie do tego rezultatu wypadków, kwestya ordynacyi znalazła się rozstrzygniętą w myśli Augusta III i Brühla—i rozstrzygniętą na korzyść patryotycznego stronnictwa. Tak przynajmniéj wnosić nam każe wypadek niezbyt fortunnéj znowu próby Machiawelowskiego kunsztu, do któréj dał się skłonić p. de Broglie. Przedmiotem próby, o któréj mowa, stało się ni mniéj ni więcéj jak przekupienie pierwszego mini-

---

(2) Id. z d. 27 października.

stra saskiego. Nie nadto rozważnemu, w obecnych okolicznościach, krokowi temu daje pisarz francuzki za punkt wyjścia powstałą z porozumienia między hetmanem a posłem i z ich samodzielnéj inicyatywy wychodzącą kombinacyą. Podobno lepiéj byłby usłużył w tym przypadku, sławie swojego kljenta, trzymając się ściśle prawdy i tekstu depeszy, do któréj się odwołuje. Z tekstu tego wynika, iż p. de Broglie uległ i tym razem, po długim oporze i po stereotypowém odwołaniu się do brakujących mu instrukcyj, namowom i natarczywościom tego stronnictwa, którém, podług wyrażenia pana de Puysieux, powinien był kierować, a które w rzeczywistości kierowało nim despotycznie. Czy Brühl był człowiekiem do kupienia za sumę 10,000 dukatów, punkt to co najmniéj wątpliwy, w ogóle. W grze politycznéj Saskiego karyerowicza interes osobisty trzymał niezaprzeczenie zawsze sporo miejsca, ale tyle ambitny przynajmniéj ile chciwy minister grywał podobno drożéj. W każdym zaś razie użyte przez pana de Broglie pośrednictwo Mniszcha odjąć musiało podjętéj w tym sensie próbie wszelką szansę powodzenia. Z mocy układu zawartego w tym przedmiocie między posłem francuzkim a hetmanem, suma 10,000 dukatów dostać się miała Brühlowi z rąk hetmana i z *hetmańskiéj jakoby szkatuły*. Broglie zachowywał anonimem osłoniętą rolę dostarczyciela funduszów. Owóż, przypuszczając nawet, iż giętki charakter ministra skłonić się mógł do przyjęcia, względem wczorajszego a zawsze i do końca serdecznie nienawidzonego antagonisty politycznego, przeznaczonéj mu w ten sposób hołdowniczéj i upokarzającéj sytuacyi, nic, żaden dający się przypuścić wzgląd skłonić nie mógł Mniszcha do pośredniczenia w podobnéj kombinacyi, do odstąpienia hetmanowi za darmo drogo przez się okupionego wpływu na wolę i politykę teścia, do zrujnowania własnych, w tym wpływie główny punkt oparcia znajdujących, planów. Odpowiedź, udzielona przez marszałka zgłaszającemu się z niewczesną propozycyą posłowi, nie zdradza oczywiście tych względów, świadcząc o wytrawności jego zmysłu politycznego i takcie, ale nie mniéj przeto jest kategoryczną. Przyjmuje on nader wdzięcznie, w imieniu teścia, nastręczoną ofertę, ostrzega atoli o niewłaściwości jéj przeznaczenia: administracya ordynacyi, cel hojności hetmańskiéj, nie potrzebuje tego okupu; jest już postanowioną. Dla skuteczniejszego zaś zamaskowania rzeczywistych pobudek dyktujących mu tę odpowiedź występuje jednocześnie marszałek z kontrpropozycyą, w któréj nie dopatruje widocznie żadnego niebezpieczeństwa i zaleca przekształcenie przeznaczonéj teściowi gratyfikacyi w pensyą roczną, przywiązującą stale obdarzonego nią jurgieltnika do wytkniętego mu kierunku politycznego. Francuski historyk zaniedbał uwiadomić nas

o przyjęciu, z którém spotkała się, ze strony Brühla przeobrażona w ten sposób kombinacya. Nie wypadło ono pomyślniéj. Minister odmówił grzecznie ale stanowczo. Mniszech mógł podobno najlepiéj powiedziéć dla czego.

Książka p. t. „*Le secret du Roi*“ przypisuje konferencyi odbytéj między posłem francuskim a marszałkiem nadw. datę 28 października. Nowa ta omyłka, przed którą ustrzedz znowu były powinny autora same przytoczone przezeń warunki zakomunikowanego marszałkowi układu, warunki czyniące, przewidzianą tym układem wypłatę 10,000 dukatów, zależną od wyznaczenia administratorów, od rozporządzenia wakansami w myśl udzielonych przez posła wskazówek i—*od zerwania sejmu*. Owóż na dniu 28 października tydzień minął już od daty manifestu, którym Strawiński zatamował czynność sejmową. Konferencya miała więc miejsce przed dniem 20 października, (choć sprawozdanie z niéj znalazł pisarz francuzki w późniejszéj ośmioma dniami, z d. 28 października istotnie datowanéj depeszy), a i wtedy już los zwycięztwa, w obecnéj między dwoma stronnictwami kampanii, padł na stronę patryotów. Czy przeto interwencya h-go de Broglie i jego 10,000 dukatów mogła miéć w tém zwycięztwie jakikolwiek udział? Z przestawieniem niektórych dat i pominięciem niektórych szczegółów, wniosek taki przybiera, dla czytelników księcia de Broglie, niejakie cechy prawdopodobieństwa. Dnia 28 października rozmowa posła francuzkiego z marszałkiem nadwornym i oferta 10,000 dukatów; dnia 3 listopada wyznaczenie administratorów—konkluzya narzuca się sama z siebie, jeżeli nie wie się, iż data 28 października jest datą depeszy nie zaś faktu, suma zaś 10,000 dukatów, aczkolwiek ofiarowana, nie była przyjętą nigdy, ani teraz ani późniéj, mimo powtarzanych w tym celu usiłowań, a przeto nie mogła chyba wywrzéć skutecznego wpływu na postanowienia osoby, do któréj znalazła tak mało przystępu.

Ale dwie ostatnie kartki, poświęcone przez francuzkiego pisarza historyi epizodu, który nas tu zajmuje, są ideałem właściwéj jego talentowi maniery. D. 3 listopada dwór Warszawski dowiaduje się „ze zdumieniem“ o wyznaczeniu administratorów, choć trzema tygodniami pierwéj Brühl daje się publicznie słyszéć z tém, iż postępowanie dążących do zerwania sejmu uczestników tranzakcyi kolbuszowskiéj, zniewoli prawdopodobnie króla do uczynienia zadość żądaniom przeciwnego stronnictwa (1), i choć dwoma tygodniami pierwéj Mniszech uważa tryumf tych żądań za fakt spełniony. Czartoryscy nie

(1) W depeszy pana de Broglie z d. 13 października.

słyszą tego co mówi Brühl, ani tego co mówi Mniszech; nie domyślają się niczego; trwają w upartym optymizmie i ogłoszone nareszcie d. 3 listopada postanowienie króla staje się dla nich „ciosem pioruna z pogodnego nieba spadłym.“ Poseł angielski, Williams, ostrzeżony nagle, „na godzinę przed wypadkiem,“ stawia sto dukatów w zakład o to że przyjazna dla patryotycznego stronnictwa decyzya jest nie możliwą, „bo król się nie odważy,“—choć ma za sobą manifest, w formie prośby do tronu, podpisany przez 31 senatorów z biskupem krakowskim, marszałkiem w. k. i dwoma hetmanami ww. na czele! (1).

Wszystko to może, ze stanowiska artystycznego, mieć wartość efektownego obrazu; ale, z czysto historycznego stanowiska, niema stanowczo żadnego sensu, ani téż żadnéj podstawy—nawet w sprawozdaniach h-go de Broglie. Otrzymawszy w drugiéj połowie października, (hr. de Broglie nie oznacza bliżéj daty) nowe, kuryerem przesłane instrukcye, i zażądawszy, po ich otrzymaniu, posłuchania u króla, które na dzień 29 października naznaczone zostało, mógł obiecywać sobie Williams, że przedstawienia jego, dążące *jedynie do uzyskania zwłoki w wyznaczeniu administracyi*, wezmą pomyślny skutek i zakładać się, *oczywiście przed posłuchaniem*, z wyrażającym wątpliwość w tym względzie posłem Maltańskim, hr. Kołowratem. Chociaż właściwa angielskiemu posłowi bystrość umysłu czynić musi i ten, powtórzony w saméj rzeczy przez hr. de Broglie szczegół, dość podejrzanym. W każdym razie rezultat posłuchania odjął już chyba zawiedzionemu w swych nadziejach dyplomacie wszelką chęć ryzykowania nawet mniejszéj od stu dukatów sumy w przegranéj z góry stawce. Tém więcéj zaś wstrzemięźliwym w tym względzie okazać się on musiał d. 3 listopada, usłyszawszy *trzema już dniami pier-*

---

(1) Manifest domagający się wyznaczenia administracyi podpisali d. 29 października: Andrzej Załuski, bisk. krak.; Fr. Bieliński. marsz. w. k.; Ant. Sebastyan Dembowski, bisk. kujawski, Józef-Eustachy Szembek, bisk. Płocki; Adam Stanisław Grabowski, bisk. Warmiński; Wacł. Sierakowki, bisk. Przemyski, Mikołaj Dembowski, biskup Kamieniecki; Jerzy Mniszech, marszałek nadw. Jan Klemens Branicki, hetman w. k.; Michał Radziwiłł, hetman w. l.; Tadeusz Ogiński, kasztelan Trocki; St. Potocki, woj. kijowski; Wł. Szołdrski, woj. Inowrocławski; Wacł. Rzewuski, wojewoda Podolski; Antoni Potocki, woj. Bełzki; M. Podoski, woj. Płocki; Kaz. Rudziński, wojewoda Mazowiecki; St. Świdziński, woj. Bracławski, Zyg. Kretkowski, woj. Chełmiński, Jędrzej Zakrzewski, kaszt. Kaliski; Józef Pac, kaszt. Żmudzki; Dąbski, kaszt. Brzesko kujawski; Michał Łoś, kaszt. Lwowski; Izydor Grzybowski, kaszt. Czerski; Ant. Miączyński, kaszt. Podlaski; Jan Zabiełło, kaszt. Mścisławski; Ignacy Twardowski, kaszt. Międzyrzecki; Trzeliński, kaszt. Biecki; Ant. Rozwadowski; kaszt. Halicki; Stępkowski, kaszt. Tarnowski; Giżycki, kaszt. Wyszogrodzki.

wéj udzieloną przez króla d. 31 października, przy pożegnaniu izby poselskiéj, a więc autentyczną już absolutnie wiadomość o mianowaniu administratorów. W saméj rzeczy, po kawalersku z datami obchodzący się historyk francuzki, wziął znowu, w tym przypadku, datę depeszy za datę faktu, choć znowu treść powołanéj przezeń depeszy, z któréj sami czerpiemy prostujące jego opowieść fakta, ustrzedz go była powinna od rażącego błędu.

Co zaś, po uwzględnieniu tego i innych wytkniętych już błędów, pozostaje z téj opowieści na rzecz historycznéj prawdy? Nie wiele zaiste. Znikają wprowadzone dowolnie na scenę akcesorya teatralnéj intrygi, raptowne zmiany dekoracyjne i zaimprowizowany dramat *à grand spectacle* redukuje się do pospolitych kształtów normalnego rozstrzygnięcia walki między współzawodniczącemi z sobą żywiołami politycznemi. Sama, pojawiająca się w ostatecznéj chwili interwencya trzydziestu senatorów, którą akademicki panegirysta pomija milczeniem, (naśladując tym razem nie tłomaczące się dostatecznie w korespondencyi h-go de Broglie, choć powetowane załączonym do depeszy odpisem manifestu, a przeto na pobłażliwość zasługujące opuszczenie) sam ten manewr *de la dernire heure*, dający się prędzéj od przeznaczonych saskiemu ministrowi dukatów, posądzić o udział w ostatecznym zwrocie polityki dworskiéj, nie miał prawdopodobnie takiego znaczenia i posłużył raczéj do udzielenia powziętym już postanowieniem, pożądanéj dla nich sankcyi i osłony.

Co atoli zostaje także, z bilansu historycznego w ten sposób z większą ścisłością przeprowadzonego, na rzecz dyplomatycznéj działalności hrabiego de Broglie w tym epizodzie? Zostaje podwójna rola: rola agitującego, drażniącego i obietnicami szafującego, ale, w obec wymagalnych spełnień cofającego się ajenta, prawdziwego *pokątnego doradzcy*,—rola z drugiéj strony potulnego narzędzia, eksploatowanego przez posługujące się niem interesa i namiętności stronnicze, bez rzeczywistéj w rezultacie krzywdy dla interesów reprezentowanego przez się gabinetu, zasłoniętego własną przezorną ostrożnością, ale z niezawodną krzywdą publicznego dobra w nieszczęsnéj, tego rodzaju improwizowanym eksperymentem politycznym na pastwę wydanéj, R-péj.

Dodajmy rolę wiernego, ogółem biorąc, choć tak opacznym przeistoczeniom dziś podlegającego, i bacznego choć bynajmniéj nie przenikliwego sprawozdawcy. W tym względzie, przejrzawszy tyle szczegółów w cytowanéj przez się depeszy z d. 3 listopada, nie dopatrzył w niéj także historyk francuzki następującego wyznania, które byłoby chyba zbiło z tropu uparty jego panegiryzm:

„Jakkolwiek pilnie starałem się,—pisze głęboki ów dyplomata i polityk,—o odkrycie przyczyn obecnego zwrotu w polityce dworu Saskiego, a zwłaszcza h-go Brühla, nie jestem w możności udzielenia w tym przedmiocie żadnego wniosku."

Trzydziestokilkoletni brygadyer, składający o sobie, w takiéj chwili i w takich warunkach, podobne *testimonium paupertatis*, udzielić nam może wysokiego wyobrażenia o swéj, nieco naiwnéj dobroduszności, ale powinien był chyba skłonić swych mocodawców—do powrócenia go porzuconéj brygadzie.

Kazimierz Waliszewski.

Z DZIEJÓW LUDZKOŚCI.

(Wasmandorff: d. religlösen Motive der Todtenbestattung bei d. verschiedenen Völkern, 1884. Andree: Metalle bei d. Naturvölkern. Leipzig. 1884. — Schmidt: die Moundbuilders. Kosmos. 1884. Zeszyt II i III).

W Berlinie, w przeszłym roku, odbywała się wystawa masek z południowych okolic Indyj przedgangesowych. Między innemi przedmiotami, były tu maski z Cejlonu. Na Cejlonie i wogóle w południowych okolicach Indyj odnajdujemy nadzwyczaj liczne ślady rasy pierwotnéj, która uległa zagładzie przy zajęciu półwyspu Indyjskiego przez rasę aryjską. Równolegle z śladami téj pierwotnéj ludności, odnajdujemy ślady jéj podań i obrzędów religijnych, w tak zwanym „południowo-indyjskim kulcie dyabła". Tu trzeba nam zauważyć, iż socyologia wykazuje wszędzie, gdzie istnieje kult „dyabłów", tj. duchów złych, duchów, ciemności itd., istnienie ludności pierwotnéj, podbitéj, wytępionéj lub zepchniętéj w kasty niższe. Rzecz to nawet bardzo naturalna. W oczach walczących bogi ich są wrogiemi sobie nawzajem potęgami; bogi zwycięzców są tém samém silniejszymi, potężniejszymi, lepszymi. ... Dla przekonania się o tém, dość tu uprzytomnić sobie obejście się murzyna ze swym fetyszem; gdy np. pewne życzenie murzyna nie zostało zadowolnionem, murzyn rzuca fetysza na ziemię, depcze go częstokroć nogami, dając mu nazwy „złego", „słabego". Kult dyabłów na Cejlonie głębokie puścił korzenie; każda choroba ma sobie właściwego dyabła. Temu duchowi, w razie choroby, składają w ofierze ryż i owoce; przed chorym, dla przebłagania dyabła, urządzają uroczysty taniec; istnieje bowiem przypuszczenie, iż każda choroba, każde nieszczęście jest dziełem dyabła. Tańczą w maskach. Bötticher, porównywając te ma-

ski, z maskami dawnych Egipcyan, doszedł do następujących, ciekawych rezultatów (1):

1) Maski, przedstawiające typ ludzki: a) maski z wyrazem zwykłym. Jak u Egipcyan, uszy odstające, ostro ścięte, nos z lekka zagięty, silnie rozwinięte brwi, małe usta, z wązkiemi wargami; barwa masek żółta, brunatna, czerwona i zielona, odpowiada barwom twarzy bogów egipskich. b) maski wykrzywione, są również zupełnie identyczne, z odpowiedniemi maskami egipskiemi. c) ozdoby na czubku głowy powyższych rodzajów masek. Niektóre maski noszą ozdobę z piór, inne z wężów. Podobieństwo do ozdób głów bogów egipskich uderzające. Nie tylko te same przedmioty, ale tenże sam sposób ułożenia, taż sama postawa, taż sama barwa. Takie samo umieszczanie głowy węża nad czołem, ten sam sposób splotów jego ciała. Również i pokrycie głowy sfinksów egipskich jest zupełnie takie samo, jak pokrycie masek cejlońskich; tu i tam prążki kolorowe następują po sobie w tym samym porządku co do barwy; spotykane w Egipcie t. z. „sępie czepki“, przemieniają się na Cejlonie w „ptasie czepki“, sęp więc w ptaka wogóle. Nareszcie jednakowy sposób zwiększania się i jednakowe barwy piór, tak na Cejlonie, jak i w Egipcie.

2) Maski, przedstawiające mięszane typy, ludzko-zwierzęce. Dziób ptaka na ludzkiéj twarzy, typ charakterystyczny dla Egiptu, spotyka się także na Cejlonie. Również wspólnym jest Egiptowi i Cejlonowi, tak zwany typ ibisowy: twarz ptaka, opatrzona długim dziobem i ludzkiemi oczyma (spotykamy ten typ w malarstwie chińskiém i japońskiém).

3) Maski, przedstawiające typy zwierzęce. Zamiast egipskiego lwa, spotykamy na Cejlonie tygrysa, zamiast konia nilowego, nosorożca itd., wogóle odpowiednie typy pokrewne.

Maski te używają się, jak rzekliśmy, w przypadku choroby itd. Użycie ich wogóle nosi na sobie charakter obrzędowo-religijny. Odpowiada to zupełnie nowszym uogólnieniom socyologii, twierdzącym, iż muzyka, taniec, śpiewy, teatr itd. rozwinęły się z tego samego źródła, mianowicie z ceremonij religijnych, stając się z czasem coraz bardzíéj niezależnemi od religii i pomiędzy sobą. Nic więc dziwnego, iż spotykamy maski na mumiach starożytnego Egiptu i Peru, iż nawet rysunek bogów egipskich zdradza maskowanie, iż u Chińczyków i Japończyków, u Rzymian i Greków maski były pierwotnie używane jedynie przy uroczystościach religijnych.

---

(1) Bötticher: die Masken v. Zeylon u. der altägyptische Kultus. Ausland, Nr. 3. 1884.

Rzeczywiście podobieństwo masek cejlońskich i typu twarzy starożytnego Egiptu ma być uderzającém. Rysy twarzy tych masek można podobno odnaleść u wielu plemion lub warstw społecznych południowéj i wschodniéj Azyi, tak np. u arystokracyi japońskiéj i w ogóle u ludów azyatyckich, zamieszkujących wzgórza i wyspy—miejsca, najdłużéj zachowujące ślady dawnéj ludności. Bardzo być może, iż przypuszczenia Böttichera, co do identyczności różnych plemion południowéj i wschodniéj Azyi i Egiptu, trzeba policzyć na karb bujnéj jego wyobraźni; faktem pozostaje jednak podścielisko tego przypuszczenia, mianowicie iż ludzkość, nim ustaliła obecne swe zróżniczkowania etnograficzno-rasowe, przeszła przez całe szeregi przewrotów rasowych: wymarcia ongi potężnych ras lub zachowania się ich jedynie w postaci szczątkowéj, rozkwitu ras drugorzędnych, znacznego pokrzyżowania się innych. Jedną z podstaw organizacyi kastowo-społecznéj jest taka różnica etnograficzna członków danego społeczeństwa, co świetnie wykazał Max - Müller względem kast indyjskich. Wogóle istnieje w socyologii, jako pewnik zasada, iż jeżeli w pewném społeczeństwie znajdujemy jakąś kastę poniżoną, wyklętą i pozbawioną wszelkich przywilejów, to kastę tę stanowią pierwotni mieszkańcy rozpatrywanego terytoryum, zwyciężeni przez obce plemię, zorganizowane obecnie w kasty wyższe.

Dla przedmiotu obecnie nas zajmującego, najważniejszym wnioskiem z uogólnień Böttichera jest to, że maski w wielu odległych od siebie miejscowościach (Chiny, Cejlon, Egipt, Rzym, Peru) używane były pierwotnie jako przedmioty obrzędowe, czyli innemi słowy, iż w najodmienniejszych miejscowościach obrzędy religijne posiadają pewne podobieństwo. Tém podobieństwem zajmuje się wyszła niedawno broszura Wasmandorffa o obrzędach pogrzebowych, czyli raczéj o czynnikach, wywołujących grzebanie. Choć nadzwyczaj rozmaitemi są ceremonie pogrzebowe u różnych ludów, wynikają jednak wszystkie z dwóch czynników, opierających się na téj saméj zasadzie: wszędzie podścieliskiem obrzędów pogrzebowych (a nawet całokształtu wszelkiéj religii) jest wiara w drugie „ja“. To drugie „ja“ oddziela się od ciała, sprawiając przez to sen lub śmierć; może zjawiać się na tym świecie po śmierci ciała i oddziaływać na stosunki żyjących. Między innemi może oddziaływać w sposób szkodliwy. To ostatnie przypuszczenie jest szeroce rozpowszechnione. Tak np. Czuwasz odzywa się do zwłok swego ojca: czcimy ciebie; masz tu chleb i rozmaite pokarmy, masz wszystko przed sobą, ale zostaw nas w spokoju i nie nawiedzaj nas. Na wyspach Raratonga (Polinezya) najbliższy krewny zmarłego zwraca się ku niemu z następującą mową: kochałem cię pókiś żył, starałem się uzdrowić

ciebie; teraz zmarłeś, bierz więc swoję wyprawę (tj. rzeczy, kładzione z trupem do grobu), kup zań wejście do domu Tiki (królestwa zmarłych) i nie powracaj, by nas męczyć. U Bodosów (północne okolice Indyj przedgangesowych) najbliższy krewny ofiaruje zmarłemu jedzenie, prosząc go, aby nie powracał, a Nowozelandczycy, mniemają, iż dusza po śmierci zmienia się do tego stopnia, iż gotowa szkodzić najlepszym nawet przyjaciołom. Bezpośrednio z tém przekonaniem łączą się podania o upiorach, o tém, iż zmarli starają się często porwać do grobu żyjące, drogie osoby—temat, ulubiony przez romantyków, każących zmarłemu rycerzowi porywać żyjącą narzeczoną.

Pierwszym więc, a zarazem najważniejszym czynnikiem obrzędów pogrzebowych, jest obawa *aby zmarły po śmierci nie szkodził*. *Z* tego powodu bywa przedsiębranym cały szereg środków, mających na celu albo przebłaganie ducha zmarłego, albo zastraszenie go; czasami wykonywa się cały szereg czynności, których zadaniem jest pomylenie mu drogi do domu, albo wprost zamykanie go w grobie. Te, lub inne środki noszą na sobie charakter bardzo wyraźnie antropomorficzny; zmarły (tj. drugie „ja“, odłączające się przy śmierci od ciała) posiada popędy, potrzeby i wogóle całą naturę żyjącego, środki więc, zapobiegające pozagrobowym wpływom są identyczne ze środkami żyjącego świata. Antropomorfizm ten dochodzi do punktu kulminacyjnego u ludów, stojących na najniższym stopniu rozwoju umysłowego, słabnie zaś, w miarę tego, jak ludy wstępują coraz na wyższe stopnie krytycyzmu. Tak np. Czerwonoskórzy, Samojedzi itd. starają się zatrzymać ducha zmarłego przez zaklęcia; Eskimosi znowu postępują w inny sposób: za zmarłym krzyczą „niepowracaj, tu niéma nikogo więcéj“, sądząc w swéj prostocie, iż to wystarczy dla oszukania ducha zmarłego. Od wyższego stopnia antropomorfizmu, czyli innemi słowy od mniéj rozwiniętego krytycyzmu u danego ludu, zależy wyobrażenie o związku pośmiertnym ducha z ciałem. U jednych duch (drugie „ja“) zamiera wkrótce po śmierci człowieka, przebywając jedynie w bliskości ciała, lub na najsilniejszym stopniu antropomorfizmu, pozostając z niém w stałém połączeniu. Ztąd zwyczaje kładzenia kamieni na trupa lub krępowania go łańcuchami. Czuwasze np. przymocowują dwie poprzeczne sztaby nad trumną; Czeremisi ogradzają mogiłę palami. Starożytni Indusi pętali zmarłemu nogi; to samo znaczenie mają bronzowe i żelazne gwoździe, znajdowane w mogiłach rzymskich i starogermańskich; gwoździe te pierwotnie służyły do przymocowania zmarłego, a następnie (podług Margrafa) przybrały bardziéj symboliczny charakter, mianowicie miały zabezpieczać żyjących od szkodliwych wpływów

ze strony zmarłego. Ślady tego pierwotnego antropomorfizmu odnajdujemy w Słowiańszczyźnie; o Uskokach np. piszą, że mieli zwyczaj kładzenia trupom na nogi ciężkiego kamienia; to samo spostrzegamy w Hesyi i w innych okolicach Niemiec, szczególniéj zaś gdy umrze matka, karmiąca dziecko. Na wyższych szczeblach rozwoju, gdy duch rożniczkuje się coraz bardziéj od ciała, gdy losy pierwszego, w przekonaniu człowieka, stają się bardziéj niezależnemi od losów drugiego, wchodzą w użycie inne środki: wynosi się np. ciało przez specyficzny otwór w chacie, który następnie ulega zamknięciu w chacie. Tak czynią Hotentoci, Siamczycy; u Eskimosów zmarłego wynoszą przez okno. Ślady tych pierwotnych wierzeń odnajdujemy jeszcze dzisiaj u „cywilizowanych“ ludów Europy; w Szwabii np. wynoszą samobójcę przez otwór, zrobiony pod progiem drzwi, otwór ten następnie zasypują; w Turyngii znowu wisielców wynoszą przez okno. U innych ludów, mianowicie, gdzie w pojęciach religijnych nastąpiła, dzięki wzrostowi myśli krytycznéj, większa niezależność między duchem a ciałem zmarłego, robi się otwór w chacie, aby przezeń mógł swobodnie ulecieć duch, a następnie dla przeszkodzenia powrotowi otwór ten się zamyka. Ślady tego napotykamy obecnie w Europie: w Niemczech, Anglii, Francyi. Malajczykowie posuwają się daléj: przynoszą do chaty kawałek ozdobionego papieru, który następie wyniósłszy z chaty, niszczą do szczętu: dusza wyniesiona w ten sposób na papierze, traci zupełnie znajomość drogi, którą wyszła, a przeto nie zdoła już potém powrócić. Ciekawym jest szczegół, tyczący się wody i wskazujący, jak ważną rolę w religiach odgrywa pierwiastek antropomorficzny: żyjący człowiek na drodze napotyka nieprzebytą przeszkodę w postaci wody; przenosi się to na świat duchów, u Estów polewa się wodą za trumną, u Łużycan łamano lód na rzece, jeżeli przez nią w zimie przenoszono trupa, w Aargau po śmierci położnicy—istoty, powracającéj po zgonie do dziecka, leje się święconą wodę przed progiem. W Bengalu, w Birmanie itd., jeżeli ktokolwiek umiera na obczyźnie, przeciągają się sznury przez rzekę, aby duch zmarłego mógł swobodnie powrócić na miejsce stałego pobytu: W ostatnim przykładzie prześwieca już drugi czynnik pogrzebowych obrzędów—czynnik *altruistyczny*. Istnieje albowiem przekonanie, iż dusza zmarłego na obczyźnie, niepogrzebanego itd., czuje się wysoce nieszczęśliwą. Z tego powodu mści się ona na żyjących; tak, podług Australczyków, duchy niepogrzebanych stają się złémi demonami; Dajacy (Borneo) mniemają, że duch pochowanego bez należytych obrzędów powraca do wsi, a Nowozelandczycy to samo powiadają o zabitych lub zjedzionych. Siamczycy obawiają się zmarłych śmiercią nienaturalną, lub pogrzebanych

nie w należyty sposób; ślady tych samych wierzeń odnajdujemy w Europie, w podaniach o samobójcach.

Grzebiąc ciało zmarłego, przedewszystkiém wyrządza się przysługę zmarłemu, oswabadzając go od cierpień, które by spowodować mógł głód, błąkanie się itd., a następnie uwalnia się samych siebie od jego wybryków. To pojęcie o cierpieniach zmarłego, z powodu nie pogrzebania jego ciała, przebija się jasno u wyspiarzy Samoa; podług nich duch nie pogrzebanego błąka się po polu, wołając: „oj! oj! jak zimno!“ Z tego punktu widzenia, pogrzebanie ciała jest nie tylko oswobodzeniem się od szkodliwych wpływów, nie tylko oddaniem czci zmarłemu, ale nadto wielką dlań łaską. Ztąd pochodzi u Indyan zwyczaj grzebania, chociaż podobizny człowieka (zrobionéj z drzewa etc.), jeżeli nie ma możności pochowania samego ciała, lub obyczaj przygotowywania próżnego choć-by miejsca, jeżeli trup gdzieś się zapodział (Samoa, Grecy). U wyspiarzy na Samoa, w razie jeżeli ktoś się utopił lub został zabitym, a trupa nie znaleziono, rozciąga się na polu prześcieradło i woła się: „bogi, bądźcie miłościwi, oddajcie duszę!“ Jeżeli na prześcieradło wejdzie konik polny, mrówka itd., uważa się to za duszę zmarłego i chowa się ze zwykłemi ceremoniami.

Tyle u Wasmandorffa. Jak widzimy, szkic jego pozostawia dużo do życzenia; dość będzie, gdy wskażemy na pominięcie tak ważnego czynnika obrzędów pogrzebowych, jakim jest chęć zasłużenia na wdzięczność zmarłego, a przeto zyskania jego poparcia na przyszłość — czynnika, z którego, podług wielu, rozwinął się kult dobrych duchów we wszystkich religiach. Wogóle cały szkic Wasmandorffa przedstawia jedynie, jakby kartkę z dzieł Spencera lub Taylora, w których ci rozpatrują tak zwany animizm (tj. wiarę w drugie „ja“), jako punkt wyjścia wszystkich wierzeń i obrzędów religijnych.

Szkoda, iż Wasmandorff nie dotknął tak ważnéj kwestyi, jak stosunek czynnika altruistycznego lub samolubnego w obrzędach pogrzebowych do całokształtu stosunków i popędów społecznych danego plemienia. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż krwiożerczość pewnego ludu lub jego altruizm, przewaga popędów altruistycznych lub samolubnych, pokojowych lub wojennych, wnoszą specyficzny charakter w podania i obrzędy religijne tego ludu. Albowiem religia jest zawsze odbiciem życia codziennego. Można więc *à priori* wnioskować, iż w społeczeństwach pokojowych i altruistycznych, jakiemi są np. wspólnoty niektórych ludów, zamieszkujących Indye przedgangiesowe, i wogóle w społeczeństwach, opartych na solidarności

życiowéj, czynniki pogrzebania i całokształt religii jest odmiennym od całokształtu religii u społeczeństw, zróżniczkowanych na kasty i opartych jedynie na zasadach walki o byt. Dotychczasowa jednak socyologia nie dotknęła się jeszcze tego punktu; brak jéj zresztą faktów, pozwalających na odbudowanie całokształtu stosunków i pojęć, choć-by nielicznéj ilości ludów pierwotnych. Podróżnicy podchwytują życie ludów pierwotnych według swego widzimisię, wybierając fakta z ich życia bez związku, bez łączności, który prędzéj wpadnie w oczy; notują często drobiazgi, bez znaczenia, a pomijają najważniejsze strony. Nic dziwnego, iż z takich zlepków trudno socyologii wykazać zależność różnych stron życia społecznego, jednych od drugich. Brak wreszcie socyologii kryteryum, które-by wskazywało, co w społeczeństwie trzeba uważać za podścielisko innych zjawisk społecznych i jakie społeczeństwa trzeba uważać za wyższe. Prawda, że ekonomia polityczna daje w tym względzie pewne wskazówki, twierdząc, iż wszelkie przejawy społeczne są odbiciem stosunków ekonomicznych; prawda, że niektórzy socyolodzy starają się zbudować kryteryum, dające pojęcie o wyższości lub niższości pewnego ustroju społecznego. Ale na nieszczęście, socyolodzy rzadko posiadają znajomość ekonomii, a próby zdobycia kryteryum, pozwalającego sądzić o wyższości lub niższości ustroju społecznego, są zbyt nieliczne i zbyt powierzchowne (bierze się np. pod uwagę jednę stronę społeczną, a pomija się wszelkie inne). Po większéj części, *à priori*, społeczeństwa ludów pierwotnych chrzci się mianem społeczeństw „niższych", a społeczeństwa na wzór europejskich, mianem „wyższych", cywilizacyjnych" itd. Nic więc dziwnego, iż jeden z socyologów, Andree, dowodzi, iż u dawnych Meksykanów ciwilizacya musiała stać bardzo wysoko, gdyż oprócz rozkwitu rolnictwa, rzemiósł, ukonstytuowanego rządu, ceremoniału dworskiego, i to wysoce wyrobionego, istniało jeszcze żebractwo: „a ktoby chciał jeszcze wątpić o cywilizacyi dawnego Meksyku, tego muszą przekonać zauważane przez Corteza stowarzyszenia żebraków; żebractwo bowiem może jedynie tam istnieć, gdzie istnieje *wysoce rozwinięta* kultura" (1). Dajmy jednak spokój panu Andree z jego żebractwem, jako oznaką „wysoce rozwiniętéj kultury"; zauważmy natomiast, iż nawet tacy gorliwi obrońcy cywilizacyi europejskiéj, jak Spencer w niektórych razach, nie mogą wyjść z podziwu nad pewnemi stronami życia społecznego ludów pierwotnych. Pierwszy stopień kryteryum sądzenia o wyższości lub niższości pewnego społeczeństwa zdobyło społecznoznaw-

(1) Andree: d. Metalle bei d. Naturvölkern. Leipzig, 1884.

stwo, wprowadzając pojęcie *typów* społecznych i różnego *rozwoju* tych typów, a nadto uważając za jedyny miernik wyższości społecznéj—miernik subjektywno-ludzki, mianowicie stopień rozwoju indywidualnego i sumę szczęścia, zapewnianą jednostce przez różne typy społeczne. Z powyższemi pytaniami łączy się ściśle pytanie, *co to jest postęp i na czém on polega*,—pytanie, rozwiązywane dotychczas przez powagi świata naukowego z punktu objektywnego. Dla nich postęp—to jakieś zmiany, zachodzące w świecie zewnętrznym i brane niezależnie od stosunku do żyjącego, konkretnego człowieka. W ten sposób powstaje np. formuła Spencerowska postępu: postęp jest to przejście od jednorodności do różnorodności, od chaotyczności do określoności, od luźności do ścisłéj zależności. Zróżniczkowania i zcałkowania stanowią tu całą treść pojęcia postępu... Spencer, Haeckel i inni nie przyznają jednak, iż rozwój społeczeństw w takim kierunku sprawia to, iż jednostki je składające rozwijają się w wprost przeciwnym kierunku, a więc cofają się wstecz; świetną ilustracyą takiéj sprzeczności pomiędzy rozwojem społeczeństwa a rozwojem osobnika, widzimy w społecznych organizmach pszczół, mrówek itd. Aby zaś zdobyć pojęcie postępu i znaleść wreszcie miernik subjektywno-ludzki wyższości lub niższości typów społecznych, musimy uprzednio zdobyć kryteryum tego, co mamy nazywać *szczęściem osobnika* i *wyższym stopniem rozwoju indywidualnego.* Ale jak mierzyć szczęście? Każdy je pojmuje inaczéj, każdy je inaczéj wyobraża. Nauka więc może określić jedynie przedmiotowe, zewnątrz człowieka leżące warunki, przy istnieniu których szczęście staje się prawdopodobném. A co nazwać wyższym stopniem rozwoju indywidualnego? Czy nauka społeczna może to określić bez pomocy biologii? Nie; i pytanie to, również jak prawie wszystkie poprzednio wymienione, stanowią punkty zetknięcia się socyologii z biologią.

Ale powróćmy do naszego przedmiotu. Wspomnieliśmy, iż podścieliskiem obrzędów pogrzebowych jest wiara w drugie „ja", które przez swe odłączenie od ciała powoduje sen lub śmierć. Nie dość jednak na tém. Wszelka forma lub obrzęd religijny, poczynając od najbardziéj nieokrzesanych pojęć religijnych, a kończąc na najbardziéj rozwiniętych systematach teologicznych, wszędzie rozwinęły się również z téj wiary. Wskazują to fakta, któremi rozporządza obecnie socyologia. Zkąd to pochodzi? Tu możebnemi są jedynie dwa przypuszczenia: 1°) albo wszyscy ludzie pochodzą z jednego pnia, a więc dostrzegane u nich podobieństwa religijne są wynikiem wspólnego pochodzenia; 2°) albo ludzkość, pomimo podziału na oddzielne grupy (będące, czy nie będące wspólnego pochodzenia skutkiem tego nic się nie zmienia) przechodzi przez te same fazy rozwo-

ju w każdéj oddzielnéj grupie. Co do pierwszego przypuszczenia, nie sposób obecnie w socyologii o niém poważnie mówić (1). Mrzonka ta, resztka wyobrażeń teologicznych, przeniesiona na grunt wiedzy pozytywnéj, nie ma za sobą żadnych dowodów; przeciwnie, natrafia na całe szeregi zarzutów. Drugie przypuszczenie należy do przyjętych obecnie w nauce, ale z pewnemi zastrzeżeniami; tak, pozostaje ono prawdziwém, jeżeli w rozwoju oddzielnych grup istnieją identyczne, a przynajmniéj analogiczne do pewnego stopnia warunki. Teorya „animizmu,“ któréj podstawy dał Taylor i którą ostatecznie obrobił Spencer, zawdzięcza swą ogólną zastosowalność temu, iż, wszędzie w naturze psychicznéj człowieka pierwotnego, napotykamy

---

(1) Chcielibyśmy tu zwrócić uwagę na pewną teoryą, poruszoną w ostatnich czasach w naszéj prasie przez prof. Gumplowicza. Mianowicie, pomiary krainologiczne wykazały, nadzwyczajną różnorodność kształtów czasek u każdéj jednostki etnicznéj (narodu). Ztąd niektórzy socyolodzy robią wniosek, iż nie istnieje ani jedna jednostka etniczna, którаby we wszystkich swych osobnikach, pozostała zupełnie czystą, bez przymieszki krwi obcej. Każdy naród, a tembardziéj każde państwo opiera się na konglomeracie różnorodnych części, połączonych w jednę całość przez religią, język itd. Niejednorodność pochodzenia każdego narodu, mówią daléj ci socyolodzy, odbija się nawet w rodzinie, gdyż członkowie nawet téj saméj rodziny posiadają odmienne kształty czaszki—jest to atawizm. Przeciw saméj teoryi, przyjmującéj, iż ludzkość pochodzi nie od jednego pnia i iż żaden naród nie jest jednolitą etnicznie jednostką, nic nie mamy; ale aby kształt czaszki miał by tu być tak decydującym dowodem, tego nie możemy przyjąć. Trzeba by wprzód dowieść, że kształt czaszki jest czemś niezmiennėm, niezależném od wpływów, działających na jednostkę w przeciągu jéj życia. Niestety jednak, rzecz ma się inaczéj. Posłuchajmy np. co mówi Darwin: „Etnolodzy twierdzą, iż kształt czaszki ulega zmianom, w zależności od kształtów kolebki, w któréj śpi dziecko. Zwykłe skruszenie mięśni i blizny z powodu ciężkiego oparzenia wystarczają dla wywołania trwałych modyfikacyj w kościach twarzy..... U długouchych królików, nawet tak nieznaczna przyczyna jak zwieszenie naprzód jednego ucha wyciąga w tym kierunku wszystkie kości odpowiedniéj strony, i to do tego stopnia, iż kości obydwóch stron głowy przestają sobie odpowiadać“. (*Descent of man* tłom. niem. 1883, str. 53 i 54). Jest jeszcze inny czynnik biologiczny, tak zwana korelacya, wywołujący modyfikacye czaszki. Korelacya polega na tém, iż ze zmianą pewnych organów ulegają odpowiedniéj i ściśle określonéj zmianie pewne inne organy. Tak np. kot o białéj szerści i z zielonemi oczyma będzie zawsze głuchym. O ludziach powiada Weleker: „ludzie małego wzrostu są skłonni do brachycefalii, wielkiego do dolichocefalii“—mamy więc tu wymiary czaszki i jéj kształt zależnemi od wzrostu. W szczegóły nie wdaję się, choć możnaby jeszcze dużo powiedzieć.

Z drugiéj zaś strony, przyjąwszy nawet, iż teorya różnorodności rasowego pochodzenia każdego narodu jest prawdziwą, nie mogę pojąć, jakim sposobem teorya ta może służyć dla obrony narodowościowych i społecznych stosunków. Zastosowanie jéj w tym razie o tyle jest logiczném, o ile logiczném było rozumowanie plantatorów z Wirginii: pochodzimy od Jafeta, murzyni pochodzą od Chama, a więc..... niewolnictwo powinno istnieć. O tém, czy co jest dobrém lub złém, czy powinno zostać utrzymaném lub nie, nie decydują fakta przeszłości, ale wytworzona na łonie ewolucyjnego rozwoju idea etyczna, idea sprawiedliwości.

czynniki, z konieczności wywołujące wiarę w sobowtórów (drugie „ja“), wiarę w duchy zmarłych. Teorya animizmu jest następującą: U wszystkich ludów, bez względu na różnicę w rozwoju kultury, istnieje wiara w duchy zmarłych. Wiara ta rozwinęła się ze snów pierwotnego człowieka; czynnikami tutaj były: nizki poziom rozwoju umysłowego, mało rozwinięta mowa (są jeszcze obecnie ludy, nie mogące się porozumiewać w nocy—ciemności nocne nie pozwalają na użycie mimiki, stanowiącéj nadzwyczaj ważny składnik ich mowy; a cóż dopiero mówić o człowieku pierwotnym!!) itd. Człowiek pierwotny śni—we śnie przebiega stepy, poluje, walczy. Dzięki nieregularnemu odżywianiu sny te bywają nadzwyczaj różnobarwne i pełne treści. Przebudza się, nic podobnego nie widzi. Opowiada jednak innym, że dopiero co polował itd. Nie mówi, że „śnił“, że „zdaje mu się,“ są to zbyt oderwane pojęcia dla pierwotnego człowieka, mogącego obrazować jedynie zmysłowo (dość tu wspomnieć, iż zaczątki wiary w duch zmarłych spotykamy już u ludów, o których rzekliśmy, że nocą nie mogą się z sobą porozumiewać. Rzecz oczywista, że, przy takich warunkach możebném jest jedynie oddanie obrazów zmysłowych; iż nie może być nawet mowy o oddaniu i istnieniu pojęć oderwanych). Inni mu odpowiadają, iż przeciwnie, spał. Ale on wierzy, jest głęboko przekonany, że polował. Jak to wszystko pogodzić? Bardzo łatwo: istnieje drugie „ja“, które w czasie snu odłącza się od ciała i buja po świecie. To przypuszczenie znajduje poparcie w różnych zjawiskach przyrody: w cieniach, rzucanych przez przedmioty, w echu, w snach letargicznych itd. Istnieje więc drugie „ja“. Czasowe jego odłączenie od ciała sprowadza sen, dłuższe letarg, jeszcze dłuższe śmierć. Oczywiście, już z samego sposobu wytworzenia się tego drugiego „ja“, możemy wnioskować, że, „ja“, ten sobowtór, posiada wszystkie własności człowieka konkretnego. Rzeczywiście, u ludów pierwotnych duch zmarłego potrzebuje jeść i pić, posiadać żonę i dzieci, polować i walczyć. Ztąd całe szeregi zwyczajów pogrzebowych: kładzenie ze zmarłym do grobu lub przynoszenie na jego mogiłę pokarmów, palenie po jego śmierci jego żony i niewolników itd. Z czasem zjawiają się pewne procesy różniczkowania i całkowania. Przedewszystkiém, sam duch zmarłego poczyna posiadać coraz mniéj treści zmysłowéj, staje się coraz bardziéj istotą eteryczną, nieuchwytną; długość jego życia pośmiertnego wciąż zwiększa się, na najniższych np. stopniach ludzkości żyje bardzo krótki przeciąg czasu po śmierci ciała, na wyższych dłużéj, dopóki istnienie jego nareszcie nie stanie się nieśmiertelném. Również miejsce pobytu ducha staje się coraz bardziéj nieokreślonem, oddalając się ciągle od miejsca pobytu ciała; pierwotnie, na najniższych

szczeblach rozwoju ludzkości, krąży około swego dawnego domu potém ulatnia się daléj, na sąsiednie góry, gdzieś z biegiem rzeki itd.; następnie pobyt jego staje się coraz mniéj określonym: przebywa gdzieś daleko, w jakiejś krainie duchów (jeżeli plemię jego jest jednolitém etnicznie) lub w krainach dobrych i złych duchów (jeżeli plemię składa się ze zwycięzców i zwyciężonych (1). Odpowiednie zróżniczkowania zachodzą w pośmiertném stanowisku społeczném duchów: jedne duchy—duchy zmarłych wodzów poczynają zajmować wyższe stanowisko pomiędzy duchami, inne niższe. Nie ma potrzeby wykazywać, iż zasada owéj pośmiertnéj hierarchii nosi na sobie ślady hierarchii społecznéj tego ludu, co wytworzył i wyznaje daną religią.

Nie będziemy daléj zapuszczać się w teoryą animistyczną. Najważniejszą rzeczą dla nas jest to, że czynniki, wywołujące istnienie wiary w duchy zmarłych, są nieodłącznie związane z psychicznemi własnościami pierwotnego człowieka, a ponieważ te czynniki są wszędzie jednakowe, czyli raczéj wszędzie ludzie przechodzą przez te same fazy rozwoju psychicznego, przeto téż wszędzie spotykamy wiarę w sobowtóra. Ponieważ jednak w pewnych odłamach ludzkości brak jest czynników identycznych z czynnikami istniejącemi u innych odłamów, to pierwsze mogą, a nawet muszą iść pod odpowiedniemi względami inną drogą rozwoju. Jako dowód, weźmiemy sławną teoryą badaczy skandynawskich o peryodach, na jakie rozpadają się dzieje człowieka przedhistorycznego. Trzymać się będziemy wyszłego niedawno dzieła pana Andree: „o metalach u ludów dzikich.“ Badacze skandynawscy, a szczególniéj Worsaae, twier-

---

(1) W zróżniczkowaniu, w pojęciach pewnego ludu, pobytu duchów na krainę duchów dobrych i krainę duchów złych, ogromną rolę odgrywa skład etniczny tego plemienia. Okazuje się, iż u ludów, podzielonych na kasty (będących najczęściéj wynikiem podboju jednego plemienia przez drugie), miejsce pobytu pozagrobowego zawsze jest zróżniczkowaném, iż kraina duchów dobrych leży w téj stronie, zkąd przyszli przodkowie kast wyższych (zdobywcze plemię), sama kraina duchów dobrych jest najczęściéj zmonopolizowaną przez kasty wyższe... Jednakże spotykamy pojęcie o dwóch krainach zaziemskich u ludów, jak się zdaje, najzupełniéj czystych etnicznie, ale doszłych już do zdobycia miarki moralnéj, do odróżniania „dobrego“ od „złego“. Warunki klimatyczne wpływają dużo na usadowienie siedzib pozagrobowych u tych ostatnich ludów; ponieważ kraina dobrych nie jest obecnie monopolem pewnéj warstwy społecznéj, lecz miejscem nagrody czynów, przeto znajduje się zawsze w téj stronie, którą warunki klimatyczne wskazują, jako najdogodniejszą. Tak np. u Eskimosów kraina duchów dobrych (nasze niebo) leży głęboko pod ziemią, pod lądem (im głębiéj, tém cieplej i wygodniéj—oto wynik życiowego doświadczenia Eskimosów), kraina zaś duchów złych gdzieś wysoko, w powietrzu, w obłokach...

dzili, iż ludzkość we wszystkich swych odłamach musi przechodzić przez trzy okresy: kamienny, bronzowy i żelazny. Mówiono o istnieniu pewnych punktów, z których na całą ludzkość rozszerzała się znajomość pewnych metali, fala szła ztąd za falą; fala bronzowego peryodu, następując po okresie kamiennym, rozlewała się z takiego punktu na całą ludzkość, aby znowu ustąpić miejsca nowéj fali, fali, okresu żelaznego. W ten sposób starano się objaśnić jednoczesne istnienie okresu kamiennego u jednych, bronzowego u drugich ludów. Jednem słowem, w teoryi trzech okresów przypuszczano, iż każdy odłam ludzkości koniecznie musi przechodzić przez identyczne szczeble rozwoju; nadto starano się jeszcze objaśnić tę identyczność przez wspólne pochodzenie różnych grup ludzkości lub przez „zapożyczanie“ zdobyczy cywilizacyjnych przez jednę grupę od drugiéj. Powyższe przypuszczenie badaczy skandynawskich zostało silnie zachwianém. Tak np. Andree we wspomnianém powyżéj dziele, rozpatrując ludy pierwotne, dochodzi do przekonania, iż ludzkość pod względem zaznajamiania się z użyciem metali można rozdzielić na kilka niezależnych grup, posiadających swe własne okresy i właściwe jedynie sobie kombinacye okresów, swe własne metody wydobywania rudy i topienia jéj i. t. d. Dla porównania weźmiemy ludy afrykańskie i malajskie, Indye przedgangesowe i ląd amerykański.

a) ludy afrykańskie.

Okres kamienny w wielu miejscach Afryki przetrwał do ostatnich czasów i ustąpił dopiero przed żelazem europejskiem (np. na Fernando-Po); obecnie nawet, szczególniéj zaś u ludów Afryki południowéj, są jeszcze w użyciu kamienne żarna, młoty i kowadła, drewniane lub kościane ostrza i in. Na niedawny okres kamienny wskazują podania i zaklęcia, wykopaliska i opowieści Europejczyków. Wykopywane narzędzia kamienne mają wielkie podobieństwo do europejskich. Żelazo nastąpiło bezpośrednio po kamieniu, poprzedzając inne metale; na to wskazują np. nazwy złota, miedzi itd.; tak np. złoto=żółte żelazo, miedź=czerwona, a srebro=białe. Upowszechnienie użycia żelaza szło z północo-wschodu na południo-zachód, nie można jednak twierdzić, aby punktem wyjścia dla całéj Afryki był starożytny Egipt. Produkcya żelaza u właściwych murzynów stoi w ogóle na wysokim stopniu rozwoju (ztąd też niektórzy każą ją Europejczykom zapożyczać u murzynów), choć nie na jednakowym stopniu u różnych plemion. Jedne plemiona posiadają znacznie rozwinięte kowalstwo, drugie go wcale nie znają. Miedź jest rzadko używaną i ogranicza się w ciasnych obrębach; dobywają ją zaledwie w kilku miejscowościach i przygotowaną na miejscu pu-

szczają w handel; sposób dobywania miedzi, kształt nadawany stopionéj miedzi, i inne przejawy wskazują, że znajomość jéj rozwinęła się samoistnie.

Widzimy więc, że porządek następujących po sobie okresów w Afryce wyraża się w ten sposób; kamienny, żelazny, miedziany; o bronzowym jeszcze nie słychać. Porządek zatém odmienny od szematu badaczy skandynawskich; niema więc co mówić o jednakowych prawach rozwoju pod tym względem, prawach, o których tyle rozpisywała się nauka skandynawska.

b) ludy malajskie,

Ludy malajskie stanowią jednę całość, rozciągającą się od Madagaskaru do Nowéj Gwinei na wschód, a do wysp Filipińskich na północ. Spotykamy tu wysoce charakterystyczny sposób otrzymywania żelaza z rudy: zamiast miechów używa się pomp powietrznych. Złoto, srebro i żelazo posiadają nazwy rodzime, malajskie; srebro, bronz i miedź sanskryckie, co wskazuje na indyjskie ich pochodzenie; podług wszelkiego prawdopodobieństwa przybyły one z buddyzmem, i używają się przeważnie przy obrzędach religijnych; przybyły już wtedy, gdy znaném było żelazo. Wszystkie ludy malajskie posiadają jednakowe nazwy dla metali i narzędzi, używanych przy dobywaniu takowych, jednakowe narzędzia i sposoby dobywania. Wszystko to wskazuje na samodzielne pod tym względem stanowisko ludów malajskich.

c) Indye przedgangesowe.

Worsaae, główny obrońca trzech okresów, uważa Indostan za ojczyznę okresu bronzowego, ale bezzasadnie; znajdowane np. wykopaliska bronzu są niedawnego pochodzenia, przytém skład jego różni się od europejskiego, nadto Indostan nie posiada cyny (składowa część bronzu) i otrzymuje ją z zachodu. Miedź spotyka się w wykopaliskach często, a sposoby jéj otrzymywania są prawie też same co u murzynów, o „zapożyczaniu“ jednak nie może być mowy. Co wprzód było znaném, żelazo czy miedź? niewiadomo; lingwistyka porównawcza przemawia za ostatnią.

d) ląd amerykański.

Przed Kolumbem w Ameryce nie słyszano o żelazie. Prawda, niektóre plemiona używały żelaza meteorycznego, ale topić go nie umiały. Przeciwnie, miedź, wszędzie była w użyciu, w północnéj Ameryce istniały kopalnie miedzi, miedź tu znajdowano samorodną, a następnie wykuwano z niéj różne przedmioty, przeważnie służące do ozdoby. Jedynie w trzech miejscowościach umiano wytapiać rudę: w Meksyku, w Peru i u Chibchów (Kolumbia); każda jednak z tych grup rozwinęła przemysł samodzielnie—wskazuje na to choć-

by różny skład bronzu w każdéj z tych miejscowości; istnienie jednak metali nie wyłączało tu przewagi narzędzi kamiennych.

Tak więc nie można mówić o jakichś identycznych prawach rozwoju dla każdéj oddzielnéj grupy ludzkości. Pewna grupa może się rozwijać analogicznie z drugą, jeżeli u obydwóch grup napotykamy jednakowe czynniki. Czynniki te bywają trojakie: jedne tkwią w naturze człowieka, drugie w typie i stosunkach społecznych, trzecie w otaczającéj przyrodzie. Co do tych ostatnich, (brak np. pewnych metali w pewnych okolicach) wpływać one mogły w znacznym stopniu na porządek, w jakim następowały po sobie okresy, decydowały np. o tém, czy żelazo czy téż miedź miała stanowić wcześniejszy okres. Wpływ różnéj kombinacyi tych czynników na przebieg pewnego zjawiska społecznego rozbierzemy, biorąc kowali za przykład.

Kowali wszędzie otacza pewna tajemniczość. Wszędzie stanowią oni pewną oddzielną kastę, wielce poważaną w jednych miejscach, pogardzaną w drugich. Tak np. w Kongo kowal zajmuje wysokie stanowisko w społeczeństwie, jest on zawsze królewskiego pochodzenia; u Fanów kowal jest jednocześnie lekarzem i kapłanem; u Kimbundów (Afryka) główny kowal czyli „książę żelaznéj roboty“ zajmuje przy dworze w Bautsehi jedno z pierwszych miejsc. Przeciwnie, u Bariów (nad białym Nilem) jest on przedmiotem pogardy, toż samo u Dinków; u Dżolów pogarda dla kowali dochodzi do tego stopnia, iż nawet niewolnik przez ożenienie nie chce wejść do ich kasty, „kowal“ jest tu obelgą, która się zmywa jedynie krwią (przytém trzeba zaznaczyć, iż kowale u Dżolów tworzą zamkniętą kastę tego samego pochodzenia co i całe plemię); u Wadajów to samo, chociaż „sułtan kowalski“ ma prawo wejścia do haremu i dworu królewskiego i przy wstąpieniu na tron każdego nowego króla wyrzyna jego krewnych; u Somalów kowalstwem zajmuje się kasta paryasów, zwana Tumalod. U ludów malajskich, szczególniéj na Jawie, rzemiosło kowala jest w wielkiem poważaniu; dawne dzieje mówią, iż ongi byli ciągle zaszczycanymi i nagradzanymi; obecnie zowią ich „pandi“ (tj. rozumni). Na Cejlonie następują złotnicy, kowale i cieśle bezpośrednio po kaście szlacheckiéj; w Peru znowu tworzyli gisérzy i złotnicy oddzielną, poważaną korporacyą, któréj bogiem—opiekunem był bóg Xipe, na cześć tego boga świętowano dzień jeden w drugim miesiącu i zabijano ludzką ofiarę.

Taki charakter rzemiosła kowalskiego, ta tajemniczość, wyższość, otaczająca kowala, wynika z jego użyteczności. Żelazo posiada ogromne znaczenie w dziejach ludzkości. Poszanowanie dla

jego cech użytecznych przebija się w naiwnéj czci żelaza ze strony Bhilów, jednego z pierwotnych plemion Indostanu: zawieszają ostrza oszczepów i wogóle żelazo na drzewie i takowym składają daninę ze zdobyczy i pierwocin. To samo przebija się w podaniach niemieckich, według których dyabła, sprawiającego wir kurzu, można ugodzić jedynie nożem żelaznym, lub w zbieraniu u nas podków przez niezamężne dziewczęta, lub przybijania ich na progu (1). W Kambodży przy piecach hutniczych stawia się posąg bożka Visvacarme, a drobne plemiona murzyńskie z nad rz. Ogowé, nie wyrabiające żelaza u siebie, czczą miechy kowalskie Fanów, jako fetysza. Dość zresztą przytoczyć zachowanie się wyspiarzy oceanu Spokojnego po zapoznaniu się ich z własnościami żelaza: gdy Forster przybył na wyspy Tonga, sprzedano mu gwóźdź, mogący pochodzić jedynie z wyprawy Tosmana (z przed 150 lat). Gdy w przeszłym dziesiątku lat mieszkańcy pewnych części Nowéj Gwinei zapoznali się z żelazem, nabywali je na wagę złota (oczywiście biorąc to ostatnie wyrażenie w znaczeniu przenośném). Maoryjczycy oddawali żony, córki i siostry za żelazną igłę lub naczynie; u Tahilian zaś kradzież była nieznaną aż do przybycia Europejczyków i dopiero europejskie żelazo skusiło ich do kradzenia. Nie wyda nam się dziwném, że Tlinkithy (czerwonoskórzy) poważali kobietę, znającą sztukę kowalską, prawie na równi z bogami; że na początku obecnego stulecia dwaj rozbitkowie przez jedno z plemion przy ujściu rz. Kolumbii byli cenieni jako rzecz największéj wartości, dzięki znajomości wyrabiania metali z rudy; że Nabuchodonozor przesiedlał kowali z Judei, a inka Yupanqui rudników z „Chimu“.

Szczególne więc stanowisko kowala wypływa z użytecznych cech żelaza. Czynnikiem tu jest pierwiastek podmiotowo-ludzki: użyteczność. Znaczenie kowala (2) będzie tém mniejsze, im łatwiejszém będzie otrzymanie odpowiedniego przedmiotu bez jego pomocy, im więcéj będzie w pewnéj miejscowości, np. samorodnego metalu (miedź w północnéj Ameryce). Następnie, znaczenie kowala będzie tém większe, im znajomość fachu będzie przezeń bardziéj zmonopolizowaną, bardziéj utrzymywaną w tajemnicy. Ta chęć, utrzymania znajomości topienia rudy itd. w tajemnicy i w dziedziczném posiadaniu pewnéj rodziny, wytwarza przy rozwijającym się podziale pracy pewną korporacyą kowalską, pewną kastę. W ten spo-

(1) Według naszego zdania, zwyczaje, dotyczące podkowy, są charakteru symbolicznego, a wypłynęły z innego całkiem źródła. (*Przyp. red.*).

(2) Zauważymy, iż pole do działalności kowala u ludów pierwotnych jest szersze, niż u nas. Kowal wyrabia np. metal z rudy itd.

sób powstały wszelkie rodzaje kast rzemieślniczych, włączając tutaj i cechy europejskie. Korporacyjny charakter zostaje jeszcze bardziéj ustalonym, dzięki czynnikom etnograficzno-społecznym. Przypuśćmy np., iż mamy pewne plemię zwyciężone, posiadające znajomość kowalstwa, któréj nie posiadają zwycięzcy: kowal to zarazem kapłan i znachór, przedstawiciel kultu religijnego plemienia podbitego, kultu przybierającego z czasem charakter kultu „złych“ duchów; zauważmy przytém, iż zwyciężeni są często traktowani, jako wyklęci, nieczyści (kasta paryasów w Indostanie). Cóż się wtedy dzieje? kowal będzie pogardzonym, jako przedstawiciel „psiéj rasy“, poszukiwanym jako człowiek fachu; nareszcie unikanym, jako kapłan kultu złych duchów. Charakter taki przybiera w razie istnienia cała korporacya kowalska, stanowiąc coraz bardziéj zamkniętą w sobie całość, pogardzoną i zarazem poszukiwaną, żyjącą w oddzielnych częściach miasta, osady itd., przeciwnie znowu, jeżeli rzemiosło kowalskie będzie znane zwycięzcom, a zupełnie obce zwyciężonym. Przypomnijmy sobie, że niektóre plemiona z nad rz. Ogawe, nieznające kowalstwa, czczą nawet miechy Fanów.

Widzimy więc, jak położenie społeczne kowala zmienia się, zależnie od tego, w jakiéj kombinacyi występują trzy czynniki: przyrodniczy, społeczny, indywidualno-podmiotowy. Pod działaniem tych czynników odbywa się cały rozwój ludzkości, stosunek jednak tych czynników bywa rozmaitym na różnych szczeblach rozwoju ludzkości. Na szczeblach pierwotnych przyroda przygniata człowieka swym ciężarem. Tak np. w jednéj części Nowéj Gwinei znają użytek żelaza oddawna, istnieją nawet kowale, w drugiéj zaś dopiero w przeszłym dziesiątku lat dowiedzieli się wyspiarze o żelazie; w pobliżu Sumatry jest wysepka Engano, któréj mieszkańcy nie znali żelaza do ostatnich czasów, pomimo iż takowe szeroko jest upowszechnioném na Sumatrze. Cieśnina więc wystarcza dla zupełnego oddzielenia dwóch bliskich ludów. Przeważające jednak znaczenie czynnika przyrodniczego słabnie powoli: człowiek wytwarza pewien agregat z żywych jednostek, żywe otoczenie, w którém ulega zniżce dominująca pierwotnie przewaga ślepych sił przyrody. Oczywiście wytworzenie tego otoczenia — społeczeństwa — odbyło się bez świadomości człowieka, pod działaniem żywiołowych sił przyrody (świata organicznego i nieorganicznego); regulatorem służy tu walka o byt, usuwająca pojedyńczo stojące jednostki, a utrzymująca przy życiu i zachowująca jednostki połączone w jednę całość społeczną. Człowiek uczy się panować nad przyrodą, odkrywa np. przypadkowo użycie metali (1).

(1) Tak np. „przed oczyma historyi“ zaszedł podobny wypadek w państwie Bangha na Sumatrze (1710), wybuchł pożar we wsi; po pożarze, pod zwaliskami znaleziono

Tymczasem dobór przyrodniczy społeczeństw podąża swą drogą; przy działaniu bezmyślnych, mechanicznych sił, nie może być mowy aby utrzymały się wyższe społeczeństwa, utrzymują się jedynie lepiéj zorganizowane i bardziéj przystosowane do warunków otoczenia. Społeczeństwa, gdzie człowiek jest wolnym, gdzie sam agregat społeczny jest zbiorowiskiem równoprawnych jednostek, ustępują, pod wpływem otoczenia, dzięki brakowi świadoméj myśli krytycznéj, miejsca społeczeństwom zróżniczkowanym na kasty i warstwy, związanym w jednę całość przez wyzysk, jakiś przesąd, obrzędy. itd. Czynnik społeczny poczyna grać coraz wybitniejszą rolę; podbija sobie człowieka zupełnie: człowiek staje się kołem ogromnéj maszyny, machinalnie spełnia te lub inne czynności. Weźmy np. takiego królika z nad rz. Zambesi, o którym wspomina Livingstone: „nosił 18 masywnych pierścieni miedzianych około każdego biodra, a po 3 pierścienie poniżéj kolana; 19 mosiężnych pierścieni około prawéj, a 8 mosiężnych i miedzianych około lewéj ręki". Biedny królik! „Ciężar, a w rzeczywistości przesądy nie pozwalały mu chodzić". Albo jeszcze jeden fakt z życia wyspiarzy Fidżi. Władca wyznacza ofiarę ludzką; ofiara ta dobrowolnie udaje się na miejsce wyznaczone i spokojnie wyczekuje śmierci; myśl o ucieczce nie powstaje w jéj głowie.

Przesądy, panując nad całém życiem pierwotnego człowieka, krępują jego wolę, poddają go całości, a zarazem umożebniają przez to utrzymanie téj całości. Niechce się często wierzyć przytaczanym opisom. Powoli jednak, dzięki podziałowi pracy, uwalniającemu niektóre jednostki od pracy fizycznéj, powstaje wiedza, przebija się myśl krytyczna. O tém, jakim żółwim krokiem to następuje, powziąść można wyobrażenie z następujących punktów; na wyspach Fidżi „charakterystycznym objawem jest, iż nowe topory żelazne przygotowują na podobieństwo dawnych toporów z muszli" (mowa o kształtach toporu); to samo u Andamańczyków, Patagończyków itd.; najwięcéj używany topór Grenlandczyków składa się z dłuta, osadzonego na drewnianéj rączce „i to w ten sposób, jak były osadzone topory kamienne; wpływ przyzwyczajenia dochodzi do tego, iż dzicy, otrzymawszy pewne narzędzia metaliczne, nie używają takowych, dopóki nie nadadzą im kształtu, posiadanego przez dawne narzędzia kamienne! To samo spotykamy w „osadach nawodnych" jeziora Alter (Szwajcarya); Wurmbrand mianowicie dowiódł, iż spotykane tu topory metaliczne powstawały w ten sposób, iż z toporów

kawałki jakiegoś nieznanego metalu. Była to cyna. Władca kazał kopać głębiéj — znaleziono rudę i z niéj zaczęto systematycznie dobywać metal.

kamiennych zdejmowano formy gliniane, a w takowych dopiero odlewano metal! Nie do uwierzenia jaka bezwładność człowieka „dzikiego“ i dobrowolna zależność jego od całéj budowli piętrzących się nad nim tradycyj, obrzędów, przesądów i innych.

W pewnych więc okresach rozwoju ludzkości, czynnik przyrodniczy poczyna grać mniéj wybitną rolę, a w szranki dziejowe występuje, powstały pod jego działaniem współzawodnik: społeczeństwo. Człowiek poczyna teraz nakładać swe pęta na przyrodę, poczyna regulować jej siły: poznaje prawa przyrody, ujmuje rzeki w tamy, przeprowadza kanały i irrygacye, znosi różnorodność gruntów itp. Pod osłoną społeczeństwa, w zabezpieczeniu od czynników przyrodniczych, poczyna coraz głośniéj odzywać się trzeci czynnik: podmiotowy. Istniał on zawsze, ale teraz w nim poczyna przebijać nowa struna: myśl krytyczna, świadoma swoich celów i położenia; ta myśl krytyczna przeprowadzała ujarzmienie sił przyrody, a teraz poczyna domagać się ujarzmienia ślepych sił społecznych. Syn pożera ojca; myśl krytyczna, rozwinięta na tle ślepych sił społecznych (jakiemi są: wolna konkurencya, walka o stanowisko), dąży do zniesienia i ujarzmienia tych sił, co przyczyniły się do jéj rozwoju. Do myśli krytycznéj należy przyszłość, a drogę jéj ułatwia ustrój, oparty na haśle: „ile—tyle“, i stwarzający pewną sumę niezbędnych warunków materyalnych i umysłowych. W tém ostatniém zadaniu leży cywilizacyjne znaczenie kapitalizmu.

Przy tém wyzwoleniu się myśli krytycznéj, a więc i człowieka, z pod jarzma nieujarzmionych sił otoczenia społecznego, znaczna rola przypada, a raczéj *przypadnie* socyologii. Obecna bowiem urzędowa socyologia nie podejrzywa swego zadania; zbiera jedynie fakta, notuje szczegóły z całego globu ziemskiego. Czasami (p. Andree) wyraża obawę, iż „cywilizacya“ postępuje za prędko, iż przemysł metaliczny Europy i konkurencya z jego strony wkrótce zniszczy fabrykacyą metali u ludów pierwotnych, a nauka nie zdąży zanotować szczegółów téj fabrykacyi... Żeby to ta cywilizacya szła wolniéj..... To nawet jeden z powodów, dla czego pan Andree pośpieszył się ze swém dziełem: „Metale u ludów pierwotnych...“ Czasami znowu wyraża nauka dziwne żądania (bierzmy pana Andree, jako znajdującego się pod ręką): „Gdy wyspiarze Oceanu Spokojnego znajdowali się jeszcze w okresie kamiennym, musieli stosunkowo ciężko pracować dla zadowolnienia swych potrzeb. Trzeba było wówczas sporo czasu dla ścięcia drzewa przy pomocy toporu z muszli lub dla wyżłobienia czółna kamieniem itd. Razem z narzędziami i toporami z kamienia i kości rybnych, my, Europejczycy odebraliśmy im jedyny środek, ochraniający ich od szkodliwego wpływu

wrodzonego lenistwa: możebność łatwych zysków nie tylko u dzikich zabija chęć pracy“ (1). Pan Andree mówi w dobréj wierze, ale w dobréj téż wierze wielu było w Anglii przeciwników ograniczenia pracy dzieci w fabrykach. Jeżeli dziecko będzie miało kilka kwadransy mniéj pracy, popsuje się, rozpróżniaczy..... Nie pamiętano, że dzieci umierały z wycieńczenia przy pracy.

Socyologia, czyli raczéj badacze na tém polu, nie podejrzywają swéj roli i zadania. Trzeba bowiem odróżniać naukę od uczonych. Postać uczonego może być wielce sympatyczną, albo niesympatyczną; uczony może gromadzić skarby wiedzy poprostu „dla wiedzy“, jak Wagner Goetego; może je gromadzić w celach wstecznych, może wreszcie robić to w celu zdobycia lepszéj doli dla ludzkości. Ale charakter uczonego nie zmienia znaczenia nauki; zapas wiedzy wzrasta, bez względu na robotników. Z nią wzrasta myśl krytyczna, ów najpotężniejszy oręż w wszelkiéj walce emancypacyjnéj.

(*dok. n.*)

---

(1) L. c. str. 167.

MIĘDZYNARODOWA

WYSTAWA HYGIENICZNA W LONDYNIE.

Zarówno krajowe jak międzynarodowe przedsiębierstwa na tle zdrowotności osnute stają się coraz częstszemi w ciągu ostatnich lat kilkunastu. W ciągu tak krótkiego okresu mieliśmy już pięć zjazdów międzynarodowych hygienicznych; zaledwie zamkniętą została wystawa hygieczna w Berlinie, gdy otwarto o wiele wspanialszą w Londynie. Świadczy to w znacznym stopniu o względnéj dojrzałości społeczeństw, które coraz bardziéj zaczynają pojmować znaczenie zdrowia tak dobitnie określone w następujących słowach znakomitego męża stanu.

„Według mego zdania," powiada Beaconsfield na zebraniu w Manchester „polepszenie stanu zdrowia narodu, stanowi zadanie społeczne, które poprzedzać winno wszystkie inne i zajmować uwagę polityków i mężów stanu, do jakiej-bądź partyi należą, w większym stopniu niż wszelkie inne kwestye. Zdrowe mieszkanie, czysta woda, powietrze i pokarm zdrowy są to warunki, których stworzenie wzmacnia szczęście ludzkie. Powtarzam, że nad kwestye hygieniczne żadne inne dla mężów stanu ważniejszemi być nie mogą i niepodobna nazbyt często przypominać zasady, że gdy idzie o wielkość i znaczenie narodu, hygieniczne warunki tegoż muszą być przedewszystkiém uwzględnione."

Zamiłowanie Anglików do hygieny oraz bogactwo narodu tłómaczy nam łatwość z jaką powstało olbrzymie dzieło, o którém mówić zamierzamy. Przed rokiem zaledwie książę Walii, zamykając uroczyście międzynarodową wystawę rybacką i kreśląc program przyszłych tego rodzaju przedsięwzięć, na pierwszém miejscu umieścił międzynarodową wystawę zdrowotniczą, za którą podążyć ma

wystawa wynalazków, a za tą—kolonialna. Komitet zorganizowany natychmiast prawie, pod opieką królowéj i prezydencyą inicyatora wystawy, zabrał się energicznie do pracy, któréj owoce już po upływie kilku miesięcy, bo na początku maja roku bieżącego oddane zostały do użytku publiczności.

Wystawa położona jest w dzielnicy Londynu zwanéj South-Kensington, dzielnicy obfitującéj w szkoły i muzea. Znajduje się ona pomiędzy Hyde-Parkiem, ulicami Cromwell-Road, Queen's Road i Exhibition Road; główne wejście, prowadzi z téj ostatniéj ulicy któréj dotyka wschodnia strona placu wystawy. Część ta posiada kształt nieco wydłużonego czworoboku o zaokrąglonych kątach północnych; na północ odeń znajduje się będąca w połączeniu z obwodowemi budowlami wystawy część jéj zwana Royall Albert Hale, złożona głównie z sali koncertowéj mieszczącéj około sześciu tysięcy publiczności i zawierającéj wielkie organy; salę otaczają pomniejsze apartamenta zajęte na bibliotekę i czytelnię wystawy, oraz na pewną ilość okazów.

Tak zwana galerya centralna dzieli cały plac wystawy na dwie nierówne części. Mniejsza z tych na północ od owéj galeryi położona przedstawia piękny dziedziniec ozdobiony wielkim posągiem, wodotryskiem, sadzawkami, a bogato iluminowany w godzinach wieczornych. Część południowa składa się z szeregu pawilonów stanowiących największą część wystawy; pewna ilość okazów mieści się, jak powiedzieliśmy, w Albert-Hall, a nadto w obwodowych zabudowaniach (otaczających całą płaszczyznę wystawy) i wreszcie w dodatkowych budowlach, z których największą przedstawia pawilon belgijski.

Nieco ku południowi od środkowéj linii téj południowéj części placu, a pomiędzy rozmaitemi budynkami, postawiono całe ulice naśladujące stary Londyn z pierwszéj połowy siedmnastego wieku, przed strasznym pożarem z r. 1666. Ulice te zbudowano według planów i wskazówką Birch'a byłego sekretarza honorowego towarzystwa archeologicznego w Londynie. Brama t. z. biskupia z posągiem pasterza u góry prowadzi do wązkiéj ulicy (High Street) o domach wysokich, budowanych oczywiście bez krępowania się względami zdrowia, nie dbano bowiem o zapewnienie dostatecznéj ilości powietrza czystego i światła. Powierzchowność budynków i znajdujących się w nich warsztatów czynnych, nawpół zatarte napisy gotyckie i tynk domów, ozdoby i zegar starożytny grający—wszystko to w istocie nadaje ulicom urok starożytności.

Cała wystawa wogóle pod względem estetycznym nic nie pozostawia do życzenia; dbał o to zarówno zarząd wystawy, jak sami wy-

stawcy. Wszelki téż komfort dostępny jest dla bogatszych i biedniejszych klas zwiedzających wystawę. Znajduje się tu do dwudziestu restauracyj i kawiarni drogich i tanich, europejskich, indyjskich, chińskich itp. W niektórych za 8—16 groszy można mieć filiżankę dobréj kawy lub kakao. Zwiedzanie też jest możliwie ułatwione, i niema tu ścieśnień w téj mierze, takich jakie istniały np. w Berlinie, względem robienia notatek, rysunków itp. O ile w ogóle trafiła wystawa do gustu publiczności—co było jednym z jéj głównych celów—sądzić można z tego, iż przeciętnie około dwudziestu tysięcy osób dziennie ją zwiedza, a pamiętamy dzień, w którym zwiedziło ją siedmdziesiąt tysięcy. Budowle w znacznéj części powleczone są asbestowym pokostem ogniotrwałym. Do wywiązywania elektryczności dla oświetlenia wszystkich działów wystawy postawiła firma Davey, Paxman i Sp. sześć olbrzymich machin parowych, które ogółem są w stanie rozwinąć siłę 1300 koni parowych. Samego oświetlenia elektrycznego jest parę dziesiątków odmian w rozmaitych częściach wystawy.

Zarząd wystawy składa się z opiekunki królowéj Wiktoryi, prezesa księcia Walii i z licznych wice-prezesów z grona rodziny panującéj oraz największych dostojników państwa, daléj składa się zarząd z rady wykonawczéj złożonéj ze znanych hygienistów (Buchanan, Fayrez, Douglas Galton, Ernest Hart, John Lubbock i kilku innych), pod prezydencyą księcia Buckinghama; z komisyi sędziów wystawy pod prezydencyą lorda Reay, z komitetu ogólnego pod prezydencyą księcia Walji, złożonego z uczonych, profesorów i dostojników państwa, ogółem około 400 osób, wreszcie z rozmaitych podkomitetów, komisyj obcych i komitetu wykonawczego.

Nadmieniliśmy już iż popularność, zgodnie z celem jaki postawił sobie komitet, jest cechą wystawy, wystawa nie jest przeznaczona dla małego tylko kółka specyalistów, ale raczéj zaznajomić ma *publiczność* z warunkami życia codziennego w postaci odpowiedniéj zasadom hygieny. Trzy więc główne grupy z hygieny prywatnéj umieszczono na pierwszém miejscu w programie, a mianowicie: pokarmy, odzież i mieszkanie, do których dodano dwie inne z hygieny publicznéj: szkołę i warsztat, a nadto dołączono do tych pięciu grup stanowiących dział „zdrowia“ szóstą przedstawiającą odrębny dział „wychowania“.

Grupa pierwsza: *pokarmy*—składa się z klas dwunastu, obejmujących następujące kategorye przedmiotów:

Substancye roślinne i zwierzęce w stanie surowym, używane jako pokarm w rozmaitych krajach. Zwierzęta wypchane, modele, rysunki i ilustracye odnośne. Pokarmy przyrządzone, marynowane,

konserwowane; chleb, ciasta i suchary. Pokarmy wędzone, solone, owoce, jarzyny, nabiał itp. Napoje alkoholiczne i nie alkoholiczne, zapasy (herbata, kawa, czekolada, kakao). Nowe odmiany pokarmów, pokarmy dla dzieci, dla chorych, pokarmy koncentrowane. Kuchnie wzorowe, kucharstwo oszczędne, kuchnie dla robotników. tanie restauracye, piekarnie, kawiarnie itp. Chemia i fizyologia pokarmów i napojów. Rozpoznawanie zafałszowań, rozbiór chemiczny pokarmów, tablice, diagramy odnośne. Choroby z niewłaściwego żywienia pochodzące, rysunki i modele pasorzytów zwierzęcych i roślinnych. Porcye żołnierskie i marynarskie, dyeta więźniów, robotników itp. Książki, modele, przyrządy, rysunki odnoszące się w ten lub ów sposób do sprawy żywienia.

Do grupy *odzieży* należą: Zbiory odnoszące się do historyi odzieży, do ubiorów narodowych itp., do odzieży wodotrwałéj (kauczukowéj, gutaperkowéj i innych), futra, skóry, odzież dla klimatów skrajnych, odzież do jazdy konnéj, ubranie myśliwskie, odzież ogniotrwała i inne rodzaje zabezpieczające od nieszczęśliwych wypadków; literatura odnośna, machiny do wyrabiania odzieży itp.

Do trzeciéj grupy należą:

Mieszkania, plany i rysunki takowych, umeblowanie; całe urządzenie wewnętrzne, mieszkania wzorowe w naturze urządzone na samym placu wystawy—zaopatrzenie mieszkań w wodę: wodociągi, filtry, zbiorniki, łaźnie, umywalnie. Waterklozety, dreny domowe, wentylacya drenów i kanałów oraz wszelkie urządzenia odnoszące się do kanalizacyi; sposoby użytkowania nieczystości, dezynfekcya. Kuchnie, kominki, kotły do użytku domowego oraz rozmaite inne przyrządy do ogrzewania mieszkań i wentylacyi, oznaczenie przestrzeni kubicznéj na osobę w pokojach. Oświetlenie mieszkań i przyrządy elektryczne do iluminacyi i użytku domowego, przyrządy do oświetlenia gazowego, lampy olejne i inne, świece woskowe, oraz z tłuszczów rozmaitych przyrządzane, oleje zwierzęce i roślinne. Przyrządy zabezpieczające od ognia. Materyały budowlane hygieniczne, cegły, cementy, posadzki, tynkowanie, zabezpieczenie od wilgoci itp., farby obicia. Hygjena osobista i pielęgnowanie chorych. Materyały do podawania pierwszéj pomocy w nieszczęśliwych wypadkach, ambulanse, łóżka, fotele dla chorych. Rysunki, dyagramy i literatura odnosząca się do grupy trzeciéj, maszynerya itp.

Do grupy czwartéj, któréj przedmiotem są *szkoły*, zaliczone zostały: rysunki i modele ulepszonych budynków szkolnych, urządzenie ich wewnętrzne, opalanie, przewietrzanie i oświetlanie, wychodki dla szkół, odpowiednie klozety itp. Kuchnie szkolne, środki

ostrożności przeciwko chorobom zakaźnym, szpitale i infirmerye szkolne, gimnastyki i gry; literatura, statystyka przedmiotu itp.

Do grupy piątéj (*warsztaty*) należą; rysunki i modele wskazujące ulepszenia w budowie i urządzaniu warsztatów, a zwłaszcza takich, które w ogólności posiadają cechy szkodliwe dla zdrowia.

Do działu *wychowania* zaliczono: żłobki i ochronki dla małych dzieci, gry dziecinne i ogródki, przybory do nauczania, roboty szkolne; szkoły elementarne, ich urządzenie, roboty wykonane przez uczni; szkoły dla dziewcząt: przyrządy służące do wykształcenia w sztuce kucharskiéj, w szyciu, praniu, nauka krawiectwa, haftowanie, wyrabianie kwiatów sztucznych, malowanie na porcelanie itp. Szkoły dla dzieci starszych z nauką chemji, fizyki, mechaniki itp., szkoły sztuk pięknych, techniczne, szkoły dla ociemniałych i głuchoniemych, roboty uczni szkół wszelkich; literatura, statystyka przedmiotu.

Charakter czasopisma nie pozwala nam zająć tak wiele miejsca jak wymagałoby szczegółowe sprawozdanie o tylu różnorodnych kategoryach przedmiotów; mniemamy wszakże, że dozwolony nam rozmiar artykułu wystarczy do przedstawienia ogólnego obrazu wystawy i jéj znaczenia, a przytoczenie niektórych szczegółów nie pozostanie może bez pożytku.

Tendencya grupy pierwszéj polega na zaznajomieniu publiczności ze sprawą racyonalnego żywienia. Szemat takowego w paru słowach da się streścić w ten sposób. Cel żywienia polega na zachowaniu organizmu naszego przez użycie pokarmów, tak ażeby rozmaite funkcye ciała mogły się prawidłowo odbywać. Organizm ustawicznie traci pewne cząstki jużto przez skórę, już przez płuca, nerki lub kiszki, cząstki, które zastąpione być muszą innemi przyjętemi z zewnątrz. Organizm nasz nie w stanie tworzyć swych cząstek z pierwiastków chemicznych lub związków najprostszych; pokarm zaś przeznaczeniu powyższemu odpowiadający składać się winien z ciał białkowych, tłuszczów, węglowodów, soli mineralnych i wody; oprócz wszakże zawartości tych substancyj powinien je w takiéj mianowicie zawierać postaci, iżby pod wpływem soków trawiących mogły być w składowe części ciała naszego zamienione, dwie są więc cechy dobrego pokarmu: należyta pożywność i łatwa strawność.

Fizyologia i chemia żywienia, w najgłówniejszych zarysach i w plastycznéj postaci, przedstawioną została na wystawie przez szkołę *Bethnal Green Branch Museum* oraz przez stałe muzeum hygieniczne w Londynie imienia *Parkes'a*. Sposób w jaki pierwsza instytucya spopularyzowała ten ważny przedmiot, jest o tyle prosty o ile pouczający. Przedewszystkiem wyobrażone są składniki ciała

ludzkiego (woda, włóknik, tłuszcze, sole pojedyńcze itp.) w słojach każdy oddzielnie w ilości odpowiadającéj rzeczywistéj ilości danego składnika w organizmie. W dalszym ciągu przedstawione są w podobnyż sposób rozmaite ciała pokarmowe, jako przykład weźmy pszenicę. Przedewszystkiém podany jest jéj opis botaniczny, oraz wymienione gatunki i skład chemiczny; rozmaite naczynia zawierają: jedno—funt pszenicy, drugie—funt mąki pszennéj, inne—pojedyńcze części składowe w ilościach w jakich w funcie mąki pszennéj są zawarte. W ten sam sposób wyobrażony został skład mięsa, ryb, jarzyn itp. Nadto na oddzielnych tablicach wypisano ważniejsze uwagi fizyologiczne, dzienny przychód i rozchód ustroju, wzory dyety. Dzienny przychód tlenu, wodoru, węgla, azotu, chlorku sody, fosforanów i wody oraz dzienny rozchód ciał tych w ustroju wynosi 8 funtów 7 uncyi i 410 granów. Jako wzór żywienia dziennego przytoczono następujące ilości pokarmów, w uncyach: chleba 8 uncyj, masła 1, mleka—4, wędzonki—2, kartofli—8, jarzyn—6, sera—3½, cukru 1, soli—¾.

Przechodząc do rozmaitych pokarmów znajdujących się na wystawie, przedewszystkiém słów kilka podać musimy o mleku i innych produktach mlecznych, który to przemysł dostarczający najważniejszych pokarmów, w nader świetnéj przedstawia się tu postaci.

Cztery wielkie przedsiębiorstwa nabiałowe (Express Dairy Company, London and Provincial Dairy Co., Warwick farm Dairies i Bradford Dairy C.) wystawiły małe warsztaty i urządzenia całkowite—oczywiście na małą skalę.

Nie będziemy opisywać szczegółowo budowli, których plany i modele przedstawiły mleczarnie, nadmienimy tylko, że zarówno budowa i urządzenie wewnętrzne obór oraz ich wentylacya odpowiada najnowszym wymaganiom nauki. Do fabrykacyi masła zastosowano na wielką skalę środki mechaniczne. Do wydzielania śmietanki używają się seperatory centryfugalne, za pomocą których w ciągu półtoréj godziny otrzymać można śmietankę ze stu gallonów mleka świeżo wydojonego. Śmietanka ta ubija się na masło w przyrządach wprowadzonych w ruch siłą pary i w ciągu niespełna pół-godziny proceder bywa ukończony, poczém odstawia się masło na czas krótki i następnie rozdziela na części do sprzedaży. W ten sposób ze stu gallonów świeżo wydojonego mleka otrzymuje się w ciągu dwóch i pół godzin około czterdziestu funtów masła. Krowy utrzymywane są wyłącznie krajowe (angielskie, irlandzkie, szkockie) do przechowywania mleka używa się komora o wysuszoném

za pomocą machin powietrzu; do chłodzenia mleka używa się téż we wszystkich przytoczonych mleczarniach przyrząd Bradforda.

Względy hygieniczne, nie pominięte oczywiście w zakładach tych, w doskonałości występują w innéj mleczarni zwanéj Aylsbury Dairy, o któréj powiedział Pasteur, że walka z zarodkami chorobnemi doprowadzona jest w niéj do zupełnéj pewności zwycięstwa. Spółka Aylsbury Dairy posiada akcyonaryuszów należących do wyższych sfer towarzyskich i ma własnego urzędnika zdrowia, którym jest znany hygienista i redaktor Ernest Hart. Właściciele folwarków czyli kolonji, od których spółka otrzymuje mleko obowiązani są pod karą wynoszącą 500 rubli dostarczać mleka dojonego wyłącznie od krów zdrowych i dobrze żywionych, oczyszczać skrupulatnie statki natychmiast po użyciu, opłukiwać je wodą wrzącą lub przegotowaną, przewietrzać statki, omywać wymiona krowie przed dojeniem (ręce dojących oczywiście téż za każdą razą muszą być umyte), przewietrzać i utrzymywać w czystości obory, zawiadamiać o każdym przypadku choroby zakaźnéj w swych rodzinach, wreszcie dozwalać na rewizye sanitarne. W każdym czasie; w razie choroby w domu któregokolwiek z konsumentów, przywóz mleka do tego domu uskutecznia się ze specyalnego biura, którego oficyaliści nie mają dostępu do zakładu głównego. Spółka nabiałowa, o któréj mówimy, nabyła od rodaka naszego dra Jagielskiego, zakład kumysowy, założony przezeń w r. 1870 i utrzymywany do ostatnich czasów. (W ogólności rozpowszechnienie kumysu z Rosyi do zachodniéj Europy odbyło się za pośrednictwem naszego miasta, w którém dr. Przystański urządził pierwszy zakład kumysowy).

Oprócz mleczarni i świeżych produktów mlecznych znajdują się na wystawie okazy mleka konserwowanego. W liczbie tych pokaźne miejsce zajmuje mleko zgęszczone szwajcarskie, oraz podobny produkt spółki anglo-skandynawskiéj, wreszcie surrogaty w rodzaju mączki Nestlé.

Jeden z najhygieniczniejszych pokarmów mącznych, biszkopty, w nader wielkiéj znajdują się rozmaitości. Obok wielce rozpowszechnionych w Europie biszkoptów firmy Peck, Frean i sp. oraz innych mających głośniejszą reputacyą, figurują najznakomitsze zapewne gatunki imienia dra Oliver'a. Biszkopty te wynalezione zostały przez pomienionego lekarza w mieście Bath, w pierwszéj połowie zeszłego stulecia. Dr. Oliver który pierwotnie tylko dla wybranych pacyentów swych je wyrabiał, nie mogąc w końcu podołać nazbyt licznym obstalunkom, odstąpił sekret wynalazku wraz z kilkoma workami mąki stangretowi swemu, który rozwinął obszerną fabrykacyą biszkoptów, a sekret przechodząc dziedzicznie w prostéj linii

dostał się w końcu obecnemu przedstawicielowi firmy. Biszkopty dr. Olivera przyrządzone są za pomocą fermentacyi, w herbacie stają się gąbkowatemi i pęcznieją; są one w najwyższym stopniu strawne i właściwe nawet dla słabych żołądków. Jedna z firm wystawiła około dwustu odmian biszkoptów; inne wyrabiają biszkopty z domieszką tego lub owego gatunku mięsa, lub środków lekarskich, mianowicie zaś fosforanu wapna, stanowiącego jeden z lepszych środków lekarskich używanych przy chorobie angielskiéj u dzieci. Zasługuje téż na wzmiankę proszek mączny przyrządzony w ten sposób, iż za dodaniem mleka i cukru w kilka minut otrzymać zeń można zależnie od gatunku proszku—migdałowy, czekoladowy lub inny—pudding.

Konserwowanych zwierzęcych i roślinnych pokarmów wystawiono mnóstwo gatunków, niektóre firmy wyrabiają ich po kilkadziesiąt. Produkta te mają znaczenie przeważnie w Europie zachodniéj, w któréj ceny świeżych są w porównaniu z niemi wysokie; nam może prędzéj wypadłoby zaznaczyć niewłaściwość użycia ich w kraju takim jak nasz, w którym są droższe od lepszych bo świeżych produktów; zupełnie inaczéj przedstawiają się te stosunki w Anglii, gdzie naprzykład rak morski świeży kosztuje od dziesięciu do kilkunastu złotych, gdy rak sprowadzony w blaszance z Ameryki kosztuje zaledwie 50 groszy. W mniejszym lub większym stopniu stosuje się to i do innych konserw mięsnych jak wołowina, baranina, łososina itp. Najpierwsze zapewne miejsce w liczbie konserw roślinnych należy się produktom przedstawionym przez firmę Prevet i sp. Są to prasowane jarzyny, które nader łatwo ulegają wpływowi wody nadając pokarmom smak właściwy, a nadto pozwalają na tak znaczną oszczędność miejsca, (na okrętach naprzykład), iż metr sześcienny ich wystarcza na 40 tysięcy ludzi. Konserwy te znajdują się w użyciu w flocie angielskiéj oraz w więzieniach rządowych.

W szeregu wystawców, co produkują nasiona roślin służących za pokarm, najpoważniejsze miejsce zajmuje firma *Sutton*, wysełająca produkta swe do rozmaitych części świata. Na wielką skalę rozwinięta w Anglii fabrykacya konfitur i powideł, również godnie reprezentowaną jest na wystawie; jedna z firm posiada tu nawet mały warsztat parowy, ciągle czynny. Spółka pszczelnicza angielska nadesłała pokaźne zbiory ulów, rozmaite gatunki miodu, nasiona roślin do karmienia pszczół służące itp.

Daléj wymienić należy kilka ulepszeń w sztuce kucharskiéj, mianowicie zaś w naczyniach kuchennych. Przedewszystkiem zaznaczyć wypada, że produkcya naczyń stalowych rozwija się w takiéj mierze, iż wcześniéj czy późniéj wyruguje ona po części lub zu-

pełnie naczynia miedziane; polewa metalowa, jaką są óne pokryte, jest dość trwałą, łatwo może być odnowiona i łatwo daje się czyścić. Nader praktyczny a prosty przyrząd przedstawia siatka druciana o szerokich oczkach i grubéj obwódce, siatka, która położona na dnie patelni lub brytwanny zapobiega przypaleniu pokarmów, ryb zwłaszcza. Inny prosty przyrząd służy do zachowania oszczędności w maśle przy pieczeniu pokarmów. Jest to rynienka wązka z otworami małemi od spodu, przez które masło kapie w ilości dostatecznéj, lecz niedoprowadzonéj do zbytku, jak to bywa przy zwyczajném pieczeniu na rożnie. Do gotowania kartofli służy rądel, w który wstawia się inne naczynie blaszane; gdy woda poczyna się gotować, naczynie to podnosi się do góry, gdzie pozostaje zawieszoném i kartofle gotują się w parze, w ten sposób ugotowane kartofle o wiele są lepsze niż zwyczajne wodą nasiąkłe. Dowcipnie téż urządzoną jest mała maszynka do krajania jabłek itp.: gwiazdkowato ułożone noże, przytwierdzone do metalowéj podstawy, za jedném naciśnięciem rozcinają całe jabłko na części. Wreszcie wymienić wypada aparacik do rozpoznawania świeżości jaj, złożony z małéj blaszanki, posiadającéj dwa otwory: jeden u góry, drugi z boku; nawprost bocznego otworu znajduje się lusterko, które odbija promienie świetlane w ten sposób, iż jedno spójrzenie na wstawione w górny otwór jajko wyraźnie sprawdza przezroczystość tegoż. Przedstawione téż całe kuchnie ulepszone; wiele z nich opala się gazem, co pozwala na zachowanie znacznéj oszczędności.

Słów kilka powiedzieć wypada o małym aparaciku, zmniejszającym w pewnym stopniu szkodliwość palenia tytoniu. Jest to rurka srebrna lub z drzewa wiśniowego, wewnątrz któréj wzdłuż jéj osi podłużnéj przebiegają dwie cienkie róreczki, nie łączące się ze sobą, ale pozostawiające wolny odstęp, który sprawia, iż dym, pociągnięty z fajki lub cygara zatrzymuje się w przyrządzie i dopiero za drugiém pociągnięciem wchodzi do ust, oczyszczony od części nikotyny i innych składników, osiadających na ścianach rurek; przyrząd łatwo się czyści i może być do każdéj fajki, cygara lub papierosa zastosowany.

Dwa przedsiębierstwa z charakterem filantropijnym wzięły udział w téj pierwszéj grupie wystawy: szkoła kucharska z panią Clarke na czele i towarzystwo wegeteryanistów. Pierwsza z tych posiada restauracyą na wystawie, w któréj mięsne i rybne potrawy sprzedają się po nader umiarkowanych cenach, oraz przedstawiła, umyślnie dla wystawy przez przełożoną szkoły skreślony, mały podręcznik kucharski, zawierający przepisy objadów pięćdziesięciogroszowych i pół-rublowych, odpowiadających wymaganiom hygieny.

Towarzystwo wegeteryan posiada również tanią restauracyą, rewalizującą pod względem komfortu z najdroższemi, oraz małą księgarnię wydawnictw z dziedziny wegeteryanizmu. Całkowity dochód z obydwóch przeznaczony jest na jadło dla ubogich londyńskich. Choroby, któremi bywa niekiedy zarażone mięso, stosunkowa taniość produktów roślinnych (bardziéj zresztą wyraźna w Anglii niż w innych krajach), pożądany stan zdrowia ludzi, nie używających wcale, lub prawie wcale mięsa, wreszcie względy humanitarne, oto są główne punkta, popierane przez towarzystwo na korzyść propagandy. W restauracyi wegeteryańskiéj, wydali ucztę prezes i rada towarzystwa wstrzemięźliwości, na cześć znanego szybkobiega Westona, który przed kilku miesięcami zrobił w ciągu 100 dni 5,000 mil angielskich, nie używszy przez cały ten czas ani kieliszka wódki, ani innego jakiego napoju alkoholicznego. Obiad składał się z nader wielkiéj ilości potraw, i podziwiano rozmaitość, na jaką pozwala wyłącznie roślinna dyeta. Nadmienić musimy, że w liczbie innych tendencyj, towarzystwo wegeteryan proponuje wstrzymywanie się zupełnie od napojów wyskokowych i usiłuje zastąpić je innemi. W szeregu tych ostatnich piwo, nie zawierające alkoholu, o tyle zbliżone jest do prawdziwego, iż towarzystwo z dumą mogło wydrukować na ogłoszeniach o tym niewinnym trunku słowa biskupa z Exester, który powiedział o niém: „Wygląda-to jak piwo, smakuje-to jak piwo, pachnie-to jak piwo, a przytém nie jest piwem“.

Napojów alkoholicznych i niealkoholicznych istnieją zbiory pokaźne; przeważnie produkowane są wódki krajowe (brandy, whisky, gin) i wina w kraju używane; nie brak atoli wódek i likworów obcych, oraz win sprowadzanych z Francyi, Austryi itp.

Grupa *odzieży* podzieloną została na dwie części: kostiumy historyczne i odzież nowożytna. Część pierwsza, przedstawiająca, zwłaszcza dla żeńskiéj zwiedzającéj publiczności, jeden z najponętniejszych działów wystawy, w istocie jest bardzo malowniczą. Obok manekinów naturalnéj wielkości, odzianych w stroje różnych epok, począwszy od czasów Wilhelma Zdobywcy, a kończąc na ostatnich czasach, figurują tu uniformy wojskowe piechoty, kawaleryi i marynarki angielskiéj, oraz niektórych obcych. Kostiumy historyczne, w których oczywiście niepodobna dopatrzéć się względów innych nad instynkt i mody, dość proste i wygodne w najodleglejszych epokach, śmieszne późniéj, gdy ubiory głowy dochodzą do monstrualnéj postaci, gdy ukazują się potworne krynoliny u kobiet, wykonane zostały podług wzorów, znajdujących się w rozmaitych bibliotekach Europy, na oknach katedry Kolońskiéj itp.

Pod względem hygienicznym oczywiście tylko druga z pomienionych części może ulegać krytyce.

Najprostsze zasady racyonalnego ubierania się jak: wybór materyału, formy i barwy odpowiedniéj względom hygienicznym, zastosowanie kroju do postaci ciała, z czém łączy się estetyczne znaczenie odzieży—zasady te tak często pomijane są nawet dziś jeszcze, że można powiedzieć o dziale tym hygieny, iż w istocie w życiu codzienném najbardziéj ze wszystkich został upośledzony, pomimo, że hygiena nie walczy bynajmniéj z tym celem odzieży, który bodaj czy nie za najważniejszy publiczność uważa, to jest z podniesieniem piękności lub zamaskowaniem brzydoty. W każdym razie i tu rozpoczął się już zwrot ku lepszemu i na wystawie zaznaczone jest nawet usiłowanie pań samych w téj mierze, stanowiące tendencye Towarzystwa Racyonalnéj odzieży, pod prezydencyą hrabiny Harberton, fakt, który mógł-by był uszczęśliwić staczającego niegdyś z kobietami walkę o mody Katona.

Mniejsza lub większa zdolność zatrzymywania ciepła, własności hygroskopijne, lekkość, oto są główne cechy odzieży, któremi kierować się należy przy wyborze materyału.

Pod względem zdolności przepuszczania ciepła wielka panuje rozmaitość w substancyach używanych jako odzież; materye wełniane i futra należą do złych przewodników, podczas gdy tkaniny lniane posiadają zdolność tę w wysokim stopniu, jeżeli oznaczymy ją liczbą 100, wówczas przewodnictwo wełnianych materyj wynosić będzie zaledwie 50 — 70; do lnianych tkanin zbliżone są bardzo materye z nitek konopnych, słowem płótna; mniéj zbliżone są tkaniny bawełniane. Barwa, jak wiadomo, ma wielkie znaczenie w przewodnictwie materyj: najwięcéj ciepła absorbuje kolor czarny, najmniéj—biały (prawie podwójnie). Na wystawie przedstawiono w bardzo zrozumiałéj postaci pomienione własności tych lub owych tkanin; znajdują się tu, mianowicie, koszulki z rozmaitych materyałów zrobione i na rozmaite kolory zafarbowane, i założone są w nie termometry wielkie, wykazujące zdolność zatrzymywania ciepła, jeżeli przyjmiemy za 100 liczbę jednostek ciepła rozpraszanych przez ciało nagie. Pod względem własności higroskopijnych wełna pierwsze zajmuje miejsce; co zaś się tyczy barw rozmaitych, to czarny kolor najłatwiéj pochłania wyziewy, najtrudniéj zaś—biały.

Przytoczone własności tkanin powinny kierować wyborem materyału na odzież, z uwzględnieniem klimatu, pory roku, a nadto rozmaitych specyalnych okoliczności, inny bowiem materyał przeznaczony być powinien do jazdy konnéj, inny do pracy siedzącéj itp.

Gatunek farby posiada wielkie znaczenie, i pod tym względem policya lekarska wiele mogła by dokonać, poddając rozbiorowi chemicznemu odzież dla przekonania się o szkodliwości lub nieszkodli-

wości substancyj używanych do barwienia tkanin. Forma odzieży powinna być taka, iżby odzież dokładnie osłaniała ciało, ażeby nie przeszkadzała żadnéj z czynności organizmu (wstrętne więc krynoliny i turniury grzeszą przeciwko téj pierwszéj, a gorsety przeciwko drugiéj zasadzie), daléj odzież powinna utrzymywać wszystkie części ciała w równéj ciepłocie, wreszcie być lekką, o ile tylko taką być może w obec powyższych wymagań; lekkie draperye mało szkodzą, i w ogólności, powtarzamy, hygiena nie przeszkadza wcale poczuciu piękna, raczéj mu sprzyja.

Dążność zastosowania pewników hygienicznych do odzieży okazali w mniejszym lub większym stopniu rozmaici wystawcy. Obok strojów damskich znaczną część téj grupy na wystawie zajęło obuwie hygieniczne, którego są dwie cechy główne — nizkie obcasy i większa krzywizna zewnętrznego brzegu. W szeregu okazów obuwia znajdują się i przedstawione przez dra Roth'a, członka królewskiego kolegium chirurgicznego, od lat przeszło 25 pracującego nad reformą téj części ubrania.

Obok zwykłych ubiorów z dążnością hygieniczną figurują okazy odzieży wodotrwałéj (weterproof) kauczukowéj i gutaperkowéj, odzieży ogniotrwałéj, oraz futer. Wreszcie nie mała kolekcya maszyn do szycia, zwyczajnych i automatycznych, przyciąga uwagę zwiedzających, oraz warsztaty, o których parę słów późniéj powiemy.

Trzecia grupa—*budownictwo* domów mieszkalnych i urządzenie mieszkań, jest niezmiernie obszerną. Wogólności mówiąc, zdrowotność mieszkań jest jednym z najulubieńszych przedmiotów dążeń społeczeństwa angielskiego. Gdy u nas naprzykład wyborem lokali kieruje głównie położenie tychże w mieście, elegancya, jak największa ilość pokoi, chociażby wszystkie były na północ zwrócone, wilgotne i w niezdrowéj znajdowały się atmosferze, gdy nawet przy obieraniu letnich mieszkań względy sanitarne na ostatnim umieszczone bywają planie, przeciwnie dla anglików największe one mają znaczenie. Ztąd Londyn, posiadający cztery miliony mieszkańców, o wiele mniéj ma ludność skupioną, niźli Paryż, Wiedeń lub nasza Warszawa; ztąd mieszkalne dzielnice Londynu składają się głównie z małych, zajmowanych przez jedną najczęściéj rodzinę domków o jedném lub dwóch nizkich piętrach, domków otoczonych ogródkami, skromnych, ale za to zaopatrzonych w wodę i dobrze przewietrzanych; ztąd miasta, mające po kilkanaście tysięcy ludności, posiadają kanalizacyą, ztąd w nich nizka śmiertelność, która w ciągu ostatnich lat dwudziestu wynosiła zaledwie 23 na tysiąc, gdy w Warszawie, według obliczeń naszych, opartych na sprawozdaniach magistratu, wynosiła w ciągu ostatnich lat siedmiu—33 na tysiąc ludności.

Kanalizacya domów i zaopatrzenie ich w wodę zdrową są to przedmioty, które z natury rzeczy zająć musiały pierwsze miejsce w téj grupie wystawy. Wzajemnie zależąc jedne od drugiego, stanowią one przeważającą część zdrowotności miast, woda bowiem przedstawia najwłaściwszy i najpotężniejszy środek dezynfekcyjny, najłatwiéj usuwający wszelkie nieczystości, jeżeli odpowiedni celowi odpływ ich z wodą jest ułatwiony. Opisywać tę, tak ważną część wystawy, nie uważam za rzecz właściwą, gdyż w obec zupełnego prawie braku u nas tych kardynalnych urządzeń w postaci takiéj, jaką przyjęły od lat wielu szczęśliwsze kraje zachodnie, musielibyśmy wyłożyć przedewszystkiem całą teoryą kanalizacyi pod względem hygienicznym, co rozminęło-by się z celem naszego krótkiego sprawozdania. Natomiast o tych urządzeniach słów kilka powiemy, które u nas już w téj lub owéj istnieją postaci.

Przedewszystkiem zwrócić chcemy uwagę czytelników na niektóre odmiany filtrów domowych, figurujące na wystawie. Najprostszy filtr składa się z prasowanego proszku węglowego, posiada kształt zwykle kulisty lub walcowaty; odchodzi odeń rurka gumowa, służąca za lewer; najbardziéj używa się ta odmiana jako filtr kieszonkowy; w domu téż posiada pewne znaczenie wówczas mianowicie, gdy idzie o małe ilości wody. Podobnież prosta jest inna odmiana: węgiel taki sam jak opisany, umocowany w grubéj rurce gumowéj, która się wciąga na kran lub rurę wodociągową.

W szeregu większych filtrów, najwłaściwszych do użytku domowego, zasługuje przedewszystkiem na uwagę tak zwany „Filtre rapide“ *Maignen'a*, w którym ciałami filtrującemi są: węgiel traktowany wapnem i płótno asbestowe. Płótno to węglem pokryte, rozpostarte jest na opatrzonym dziurkami lejku porcelanowym, przez który sączy się woda. Główną zaletę filtrów tych przedstawia stosunkowo obszerna powierzchnia filtrująca i małe ciśnienie, pod którém woda się cedzi; przytém przyrząd jest bardzo prosty i łatwo daje się czyścić. Filtr Bischoffa wyrabiany przez Spongy Iron Domestic Filter Company, o tyle ma nad innemi przewagę, iż ciała filtrujące są wyłącznie nieorganicznéj przyrody, a mianowicie składa się masa filtrująca z bardzo drobnego proszku żelaznego, oraz z piasku zmięszanego z tlenkiem manganu. Szybko działa filtr Johnson'a, złożony z tektury, zawierającéj proszek węglowy. Nader dokładny również jest filtr z węgla i kwasu krzemowego, o dnie nieprzepuszczalném; filtracya odbywa się w nim przez ścianki boczne. Nie mało wystawiono też filtrów, przeznaczonych dla domów całych, zakładów itp.

Wanien, urządzeń prysznicowych, wszelkiego rodzaju kąpieli pokojowych wielka znajduje się rozmaitość; pod względem komfor-

tu mało lub nic nie pozostawiają one do życzenia. Najprostsze i najlepsze umywalnie składają się z miski fajansowéj w marmurowym stoliku, przy blacie znajduje się kran lub klapa, przy użyciu którój miska napełnia się wodą; w jednéj ze ścianek miski istnieje zagłębienie, miska zaś jest ruchoma na osi swéj, tak iż palec w zagłębienie to włożony, łatwo ją przechyla i woda brudna wylewa się do kanału; odpowiednio brzegowi miski znajduje się przy otworze stolika kawałek gumy, tak, iż ruchy miski nie sprawiają stuku. Przyrządy te coraz bardziéj zaczynają się rozpowszechniać nie tylko w Anglii, ale i na kontynencie. Nie mniejsza rozmaitość spostrzedz się daje w konstrukcyi waterklozetów, w szeregu których wyróżniają się odmiany funkcyonujące bez udziału woli posługujących się niémi, w ten mianowicie sposób, iż klapa wodociągowa i zasłonka kanału zostają otwarte przy otwieraniu drzwi, albo téż same przez się, gdy ciśnienie z góry ustaje. Tego rodzaju aparata najstosowniejsze są, zwłaszcza tam, gdzie ludzie mało dbają o czystość.

Wentylacya mieszkań i domów nader chlubnie jest reprezentowaną: znajdujemy tu oprócz kominków o wolném ognisku, o ognisku gazowém, oprócz przyrządów wentylacyjnych wielkich do przewietrzania większych zakładów służących, wentylatory rozmaitéj konstrukcyi. Wentylatory Lamba, Ellisona, Kite'a są dość proste i bardzo skuteczne, podobnie jak przyrząd Wright'a, przedstawiający mały komin z jednym otworem u góry, a drugim — z boku; dym stosownie do prądu wiatru wychodzi jednym lub drugim, co zapobiega przykremu dymieniu w pokoju, w razie silnych wiatrów.

Co się tyczy ogrzewania mieszkań, to o ile w małych domach kominki wciąż jeszcze stanowią ulubioną kombinacyą ogrzewania z przewietrzaniem, o tyle w wielkich domach, a zwłaszcza w zakładach publicznych, szpitalach, itp. centralne kotły, ogrzewające domy wodą gorącą, przeprowadzoną rurami do wszystkich części gmachu, coraz częściéj znajdują zastosowanie, o wiele częściéj niż ogrzewanie parą lub powietrzem gorącém. Z pomiędzy licznych gatunków tynku, pokostów, używanych do pokrycia ścian, zasługuje na wyróżnienie t. z. „lincrusta", materyał wodotrwały i dający się wybornie zmywać mydłem; linkrusta używa się nie tylko do pokrycia ścian w domach mieszkalnych, ale i w kościołach, teatrach, oraz do pokrycia statków. Z obić papierowych wyróżniają się japońskie grube, niezmiernie trwałe i dobrze zabezpieczające od wilgoci tapety.

Niektóre firmy wystawiły całkowite mieszkania, złożone z 2—4 pokoi z konfortem urządzonych i umeblowanych (mebli bardzo wiele znajduje się na wystawie). Jedna z firm wystawiła domek taki dla wykazania dogodności oświetlenia elektrycznego, inna — dla przed-

stawienia gatunków wyrobów ceramicznych itp. Spora kolekcya modeli domów, z temi lub owemi przymiotami hygienicznemi, modeli kanalizacyi domów, wspaniały model kąpieli mineralnych w Bath, modele budownictwa wiejskiego, urządzenie mieszkań tanich, wszystko to są przedmioty, których opis wystarczył by na książkę sporą.

Do tegoż działu odnieść należy wspaniały pawilon wodociągów Londynu, pawilon zbudowany w kształcie dwóch spółśrodkowych ośmiokątów, w kątach których znajdują się wystawy każdego z ośmiu towarzystw wodociągów londyńskich (są to przedsiębierstwa prywatne). Pawilon ten z inicyatywy księcia Walii zbudowany, jest jednym z najpiękniejszych i nader ciekawym dla inżynierów i hygienistów, pragnących powziąć wyobrażenie o wielkich tych przedsiębierstwach. W środku pawilonu znajduje się piękny wodotrysk, w kątach zaś przechodzą rury szklanne, którymi woda spływa do rezerwoarów małych, połączonych z kanałami i posiadających godła towarzystw wodociągowych. W tychże kątach, podobnie jak i w zewnętrznéj części pawilonu znajdują się dyagramy, dane statystyczne, ekonomiczne, rozbiory wody, dokonane przez urzędników zdrowia, rysunki, plany, modele urządzeń wodociągowych, filtrów itp. używanych przez rozmaite towarzystwa, wreszcie kawałki rur i sprzęty w naturze. Większa część Londynu otrzymuje wodę z Tamizy, mniejsza zaś z innych paru rzek pomniejszych, oddalonych o kilkadziesiąt wiorst, mianowicie pięknie spełniająca zadanie swe spółka New-River, wcale nie używa wody z Tamizy, sprowadzając o wiele czyściejszą z rzek Spring i Lee.

Kończąc ten pobieżny opis grupy trzeciéj, musimy jeszcze wspomnieć o jednym z najważniejszych przedmiotów, o dwóch stowarzyszeniach, zajętych budową tanich mieszkań dla klas pracujących. Towarzystwa te są: „*Metropolitan Association for improving the dwellings of the industrious classes*“, oraz „*Improved Industrial dwellings Company*“.

Opis szczegółowy działalności stowarzyszeń tych, które dowiodły już, że zdrowe i wygodne mieszkania mogą być tanio odnajmowane, bez straty dla ich właścicieli, a raczéj z zarobkiem uczciwym, powinien być przedmiotem oddzielnego studyum; tu podamy tylko kilka danych ciekawych, korzystając z łaskawie nam udzielonych przez sekretarzy sprawozdań. Pierwsze z towarzystw tych założone zostało w r. 1841 i posłużyło za piękny wzór dla całéj Europy, w któréj znalazło wkrótce naśladowców. Posiada ono obecnie pokaźną liczbę mieszkań w rozmaitych częściach stolicy, ogółem zajętych przez 9,030 głów (r. 1883), śmiertelność w mieszkaniach tych jest o 4

na tysiąc mniejszą niż w całym Londynie; od dziesięciu lat już towarzystwo daje akcyonaryuszom 5% dywidendy, czyli największą odsetkę dozwoloną przywilejem królewskim udzielonym stowarzyszeniu.

Drugie towarzystwo powstało w r. 1863, rozwinęło atoli jeszcze o wiele szerzéj działalność swą i obecnie posiada 4314 mieszkań zajętych przez 21,500 głów. Kapitał w r. b. wynosi około 861.580 funtów szterlingów, dochód zaś—80.080 funtów. Cena pokoju wynosi przeciętnie około rubla do ośmiu złotych tygodniowo, (według kursu obecnego) a o ile mieszkania te odpowiadają zadaniu swemu, świadczy odsetka śmiertelności, wynosząca przeciętnie 17,8 na 1000 mieszkańców, gdy w całym Londynie w okresie działalności towarzystwa wynosiła 23.2 na tysiąc.

Czwarta grupa, jak wyżéj nadmieniliśmy poświęcona jest *szkołom*. W jednéj z książek popularnych umyślnie dla wystawy wydanych, znajdujemy dokładnie skreślone wskazówki podług których szkoły urządzane być powinny. Są to po największéj części zasady przedstawiające uznane już aksjomata hygieniczne; w kilku słowach streścić się one dadzą w ten sposób; szkoły budowane być winny na wzniesieniach, dobrze przedrenowanych i w promienie słoneczne zaopatrzonych, zdala od wszelkich smrodliwych wyziewów (wybór miejsca w miastach wielkich oczywiście napotyka niekiedy nieprzezwyciężone trudności); daléj powinny być szkoły zaopatrzone w dobrą wodę do picia, powinny posiadać dziedzińce do zabawy służące i nie powinny być wystawione na wpływ wiatrów chłodnych. W miastach szkoły budowane być winny na piwnicach, podłogi najlepsze są drewniane. Przestrzeń powietrza na osobę oraz wentylacye powinny być o tyle uwzględnione iżby dostarczały po 1000 stóp sześciennych na godzinę i na ucznia. Ściany muszą być murowane, i jeżeli używa się cegła, powinny mieć najmniéj 14 cali grubości. Klasa nie powinna mieścić więcéj nad 40—60 dzieci. Dobre waterklozety przedstawiają niezbędny warunek zdrowych szkół, mianowicie w miastach. Na 1000 stóp sześciennych przestrzeni, według tegoż autora (Charles E. Paget) potrzeba 15 stóp kwadratowych okna; przytém pokoje zwrócone na północ wymagają więcéj światła, niż zwrócone na południe. Urządzenie ławek i pulpitów odpowiadać powinno warunkom każdéj klasy oddzielnie, a mianowicie przeciętnemu wiekowi większości lub przeciętnemu wzrokowi; odległość oczu od książek, kajetów itp. powinna być uwzględnioną w każdym przypadku; długość pulpitu wynosić powinna dla każdego ucznia 18—24 cali, a szerokość ławki 12 cali; głębokość zaś pulpitu od 15 cali do 2 stóp. Oddzielne ławki dla każdego ucznia łatwiéj oczywi-

ście mogą być do wzrostu zastosowane, w każdym razie nie powinny mieścić więcéj jak 3 uczni.

Zasady te i inne do budownictwa i urządzeń szkolnych odnoszące się, suto ilustrowane były na wystawie już to za pomocą rysunków i planów szkół, już za pomocą modeli, wreszcie całkowitych urządzeń w naturze, w rodzaju ławek, pieców wentylacyjnych, przyrządów gimnastycznych itp. Nadmienić wypada, że w grupie téj obok przedmiotów cywilizacyi krajowéj nader zaszczytne stanowisko zajęły: Belgia i Francya. Ta ostatnia wystawiła bogate zbiory planów szkół nadesłanych przez towarzystwa prywatne (Société des crèches; Société des écoles enfantines), oraz przez ministeryum oświaty, przez miasta i departamenta pojedyńcze. Nie pozostała w tyle i Belgia, w któréj oddziale podobnież zarówno rząd jak inicyatywa prywatna udział wzięły. Obydwa te kraje odznaczyły się w równym stopniu i w dziale wystawy objętym nazwą „wychowanie,“ który nie wchodzi do programu naszego sprawozdania.

Grupa poświęcona *warsztatom* uboższą jest od innych; z 1600 przedmiotów działu angielskiego przypada na nią zaledwie trzydzieści. Spotykamy tu okazy odzieży zabezpieczającéj od wypadków, przenośne zbiorniki powietrza, używane przez robotników pracujących w zepsutéj lub trującéj atmosferze, przyrządy niektóre wyręczające robotników w szkodliwych dla zdrowia ludzkiego czynnościach. Do tego działu zaliczyć wypada i machiny czynne na wystawie, jako to: fabryka obuwia, fabryka kapeluszy, fabryka mydła, powideł, parowa fabryka czekolady, fabryka wody do picia przerabianéj z wody morskiéj itp.

Na zakończenie krótkiego tego szkicu wystawy słów kilka poświęcić chcemy dwom stowarzyszeniom, których wydawnictwa figurują na wystawie.

Narodowe towarzystwo zdrowia, pod opieką trzech księżn z królewskiéj rodziny i pod prezydencyą księcia Westminsteru, liczy w komitecie powszechnym kilkudziesięciu znakomitych higienistów angielskich i miłośników hygieny, i utworzone zostało w celu zjednoczenia i uorganizowania dobrowolnych usiłowań, celem uprawiania i popularyzowania wiadomości z hygieny, celem zastosowania wiadomości tych do życia codziennego. Towarzystwo wytwarza w łonie swém sekcye, w rozmaitych częściach kraju działające i wspomagające się wzajem z urzędami sanitarnemi, oraz rozpowszechniające zasady zdrowotności w rodzinach. Towarzystwo posiada komitet wykonawczy odbywający parę razy na miesiąc posiedzenia, nadto corocznie bywa posiedzenie ogólne członków.

W ciągu roku 1882 członkowie towarzystwa mieli przeszło sto odczytów popularnych o rozmaitych przedmiotach zdrowotności; w biurach towarzystwa wystawiane są różnorodne artykuły hygieny. Nadto rozdawane są nagrody za prace, wysadzone są rozmaite komitety do badania na dobie będących kwestyj. Publikacye towarzystwa o tyle są tanie o ile przystępnie wyłożone. Na początku roku zeszłego istniało 14 ośmiogroszowych (właściwie pięciogroszowych; według nominalnego kursu) arkuszowych wydawnictw („Aforyzmy zdrowia," „świeże powietrze," „cholera i biegunka," „zapobieganie tyfusowi" itp.) oraz 16 broszur małych w cenie od 5 groszy do 50 gr. („moralne i społeczne znaczenie zdrowia," „podręcznik kucharski itp.").

Na równie szlachetnych podstawach oparte jest drugie towarzystwo t. z. „stowarzyszenie sanitarne dam" (Ladies' Sanitary Association"), podtrzymywane również drogą składek dobrowolnych i zostające pod opieką księżnéj Walii, wielu innych szlachetnych pań Anglii oraz księżnéj następczyni tronu niemieckiego. Obok innych czynności swych, stowarzyszenie to wydało około siedmdziesięciu popularnych groszowych publikacyj. Takiemi środkami podnosi się bezwątpienia szczęście kraju, takie przykłady są bezwątpienia do naśladowania, tam przedewszystkiém, gdzie od prywatnéj inicyatywy wiele spodziewać się można.

Dr. J. Polak.

DEBIUTY POWIEŚCIOPISARSKIE.

II.

Adolf Dygasiński: Nowelle (Warsz. 1884. wydawnictwo „Przeglądu Tygodniowego“).— A. Sygietyński: Na skałach Calvados, powieść z życia normandzkich rybaków (Warsz. 1884, Lesman). — Syn Przemytnika, powieść oryginalna przez Jerzego Myriela, 2 tomy (Warsz. Gebethner i Wolff. 1884). — Z czarnéj godziny, powieść z niedawnéj przeszłości przez Feliksa Śrzeniawitę (Warsz. Gebethner i Wolff. 1884). — Syn Księżniczki, powieść obyczajowa przez Anielę Tripplinównę (Warsz. Gebethner i Wolff. 1884). — K. Czeremosz: W przededniu (Warsz. red. „Wędrowca“, 1884).

Wynalezienie nowego tematu i wyrobienie sobie odrębnego rodzaju tworzenia należy, w zakresie powieściopisarstwa, jak wogóle w zakresie sztuki, do rzeczy najtrudniejszych. Jeżeli który pisarz potrafił tego dokonać, może być pewnym, że się ponad poziom powszedniości wydobył, a więc, że w największym nawet tłumie nie zginie.

Do tych szczęśliwców policzyć się może niewątpliwie p. Adolf Dygasiński. Znany jako pedagog i publicysta, niedawno spróbował sił swoich w rodzaju powieściopisarskim i odrazu zwrócił na siebie uwagę, jeżeli nie ogółu, który nie każdą oryginalność jednakowém darzy uznaniem, to przynajmniéj tych ludzi, co z kwestyami piękna bliżéj się cokolwiek zapoznawać lubią.

Utwory swoje, które nazwał nowellami, poświęcił rozpatrzeniu i artystycznemu odtworzeniu życia zwierząt, w ich stosunku z ludźmi. Można się sprzeczać o to, czy nazwa nowelli do pism tych przystaje, i można twierdzić, z niejaką miarką słuszności, że są to raczéj obrazki; ale w każdym razie przyznać wypada, iż wnoszą w dziedzinę powieściopisarstwa naszego pierwiastek nowy, świeży, dotychczas na tę skalę w nim nie uwzględniany.

O inteligencyi psów, kotów, o ich zwyczajach i obyczajach można wprawdzie się naczytać w wielu powieściach dawniejszych i nowszych; Syrokomla napisał nawet obszerną biografią konia; ale żeby ktoś u nas nie tylko wziął za wyłączny przedmiot opowiadania życie tych lub innych zwierząt, żeby nie tylko poświęcał im więcéj uwagi niż ludziom; lecz nadto, żeby traktował to życie całkiem poważnie, samo dla siebie, bez téj intencyi, iżby czytelnika pobudzić do śmiechu lub uśmiechu; tego, o ile pamiętam, nikt przed p. Dygasińskim nie próbował.

Wilki, psy, zające, lisy, bociany, gołębie, słowiki: oto właściwi bohaterowie obrazków p. Dygasińskiego. W przedstawieniu ich pojęć, zwyczajów i obyczajów, uczuć i postępków stara się autor zająć stanowisko zarówno dalekie od sentymentalizmu, jak i od powszedniego egoizmu człowieka, zapatrującego się na zwierzęta z punktu pożytku lub szkody, jakie przynoszą. Zapatruje się więc na to życie jako na jeden z wielu objawów ogólnego życia przyrody; roztrząsa przyczyny fizyczne i moralne, jakie na ukształtowanie natury danego osobnika wpływały i, nie usprawiedliwiając takich postępków, któremi zwierzęta ludziom szkodę wyrządzają, wyjaśnia je tylko i tłómaczy, pozwalając sobie jedynie niekiedy na porównawcze zestawienie czynów ludzkich ze zwierzęcemi. Miał np. autor wilczka, którego postanowił oswoić pomimo przestróg, jakich mu doświadczony, ale i przesądny myśliwy nie szczędził. Z początku był ten wychowanek niezręcznym, stawiał nogi ociężale, często się przewracał, miał duży brzuch, wypukły z obu boków, kudełki pomięte, puchowate i miękkie; zdaje się, że w tych najmłodszych chwilach życia nie miał w sobie poczucia różnicy gatunku: lubił namiętnie igrać z maleńkiemi pieskami. Ale stara ogarzyca zwietrzyła odrazu pochodzenie wilka, a widząc go strojącego figle ze swojém potomstwem, obwąchała go najprzód troskliwie od stóp do ogona, potém zaś najeżyła sierć na grzbiecie, a nareszcie ucięła go dotkliwie. Jakkolwiek był młodszy wiekiem od psów, jednak zęby i wogóle siły jego fizyczne, jako téż inteligencya zwierzęca organizowały się u niego widocznie wcześniéj, aniżeli u towarzyszów zabawy: gdy się rozigrał, wpadał jakby w szał i nielitościwie rozbijał psiaki. Kiedy miał mniéj więcéj trzy miesiące, wspólne zabawy stały się niepodobieństwem; wtedy psy same unikały igraszek, a jeśli sobie pozwoliły czasem swawoli z wilczkiem, to niebawem zmuszone były uchodzić, skomląc i unosząc na skórze ślady jego zębów... Dla swego pana i wychowawcy okazywał posłuszeństwo; na jego głos porzucał czynność zajmującą go, ale o tyle tylko, o ile nie był rozjuszonym; wówczas bowiem jako środek wymuszenia posłuszeństwa bat użytym być

musiał. Pierwsze przestępstwa wilczka wobec ludzi wywołał jego wilczy apetyt. Lubo żywiony był regularnie, poczuł jednak chętkę na żywe mięso i tak umiał zasadzać się na kaczki, że ich kilka schrupał, zanim odkryto właściwego winowajcę. Wówczas trzeba go było wziąć na łańcuszek, gdyż do psiéj nieprzyjaźni przyłączyła się téż ludzka. Ale i na łańcuszku czynić psot nie poprzestał, gdy mu się tylko dobra sposobność nadarzyła. Musiał go wychowawca oddać z bólem serca na leśniczówkę. Tu nasz wilk znalazł istotę, która skutkiem swego położenia mogła i umiała powziąć uczucie przyjaźni dla niego. Był nią sierota niewiadomego pochodzenia, wychowywany przez gderliwą gospodynię, niby swoję matkę, która przecież tytułu tego nie chciała mieć otwarcie przyznanego. Łajany przez nią ustawicznie, zamykany za karę w chlewiku, szczęśliwym nie czuł się nigdy, spokojnym tylko wówczas, gdy był sam. Prawie od pierwszego dnia chłopiec i wilk byli już na stopie poufałości; każdy zaś nowy dzień wznawiał ich przyjacielski stosunek. Chłopiec stał się żywicielem i prawdziwym opiekunem wilczka. Wystawił mu budę, wysłał ją miękkiém sianem, biegał do miasta po mięso. Razu pewnego, w zimie, wybrał się na tę wycieczkę rankiem, a powrócił dopiero późno wieczorem, blady, prawie zzieleniały. Wyłajany i wyszturchany przez gospodynię, kiedy zaniósł do budki żywność wilkowi, zrobiło mu się bardzo zimno, dreszcze przebiegały po całém ciele, ogarnęła go nieprzezwyciężona śpiączka; wlazł w legowisko wilcze i natychmiast zasnął. Nazajutrz gdy zajrzano do budy, zobaczono wilka rozciągniętego na chorym chłopcu i ogrzewającego go swojemi kudłami. Z wielkiém niezadowolnieniem swojém, a nawet z oznakami gniewu zaledwie pozwolił wilk zabrać z budy chłopca, który majaczył i był nadzwyczaj rozpalony na całém ciele. Na trzeci dzień chłopak już nie żył. Wilk zapomniany w swéj budzie, urwał się z łańcucha, pobiegł w las, wietrzył, szukał, przyzywał przyjaciela, jak umiał; nie odszukawszy, wrócił do budy. Robił to razy kilka. Ponieważ jeść mu nie dawano, musiał sam szukać pożywienia. Zabiegł raz do jednego dworu, gdzie go dobrze przyjęto i ugoszczono. Zaczął dwór ten odwiedzać często, ale na nocleg wracał do swéj budy. Pan dworku wszelako niezawsze bywał zawiadamiany o odwiedzinach wilka; służący nieraz wypędzali natręta, grożąc kijami. Pewnego zimowego wieczoru tak odprawiony, napotkał na wsi wieprzka i postanowił spożyć go na wieczerzę. Rozległo się po wsi kwiczenie. Wpada biedna wyrobnica, któréj wieprzak był własnością, widzi, że wilk zjada pierwszy to, co ona może kiedyś zjeść miała, zwołuje krzykiem swym gromadę. Wilk nie myślał walczyć ani uciekać: wychował się on wśród ludzi, oswoił i... wśród ludzi zginął.

Taka jest treść najpierwszego obrazka, jaki skreślił p. Dygasiński, p. n. „Wilk, psy i ludzie“. Znać w nim dużo obserwacyi, a jeszcze więcéj rozmyślań nad psychologią porównawczą. Ten drugi czynnik służy jako konieczne wyjaśnienie rezultatów pierwszego i nadaje właściwe znaczenie obrazom z życia zwierzęcego. Jeżeli w przedstawianiu objawów życia ludzkiego artysta może zupełnie zaniechać własnych refleksyj i pozostawić czytelnikowi możność sądzenia samych faktów, to dlatego, że ludzie wyrażają swoje uczucia i pojęcia bardzo dobitnie za pośrednictwem mowy. Ale w objawach życia zwierząt, które nie mówią, tak zrobić nie można; autor musi być tłómaczem postępków, nie dających się zrozumiéć z samego zestawienia i zgrupowania faktów. Ta konieczność mieszania się autora do spraw, które opowiada, konieczność zawarunkowana samą naturą tematu, usprawiedliwia dygresye, mogące się przyczynić do rozjaśnienia tego czy owego rysu w obyczajach zwierząt lub w ich stosunku do ludzi. Miara artystyczna jednak i tu być zachowaną powinna. Obrazek, czy nowella nie ma być przecież rozprawą. Skłonność ku rozprawianiu zauważyć właśnie można u p. Dygasińskiego; daje się ona łatwo zrozumiéć jako u pedagoga i publicysty, ale nie zawsze bywa na miejscu u powieściopisarza. Zestawienie losu wilka oswajanego z losem dzikich ludów, wytępianych w imię cywilizacyi, ma niewątpliwie liczne punkta styczne; ale kiedy autor równocześnie zahacza o los nowéj idei wśród społeczeństw ludzkich, już czujemy widoczne naciąganie, wynikające stąd, iż prześladowanie, jakiego doznaje ta nowa idea, wzięte zostało za główny punkt porównania, gdy tymczasem trzeba-by dobrze rozważyć, czy należy wilka z nową ideą zestawiać; zestawienie bowiem takie tylko ze stanowiska wstecznego jest zrozumiałe, a p. Dygasiński na niém przecież nie stoi. Lecz w tém możemy widziéć niewłaściwe jedynie zastosowanie metody porównawczéj; kiedy wszakże w dalszym ciągu tegoż samego ustępu czytamy refleksye o tém, że człowiek „ma tylko mały i jedynie swój własny świat, nieprzeznaczony bynajmniéj na siedlisko prawdy“, że „nie w poczuciu dumy czerpie istota ludzka najwyższe duchowe siły, ale w skromném i cichém poczuciu swéj małości“ itp.; to nie możemy zdań takich uważać za rozjaśnienie kwestyi, dlaczego trudno oswoić wilka, lub nawet dlaczego nowa idea niełatwo się przyjmuje w społeczeństwie, lecz za dygresyą, wywołaną nieujętém w kluby kojarzeniem się pojęć.

Opowiadanie okraszone jest humorem i dowcipem. Ta przyprawa zazwyczaj odznacza się wybornym smakiem; niekiedy tylko daje się w niéj czuć jakiś pierwiastek niewłaściwy. Mówiąc np. o złapaniu wilczka podczas nieobecności matki, powiada autor: „Przy-

znam się, że była-to czarna niewdzięczność rodzaju ludzkiego, zważywszy okoliczność, iż onego czasu wilczyca przyczyniła się tak wspaniałomyślnie do założenia Rzymu“. Ani sfera, wśród któréj dzieją się wypadki, ani okoliczność żadna uboczna nie usprawiedliwiają tego skoku w świat podań rzymskich. Podobnież zestawienie pewnego pastucha z boskim Eumajosem, również nie może być uważane za szczęśliwe i usprawiedliwione.

Drugi obrazek, p. n. „Co się dzieje w gniazdach“, przedstawia życie rodziny bocianiéj, słowiczéj i ludzkiéj, rozkwitające w całéj pełni. Jest-to sielanka, ale bez śladów czułostkowości; w szczegółach przepyszna a prawdziwa. Sielanka ta atoli kończy się tragicznie. Sprawcą nieszczęścia jest kot, legający w piecu. Do sierści jego przyczepiły się raz żarzące węgielki, które go paliły. Chcąc się uwolnić od bólu, poleciał na strych, zaprószył ogień i spowodował pożar, który zniszczył gniazdo ludzkie i bocianie. Tenże sam kot poszukując żywności, któréj w spalonym domu znaleść już nie mógł, wydusił téż i potomstwo słowicze. Autor nie chciał jednak zakończyć swego opowiadania bolesnym obrazem zniszczenia; zaznaczył więc, że zarówno człowiek, jak bocian i słowik potrafili sobie na drugi rok nowe gniazda usłać...

W trzecim obrazku, „Za krowę“, mamy do czynienia ze światem ludzkim na wsi. Występuje tu złodziéj wiejski, którego sprawiedliwość dosięgnąć nie mogła. Ukradł on biednemu komornikowi jedyny skarb jego, krowę, a ukradł tak zręcznie, że poszlaki żadnéj nie pozostawił. Domagała, niegdyś posiadacz krowy, udał przyjaźń dla wiejskiego złodzieja i, gdy się nadarzyła sbosobność, gdy mógł być pewnym, że nikt śladu zbrodni nie odkryje, zemścił się „za krowę“ powieszeniem łotra.

Takie były pierwsze próby p. Dygasińskiego w zawodzie powieściopisarskim. Po nich dał nam jeszcze dwa obrazki: „Na pańskim dworze“ i, „Niezdara“. Nie możemy jednakże dostrzedz w nich udoskonalenia pod względem techniki powieściopisarskiéj; owszem są one co do budowy luźniejsze od prób dawniejszych, a węzeł dramatyczny w „Niezdarze“ mianowicie bardzo słabo jest zadzierzgnięty. Skłonność do dygresyj przeszła tu wszelką miarę artystyczną; częstokroć całe wielkie ustępy poświęca autor bardzo dalekiemu przygotowaniu do ocenienia faktu, przedstawionego zbyt krótko. Zalety obserwacyi nad życiem zajęcy, lisów, gołębi widnieją wszakże i tutaj.

Od życia zwierząt do życia tych ludzi, których nam przedstawia p. Sygietyński, przeskok nie wielki. Autor żył czas jakiś nad brzegami kanału La Manche i przypatrzył się obyczajom rybaków normandzkich. Następnie trzymając się metody przedmiotowego

tworzenia, zużytkował obserwacye swoje w zarysie tego życia napół zwierzęcego, w którém idealniejsze pierwiastki mały udział biorą. Ponieważ ciemną tylko stronę duszy ludzkiéj odmalował i ponieważ zrobił to w sposób jaskrawy, bez żadnego względu na delikatność uszu i czułostkowość serca, nadał więc swojemu utworowi cechy szkoły naturalistycznéj.

Chciwość grosza, twardość serca, przebiegłość, gburowatość: oto najgłówniejsze rysy charakteru téj ludności, któréj zajęcia, mieszkania, zwyczaje i obyczaje opisuje autor. Gabryel, syn niewiadomego ojca, silny, śmiały, butny i, jak wszyscy, pragnący się wzbogacić chłopak jest główną postacią, czyli, mówiąc po staremu, bohaterem powieści. Długie lata służył jako chłopak na statku, należącym do bogatego, nieużytego sknery Boudard'a, ale w końcu sprzykrzyło mu się podawanie hubki do fajki gospodarzowi, stawił mu się okoniem, odsiedział sześć dni o chlebie i wodzie, zgodził się za majtka na innym statku rybackim, pracował bez wytchnienia, w hulanki się nie bawił, grosz do grosza składał, ażeby kiedyś zostać gospodarzem na własną rękę. Powinność wojskową w Cherbourgu odbył, starając się być zawsze w pobliżu marnotrawnych oficerów, ażeby za posługi zbierać frankówki. Powróciwszy do rodzinnego Grandcamp, powziął zamiar dostania za żonę córki dawnego swego gospodarza Boudard'a, z którą bawił się w latach dziecinnych. Boudard, pamiętający dobrze zajście z Gabryelem i nie mogący go mu przebaczyć, córki wręcz odmówił i to w sposób dotkliwy, przypominając, że młody majtek nie może nazwać swego ojca. Gabryel wszakże zamiaru nie porzucił, lecz postanowił go przeprowadzić podstępem. Berta wychowywała się przez czas jakiś u krewnéj w Cherbourgu; tam poznała świat mniéj szorstki aniżeli w Grandcamp, tam nasłuchała się o zaletach kawalerów mniéj więcéj salonowych, tam nauczyła się sentymentalnych romansów. Przybywszy do domu ojca musiała zająć się gospodarstwem, musiała się stykać z szorstkiemi, gburowatemi spółmieszkańcami! a to wywołało pewną do nich niechęć. Gabryel wyróżniał się od innych zręczną postawą, dbałością o ubiór. Słabéj, wiotkiéj dziewczynie, nie posiadającéj zasobów odporności moralnéj, żyjącéj wśród dobrowolnego osamotnienia, marzącéj o przygodach, Gabryel zawrócił głowę; a gdy popęd krwi młodéj, pobudzany przez kochanka, działać zaczął, dała się uwieść. Stosunek Gabryela z Bertą trwał już kilka miesięcy, gdy kumoszki objaśniły ojcu, co się z jego córką stało. Rozjuszony stoczył walkę z uwodzicielem, lecz został w niéj zwyciężony. Gdy leżał w łóżku potłuczony, Gabryel w towarzystwie innego rybaka przyszedł do jego domu i prosił o rękę córki. Gdy się dowiedział Boudard, że Berta ma urodzić dziecko,

przystać musiał: targ o posag był twardy; Gabryel wszakże zdołał wydostać od sknery sześć tysięcy franków. Ślub się odbył; Gabryel złączywszy zaoszczędzony kapitał własny z sumą posagową został, do spółki z szynkarzem Renoufem, właścicielem „Petreli.“ Na powolnym zarobku z połowu ryb poprzestać nie chciał; pragnął bowiem zbogacić się jaknajprędzéj i wspólnika spłacić. Zaryzykował przemycać tytuń i kupować ryby od Anglików, lecz z powodu niepomyślnych okoliczności stracił wszystko; musiał znowu zostać roboczym majtkiem.

W ciągu tego namiętnego uganiania się za zdobyciem majątku. Gabryel zapomniał o wszystkiém inném. Garderoba jego, dawniéj czysta i cała, upodobniła się teraz do ubrania zwykłego wśród rybaków; ponieważ dziecko urodziło się nieżywém, zaczął patrzéć z pewném lekceważeniem a nawet wstrętem na żonę, obchodząc się z nią obojętnie, szorstko, a nawet gburowato. Berta czuła się osamotniona i znowu wróciła do marzeń dawniejszych o świetnych kawalerach i o kochaniu. Okoliczność pewna przyczyniła się do ułatwienia jéj możności realizacyi tych rojeń. Do Grandcamp przybył z Paryża inżynier Armand de Coux. Była to najpowszedniejsza z powszednich osobistości, przekonana głęboko o swoim rozumie i dystynkcyi. Wśród ogółu atoli rybaczéj ludności mógł ujść za ideał piękna i elegancyi, mógł przypaść do miary wymarzonéj przez taką dziewczynę jak Berta. A że Armand de Coux chciał sobie urozmaicić nudotę zajęć inżynierskich, zwrócił więc uwagę na żonę rybaka, wyglądającą schludniéj i powabniéj od swych spółmieszkanek. Zetknięcie się ich poprowadziło do stosunków, które musieli ukrywać i przed mężem i przed oczyma ludzkiemi wogóle. Stosunki te trwały póty, póki się Armand nie znudził; w końcu naprzykrzyło mu się nie dosypiać i na przymilenia kochanki odpowiadał grzeczną obojętnością. Gdy miał już odjeżdżać do Paryża, szynkarz Renouf, który wyszpiegował jego miłostki, otworzył oczy Gabryelowi na to, co się stało. Niewątpliwie odczuł rybak swą krzywdę, ale mu właściwie nie szło już o żonę. Nie mogąc nic więcéj wydostać od skąpego teścia nad pierwotnie umówioną sumę, chciał się owszem pozbyć Berty, ażeby się ożenić z podstarzałą, ale bogatą wdową. Udał więc, że o niczém nie wie, lubo go to wiele kosztowało, zaprosił inżyniera i żonę na przejażdżkę po morzu i—zatopił łódkę. Sam liczył na swoje siły, że potrafi dopłynąć do beczek oznaczających skały podwodne i że tam doczeka pomocy. Przerachował się. Dopłynął wprawdzie z niesłychanym wysiłkiem, ale wysiłek go zabił.

P. Sygietyński dotknął w utworze swym takich ludzi i stosunków, których powieściopisarze nasi dotychczas nie przedstawiali.

Że wziął temat obcy, to z ogólnego artystycznego punktu widzenia nie może stanowić żadnego zarzutu, artyści brali i brać będą wątek do obrobienia ze wszystkich stron świata i ze wszystkich czasów. Że w tém życiu nie wykrył stron nieznanych, że owszem dotykał strun ogranych już dostatecznie, to również wadą nie jest, jeżeli tylko obrany przedmiot konsekwentnie przedstawił; jeżeli potrafił dać ludziom fizyognomie żywe i czynom ich podłożyć pobudki naturalne, psychogicznie usprawiedliwione. ‘Rzeczywiście, czytając powieść p. Sygietyńskiego nigdzie się wprawdzie nie dziwimy bogactwu inwencyi, ale natomiast czujemy, że rysy wszystkie niemal są brane z obserwacyi, że pod całém opowiadaniem tkwi podkład z rzeczywistości wzięty; żadna sztuczna kombinacya w układzie scen, żadna fałszywa nuta w rozwijaniu motywów nie psuje wrażenia, nie trąci dysonansem. Atmosfera, w której autor każe nam oddychać, nie jest, co prawda, przyjemną wcale; dla osób nawet o nerwach osłabionych może się wydać wstrętną; ale, zgodziwszy się na dobór czynników w skład jéj wchodzących, przyznać musimy, że nie mogła być inną. Mógł wprawdzie wpuścić do niéj trochę świeższego powietrza, mógł jaśniejszą stronę duszy ludzkiéj ukazać; ale widocznie tego nie chciał, pragnąc, ażeby czytelnicy odczuwali to tylko, czego on sam doświadczał podczas obserwacyi życia napół zwierzęcego.

W formie opowiadania odrzucił p. Sygietyński wszystko, coby przypominało autora; same fakta w kolejném po sobie następstwie idące objaśniają czytelnika dostatecznie; a ponieważ sztucznych kombinacyj w układzie ich nie ma, tylko się jedne z drugich mocą konieczności psychicznéj wywijają, więc też wszelkie tak zwane *przejścia* stały się zbytecznemi. Powieść „Na Skałach Calvados“ nie jest melodramatem, ale studyum dokonaném sumiennie i z talentem.

„Syn Przemytnika“ jest powieścią utworzoną według zupełnie innéj metody aniżeli poprzednia. Jakkolwiek autor jéj drwi z pisarzów „staréj szkoły“; jakkolwiek wyśmiewa sztuczność w romansach i dramatach; jakkolwiek ma pretensyą, iż maluje życie rzeczywiste: to przecież ani starych sztuczek powieściopisarskich się nie wyrzekł, ani w zestawianiu scen śladem rzeczywistości nie idzie, ani w motywowaniu wypadków o prawdopodobieństwo się nie stara.

Oto parę przykładów usprawiedliwiających powyższe orzeczenia.

Jeden z bohaterów powieści wystawił lichwiarzowi Putzgoldowi dokument na pewną sumę za doprowadzenie do skutku małżeństwa z panną, na któréj nazwisko zostawione było czyste miejsce. Przedstawiwszy to, autor dodaje: „Dokument ten następnie znalazł

w ręku Putzgolda, a że odegra on pewną rolę w niniejszém opowiadaniu, więc wspominamy tu o nim, zaznaczając sam fakt wystawienia takiego obligu, którego data jednak nie jest nam znaną“ (I, 121). Czyż to nie jest odwieczna, a w dodatku śmieszna sztuczka powieściopisarzy „staréj szkoły,“ któréj używali dlatego, ażeby zaostrzyć drzemiącą uwagę czytelnika obietnicą czegoś interesującego i ważnego. A ta nieznajomość daty obligu, jakaż to rzecz zabawna! Jak wszyscy, co tego zwrotu używali, tak i autor „Syna Przemytnika“ sądził zapewne, że tém wyznaniem upewni czytelników, że jest najzupełniéj prawdomównym, że co wie, to opowiada, a jeśli czego nie wie, to wyraźnie nieświadomość swą zaznacza... Pomylił się tylko autor, tak jak i wszyscy, co przed nim formułą tą w podobnych wypadkach się posługiwali, co do natury opowiadania. Nie opowiada bowiem ani wypadku rzeczywistego, ani powtarza relacyi o nim, lecz jest powieściopisarzem, który wszystko wie, bo wszystko sam tworzy. Jeżeli mu nieznana data obligu, to z równie słusznego powodu, nie powinnoby mu być znaném nic z tego, co w całéj dwutomowéj powieści przedstawia.

Co do układu scen, to autor zupełnie samowolnie opuszcza jedne osoby na znaczny przeciąg czasu, ażeby mówić o innych, albo téż ażeby ni stąd ni zowąd opowiadać o ich przeszłości itp. Wszystko to praktykowało się dawniéj i znajduje się obficie u starych powieściopisarzy; dzisiaj już taka metoda opowiadania nie uchodzi, bo dzisiaj na motywowanie ścisłe zdarzeń i czynności osób zwrócono pilną uwagę, a to skutkiem zastosowania téj prostéj zasady, że na świecie i w duchu ludzkim nic się nie dzieje bez przyczyny i powodu. Dzisiaj np. nie wystarcza i wystarczyć nie może zapewnienie powieściopisarza, że Jan Werka, dobrowolny wyrobnik, znajdował się w ogrodzie hrabstwa Wierzejskich w tym samym właśnie czasie, kiedy córka jego na największe wystawiona była niebezpieczeństwo; dzisiaj okazać trzeba wyraźnie co do dnia i co do godziny, jakim sposobem stać się to mogło a nawet musiało. Nie w tém dzisiaj rzecz, iżby masę awantur wymyślić, ale w tém przynajmniéj, żeby je z sobą przyczynowo aż do oczywistości powiązać.

Nie można twierdzić, iżby Jerzy Myriel nie starał się o takie przyczynowe wiązadła, ale to pewna, że nie wziął sobie téj zasady za prawidło postępowania artystycznego i uciekał się do kombinacyj sztucznych zbyt często. Materyał nagromadził obfity, nie chcąc nużyć czytelnika jednostajnością. Jakiś Niemiec z urodzenia, ale do pewnego przynajmniéj stopnia spolszczony, trzymając karczmę w Królestwie na pograniczu Prus, szczęśliwemi obrotami przemytniczemi dorobił się ogromnéj fortuny. Żonie swojéj, gdy umierała,

przyrzekł, iż syna od siebie oddali i wychowa na człowieka, któryby inny tryb życia niż ojciec prowadzić mógł. Spełnia to przyrzeczenie, wychowuje i kształci syna za granicą: w Niemczech, Francyi, Anglii; daje mu inne nazwisko; a gdy już syn pełnoletnim został, wyjawia mu, na jego żądanie, skąd bogactwa pochodzą. W ostatnim liście, którym syna pożegnał, pisał do niego między innemi te słowa: „Bądź zdrów i żyj szczęśliwie; nazwiska mego i dziś ci nie piszę. Gdybyś był ciekawy kiedyś i koniecznie poczuł pragnienie odszukania grobu rodziców, to odnajdziesz nas na wiejskim cmentarzu, przy parafialnym kościele pewnéj wioski; leży ona w pasie granicznym od strony Prus. Dla silnéj woli niéma przeszkód; gdy będziesz chciał bardzo, odnajdziesz nas we wspólnym grobie; ale trzeba, abyś miał silną wolę, i dlatego właśnie i nazwiska wsi ci nie piszę“ (I, 171,2). Silnéj woli w Romanie Zawiejskim nie było, więc téż wioski rodzinnéj i cmentarza nie odszukał na razie. Zato rzucił się w wir rozrywek i zabaw wielkoświatowych; pomimo niezbyt wytwornéj fizyognomii przyjęty został do towarzystwa arystokratycznego, gdyż złoto wszystkie drzwi otwiera. Znużony tém, że cenią w nim posiadacza złota tylko, pragnął całą potęgą swéj duszy uczucia dla siebie samego. Znalazł je w żonie biednego, zapracowanego urzędnika, w kobiecie kierującéj się tylko temperamentem. Urodziła mu się córeczka. Przypadkiem urzędnik znalazł żonę sam-na-sam z Romanem. Wyniknął pojedynek, w którym padł biedny, zapracowany wyrobnik życia. Roman w oszołomieniu sądził, że żona zabitego przyjmie go za męża; stało się inaczéj. Helena znieważyła go i zagroziła zemstą. Zawiejski, po widzeniu się z Heleną powrócił do domu w paroksyzmie gorączki i przeleżał nieprzytomnie aż dwa miesiące. Po przebyciu choroby ujrzał się starcem i postanowił skończyć z życiem „fałszu i zbrodni.“ Miał wyraźny cel w życiu, jakby dziedzicznie po ojcu otrzymany: czuwać nad swoją córką, wychować ją, choćby podstępem odebrawszy od matki, i pokutować za przeszłość. Za pośrednictwem lichwiarza Putzgolda zamienił w szpitalu łóżko z umarłym czeladnikiem, Janem Werką i tym sposobem zdobył sobie nowe nazwisko a zarazem i fach nowy. Wszedł do fabryki, pracował jak prosty robotnik, gromadził spółkolegów koło siebie, oświecał ich i w wypadkach r. 1863 odegrał pewną rolę.

Pokuta, jak widzimy, udała mu się, ale nie udało się równie prędko odnalezienie córki. Helena, znając jego przywiązanie do dziecka, ukryła je przed nim tak dobrze, iż przez lat kilkanaście odnaléźć go nie zdołał; była-to jéj zemsta. Działając pod wpływem chwilowych popędów, wyrzekła się wprawdzie swego uwodziciela, pogardziła nim, ale na drogę cnoty wejść nie umiała; została nie-

rządnicą, a nie chcąc z sobą ciągnąć w kał i dziecka, zostawiła je na łaskę gospodarza domu, starego kawalera. Ten przywiązał się do dziewczynki, przyznał za swoję córkę, wychował i wykształcił. Lucia była bardzo miłém i niewinném dziewczęciem, pokochała towarzysza niegdyś swoich zabaw podwórzowych a następnie akademika Henryka. Gdy ten, lubo ją także kochał, znaglony przez matkę, wyjechał za granicę nie wypowiedziawszy serdecznego słowa, zachorowała; a po wyzdrowieniu zapragnęła używać świata. Poszukiwał wtedy posagu wyszarzały hrabia Adam Wierzejski. Za pośrednictwem Putzgolda, który jest w powieści figurą wszechpotężną, opatrznościową, zapoznał się z Lucią i ożenił się z nią, aby posiąść kamienicę i odkupić dawniejsze swe dobra. Ten hrabia Adam był łotrem skończonym i niedołęgą małżeńskim w dodatku. Marnotrawił majątek, żył tylko z ludźmi zaszarganymi, stał się wstrętnym żonie. Wtedy pojawia się jako pocieszyciel dawny ideał, Henryk, i usiłuje uwolnić Lucię od męża. W chwili największego powikłania spraw, staje wobec hrabiego Werka, dawniéj pod nazwiskiem Romana Zawiejskiego dobry jego znajomy, i po długiéj rozmowie w guście melodramatycznym, tak go ciśnie za gardło, że go dusi, lubo nieumyślnie. Ucieka, lecz następnie sam postanawia oddać się w ręce sprawiedliwości. Dążąc do najbliższego miasteczka, przechodzi przez wioskę rodzinną, modli się na grobie rodziców. Skazany na śmierć, otrzymuje serdeczne dzięki i tytuł męczennika od przybranego ojca Luci, któremu wyznał wszystko, i błogosławieństwo od córki, któréj poznać się nie dał.

Wszystkie te szczegóły mogą być nawet wprost wzięte z rzeczywistości, a jednakże w téj formie, w jakiéj je podał autor, w wielu miejscach wydają się nieprawdopodobnemi, sztucznie przez wyobraźnią skombinowanemi. Opowiadanie jest poprawne i wielekroć nawet zajmujące; autor umie się posługiwać środkami i środeczkami, które nie podnosząc istotnéj utworu artystycznego wartości, podobać się mogą czytającemu ogółowi. Natrącenia odnoszące się do wypadków roku 1863, wyprowadzenie na scenę z intencyą satyryczną figur, które zazwyczaj u nas są nietykalne; a oprócz tego niespodziewane wypadki i przygody: oto cechy wyróżniające tę powieść od całéj masy innych. Zdaje się, iż autor, poprawiwszy błędy metody już przestarzałéj i nie ubiegając się zbytecznie za gromadzeniem awantur, może dobremi utworami przysłużyć się naszym czytelniom.

Podobne błędy w metodzie, jak Jerzy Myriel, popełnia także Feliks Śrzeniawita, autor powieści „Z czarnéj godziny;“ ale talent jego jest innego rodzaju. Lubi on wprawdzie przygody, ale jeszcze rzadziéj żywe i dowcipne o nich opowiadanie; dla osiągnięcia tego

celu gotów przeniewierzyć się istocie charakteru postaci przez się stworzonych. Rozmowa musi toczyć się szybko i obfitować w dowcipy lub koncepta: na tém polega główne staranie powieściopisarza i zasadnicza jego ambicya. Skutkiem takiego dążenia dużo jest ruchu w jego powieści, ale ruch ten, niestety, jest bardzo jednostajnym; książka czytana z początku z zajęciem, w środku robi się trochę ckliwą, a w końcu, pomimo wprowadzenia rzezi galicyjskiéj, przestaje interesować.

Rodzaj kompozycyi musi być nazwany przestarzałym. Opowiadanie składa się właściwie z dwu nieproporcyonalnych części: jedna obejmuje przygodę człowieka znudzonego życiem i jéj skutki, druga zaś historyą tegoż człowieka przed przygodą, historyą opowiedzianą w sposób bardzo szczegółowy przez tegoż właśnie człowieka. Ta druga część jest-to fikcya nie mająca odpowiednika w rzeczywistości; jestto szczątkowy objaw w literackiéj twórczości, będący skutkiem bezwiednego może nawet dziedziczenia pomysłów po epopojach i starych romansach. Dziś nie jesteśmy tak cierpliwi, żebyśmy chcieli opowiadać, albo, co ważniejsza, słuchać biografij czyichś przez kilka czy kilkanaście wieczorów; skąpsi jesteśmy w słowa, zwłaszcza gdy jak p. Henryk Pokrzywnicki nie miał właściwie tak bardzo nad czém się rozszerzać; toż samo mógł daleko zwięźléj słuchaczom swoim przedstawić, témbardziéj, że nie należał do wielomównych, jak się z jego charakterystyki okazuje.

O charakterach, co prawda, w téj powieści nie może być mowy, jeżeli ten termin artystyczny w ścisłém weźmiemy znaczeniu. Naturalnie są tu powolni i prędcy, są oryginały i ludzie zwyczajni, ale o ich charakterze nie przekonywają ich słowa ani nawet czyny w konsekwentnym swym rozwoju; pewne jedynie wyrażenia, pewne giesta i ruchy stereotypowo powtarzające się mają uprzytomniać czytelnikom ich osobistości, które bez tych oznak czysto zewnętrznych można by z sobą pomieszać.

Treść utworu tak jest szczupła, że w niewielu da się przedstawić słowach.

Henryk Pokrzywnicki, 36-letni mężczyzna, odznaczający się „mglistém usposobieniem, drzemotą wyobraźni i letargiem uczucia,“ odtrącił przez nieuwagę jakiegoś pana na ulicy, który przez nieuwagę również wpadł na niego. Ponieważ odtrącony, który się nazywał także Pokrzywnickim, żądał zadość uczynienia, musiał się więc odbyć pojedynek. Ale ponieważ nie było istotnéj obrazy i ponieważ powierzchowność młodzieńca była sympatyczna, więc po pojedynku nastąpiła serdeczna zgoda i przyjaźń. Raniony Pokrzywnicki N. 2 leczył się u Pokrzywnickiego N. 1 a gdy się wyleczył, pozostał

wraz z swoim sekundantem, jako dzierżawca jednego majątku Pokrzywnickiego Henryka na warunkach niesłychanych, gdyż bez wydobycia grosza własnego nacobądź. Trzéj przyjaciele żyli sami dla siebie w swojém kółku, do którego dopuścili tylko majora, gawędzili, rozprawiali; jeden z nich, ów sekundnnt, trochę się kochał. Tak doczekali się rzezi galicyjskiéj, Gdy Pokrzywnicki Henryk i Zakrzewski (sekundant) polegli po mężnéj obronie, imiennik Henryka, cudem niemal ocalony, został jego spadkobiercą.

Całe opowiadanie, z wyjątkiem kilku szczegółów, obraca się w jakimś świecie wymarzonym i od zwykłych, realnych stosunków jest bardzo dalekie. Ale ponieważ trzymane jest w tonie lekkim, swobodnym, ponieważ autorowi nie chodziło tyle o przekonanie czytelników, że to, co opowiada, jest prawdą, ile o ich zabawienie, nie robimy wielkiego nacisku na tę stronę utworu. Maniera przypomina dawniejsze powieści Władysława Łozińskiego, zarówno w budowie utworu jak i w stylu. Ze szczegółów zwrócę uwagę na jednę okoliczność ważną u belletrysty, który daty szczegółowe lubi podawać. Rzecz się dzieje w r. 1835. Pokrzywnicki opowiada swoim przyjaciołom, iż z panną Florą, którą kochał, rozmawiał o poezyi i poetach. „Porównywaliśmy—powiada—Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego i cieszyliśmy się spólnie, że społczesna literatura zagraniczna, pomimo swoich pretensyj, nie posiada takich mistrzów; ja mówiłem szczególniéj o dwu pierwszych, a ona dołączała do nich trzeciego, którego prawie nie znałem“ (str. 102). Takie zestawienie tych trzech nazwisk poetów naszych ustaliło się zaledwie przed laty dwudziestu kilku; w roku 1835 było ono wprost niemożliwe, gdyż Słowacki wydał już był wprawdzie 4 tomiki swoich poezyj, ale uznanie znajdował tylko w szczupłém bardzo kółku znajomych; Krasiński zaś dopiero w tym r. 1835 ogłosił pierwszy poemat znakomity tj. „Nieboską komedyą,“ która nazwiska jego rozgłosić nie mogła, gdyż była bezimiennie wydana, a nadto sam poeta starał się o to wszelkiemi możliwemi środkami, ażeby nazwisko to do wiadomości ogółu nie przeszło.

Próżność rodowa: oto temat powieści p. Anieli Tripplinównéj. Wyraz temat zastosowany do tego utworu jest może najwłaściwszy. Istotnie bowiem p. T. obrała sobie temat i obrobiła go z wielką pracą i szczegółowością. O grupowaniu scen, o układzie części, o subtelnéj charakterystyce osób, wogóle o wymaganiach artyzmu nie myślała zbyt długo, pochwyciwszy w pewnym punkcie nić biograficzną, snuła ją wytrwale dopóty, póki się sama nie urwała. Utwór jéj ma charakter artykułu rozciągniętego do obszerności 340 stronic.

Amelia, księżniczka Różyńska z domu, doczekawszy się ruiny majątkowéj i staropanieństwa, potrafiła oczarować szlachcia, który z ubo-

giego stanu potrafił pracą i oszczędnością dorobić się fortuny. Zostawszy panią Zborowską, dała mężowi syna a sama dla poratowania wiecznie lichego zdrowia pojechała za granicę, gdzie przebyła mniéj więcéj lat osiem, żyjąc na wielką stopę wśród arystokratyczno-klerykalnego towarzystwa. W roku dziewiątym wróciła pod dach mężowski, by się zająć wychowaniem synka Romcia. Przeraziła się, ujrzawszy, że ten „syn księżniczki" wyglądał jak „chłopiątko," włosy miał rozczochrane, paznogcie niezaokrąglone i niestarannie utrzymane; do buduaru mamy wpadał jak do kuchni. Przeraziła się jeszcze bardziéj, usłyszawszy, że wraz z krewniakami nizkiéj kondycyi u cioci kleił pudełka, które sprzedawano na korzyść żebraków żytomirskich. Reforma w systemie wychowania Romcia była, jéj zdaniem, nieodzowną. Wymogła na mężu nie argumentami, które go nie przekonywały, lecz spazmami, na które zawsze jeszcze był czuły, że na lat kilka powierzy jéj syna bezwarunkowo. Przez te lat kilka Zborowski zapracowywał się dla zostawienia synowi jaknajwiększego majątku, a p. Amelia poddała swego syna pod wpływy arystokratyczno-klerykalne, oderwała od krewnych ojca, którzy byli tylko prostą szlachtą, a zbliżyła z krewniakami własnymi, którzy należeli do najwyższéj w kraju arystokracyi; w końcu zobojętniła go względem ojca jak najzupełniéj. Śmierć zacnego, ale słabego człowieka, który przez cały ciąg pożycia był tylko plenipotentem swéj żony, kończy pierwszy okres w rozwoju duchowym „syna księżniczki."

Drugi okres nazwaćby można uczuciowym. Hieronim Zborowski zakochał się w bogatéj, pięknie i dobrze wychowanéj szlachciance a nawet zaręczył się z nią; ale matka, która dla syna swego pragnęła związku ze sferami wyższemi, używa podstępu, bo, jakkolwiek pobożna aż do bigoteryi, fałszem i obłudą posługiwać się lubiła. Wiezie go do Odesy pod pozorem przygotowań do ślubu, zapoznaje z wypróbowaną kokietką, baronową von Linde i oddaje go pod jéj tresurę. Szkoła życia światowego, którą pod jéj kierunkiem przebył Hieronim w bardzo krótkim przeciągu czasu, wybiła mu wprawdzie z głowy narzeczoną—szlachciankę, ale przykuła natomiast do stóp potężnéj a igrającéj z uczuciami ludzkiemi kobiety. Szalejąc za nią, marnował majątek. Chcąc to szaleństwo uśmierzyć, matka, po rekolekcyach u jezuitów w Rzymie, wysłała synaczka do Paryża, ażeby się zanurzył w uciechach zmysłowych. Lekarstwo poskutkowało: Hieronim wystudził swe serce nietylko względem baronowéj, ale i względem kobiet wszystkich wogóle.

Zmarnowawszy pracę ojca i pozbywszy się uczuć, staje się Hieronim w trzecim okresie swego rozwoju łowcem posagowym czyli nowożytnym Argonautą. Naturalnie matka konkurami jego kieruje,

pchając go do sfer z sobą spokrewnionych. Plany jéj najfatalniejszéj wszędzie doznają porażki; z tych lub innych względów arystokracya przyjmuje wprawdzie bardzo grzecznie Hieronima Zborowskiego, ale go do spokrewnienia z sobą dopuścić nie chce. Ośmieszony swemi niefortunnemi obrotami, napróżno zmieniał Hieronim arenę swoich występów; wszędzie doścignęło go niepowodzenie. Z początku szukał ładnéj i młodéj, potém za radą matki, nie brakował wcale szeregu możliwych do wzięcia kobiet, gdyż, jak mówiła Amelia „dla mężczyzn miłość w małżeństwie to rzecz bardzo podrzędna, bo oni mają prawo pocieszania się ubocznemi miłostkami, bez ujmy dla honoru, lub osobistéj godności: tak czynił ojciec mój, książę Różyński, dziad mój, hrabia Andrzej, stryj Kalikst... tak czynią wszyscy wielcy panowie“... (219). Skutkiem takich refleksyj, szukał Hieronim żony wśród bogatych parweniuszów, ale i tu mu się nie powiodło—nie miał magnesu, nie miał tytułu hrabiego, a jego koligacyj w tych sferach nie ceniono.

Nareszcie przyszła nieunikniona katastrofa: dziwić się tylko można, że tak późno. Szabanówka wystawiona została na licytacyą; możnaby było ostateczności téj uniknąć, gdyby się zaparło sumy 35 tysięcy człowiekowi, który nie mógł jéj, jako skazaniec, prawnie egzekwować. Amelia Zborowska doradzała ten krok synowi, ale ten miał jeszcze w duszy resztki uczciwości, może dziedzicznie po ojcu spadłe, i legalnego występku dopuścić się nie chciał. Sądził, że krewni, o których mu tyle matka mówiła, zechcą dla podtrzymania rodu uczynić ofiarę, pożyczyć 60 tysięcy na uratowanie Szabanówki. Ale się zawiódł. Krewni o pożyczce słyszéć nie chcieli, tak samo jak i towarzysze hulanek Hieronima, złota młodzież arystokratyczna. Najzacniejsza z pomiędzy krewnych doradziła mu pracę i dała wsparcie i list polecający do bankiera Schnabla, żeby mu nastręczył zajęcie. Najprzewrotniejszy z pomiędzy młodzieży zaproponował mu ożenienie się z bogatą niby-wdową po pewnym senatorze... Hieronim zdecydował się na pracę za 500 rs. rocznie, ale doświadczywszy parę upokorzeń ze strony ubogich spółpracowników biura, z któremi „żyć nie chciał, po miesiącu roboty, do któréj nie miał żadnéj ochoty, uczuł się niezdolnym ani do wytrwania na obranéj drodze, ani do samobójstwa. Udał się więc o protekcyą do owego przyjaciela i ożenił się z niby-wdową po senatorze. Gdy matka dowiedziała się, że syn wziął utrzymankę za żonę a przytém grube pieniądze, przebaczyła mu, bo „więcéj w niebie radości z jednéj nawróconéj grzesznicy, niż z dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwych“; ale gdy usłyszała, że taż grzesznica jest córką woźnego teatralnego i straganiarki, przeklęła syna i... skonała.

Zarzucano téj powieści, że jest nieprawdopodobną; pytano się, gdzie są takie arystokratki jak Amelia Zborowska, cierpiąca widocznie na monomanią wielkości. Nie zdaje mi się, ażeby zarzut był słusznym. Widocznie podobne objawy istnieją w różnych zakątkach kraju, kiedy nie sama tylko p. Tripplinówna na nich osnuła swe opowiadanie, — dość przypomnieć „Pampalińskich“ Orzeszkowéj — tylko sądził-bym, że nieumiejętne traktowanie przedmiotu, podawanie go w surowéj niemal formie, bez głębszéj analizy i cieniowania, sprawia, iż się czuje tu i owdzie pewne nieprawdopodobieństwo.

Wszystkie dotychczas rozpatrywane utwory wykazują wyrobioną już nieraz w wysokim stopniu wprawę pisarską; styl wprawdzie nie u wszystkich jest giętki; owszem zauważyć można, iż opócz pp. Dygasińskiego i Sygietyńskiego niéma starania o charakteryzowanie ludzi za pośrednictwém właściwéj im mowy; ale w każdym razie rozpatrywany pod względem poprawności niewiele pozostawia do życzenia; jedynie chyba p. Tripplinównie poradzić-by można, iżby potoku swéj wymowy nie kaziła niegramatycznemi formami czasowników w czasie przeszłym i nieumiejętném użyciem dopełniacza.

Inaczéj rzecz się ma z p. Czeremoszem. Praca jego „W przedeniu“ robi takie wrażenie, jakby była przełożona z obcego języka. Mową i stylem polskim autor władać nie umié i dobrze potrzebuje popracować, zanim po raz drugi do pisania powieści się zabierze. Wyrażenia: „nie powinieneś zatruwać jéj *młode serce*“, „czy nie mamy *żonę* i *dzieci*“ są nie polskiémi tak samo, jak wiele innych tego rodzaju. „Pani Gocka dziś *jest* już prawie *dobrze*“: tak sformułowane zdanie można wprawdzie słyszéć dosyć często, ale od tych, co się gramatyki polskiéj nigdy nie uczyli, albo jéj oddawna zapomnieli. Kto pisze: „tak mało znała *uczuć i objawów tychże*, że na myśl jéj nie przyszła prawdziwa przyczyna jéj *obchodzenia*“ (str. 61); ten nie umié sobie dać rady ani z pojedyńczemi wyrazami, ani ze składnią języka polskiego. Kto nie unika takiego zbiegu wyrazów: „wszyscy *cisnęli się*, by *uściskać* rękę“, lub: „najprostsza czynność w *inném* świetle i barwach *mi się* przedstawia *jak innym*“: ten z początkami stylistyki jaknajpilniéj zapoznać-by się powinien.

Treść powieści Czeremosza o tyle jest ciekawą, że dotyka bytu mieszczan krakowskich, że parę szczegółów podaje widocznie z obserwacyi. Ale na tém właściwie kończy się wszystko, co można powiedziéć na korzyść osnowy powieściowéj. Wątek jéj, charaktery, nawet sposób przedstawienia zanadto przypominają utwory pp. Schwartz i Carlen. Jest tu i ten tak dobrze znany szorstki, z konwenansami nieobyty, ale głęboki i rzewny charakter mężczyzny kupca lub fabrykanta, i ta kapryśna, marzycielska, a jednak zacna i ser-

deczna natura kobieca, która w drobném, wątłém ciele ukrywa potężną siłę wytrwania i poświęcenia, i ta znów inna natura kobieca, zawiedziona w swojém uczuciu, chmurno poglądająca na świat, nie cierpiąca wesołości u innych, zazdrosna, podejrzliwa, ale łatwo się przemieniająca, gdy promyk szczęścia dla niéj zabłyśnie, gdy ów zawód młodociany przestanie być zawodem. Charakter znowu nauczyciela wiejskiego, socyalisty, gardzącego formami towarzyskiemi dlatego, że ich nie zna, zarozumiałego i porywczego, nasuwa na myśl postać Drabika tak świetnie przez Kaczkowskiego we „Wnuczętach" przedstawioną; tylko uszlachetnienie jego pod wpływem miłości jest pomysłem Czeremosza.

Pan Starża, który według autora był „mimowiednie nawskroś rycerską naturą, jakąś pozostałością po przodkach, owych mieszczanach Kazimierzowych, chwytających zarówno miecz dla wypędzenia wroga, jak krédkę, by z przezornością ciężko pracującego nie uronić nic ze zdobytych majątków" (str. 15), po długim pobycie zagranicą powróciwszy do domu chciał podnieść położenie klas pracujących; zbudował więc fabrykę, dawał robotnikom wyższą zapłatę niż zwykli przedsiębiorcy, użyczał zasilków i zapomóg, starał się kształcić lud, zakładając szkółki. Zacne jego usiłowania rozbijają się najprzód o niepraktyczność pomysłu, a potém o niechęć ludzką; fabryka podpalona spłonęła. W fabryce podczas pożaru znajdował się Starża. Dla wyratowania go rzucił się z jednéj strony nauczyciel wiejski, który wiedząc nie dał znać o pożarze, a z drugiéj strony chłopi. Chłopom zawdzięczał ocalenie, „i dziś, kończy autor, we wsi L. fabryka wre życiem i daje utrzymanie setkom robotników, gdyż nauczony doświadczeniem nie stwarza on (Starża) filantropijnych fabryk, ale oparte na gruncie zobopólnych korzyści. Pomaga mu dzielnie pani Stanisława Starżowa (która z rozpieszczonego dziecka stała się dzielną niewiastą), niepoprawna w swych popędach entuzyastycznych; szkółki i przytułki zostają pod jéj wyłączną opieką; *zaś* na czynione jéj uwagi odpowiada: pomoc biednym, a niezaradnym nie jest dobrodziejstwem, lecz obowiązkiem".

Opowiadanie ujęte jest w formę szkicową; stąd powiązania pomiędzy scenami są luźne, nieumotywowane koniecznością psychologiczną, lecz według potrzeby przez autora dowolnie stwarzane. Niezaradność w prowadzeniu rozmowy daje się niekiedy czuć dotkliwie; opis marzeń naiwnych natomiast jest udatny: dowodziło-by to, że w autorze tkwi jakaś żyłka poetyczna, któréj powiastka na szarém tle osnuta może głównie zawdzięcza jakieś jaśniejsze zabarwienie. Myśli rozsiane tu i owdzie dowodzą, że Czeremosz nie bierze spraw życia powierzchownie.

P. Chmielowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA

I WRAŻENIA LITERACKIE.

Giraud-Teulon: Początki rodziny. Stany społeczne, poprzedzające ustrój patryarchalny. Przełożył z francuzkiego T. Wr. Warszawa. 1884. Nakładem B. U. D. G.

Ostatni rozdział pierwszego tomiku i pierwszy drugiego pracy Lubbocka, w przekładzie polskim, p. n. „Początki Cywilizacyi Ludzkiéj“ (Warszawa, 1873), obznajomił czytelnika naszego dosyć dokładnie z obecnym stanem badań o początku i składzie rodziny pierwotnéj. Niniejsze dzieło pana G.-Teulon różni się nieco od poglądów Lubbocka i innych pisarzy, którzy téj kwestyi dotykali. Że zaś odznacza się gruntownością i jasnością wykładu, przy wielkiéj erudycyi, pozwalam sobie je tutaj streścić; przy czém różnice w zapatrywaniu się Lubbocka i naszego autora same przez się ukażą się czytelnikowi, znającemu dzieło uczonego anglika.

Wielką zaletą pracy pana Teulon jest wystudyowanie pism dawniejszych, tę samę materyą traktujących: Bachofena „Das Mutterrecht“ (1861), Mac Lennana „Primitive Marriage“ (1865) i Morgana „Systems of Consanguinity“ (1871), a także obszerna znajomość mnóstwa podróży, od najdawniejszych, do najnowszych: Munzingera, Duveyriera, Du Chaillu, De Varigny, Burtona i innych.

W przedmowie autor zbija dotąd powtarzane, a mylne mniemanie: jakoby stan patryarchalny był pierwotnym obrazem rodziny. Nie patryarchalnym, ale *matryarchalnym* raczéj-by go nazwać można, bo u ludów pierwotnych nie ojciec dawał dzieciom imię, majątek, opiekę i miłość, ale matka i jéj rodzeństwo.

W następnych rozdziałach p. Teulon dowodzi faktami, że taki stan rzeczy istnieje jeszcze, lub niedawno istniał u bardzo wielu plemion starego i nowego świata; że się praktykował u starożytnych Licyan i wogóle w Azyi Mniejszéj, a także u Etrusków i po części u dawnych Egipcyan. U tych ludów rola ojca ogranicza się prawie do roli życiodawcy: pokrewieństwo pomiędzy synem a rodziną ojca, a nawet samym ojcem, nie istnieje; a że u niektórych szczepów dziś jeszcze praktykuje się obok tego wielomęstwo, więc ojciec dziecka

jest nawet niewiadomy. Krewnymi dziecka są tylko: matka, rodzeni bracia i siostry, wujowie i ciotki po kądzieli: pojęcia stryja lub ciotki po mieczu, brata lub siostry stryjecznéj istnieć tu nie mogą. W praktyce więc takie następstwa z tych zasad wynikają: że nieraz, np. ojciec należy do innego szczepu niż syn jego; że dziedziczy się tylko po matce i jéj rodzeństwie (po ojcu dziecka bierze spadek jego tj. ojca siostrzan); że nazwisko dostaje się matczyne; że w razie pozostania w rodzinie samych tylko mężczyzn, ród uważa się za wygasły, zgoła odwrotnie niż u nas; że wreszcie małżeństwa nie czują nieraz potrzeby mieszkania razem i po pobraniu się żyją przy swoich rodzinach. Zasadą tu jest maksyma, powtarzana przez Tuaregów; „żywot (matki) barwi dziecko“, to jest: do tego rodu, plemienia, stanu i majątku ma prawo dziecię, co jego matka. Dziś jeszcze taki porządek rodzinny panuje u ludów niearyjskich w Indyach, na wybrzeżu Malabarskiém u Nairów, u Indyan Czerwonoskórych, u wielu szczepów afrykańskich, na Sumatrze, w Nowéj Zelandyi i gdzieindziéj.

Zkąd powstał taki obyczaj? Nie zkądinąd, jak z pierwotnego tak zwanego heteryzmu, czyli małżeństw na współkę, które w starożytności opisywał Herodot, Ksenofon, a za naszych czasów istnieją jeszcze u niektórych plemion Nowéj Zelandyi, Ameryki Południowéj, wysp Andamańskich i Nikobarskich, a po odkryciu Ameryki praktykowały się jeszcze w Meksyku, Peru, Jukatanie. Przy wspólności żon i mężów niepodobna bylo prowadzić rodowodów po mieczu: jedyną drogą było stopniowanie pokrewieństwa po matce, bo tę tylko z pewnością oznaczyć umiano dla dziecka; *mater semper certa*, mówiło prawo rzymskie, ojca uważając za fikcyą jurydyczną, za hipotezę... Śmiało więc przypuszczać można, że wielka część ludzkości (jeżeli nie cała) przyszła do zwyczaju małżeństwa po przebyciu długiego „okresu zooligicznego“, w którym kobieta, tak jak wszelka własność, była wspólną dla całego plemienia; potém, z postępem uobyczajenia, stala się wspólną własnością krewnych, rodziny, tj. mężczyzn ją składających (braci, wujów, synowców); później dopiero, wbrew zwyczajom i religiom, ustaliło się małżeństwo w takiém rozumieniu, jak je dziś pojmujemy. Są ślady takiego postępu i w pisarzach starożytnych, a nowsze badania stanu dzikich ludów niewątpliwie to stwierdzają. Jednocześnie ustalało się w dziejach i pojęcie własności wogóle, którego posiadanie kobiety było jedną z form tylko. Lecz, że wyłączne posiadanie czy-to rzeczy jakiéj, czy kobiety, w stosunku do pierwotnego komunizmu i początkowych wyobrażeń religijnych, było pogwałceniem zasad odwiecznych, długo przeto w zwyczajach, tak religijnych, jak społecznych uczuwano potrzebę odwoływania się do starodawnych porządków; w religii odbi-

ło się ono prostytucyą kultową, hierodulstwem, ofiarami dziewictwa na cześć bóstw zagniewanych i tym podobnemi wstrętnemi dla nas zwyczajami; w życiu zaś społeczném przechowało się, słabnąc stopniowo, w pojmowaniu małżeństwa, jako wspólnego dla braci rodzonych, w tolerowaniu rozwiązłego życia dziewic przed ślubem, w ohydném *jus primae noctis*, w uwalnianiu wdów od skromności itd.

Za przykład pierwotnego stanu wspólności małżeństw służyć mogą Hawajczycy (mieszkańcy wysp sandwickich). Aż do przeszłego wieku istniał u nich taki porządek rzeczy. Rozróżniali oni w języku i w życiu tylko *pokolenia*, ale nie stopnie pokrewieństwa osobistego. W jedném przeto plemieniu znali tylko pięć stopni pokrewieństwa: dziad, ojciec, ja, moje dzieci, moje wnuki; wyrazów, odpowiadających naszym *ojciec*, *matka* nie mieli, mówili: *rodzic i rodzica*, stosując nazwy te nie tylko do ojca i matki, ale do ciotek, wujów, stryjenek, stryjów; *brat* oznaczał tak dobrze rodzonego, jak ciotecznego, wujecznego i stryjecznego itp. Oczywiście więc pojęcie rodzonego brata i siostry nie istniało, a przeto nie było i pojęcia o kazirodztwie: pożycie osób jednego stopnia pokrewieństwa (braci, siostr rodzonych i dalszych) było wspólne. Dziecko więc było dzieckiem nie rodziców, ale całego takiego oddziału pokolenia, który między sobą tytułował się braćmi i siostrami. Taki stan przetrwał tam aż do XVIII wieku; wówczas dopiero pojawiło się pojęcie pokrewieństwa po kądzieli, co było oczywistym postępem; pojawiły się także wyrazy oznaczające ojca i matkę.

To samo co na wyspach Sandwickich, praktykowało się i w części praktykuje w wielu krajach Azyi, Oceanii i Ameryki. Przypuszczać więc należy, że było tak wszędzie w czasach starożytnych, a prawdopodobnie i u szczepów aryjskich i semickich.

Utworzenie się klanów, czyli rodów, lub raczéj grup rodowych, połączone z tak zwaną egzogamią, czyli żenieniem się z osobami, należącemi do obcego klanu, było wielkim postępem w dziejach rodziny: ustało kazirodztwo, a wspólność małżeństw ograniczyła się do pewnego stopnia. Pojawiły się nazwy i pojęcia: wuja, ciotki, brata i siostry ciotecznych. Odtąd już tylko z obcą można było mieć pożycie; bracia więc mieli żony wspólne, ale już brat nie mógł żyć z siostrą. Zabytkiem takiego stanu są języki (np. Indyan Czerwonoskurych, Chińczyków), nie odróżniające stryjów, synowców, nazywające ich, jak dawniéj, ojcami, synami, ale mające już nazwy ciotek, siostrzanów itd. Co mogło sprowadzić egzogamią? Mac Lennan domyśla się, że zwyczaj zabijania nowonarodzonych córek, jako istot obciążających dzikie społeczeństwa,— zwyczaj do dziś dnia w Chinach i Afryce praktykowany. Innym objawem egzogamii było porywanie dziewcząt od obcych. Zwyczaj ten zachował się w całéj

swéj siłę w wielu krajach Azyi, w Australii itd.; a jako zabytek symboliczny trwa nawet u ludu naszego. Gdy zakaz pożycia z blizkimi krewnymi wszedł w obyczaj, chęć przestrzegania jego wyraziła się energicznie, zabraniając np. ojcu widywać dorosłą swą córkę, zięciowi teściową, synowéj teścia itd. Tym sposobem tylko da się wyjąśnić dzisiejsze istnienie takich zakazów u różnych ludów ziemi.

Jak liczenie pokrewieństwa po kądzieli było wynikiem egzogamii i zakazu pożycia z rodzeństwem, tak znowu pojawienie się stanu patryarchalnego rodziny, czyli ukazanie się idei powinowactwa po ojcu, musiało być w związku lub przynajmniéj jednocześnie się rozwinąć z życiem osiadłém i większém poczuciem własności ziemi, zwierząt domowych i wogóle dóbr rzeczowych. Niepodobna bowiem wywodzić uczucia ojcowstwa z wrodzonego instynktu ludzkiego, bo w istocie u ludów dzikich stosunek dzieci do ojca wcale czułym nie jest, owszem prawie zawsze nieprzyjaźnie się rozwija po dorośnięciu potomstwa. Przejście od stanu pokrewieństwa przez matkę do obyczaju patryarchalnego musiało się odbywać bardzo powoli i pod wpływem praw konieczności, których dziś wykryć jest już prawie niepodobieństwem. Zdaje się, że odbyło się ono nie od razu i miało stopnie przejściowe. Za jeden z takowych można np. uważać obyczaj dziś jeszcze zachowujący się u plemienia Todów (w Indyach) że kilku braci mają jednę żonę, a z potomstwa jéj najstarsze uważa się za dziecię najstarszego męża, drugie z porządku—młodszego i t. d. Autor nasz sądzi, że poczucie pokrewieństwa po mieczu wzmocniło się jednocześnie z rozrostem władzy domowéj jednostek; mniema, że pojęcia *pater* (pan, chlebodawca) i *genitor* (rodzic, życiodawca) były pierwotnie nie jednoznaczne, lecz że z czasem dopiero utożsamiły się w mowie i wyobrążeniach. Lecz nim przyszło do tego, jedną z ważniejszych przeszkód był zwyczaj kupowania żony, odsługiwania za nią i uważania jéj dzieci za własność rodziny czy klanu macierzystego; taki stan rzeczy trwa u wielu plemion dzisiaj jeszcze. Tam gdzie go niéma, istniał zapewne dawniéj i dał się usunąć skupem praw rodziny żony na nią samę i jéj potomstwo. Skup taki objawiał się nieraz zamianą: mąż, chcąc żonę mieć na własność, oddawał za nią jéj ojcu lub braciom albo własną siostrę, albo pierwszą córkę swoję, którą brat jéj matki miał obowiązek poślubić. Dążenie do założenia rodziny patryarchalnéj objawiało się także w formie małżeństw z niewolnicami: takie czyniły ojca zupełnym panem w rodzinie i u wielu plemion upoważniały go do przekazywania dzieciom niewolnic całego lub ruchomego tylko mienia, gdy dzieci zrodzone z wolnéj żony dziedziczyły po wujach i do ich rodziny należały. Widocznym śladem przejścia od zwyczajów matryarchalnych do patryarchalnych są prawa Basków francuskich, które się zachowywały

aż do drugiéj połowy XVIII wieku i dziś się praktykują, ile na to kodeks francuzki pozwala. Dziedziczy tam tylko dziecię pierworodne jeżeli jest płci męzkiéj, nosi nazwisko ojca; jeżeli żeńskiéj, przybiera nazwę matki, a wychodząc za mąż, przenosi nazwisko i na małżonka, to jest ten traci swoje, a nazywa się nazwiskiem matki swojéj żony. Coś bardzo podobnego istnieje jeszcze i w Japonii.

Prowadząc daléj swoje wywody, autor nasz objaśnia tak zwaną Kuwadę w sposób zdaniem mojem, najtrafniejszy z dotychczas podanych. Wiadomo zapewne czytelnikowi, że obyczaj ten, istniejący dodziśdnia u Basków i u wielu plemion dzikich lub napół dzikich kuli ziemskiéj, opisywany nieraz przez starożytnych, wymaga, aby mąż zaraz po wydaniu na świat dziecka przez jego żonę, położył się w łóżko i udawał słabego, naśladując ruchy i jęki rodzącéj małżonki, przyjmując powinszowania i leki od sąsiadów, gdy tymczasem prawdziwa rodzicielka krząta się koło domowstwa i kuchni. Otóż p. Teulon w taki sposób tłómaczy dziwny ten zabytek: gdy stan patryarchalny zaczął brać górę nad matryarchalnym, powiada, mężczyzna czuł potrzebę jawnego i niewątpliwego okazania, że jest nie jednym z ojców, ale jedynym rodzicem dziecka; według więc wyobrażeń ludów nawpółdzikich, tak lubiących wszelkie obrzędy i tak wierzących w ich skuteczność, naśladując matkę, odgrywał komedyą porodu i tym sposobem podzielał z nią niewątpliwość jéj macierzyństwa i starożytne jego przywileje, idące w niepamięć z nastaniem okresu patryarchalnego.

Autor nasz przypuszcza, że w starożytnéj Grecyi i Rzymie pierwéj istniało pokrewieństwo przez matkę, a że stan patryarchalny rozwinął się znacznie późniéj. W adopcyi rzymskiéj i w owém *podnoszeniu* dzieci przez ojca, czyli uznawaniu ich za własne, widzi ślad przełomu w pojęciach o rodzinie, przejścia z teoryi macierzyńskiéj do ojcowskiéj, odpowiedni kuwadzie innych plemion. Wbrew wyobrażeniom tradycyjnym, że rody były zawiązkiem społeczeństw klasycznych, że z ich łączenia się powstawały pokolenia, mniema odwrotnie: że pokolenia czyli klany (*tribus*) są formą pierwotną, z pokrewieństwem po kądzieli; że skutkiem egzogamyi potworzyły się w nich rody (*gentes*) i że z czasem dopiero, z nastaniem rodziny indywidualnéj, liczącéj stopnie pokrewieństwa po mieczu, potworzono domniemanych przodków czyli założycieli rodów; że wreszcie niektóre bogatsze rodziny wcześniéj od innych doszły do stanu pokrewieństwa przez ojców czyli po mieczu i te to właśnie historya zastała jako rody patrycyuszowskie; plebs zaś późniéj przyszedł do rachowania rodowodów po mieczu i dlatego za coś niższego był uważany, chociaż i on z czasem zarzucił liczenie pokrewieństwa po kądzieli. Tym samym sposobem autor stara się i w dawnéj Grecyi i w Egipcie

starożytnym odkryć ślady matryarchalności, tłómacząc niektóre niezrozumiałe lub dziwne wzmianki pisarzy starożytnych zwyczajami ludów dzisiejszych, szczególnie afrykańskich. Kończy spostrzeżeniem, że w niektórych razach podbój obcy lub wytworzenie się bogatszych rodów wprowadzić mogły przełom w odmiennych zwyczajach.

Praca pana Giraud-Teulon należy niezawodnie do najlepszych w swoim rodzaju i odznacza się wielką gruntownością, jasnością wykładu i przedmiotowem traktowaniem rzeczy. Przykro nam bardzo, że przekładu polskiego téj książki nie możemy wcale pochwalić. Tłómacz polski winien przecię tyle wiedzieć o Zaporożu, żeby nie powtarzać, że niby „u Kozaków Zaperożskich pokrewieństwo i rodowód wywodzą po linii żeńskiéj“ (str. 10—11); nie powinien w r. 1884 pisać o „Ameryce rosyjskiéj,“ skoro Rosya odstąpiła dawno swe posiadłości w Ameryce Stanom Zjednoczonym; tłómacz polski nie potrzebuje pojęcia „zemsty rodowéj“ objaśniać za pomocą włoskiego wyrazu *vendetta.* Trudno się wstrzymać od uśmiechu, czytając, że „sznurek pępkowy cieszy się“ (29), lub spotykając „więzy urodzenia“ (4) zamiast węzłów. Przymiotniki od nazw geograficznych tworzone ukazują się w nieznanéj dotąd postaci: są tu „kapłani etyjopejscy“ (15) obok „plemion berberskich“ (19) albo „barbarskich“ (105) i „turceinnych“ (124—125) oraz „gałęzi ugrskiéj i turkskiéj“ (74). Formę społeczną nazywa tłómacz „formą towarzyską“ (4), posiadanie „władaniem (90), dziedziczenie „następstwem“ (91, 112), obszerną przestrzeń na kuli ziemskiéj zowie „obszerną powierzchnią“ (30). Wykazanie wszystkich błędów co do języka za wiele by nam zajęło miejsca; dosyć będzie gdy przytoczymy takie np. wyrażenia „na czele swéj rodziny zupełnie uformowanéj lub *do tego* blizkiéj“ (2); „krajowcy... słyną sposobem i formułką“ (10) tj. ze sposobu i formułki; „brata od téj saméj matki“ (23); „aż do najścia Hyder-Ally“ (27); „nie daje prawa mężowi zaprowadzić żonę“ (99); „traci swe nazwisko i nosi takowe swéj żony“ (113); „który się *przez* pozorną prostotę zaleca“ (131) itd. Sporą liczbę omyłek drukarskich (np. w odsyłaczach na str. 92, 102, 106, 107, 116, 124—125, 126, 128, 130, 148) szczególniéj w nazwiskach autorów i tytułach dzieł, chyba zupełném pominięciem korekty objaśnić by sobie można. *J. K.*

= **Przepisy dla ruchu pociągów kolejowych** zestawił A. Teleżyński. Lwów 1884. Dzieło powyższe wyszło we Lwowie w téj saméj chwili, kiedy sejm przekazał komisyi kolejowéj wniosek posła Hausnera o rewizyą statutu organizacyjnego dla kolei państwowych. Nie sam przypadek tak zrządził. *Przepisy*, obok użyteczności praktycznéj, stanowią przyczynek do dziejów tego wniosku i wogóle

sprawy kolejnictwa polskiego, tudzież kwestyi wprowadzenia języka polskiego w wewnętrznéj służbie kolejowéj w Galicyi. Wiadomą jest geneza wniosku hausnerowskiego. Sejm galicyjski udzielił z funduszów krajowych subwencyą na budowę kolei Transwersalnéj, któréj przeprowadzenia domagały się w pierwszym rzędzie interesa państwowe, pod tym warunkiem, aby tak przy budowie jéj, jak w zarządzie i eksploatacyi były uwzględnione interesa krajowe. Domagano się tak dla niéj, jak i dla całéj sieci kolei państwowych w Galicyi jeneralnéj dyrekcyj, z siedzibą w kraju, użycia sił krajowych, obsadzenia posad krajowcami i wprowadzenia języka polskiego jako urzędowego w służbie wewnętrznéj i zewnętrznéj. Przez dwa lata toczyły się rokowania między delegacyą galicyjską w Wiedniu a ministeryum handlu, którego przyrzeczenia w małéj tylko części zostały spełnione. Utworzono aż dwie dla Galicyi dyrekcye ruchu, jedną we Lwowie, drugą w Krakowie, ale tak dalece skrępowane w działalności swojéj na rzecz jeneralnéj dyrekcyi w Wiedniu, że bez jéj zezwolenia prostéj niemal łopaty lub rydla kupić nie mogą. Taką centralizacyą starano się wytłómaczyć względami militarnemi, chociaż wiadomo, że państwo *par excellence* militarne jak Prusy przeprowadziło najszerszą decentralizacyą kolejową na rzecz oddzielnych prowincyj. Posady urzędników nie w zupełności ale częściowo tylko obsadzono krajowcami, tłómacząc się tém, że albo brak techników polskich, dostatecznie kwalifikowanych, albo jeśli są gdzieindziéj zajęci, to nie pragną przenieść się do Galicyi, chociaż wiadomo, że na 300 rozrządzonych posad przy państwowych kolejach galicyjskich wpłynęło 5,000 podań samych polskich petentów, między którymi większość jest nie tylko należycie kwalifikowanych, ale nawet rutynowanych już techników. Język polski wprowadzono do służby kolejowéj, ale tylko zewnętrznéj w znoszeniu się z publicznością; w wewnętrznéj zaś manipulacyi pozostawiono niemiecki, tak dalece, że nawet budnicy i drożnicy składać muszą raporta po niemiecku. Rozporządzenie to tłómaczono małém techniczném wyrobieniem języka polskiego, chociaż wiadomo, że tym językiem posługiwano się oddawna w kolejnictwie na liniach warszawsko-wiedeńskiéj, warszawsko - bydgoskiéj, a po części i terespolskiéj. W skutek postawienia wniosku Hausnera i energicznego wystąpienia w sejmie praskim także przeciw centralizacyi kolejowéj, jeneralna dyrekcya okazała się bardziéj skłonną do uwzględnienia życzeń kraju: zniżono taryfę, przyrzeczono obsadzić resztę posad krajowcami i pozwolono drożnikom składać raporta w języku polskim. Ta ostatnia ulga zdaje się być tymczasową, bodaj czy nie w oczekiwaniu uchwały sejmowéj nad wnioskiem Hausnerowskim. Ukazanie się więc w takiéj chwili powyższego dzieła służy do pewnego stopnia za poparcie tegoż wniosku, bo dając opracowany materyał językowy polski do użytku w wewnętrznéj służbie kolejowéj, odpiera zwycięsko część zarzutów, skierowanych dotąd przeciw możności użycia tego języka w kolejnictwie. To stanowi zasadnicze znaczenie dzieła, lub jeśli kto chce—przygodne i zarazem literackie. Praktyczną zaś wartość dostarcza ono nie tylko dla personalu kolejowego, już zatrudnionego przy kolejach i pragnącego przyswoić sobie słownictwo techniczno-kolejowe polskie, ale i dla tych wszystkich, któ-

rzy mając zamiar poświęcić się kolejnictwu, potrzebują zaznajomić się z ważniejszemi przepisami manipulacyi ruchu kolejowego—w języku ojczystym. Dzieło to składa się, oprócz wstępu, z 3-ch części, z XX rozdziałów, 196 artykułów i 1,191 paragrafów. Część I, o przepisach ogólnych, zawiera sześć rozdziałów: Rozdział I: Określenie służby ruchu i ogólnych obowiązków personalu.—II: Urządzenia drogi i dworców.—III: Oświetlenie.—IV: Rewizya wozów i ich przybory. V: Naładowanie i obciążenie wozów.—VI: Rozkład jazdy: Część II, o przygotowaniach do ruchu pociągów, zawiera: Rozdz. VII: wyznaczanie pociągów.—VIII: Przesuwanie wozów.—IX: Zestawianie pociągów. Część III, o wykonaniu ruchu, zawiera: Rozdz. X: Powiadomienie służby o ruchu pociągów.—XI: Papiery (dowody piśmienne) przy pociągach.—XII: Wyprawianie i ruch pociągów.—XIII: Warunki i przepisy przy pchaniu pociągów.—XIV: Szczególne przepisy przy wyprawianiu opóźnionych pociągów.—XV: Wyznaczenie pociągów w celach szczególnych, z pewnych i do pewnych punktów linii.—XVI: Jazdy pomocnicze.—XVII: Jazdy wózkiem i dresyną. XVIII: Zamknięcie toru.—XIX: Nadzwyczajne zdarzenia i wypadki. XX: Dziennik ruchu. Raporta. Za podstawę do pracy tej wzięto przepisy kolei Czerniowickiéj, jako najpóźniéj wydane, a więc najświeższe, z uwzględnieniem wszakże różnic z innemi kolejami. Co do terminologii, autor korzystał z wyrażeń używanych na drogach Warszawsko-Wiedeńskiéj, Warszawsko-Bydgowskiéj i Terespolskiéj; daléj—ze słownika wyrazów technicznych budownictwa—Żebrowskiego; ze Słownika Lindego; Słownika kolejowego, wydawanego przez towarzystwo politechniczne we Lwowie; ze Słownika techniczno-kolejowego—Kempińskiego; Słownika górniczego—Łabędzkiego; ze Zbioru szkiców taboru kolejowego—Tuszyńskiego i w. i. Przepisy uplastycznione są wzorami rysunkowemi okazów i niektórych przyborów kolejowych, co znacznie ułatwia oryentowanie się i podnosi wartość dzieła, zasługującego na uznanie pod każdym względem.

Jan G.

SPROSTOWANIA.

(do tomu III, zeszytu III, r. 1884).

str.:	*wiersz:*	*zamiast:*	*czytaj:*
573	7 od góry	powstało	postało
573	21 „ „	Seyce	Sayce
573	3 od dołu	między	między grupą
574	6 od góry	Schnehardt	Schuchardt
574	19 od dołu	głównych	głosowych

Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Października 1884 r.

---

1. **Wspomnienia z przeszłości** opowiadane Deotymie przez *A. E. Odyńca.* Warszawa. Gebethner i Wolff. 1884 str. 459.
2. **Julian Klaczko. Wieczory Florenckie.** Z upoważnienia autora tłumaczył St. Tarnowski. Wydanie drugie poprawne. Warszawa. Ludwik Polak. 1884 str. 297.
3. *Książeczki dziesięcio-groszowe.* **Ziarnko Soli.** Pogadanka przyrodnicza z 9-ma drzeworytami. Warszawa. 1884. str. II + 55.
4. **Apteczka Domowa** przez Dr. prof. *J. N. Nussbauma.* Przekład z niemieckiego. Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka. 1884. str. 91 + IV.
5. **Juliusz Słowacki. Pisma pośmiertne** (Genezis z Ducha. List do J. N. Rembowskiego. Wykład Nauki. Dziennik z r. 1847—1849) wydane i poprzedzone wstępem przez D-ra Henryka Biegeleisena Lwów. Księgarnia Polska 1884. str. LXXIV + 275.
6. **Czesław. Arabeski.** Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka (1884) str. 172.
7. **Miron. Poezye.** Warszawa Teodor Paprocki i S-ka. 1884. str. 160
8. **Uwięziona.** Komedyja w jednym akcie *Zofi Mellerowej.* Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka. 1884. str. 72.
9. **Niezaradni.** Powieść *T. T. Jeża.* Warszawa Gebethner i Wolff. 1884. str. 473.
10. **Bez serca.** Obrazy naszych czasów przez *J. I. Kraszewskiego.* Warszawa Gebethner i Wolff. 1884. Trzy tomy str. 329, 227, 116.
11. **Kilka uwag nastręczonych dziełem ks. Maryana Morawskiego** p. t. „Filozofia i jej zadania,“ Lwów, 1881. Przedstawił *Józef Billewicz.* C. Ph. Warszawa. 1884. str. 37.
12. **O Tłómaczeniu.** Kilka uwag i myśli podał *Jan Czubek.* Kraków Nakładem Funduszu Szkolnego. 1884 str. 74 w 8-o wielkiej.
13. **Sprawa języka państwowego w Austryi** napisał *Stanisław Starzyński* Dr. pr. docent Uniwers. Lwows. Lwów. 1884. (8-o str. 106).
14. **Kilka uwag prawnika o procesie Kraszewskiego.** Skreślił *Stanisław Zalewski.* Warszawa 1884. (8-o str. 132).
15. **Wiadomości początkowe z botaniki** napisał Dr. *Kazimierz Filipowicz* Ze 194 drzeworytami w tekście. Warszawa 1884. (8-o str. 234. Cena 1 rub).
16. **Dzieła Platona** przekładał z greckiego *Antoni Bronikowski* Tom III. Poznań 1884 (8-o str. 457).

Дозволено Цензурою, Варшава. 20 Октября 1884 г.